

**ANNIE PROULX**

**KRONIKI PORTOWE**

Przełożył Paweł Kruk

*Dla Jona, Gillisa i Morgana*

W węźle składającym się z ośmiu przełożeń, który jest węzłem średniej wielkości, istnieje możliwość dwustu pięćdziesięciu sześciu różnych „kombinacji”... Jeśli uczynisz choć jedną zmianę w ułożeniu liny, otrzymasz zupełnie inny węzeł albo nie zawiążesz żadnego węzła.

*Księga węzłów Ashleya*

## Podziękowania

Pisząc *Kroniki portowe*, otrzymałam pomoc z wielu źródeł. Wyrażam wdzięczność dla National Endowment for the Arts za pomoc finansową, a także Ucross Foundation of Wyoming za udostępnienie spokojnego miejsca do pracy. W Nowej Fundlandii rady, komentarze oraz informacje wielu osób pomogły mi zrozumieć przeszłość i obecne zmiany, jakie zaszły na Skale. Zamiłowanie do rozmów oraz dowcip mieszkańców Nowej Fundlandii sprawiły, że nawet najzwyczajniejsze spotkania stanowiły prawdziwą przyjemność. Jestem szczególnie wdzięczna za uprzejmość i wspaniałe towarzystwo Belli Hodge z Gunner's Cove, jak również Goose Bay, która poniekąd z mojej winy została pogryziona przez psa i dzięki której poznałam domową kuchnię Nowej Fundlandii. Carolyn Lavers ukazała mi złożoność i siłę charakteru Nowofundlandki, podobnie jak Bill Gough uczynił to w swojej powieści *Maud's House* z 1984 roku. Sprzymierzeńców znalazłam także w personelu Canadian Coast Guard Search and Rescue oraz Northern Pen w St. Anthony, a także wśród rybaków i drwali, nieocenionych dostarczycieli wielu niezbędnych informacji. Dzięki skoordynowanym zabiegom Johna Glusmana dotarłam do książek dotyczących Nowej Fundlandii, których zapewne nigdy bym nie przeczytała. Walter Punch z Massachusetts Horticultural Society Library potwierdził niektóre dane dotyczące ogrodnictwa, które budziły we mnie pewne wątpliwości. Wyrażam też podziękowania towarzyszom podróży na wybrzeże atlantyckie Kanady: Tomowi Watkinowi, który dzielnie stawiał czoło wiatrom, niedźwiedzim oraz komarom, a także mojemu synowi Morganowi Langowi, odważnemu współuczestnikowi podjętej przez nas walki z kwietniowym sztormem, lodowymi górami i karibu. Wdzięczna też jestem Abiemu Thomasowi za dobre rady i przyjaźń. Barbarze Grossman, która jest wydawcą moich marzeń – czystemu błękitnemu niebu w najgęstszej mgle. Także bez inspiracji wspaniałej książki Clifforda W. Ashleya z 1944 roku, pod tytułem *Księga węzłów Ashleya*, którą za grosze przypadkowo nabyłam na targu, powieść ta byłaby zaledwie strzępem pomysłu.

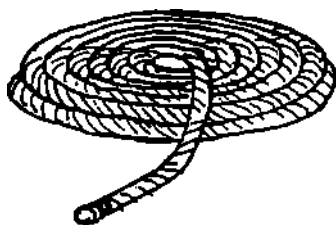
# 1

## Quoyle

Quoyle: Zwój liny.

Słońce to płaski zwój liny. Na pokładzie układa go się tak, by można było po nim chodzić w razie konieczności.

*Księga węzłów Ashleya*



Oto kronika kilku lat z życia Quoyle'a, który urodził się w Brooklynie i wychował w różnych ponurych prowincjonalnych miasteczkach.

Dzieciństwo przeżył obsypany pokrzywką, z brzuchem burczącym od gazów i skurczów. Jako student uniwersytetu stanowego, z dłonią przyciśniętą do podbródka, skrywał swoje cierpienia pod maską uśmiechów i milczenia. Na niepewnych nogach dociągnął do lat trzydziestu, ucząc się oddzielać uczucia od życia. Na nic nie liczył. Jadł za dwóch, lubił golonkę i omaszczone ziemniaki.

Pracował jako dystrybutor automatów sprzedających cukierki, nocny sprzedawca w sklepie z mrożonkami, trzeciorzędny dziennikarz. Mając trzydzieści sześć lat, osierocony, pełen smutku i zawiedzionej miłości, Quoyle udał się na skalistą wyspę, Nową Fundlandię, gdzie urodzili się jego przodkowie. Na wyspie tej nigdy nie był i na razie nie miał zamiaru jej odwiedzać.

Tak oto znalazł się w miejscu obfitującym w wodę. Budziła w nim lęk i dlatego nie potrafił pływać. Ojciec z uporem odrywał jego zaciśnięte dłonie, by siłą wrzucać go do stawów, strumieni, jezior i w przybrzeżne fale. Quoyle dobrze znał smak słonej wody i wodorostów.

Brak umiejętności pływania choćby „pieskiem” był dla jego ojca powodem ujawnienia się kolejnych, dotąd nie obserwowanych u syna niepowodzeń: Quoyle nie zdołał opanować poprawnej dykcji, nie potrafił siedzieć w pozycji wyprostowanej, nie stać go było na wczesne wstawanie, nie wypracował w sobie nawyku przyjmowania nienagannej postawy, brakowało mu zdolności i ambicji – doprawdy brak mu było wszystkiego.

Stanowił uosobienie wszelkiej niezdarności. O głowę wyższy od swoich rówieśników, Quoyle chodził, powłócząc nogami, w dodatku wiedział o tym, że mógł uchodzić za osobnika nieco tępawego. „Ach, ty wyrośnięty prostaku”, mawiał jego ojciec. Sam nie był pigmejem.

Brat Quoyłe'a, Dick, który był ulubieńcem ojca, udawał, że zbiera mu się na wymioty, kiedy Quoyłe wchodził do pokoju, i wyrzucał z siebie: „Tucznik, osmarkaniec, Świnia, pokraka, przygłup, śmierdziel, pierdziel, kocmołuch”, przy czym tłukł go pięściami i kopał, dopóki Quoyłe, osłaniając ze skowytem głowę ramionami, nie padł skulony na pokrytą linoleum podłogę. A wszystko to wynikało z głównego mankamentu Quoyłe'a: z jego nieszczęsnej powierzchowności.

Z wyglądu bowiem przypominał ogromny, wilgotny bochen chleba. W wieku sześciu lat ważył osiemdziesiąt funtów, mając lat szesnaście, ginął pod górą mięsa. Ogromna głowa bez szyi, rudawe włosy zaczesane do tyłu. Twarz pomarszczona jak zaciśnięta pięść. Oczy o barwie gliny. I ów monstrualny podbródek przypominający półkę doczepioną do dolnej części twarzy.

Jakiś osobliwy gen wystrzelił w chwili jego poczęcia niczym pojedyncza iskra pojawiająca się wówczas, gdy dosypujemy węgla do ognia. Ten gen dał mu szczęki olbrzyma. Jako dziecko wypracował sobie swoistą strategię, mającą powstrzymać spojrzenia innych – wystarczył uśmiech, spuszczone wzrok i prawa dłoń uniesiona po to, by zamaskować podbródek.

Jego najwcześniejsze wspomnienia dotyczące własnej osoby przywoływały oglądany z daleka obraz: gdzieś w tle umieszczona była jego rodzina; tutaj, na granicy widoczności, znajdował się on sam. Aż do ukończenia czternastego roku życia nie opuszczała go myśl, że znalazł się w obcej rodzinie, że gdzieś tam tęsknią za nim jego prawdziwi rodzice, że świadomością obarczenia Quoyłe'ów podrzutkiem. Jednak później, przeszukując pudełko pełne pamiątek z podróży, znalazł fotografię swojego ojca stojącego na pokładzie statku u boku braci i sióstr. Jedna z dziewcząt, ustawiona nieco z boku, wpatrywała się w morze, mrużąc oczy – jakby widziała miejsce przeznaczenia oddalone o tysiąc mil na południe. Patrząc na ich włosy, nogi i ramiona, Quoyłe rozpoznawał siebie. Ten olbrzym o przebiegłym wyrazie twarzy, w przyciasnym swetrze, z dłonią przy kroczu to jego ojciec. A na odwrocie zdjęcia ktoś nabazgrał: „Wyjazd z domu, 1946”.

Na uniwersytecie uczestniczył w kursach, których nie rozumiał. Przemykał się zgarbiony, nie odzywając się do nikogo. Jeździł do domu na burzliwe weekendy. Wreszcie dał sobie spokój ze szkołą i zaczął szukać pracy – wciąż przysłaniając podbródek dłonią.

Dla osamotnionego Quoyłe'a wszystko było niejasne. Jego myśli kotłowały się niczym bezkształtna masa, określana przez pradawnych żeglarzy dryfujących w arktycznym mroku mianem „morskiego płuca”. To określenie dotyczyło unoszącej się i opadającej na wodę kry spowitej mgłą, w której powietrze zamieniało się w krople wody, ciecz przybierała stan stały, a ciała stałe ulegały roztopieniu. Niebo zamarało, a światło i ciemność przenikały się nawzajem.



Z dziennikarstwem zetknął się, siedząc nad pajdą chleba i ociekającą tłuszczem *saucisson*. Chleb był dobry, upieczony bez drożdży – wyrósł siłą własnego ciasta, w ogrodowym piecu Partridge'a. Wokół domu Partridge'a unosiły się zapachy przypalanej mąki kukurydzianej, ściętej trawy i pieczonego chleba.

*Saucisson*, chleb, wino, opowieści Partridge'a... Z ich powodu przegapił okazję złapania pracy, która mogła mu pomóc w przyssaniu się do nabrzmiałej piersi biurokracji. Jego ojciec, który sam wypracował sobie pozycję dostawcy produktów warzywnych dla sieci supermarketów, wciąż wygłaszał kazania, ilustrując je przykładem własnej kariery: „Kiedy tutaj przybyłem, musiałem taczkami wozić piach u kamieniarza”. I tak na okrągło. Ojciec

uwielbiał tajemnice biznesu: mężczyźni podpisujący dokumenty osłaniane lewym ramieniem, spotkania za drzwiami wyposażonymi w matowe szyby, aktówki zamykane na zamek.

Ale Partridge z twarzą umazaną w oliwie powiedział: „Ach, pieprzyć to”. Ukroił plaster pomidora. Zaczął opowiadać o miejscach, które odwiedził: Strabane, South Amboy, Clark Fork. W Clark Fork zaliczył partyjkę bilardu z facetem ze skrzywioną przegrodą nosową; grał w rękawiczkach z kangurzej skóry. Quoyłe siedział na drewnianym leżaku, zasłuchany, z dłonią zakrywającą podbródek. Na garniturze, w którym miał się udać na wstępną rozmowę w sprawie pracy, widniała oleista plama. Do wzorzystego krawata przyłgnęła pestka z pomidora.



Quoyłe i Partridge. Poznali się w pralni samoobsługowej w Mockingburgu w stanie Nowy Jork. Quoyłe siedział zgarbiony nad gazetą, zaznaczając kółkami ogłoszenia dotyczące pracy dorywczej, podczas gdy jego koszule w stylu „Big Man” wirowały w suszarce. Partridge napomknął, że rynek pracy jest już nasycony. Quoyłe przyznał mu rację. Partridge rzucił uwagę na temat suszy. Quoyłe przytaknął. Partridge skierował rozmowę na temat zamknięcia wytwórni kiszanej kapusty. Quoyłe wyciągnął koszule z suszarki; upadły na podłogę wraz z garścią ciepłych monet i długopisów. Na koszulach widniały smugi tuszu.

– Zniszczone – powiedział Quoyłe.

– Nie – odparł Partridge. – Natrzyj plamy gorącą solą i talkiem. Potem wypierz jeszcze raz i dodaj trochę wybielacza.

Z drżeniem w głosie Quoyłe odparł, że spróbuje. Partridge ze zdumieniem dostrzegł lzy w ogromnych, bezbarwnych oczach tego wielkiego mężczyzny. Tak jakby dostrzegł w tych oczach jeszcze jedną porażkę Quoyłe’a: była nią samotność. Właśnie dlatego pragnął być towarzyski, krzepił się myślą, że jego towarzystwo sprawia innym przyjemność.

Wtem suszarki zazgrzytały.

– Hej, wpadnij któregoś wieczoru – powiedział Partridge, zapisując pochyłym pismem swój adres i numer telefonu na odwrocie pogniecionego rachunku. On także nie miał zbyt wielu przyjaciół.

Quoyłe zjawił się już następnego wieczoru, taszcząc papierowe torby. Bursztynowe światło oblewało pustą ulicę i front domu Partridge’a. Złota godzina. W torbach znajdowały się butelki czerwonego, różowego i białego wina, paczka importowanych szwedzkich krakersów oraz zawinięte w folię trójkąty zagranicznych serów. Z mieszkania Partridge’a dochodziła hałaśliwa muzyka – jej dźwięki przeszywały Quoyłe’a dreszczem.



Przez jakiś czas pozostawali przyjaciółmi – Quoyłe, Partridge i Mercalia. Różnili się znacznie: Partridge, czarny, drobny, niespokojny wędrowiec po pochyłościach życia, niestrudzony gawędziarz; Mercalia, druga żona Partridge’a, o skórze w tonacji brązowego pióra rzuconego na ciemną wodę i dużych zasobach inteligencji; Quoyłe, ogromny, biały, w ciągłym potykaniu się z życiem zmierzający donikąd.

Partridge umiał kierować wzrok poza teraźniejszość, potrafił wyobrazić sobie fragmenty nadchodzących wydarzeń, jakby na moment podłączono mu poluzowane druty połączeń mózgowych. Był w czepku urodzony: w wieku trzech lat udało mu się zobaczyć piorun kulisty odbijający się od schodów przeciwpożarowych; śniły mu się ogórki tuż przed tym, jak jego szwagra pokąsały szerszenie. Był pewny, że w życiu mu się powiedzie. Potrafił

wydmuchiwać idealne kółka z dymu papierosowego. Jemiołuchy w czasie swoich przelotów zawsze zatrzymywały się w jego ogrodzie.



Teraz, siedząc na tyłach swojego domu i patrząc na Quoyle'a, który przypominał psa ubranego w męski garnitur do jakiegoś śmiesznego zdjęcia, Partridge nagle o czymś pomyślał.

– Ed Punch, redaktor naczelny gazety, w której pracuję, szuka jakiegoś taniego reportera. Skończyło się lato i jego szcury z college'ów wróciły do swoich nor. Ta gazeta to szmatławiec, ale może mógłbyś się zaczepić na kilka miesięcy, zanim znajdziesz coś lepszego. A co, do cholery, może ci się spodoba dziennikarska robota!

Quoyle skinął głową, skwapliwie przykrywając podbródek dłonią. Jeśli Partridge sugeruje, by rzucił się z mostu, to może przynajmniej wychyli się za poręcz. Tak czy owak można skorzystać z przyjacielskiej rady.

– Mercalia! Ślicznotko, zachowałem dla ciebie piętękę chleba. Jest wspaniała. Chodź tutaj.

Mercalia nałożyła nakrętkę na pióro. Miała już dosyć pisania o cudownych dzieciach, które obgryzały paznokcie, wałęsały się po burdelach, szastały pieniędzmi i deptały buciorami orientalne dywany.



Gdy Ed Punch mówił, poruszał środkową częścią ust. Rozmawiając, przyglądał się Quoyle'owi; zwrócił uwagę na jego tanią tweedową marynarkę w rozmiarze końskiej derki, a także na paznokcie, które wyglądały tak, jakby regularnie przystawiano je do szlifierskiego kamienia. Wyczuł w Quoyle'u uległość; bez trudu odgadł, że wewnątrz jest miękki.

Wzrok Quoyle'a powędrował w stronę akwareli wiszącej na ścianie. Ujrzał dziobatą twarz, oczy podobne do szklanych jaj, kępki włosów opadające na jego nakrochmalony kołnierz. Czy był to dziadek Pucha, tyle że w okrojonej postaci? Zaczął myśleć o przodkach...

– Jest to gazeta rodzinna. Podajemy ważne wydarzenia, nadając im lokalny retusz. – „The Mockingburg Record” specjalizowała się w artykułach schlebiających miejscowym biznesmenom i opowieściach o rodzinnych bohaterach. Tę papkę mieszano z zagadkami i konkursami, przedrukami z innych gazet, artykułami wstępnymi i historyjkami obrazkowymi. Każdorazowo zamieszczany był quiz, mający pomóc w rozwiązaniu problemu ujętego w pytaniu: „Czy jesteś śniadaniowym alkoholikiem?”

Punch westchnął, udając, że musi podjąć trudną decyzję.

– Dam cię do wiadomości samorządowych, do pomocy Alowi Catalogowi. On cię wprowadzi. Powie ci, co masz robić.

Pensja była nędzna, ale Quoyle na razie o tym nie wiedział.



Al Catalog, o twarzy przypominającej pokrytą szczecina bułeczkę, przejechał paznokciem w dół listy zadań. Jego spojrzenie odskoczyło od podbródka Quoyle'a niczym młotek od gwoźdźca.

– W porządku, przyjmijmy, że na początek dobre będzie spotkanie komisji planowania. W szkole podstawowej. Możesz zacząć od zaraz, co? Dziś wieczór? Usiądź z tyłu. Zapisz



wszystko, co usłyszysz, a potem przepisz na maszynie. Pięćset słów maksimum. Możesz wziąć magnetofon. Rano pokażesz mi swoją robotę. Pamiętaj, najpierw zjaw się u mnie, zanim odwiedzisz tego czarnego sukinsyna przy stole redakcyjnym. – I tym czarnym sukinsynem był Partridge.

Quoyłe usadowił się w tylnej części sali, w której odbywało się spotkanie. Wciąż zapisywał coś w swoim notatniku. Potem poszedł do domu; zasiadł przy kuchennym stole, by pisać i przepisywać na maszynie przez całą noc. Rano z oczami podkrążonymi od niewyspania, doraźnie podratowany kawą, skierował kroki do redakcji wiadomości. Czekał na Ala Cataloga.

Ed Punch, zawsze pierwszy, teraz wsunął się do biura niczym węgorz w szczelinę. Rozpoczęła się poranna parada. Facet zajmujący się artykułami wstępnymi, kręcący torbą kokosowych pączków; wysoka Chinka z lakierowanymi włosami; starszy mężczyzna od nakładu z ramionami jak cumy; dwie kobiety odpowiedzialne za makietę; fotograf, z widocznymi pod pachami plamami potu z dnia poprzedniego; wreszcie Quoyłe przy swoim biurku z opuszczoną głową, pochłonięty skubaniem podbródka i udawaniem, że właśnie poprawia swój artykuł. Tekst liczył jedenaście stron.

O dziesiątej pojawił się Partridge w czerwonych szelkach i płóciennej koszuli. Skinąwszy głową, podreptał przez redakcję, wsadził głowę w szczelinę drzwi prowadzących do biura Puncha, puścił oko do Quoyłe'a i wcisnął się za swoje biurko.

Partridge znał się na tysiącu najprzeróżniejszych rzeczy: wiedział na przykład, dlaczego mokre liny wytrzymują większe obciążenie, a jajko ugotowane na twardo lepiej się kręci od surowego. Z przymkniętymi oczami, z głową przekrzywioną jak w transie potrafił cytować baseballowe statystyki, tak jak starożytni cytowali *Iliadę*. To on urabiał materię banalnej prozy, zeszkrobywał pleśń z imitacji Jimmy'ego Breslina.

– Gdzie się podziali reporterzy z dawnych lat? – zapytał mrukliwie. – Obgryzające paznokcie, zgryźliwe, chlejące wodę, cholerne nocne marki, wiedzące naprawdę, jak się pisze?

Quoyłe podał mu swój artykuł.

– Al jeszcze nie przyszedł – powiedział, wyrównując strony więc pomyślałem, że dam to tobie.

Przyjaciel Quoyłe'a nie zdobył się na uśmiech. Przecież siedział w pracy. Przez kilka sekund czytał, potem odwrócił twarz w stronę świetlówek.

– Edna podarłaby to na strzępy. A gdyby był tutaj Al, kazałby Punchowi pozbyć się ciebie. Musisz to przepisać. Siadaj. Pokażę ci, co jest nie tak. Mówią, że reportera można zrobić z niczego. Ty będziesz tego dowodem.

Tego Quoyłe oczekiwał.

– Co za wstęp – westchnął Partridge. – Chryste! – Czytał głośno wysokim, monotonnym głosem: – „Wczoraj komisja planowania w Pine Eye przytłaczającą większością głosów przegłosowała ponowne rozpatrzenie wcześniejszych zaleceń odnośnie do wprowadzenia poprawek do przepisów dotyczących podziału na strefy, które pozwoliłyby zwiększyć minimalne rozmiary działki budowlanej do siedmiu akrów we wszystkich strefach z wyjątkiem centrum miasta...” To niestrawne. Za długie. Stanowczo za długie. Bałagan, brak zaangażowania, brak cytatów. – Jego ołówek wędrował między wierszami artykułu Quoyłe'a, burząc i zmieniając. – Tylko krótkie słowa, krótkie zdania. Skrócić. Spójrz tutaj. I tutaj. Przecież to jest kronika. Spróbuj zmienić kąt widzenia.

Żonglował słowami. Quoyłe przysunął się bliżej, wyteżał wzrok, wiercił się, niczego nie rozumiał.

– Okay, popatrz na to. „Janice Foxley, członek komisji planowania w Pine Eye, podała się do dymisji podczas burzliwej debaty, która odbyła się późnym wieczorem we wtorek. «Nie mam zamiaru siedzieć i patrzeć, jak oszukuje się biednych mieszkańców tego miasta» –

powiedziała Foxley. Na kilka minut przed rezygnacją pani Foxley komisja przyjęła nowy podział strefowy stosunkiem głosów dziewięć do jednego. Nowe prawo ogranicza minimalne rozmiary działki budowlanej do siedmiu akrów”. Za mało życia, brak stylu i jeszcze za długie – powiedział Partridge. – Ale idziesz w dobrym kierunku. Kapujesz? Wiesz już teraz, o co chodzi w kronice? Wiesz, jak masz zaczynać? No, spróbuj jeszcze raz. Włóż w to więcej życia.

Ale entuzjazm Partridge’a nigdy mu się nie udzielił. Po sześciu miesiącach ćwiczeń przy stole redakcyjnym Quoyale wciąż nie wiedział, o co chodzi w kronice, nie uznawał potrzeby zajmowania się szczegółami. Bał się większości czasowników, poza kilkunastoma podstawowymi. Miał też fatalną skłonność do nadużywania strony biernej. Napisał: „Gubernatorowi Murchie został wręczony bukiet przez pierwszoklasistkę Kimberley Plud”, a Edna, stetryczala maszynistka, zerwała się wówczas i ryknęła na Quoyla: „Ty bezmózgi kretynie! Cholera, jeszcze trochę, a napisałbyś, że wręczyli gubernatora!” Quoyla mógł zatem uchodzić za jeszcze jeden przykład półanalfabety, który zechciał się parać dziennikarstwem. Takich to tylko pod ścianę!

Quoyla przesiadywał na zebraniach, skrobiąc wytrwale w swoim notatniku. Wydawało mu się, że mimo wszystko istnieją powody, by czuł się częścią jakiejś większej całości. Nie obrażał się na ryki Edny czy krytyczne uwagi Partridge’a. Bądź co bądź, wcześniej przeszedł szkołę, którą zafundował okrutny brat, oraz znosił nieustanną krytykę ze strony ojca. Na widok swojego nazwiska w gazecie poczuł dreszcz. Pracując o różnych porach, wyobrażał sobie, że jest panem swojego czasu. A gdy około północy wracał do domu z zebrania poświęconego wprowadzeniu mało istotnych przepisów dotyczących ponownego użycia butelek, odnosił wrażenie, że jest trybikiem w maszynie władzy. Poprzez gazetowe nagłówki komentował banalne wydarzenia dnia codziennego, by czytelnicy dowiedzieli się, że: „Mężczyzna przechodzi przez parking niezbyt szybkim krokiem”, „Kobiety rozmawiają o deszczu”, a „Telefon dzwoni w pustym pokoju”.

Partridge pracował nad nim.

– Quoyla, aktualności to jedna z tych rzeczy, które same z siebie nie powstają.

– Rozumiem. – Udawał, że rozumie. Zanurzył ręce w kieszeniach.

– Pamiętasz ten tekst dotyczący spotkania w sprawie międzyokręgowej pomocy transportowej? Jeszcze miesiąc temu byli gotowi otworzyć usługi transportowe w czterech miastach, jeśli w ten interes wszedł Bugle Hollow. A ty piszesz tutaj, że spotkali się wczoraj wieczorem i gdzieś tam pod koniec, jakby mimochodem wspominasz, że Bugle Hollow postanowił się wycofać. Czy wiesz, ilu starszych ludzi, którzy nie mają własnych samochodów, których nie stać na kupno auta, a muszą przecież dojeżdżać czymś do pracy, czekało na te cholerne mikrobusy?! To właśnie po nich te pojazdy miały przyjeżdżać. Ale tak się nie stanie. Wiadomości, Quoyla, wiadomości. Nakręć się zatem bardziej. – Minutę później dodał zupełnie innym już głosem, że w piątek wieczorem przygotowuje marynowane ryby po grecku z papryką, i spytał, czy Quoyla nie miałby ochoty wpaść do niego.

Owszem, miał ochotę, ale nie dawało mu spokoju, co to znaczy, że „ma się nakręcić”.



Późną wiosną Ed Punch wezwał Quoyla do swojego biura i oznajmił mu, że go zwalnia. Skierował w jego stronę zniszczoną twarz i utkwiał wzrok mniej więcej na wysokości ucha wezwanego.

– Taki dłuższy przestój. Jak się poprawi...

Quoyla dostał dorywczą pracę jako kierowca taksówki.

Partridge wiedział, dlaczego tak się stało. Namówił Quoyłe'a, żeby włożył ogromny fartuch, po czym wręczył mu łyżkę i słój.

– Wiesz, jego dzieciaki wróciły z college'u. Właśnie dostały twoją robotę. Ale nie ma co płakać. Tak, w porządku, posmaruj to mięso musztardą, niech dobrze przejdzie.

A w sierpniu, krojąc koper do gulaszu z piklami po rosyjsku, Partridge powiedział:

– Punch chce, żebyś wrócił. Mówi, że jeśli cię to interesuje, to masz przyjść w poniedziałek rano.

Punch udawał, że się zastanawia. Odgrywał scenkę, że robi dla Quoyłe'a wyjątek, przyjmując go ponownie. Oczywiście tymczasowo. Prawda była taka, że Punch zauważył, iż Quoyłe, sam małowówny, inspiruje innych do mówienia. Była to bodaj jedyna umiejętność, jaką posiadał w życiu. Jego uważna postawa i schlebujące przytakiwanie powodowały potok opinii, wspomnień, rozważań, domniemywań, komentarzy, podsumowań i wyjaśnień; wywoływały w innych jak najżywsze, do głębi poruszające reakcje.

I tak to wyglądało. Wylany, pomocnik na stacji benzynowej, przyjęty.

Wylany, taksówkarz, przyjęty.

Przemierzał okolicę wzdłuż i wszerz, przysłuchując się kłótniom towarzyszącym obradom komisji do spraw dróg i kanalizacji, tłukąc na maszynie artykuły o funduszach na naprawy mostów. Drobne decyzje Władz lokalnych wydawały mu się ważnymi życiowymi sprawami. Wykonując zawód, który ukazywał mu niegodziwość ludzkiego życia, a zarazem pozwalał lepiej wniknąć w skorodowany mechanizm cywilizacji, Quoyłe stworzył na własny użytek iluzję systematycznego postępu. W atmosferze rozpadu i wszechogarniającej zazdrości potrafił sobie wyobrazić racjonalny kompromis.



Quoyłe i Partridge spożywali pstrąga i krewetki przyprawione czosnkiem. Mercalii nie było w domu. Quoyłe mieszał sałatkę koperkową. Schylił się, żeby podnieść z podłogi krewetkę – wtedy nagle Partridge uderzył nożem w butelkę wina.

– Ogłoszenie! Dotyczy mnie i Mercalii.

Quoyłe wyszczerzył zęby w uśmiechu. Sądził, że spodziewają się dziecka. Już widział siebie w roli ojca chrzestnego.

– Przeprowadzamy się do Kalifornii. Wyjeżdżamy w piątek wieczorem.

– Co takiego? – zapytał Quoyłe.

– No cóż, warzywa – spróbował wyjaśnić Partridge. – Wino, dojrzałe tomatillos, awokado. – Nalał *fumé blanc*, po czym dodał, że tak naprawdę powodem przeprowadzki jest miłość, a nie warzywa. – Quoyłe, wszystko, co się liczy, dotyczy miłości. Ona jest motorem życia.

Wyjawił, że Mercalia przerwała pisanie pracy magisterskiej i zaczęła pracować fizycznie. Uwielbia podróże, kowbojskie buty, pieniądze, syk aerodynamicznych hamulców, a w szoferce cztery głośniki, z których dobiega Uptown String Quartet. Zapisła się na kursy kierowców długodystansowych i ukończyła je z wyróżnieniem. Znalazła również pracę w Overland Express w Sausalito.

– Jest pierwszą czarną kobietą w Ameryce, która została kierowcą ciężarówki – powiedział Partridge ze łzami w oczach. – Mamy już mieszkanie. Trzecie spośród tych, które obejrzała. – Dodał, że w mieszkaniu są oszklone drzwi, a za oknem cudowne, ocieniające dom drzewo bambusowe. Ogródek z ziołami ma wielkość modlitewnego dywanu. On sam będzie w nim klęczał. – Zlecono jej trasę do Nowego Orleanu. Ja też tam jadę. Będę przyrządzał kanapki z wędzoną kaczką i kurze piersi na zimno z estragonem. Będzie je zabierała ze sobą na drogę, żeby nie musiała się stołować w barach. Nie chcę, żeby włączyła

się po tych jadłodajniach przeznaczonych dla kierowców. Estragon zaś będę hodował osobiście. Poszukam też pracy, w końcu redaktor zawsze gdzieś jest potrzebny. Pracę znajdę wszędzie.

Quoyłe próbował z siebie wydusić słowa gratulacji, lecz zamiast tego w nieskończoność ścisnął dłoń Partridge'a.

– Posłuchaj, odwiedź nas kiedyś – powiedział Partridge. I bądź w kontakcie. – Wciąż ścisnęli sobie dłonie, jakby pompowali wodę z głębokiej studni.



Quoyłe ugrzązł w obskurnym Mockingburgu. Było to miejsce, które przeżywało swoją trzecią śmierć. Zamarło dwieście lat po tym, gdy wkroczyło na drogę rozwoju prowadzącą od epoki puszczy i leśnych plemion do zorganizowanych farm, do miasta pełnego maszyn i fabryk opon. Długa recesja wyludniła centrum, zniszczyła promenady. Fabryki wystawiono na sprzedaż. Na pierwszym planie znalazły się ulice slumsowe, wyrostki z pistoletami w kieszeniach, polityczna paplanina, wydęte usta, poronione pomysły. Kto wie, dokąd uciekli ludzie? Pewnie do Kalifornii.

Quoyłe kupował produkty spożywcze w A&B Grocery; benzynę w D&G Convenience; kiedy trzeba było naprawić samochód, udawał się do R&R Garage. Nadal pisał artykuły, mieszkał w wynajętej przyczepie i oglądał telewizję. Niekiedy marzył o miłości. Dlaczego nie? W wolnym kraju mógł sobie o niej pomarzyć. Odkąd Ed Punch wypowiedział mu pracę, żywił się lodami wiśniowymi i puszkowanymi pierożkami ravioli.

Odciał się od otaczającego go świata. Wierzył, że jest dziennikarzem prasowym, lecz sam nie czytał gazet z wyjątkiem „The Mockingburg Record”. Tak więc udało mu się nie dopuścić do świadomości takich wydarzeń, jak akty terroryzmu, zmiany klimatyczne, upadki rządów, katastrofy ekologiczne, plagi, recesje i bankrutujące banki, pływające śmieci czy ubytki w warstwie ozonowej. Wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi i huragany, religijni oszuści, wadliwe samochody i naukowci szarlatani, masowi mordercy i wielokrotni zabójcy, kolejne fale ofiar raka, AIDS, niszczenie lasów tropikalnych czy rozrywane wybuchami samoloty pozostawały dla niego równie abstrakcyjne jak spinki do włosów czy podwiązki w rozetki. Naukowe czasopisma szokowały raportami o nowych odmianach wirusów, o maszynach pompujących życie w ludzi prawie już nieżyjących, o rewelacyjnych odkryciach, według których galaktyki nieuchronnie zmiernają ku niewidzialnemu Wielkiemu Przyciągaczowi niczym muchy wciągane w otwór odkurzacza. Wszystko to składało się na życie innych. A on ciągle czekał, aż rozpocznie się jego życie.

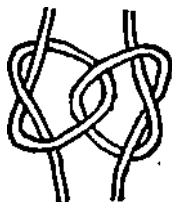
Miał zwyczaj obchodzić wokoło swoją przyczepę i pytać głośno: „Kto wie? Kto wie?” Nikt przecież nie mógł wiedzieć. Chodziło mu o to, że wszystko może się zdarzyć.

Wirująca moneta, która balansuje na własnej krawędzi, opaść może na jedną albo na drugą stronę.

## Podwójna kokarda

W dawnych czasach zakochany marynarz mógł wysłać swojej ukochanej kawałek linki do łowienia ryb, zawiązanej luźno w węzeł zwany podwójną kokardą. Jeśli węzeł powrócił do niego nie zmieniony, oznaczało to stagnację w uczuciach. Jeśli węzeł powrócił zaciśnięty, był oznaką uczuć odwzajemnionych. Lecz jeśli węzeł został odwrócony, zawierał milczącą radę, by odpływać.

*Księga węzłów Ashleya*



Znalazł się na przyjęciu i tam ją zobaczył. Petal Bear. Szczupła, wilgotna, seksowna. Puściła do niego oko. Quoyale, jak większość dużych mężczyzn, pragnął małej kobiety. Stał tuż obok niej, przy stole z zakąskami. Szare oczy osadzone blisko siebie, kręcone włosy koloru dębu. W świetle jarzeniowej lampy twarz kobiety była blada jak воск. Na jej powiekach błyszczał cień. Potyskiwanie metalicznych nitki w różowym swetrze sprawiało, że wyglądała jak skąpana w promieniach słonecznych. Uśmiechnęła się, na perłowych wargach błyszczały krople jabłecznika. Dłoń Quoyale'a siłą nawyku pomknęła do podbródka. Ona zaś wybrała ciasteczko z oczami z lukru i migdałowymi ustami. Nie odrywała wzroku od Quoyale'a, gdy jej zęby oddzielały kolejny kęs. Quoyale miał wrażenie, jakby jakaś niewidzialna dłoń wiązała jego wnętrze w skomplikowany węzeł.

– I co ty na to – powiedziała, słysząc dochodzące z jego strony pomruki. Mówiła szybko. Powiedziała to, co zwykła zawsze mówić: – Chcesz się ze mną ożenić, nie? Nie sądzisz, że chcesz tego? – Czekwała na błyskotliwą odpowiedź. Kiedy mówiła, zmieniała się w jakiś prowokujący sposób, stawała się nasycona erotyzmem, przypominała nurka po opuszczeniu basenu, który lśni przez krótką chwilę, okryty migotliwą jak chrom taflą wody.

– Tak – odparł twierdząco, bo rzeczywiście tak myślał.

Tę odpowiedź uznała za dowcipną. Roześmiała się i wsunęła w jego dłoń palce zakończone ostrymi paznokciami. Jakaś kobieta spojrzała na nich i skrzywiła się.

– Wyośmy się stąd – szepnęła. – Chodźmy gdzieś się napić, jest dwadzieścia pięć po siódmej. Sądzę, że do dziesiątej zdamy pójść do łóżka, co ty na to?

Później powiedziała:

– O Boże, takiego dużego jeszcze nie widziałam.

Tak jak gorące usta rozgrzewają zimną łyżkę, tak Petal rozgrzała Quoylę'a. Chwiejnym krokiem poszedł w stronę bolesnej miłości, pozostawiając za sobą wynajmowaną przyczepę pełną brudnej bielizny i pustych puszek po pierożkach. Jego serce na zawsze zostało naznaczone igłami, które wytatuowały imię Petal Bear.

Zaczął się miesiąc gorącej miłości. A potem koszmarne pięć lat cierpienia.



Nici tęsknoty oplatały Petal Bear, lecz po ślubie nie była to tęsknota za Quoylę'em. Pragnienie zamieniło się w niechęć niczym odwrócona na lewą stronę gumowa rękawiczka. W innych czasach, reprezentując inną płęć, byłaby może Dżyngis-chanem. Pragnąc płonąęcych miast, jęku upadających jeńców, koni zmęczoneę objęędzaniem rozległego terytorium, odnosiła jedynie drobne zwycięstwa w seksualnych potyczkach.

– Tak to już bywa – powiedziała do siebie. – Tak to już bywa – powtórzyła głoęno.

W ciągu dnia sprzedawała przeciwwłamaniowe urządzenia alarmowe w Northern Security, nocą zaś zamieniała się w kobietę, którą trudno byłoby wyciągnąć z pomieszczeń zamieszkiwanych przez różnych nieznajomych. Była gotowa kochać się gdziekolwiek, nawet w śmierdząęcych toaletach albo w schowkach na miotły. Mogła pójść wszęędzie z nieznajomym mężczyzną. Potrafiła latać samolotem do nocnych klubów w innych miastach. Schowana za maską wyciętą z opakowania po chipsach, zagrała rolę w filmie pornograficznym. Kredkę do powiek ostrzyła nożem do obierania warzyw, dlatego Quoylę niejednokrotnie się dziwił, skąd na jego serze wzięły się zielone smugi.

Nienawidziła nie tyle podbródka Quoylę'a, co jego unięzoneęgo braku pewnoęci siebie, jakby czekał na jej gniew, jakby koniecznie chciał, żeby zadała mu ból. Nie mogła znieść jego gorąęcych pleców, jego ogromnego cięlska w łóżku. Niestety, podobała jej się tylko jedna jego część. Mors sapiący obok na poduszce. Tymczasem ona pozostawała zadziwiającym równaniem, które przyciągało wielu matematyków.

– Przepraszam – wymamrotał, pocierając swoją owłosioną nogą o jej udo. W ciemności jego żebrzące palce popęły w górę, by dotrzeć do jej ramienia. Zadrzała i odtręciła jego dłoń.

– Nie rób tego!

Nie powiedziała „dupku”, lecz on i tak to usłyszał. Nienawidziła go. Życzyła mu najgorszego. Nic na to nie mogła poradzić, podobnie jak on był bezradny wobec sweęj głupieęj miłości.

Quoylę mocno zacisnął usta; czuł, jakby wokół niego napinały się jakieęsz sznury, jakby nacięgał je jakiś mechanizm. Czego właęciwie oczekiwał, kiedy się żenił? Na pewno nie takiego życia, jakie wiedli jego rodzice, stale czyhający na wyprzedaze. Raczej czegoęś na podobieństwo ogrodu Partridge'a przyjaciół, grilla, uczuć oraz tego ich języka bez słów. Lecz tak się nie stało. Był jakby drzewem, ona zaś ciernistą gałęzią wszczępioną przypadkowo do jego boku, raniącą jego korę przy każdym podmuchu wiatru.

Miał tylko to, co mu się wydawało, że ma.



Cztery dni po narodzinach Bunny przybyła opiekunka do dzieci i rozłżyła się przed telewizorem – pani Moosup o rękach tak grubych, że nie mieęciły się w rękawach. Petal tymczasem nałżyła suknię, która zakrywała jej obwisły brzuch oraz wilgotne od mleka piersi, i nadaęzana wyszła, by się rozejrzeć. Daęsała się także w następnym roku, kiedy była w ciąży z Sunshine. Zmieniała się dopiero wówczas, gdy obca istota opuęciła jej ciało.

Udręka mąciła spokojne wody życia Quoyle'a. To głównie on troszczył się o dzieci. Czasem zabierał je gdzieś ze sobą: Sunshine w nosidełku na plecach i Bunny uwieszoną u jego nogi, z kciukiem tkwiącym w buzi. W samochodzie pełno było gazet, malutkich rękawiczek bez palców, podartych kopert, gryzaków. Na tylnym siedzeniu zakrzepła pasta do zębów z rozdeptanej tubki. Ciągłe brzęczały puszki po napojach.

Quoyle powracał wieczorem do wynajmowanego domu. Zdarzało się, że i Petal tam była. Przeważnie jednak zastawał panią Moosup, która siedziała po godzinach: pograżona w transie wywołanym kolorami migającymi na telewizyjnym ekranie i podekscytowana sztucznym życiem, paliła papierosy i niczemu się nie dziwiła. Podłogę wokół niej zaścieniały pozbawione włosów lalki. W zlewie rosła góra naczyń, gdyż pani Moosup uważała, że nie jest służącą i nigdy nią nie będzie.

Quoyle szedł do łazienki, przedzierając się przez płataninę ręczników i przewodów elektrycznych, a potem do pokoju dzieciennego, gdzie opuszczał żaluzje, by nie wpuszczać światła ulicznego, i poprawiał kołderki, aby okryć dzieci. Dwa łóżeczka stały ściśnięte obok siebie niczym ptasie klatki. Ziewając, Quoyle z grubsza zmywał naczynia, po czym opadał w szarą pościel i zasypiał. Wszystkie prace domowe wykonywał w tajemnicy, gdyż Petal wściekała się, kiedy spotykała go ze szmatą albo miotłą w ręku. Odnosiła wtedy wrażenie, że ma do niej pretensje czy coś w tym rodzaju.

Kiedys zadzwoniła do niego z Montgomery w Alabamie.

– Jestem w Alabamie i nikt tutaj, łącznie z barmanem, nie wie, jak przyrządzić koktajl alabama slammer. – Quoyle słyszał odgłosy rozmów i głośne śmiechy dochodzące z baru. – Idź do kuchni i ściągnij z lodówki *Pana Bostona*. Tutaj mają tylko stare wydanie. Zobacz, jak się przyrządza alabama slammer, a ja poczekam.

– Dlaczego nie wrócisz do domu? – spytał łamiącym się głosem. – Przyrządzę ci drinka. – W ogóle na to nie zareagowała.

Cisza trwała, dopóki nie przyniósł książki i nie przeczytał przepisu. Przypomniawszy sobie krótki miesiąc pełen miłości, kiedy trzymał ją w ramionach; myśl o rozgrzanym jedwabiu jej halki przemknęła przez jego umysł niczym spłoszony ptak.

– Dzięki – odpowiedziała i odwiesiła słuchawkę.

Zdarzały się też inne małe epizody. Czasami udawała, że nie poznaje dzieci.

– Co ten dzieciak robi w łazience? Poszłam tam, żeby wziąć ręcznik, a tu jakiś bachor siedzi na nocniku! Co to za dzieciaki, do cholery? – W tym momencie gruchnęła salwa śmiechu z telewizora.

– To jest Bunny – wyjaśnił Quoyle. – Nasza córeczka, Bunny. – Wykrzywił twarz w grymasie uśmiechu, by pokazać, że wie, iż to był tylko żart. Potrafił nagrodzić żart uśmiechem. Potrafił.

– Mój Boże, nie poznałam jej. – Ryknęła w stronę łazienki: Bunny, czy to naprawdę ty?!

– Tak – odparł wojowniczy głos.

– Jest jeszcze jedno, nieprawdaż? No cóż, już mnie nie ma. Nie spodziewajcie się mnie przed poniedziałkiem. Zresztą sama nie wiem, kiedy wrócę.

Było jej przykro, że on ciągle darzy ją tak desperacką miłością, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Posłuchaj, to nie ma sensu – powiedziała. – Znajdź sobie jakąś dziewczynę, pełno ich wszędzie.

– Ja chcę tylko ciebie – powiedział Quoyle. Mówił żałośnie, tonem błagalnym i zarazem uległym.

– Jedyne, co można na to poradzić, to się rozwieść – powiedziała Petal. On ciągnął ją w dół. Ona go odpychała.

– Nie – jęknął Quoyle. – Żadnego rozwodu.

– W takim razie to twój pogrzeb – odparła Petal. Jej tęczyówki lśniły srebrzyście w niedzielnym blasku. Zielona tkanina płaszcza przypominała bluszcz.

Ktoregoś wieczoru rozwiązywał w łóżku krzyżówkę. Wtem zorientował się, że wchodzi Petal; słyszał strzępy rozmowy. Drzwi lodówki otworzyły się i zamknęły. Brzęk butelki, odgłosy telewizora, a potem przeciągające się skrzypienie rozkładanego łóżka w saloniku i krzyk obcego. Zbroja obojętności, w której chronił ich małżeństwo, była krucha. Nie wstał, kiedy usłyszał trzask zamykanych drzwi i odgłos odjeżdżającego samochodu – dalej leżał na plecach. Przy każdym jego oddechu słycać było szelest gazety, łzy spływały mu po policzkach do uszu. Jak to możliwe, że odczuwał tak ogromny ból po czymś, co zrobili inni w innym pokoju? „Mężczyzna umiera z powodu złamanego serca”. Jego dłoń powędrowała do stojącej na podłodze obok łóżka puszki z orzeszkami.

Rano obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem, lecz on nie powiedział nic, kręcąc się po kuchni z dzbankiem pełnym soku. Usiadł przy stole, filiżanka w jego dłoni drżała. W kącikach ust tkwiła jeszcze sól z orzeszków. Jej krzesło skrzypnęło. Poczł zapach jej wilgotnych włosów. Pod powieki znowu napłynęły mu łzy. Pławi się w smutku, pomyślała. Wystarczy spojrzeć na jego oczy.

– Och, Boże, wydorolej wreszcie – powiedziała Petal. Filiżankę z kawą zostawiła na stole. Trzasnęły drzwi.

Quoye wierzył w sens milczącego cierpienia; nie wiedział, że może ono innych denerwować. Starał się stłumić uczucie i zachowywać poprawnie. Taka już musi być próba miłości. Im większy ból, tym dobitniejszy dowód. Wszystko będzie dobrze, jeśli teraz wytrzyma i jeśli to zniesie. Na pewno będzie dobrze.

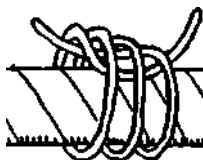
Lecz wydarzenia zwały się wokół niego jak sześć ścian metalowej skrzynki.



## Węzeł zaciskowy

Węzeł zaciskowy dobrze trzyma spiralę... Najpierw zawiązujemy go luźno, a dopiero później zaciskamy.

*Księga węzłów Ashleya*



I nadszedł rok, kiedy życie cofnęło się jak rzygowiny. Zaterkotały głosy w słuchawce, rozległ się szczepek zwijanego metalu, buchnął płomień.

Zaczęło się od rodziców. Najpierw ojciec. Rak wątroby, coraz więcej zwyrodniałych komórek. Miesiąc później na mózgu matki pojawił się guz niczym spoina na odlewie i zepchnął wszystkie jej myśli w jedną stronę. Ojciec obwiniął za to elektrownię. W odległości zaledwie dwustu jardów od ich domu bzyczały elektryczne przewody grube jak węgorze, które przyływały z północy.

Od mrugających nerwowo lekarzy wyłudźli recepty na barbiturany i zgromadzili zapas kapsułek. Kiedy uznali, że więcej im nie trzeba, ojciec podyktował, a matka napisała na maszynie pożegnalny list samobójców, proklamację wolnego wyboru i samounicestwienia. Większość zdań zapożyczyli z broszur Towarzystwa Godnego Odejścia. Napisali, że z własnej i nieprzymuszonej woli wybierają spalenie i życzą sobie, by ich popioły zostały rozrzucone.

Nadeszła wiosna. Rozmokła gleba pachniała specyficznie. Wiatr szarpał gałęziami drzew, w powietrzu unosił się cierpkawy zapach – jak przy pocieraniu krzemienia o krzemień. W rowach pojawił się podbiał, a w ogrodach jaskrawe plamy tulipanów. Zacinał rzęsisty deszcz. Wskazówki zegarów wskazywały coraz jaśniejsze wieczory. Chmury przesuwwały się jak karty w białej dłoni.

Ojciec wyłączył bojler. Matka podlała kwiaty w pokojach. Połknęli swoje różnobarwne kapsułki, popijając herbatą ziołową silent nite.

Ostatkiem sił ojciec zdążył zadzwonić do redakcji gazety Quoyle'a i zostawić mu wiadomość nagrą na automatycznej sekretarce. „Mówi twój ojciec. Dzwonię do ciebie. Dicky nie ma tam u siebie telefonu. No cóż. Czas, żebyśmy z matką odeszli. Oboje tak postanowiliśmy. Instrukcje dotyczące zakładu pogrzebowego, kremacji i innych spraw są na stole w jadalni. Musisz iść swoją drogą, tak jak ja szedłem swoją przez ten twardy świat, od czasu kiedy przybyłem do tego kraju. Nikt nigdy niczego mi nie dał. Inni dawno by się

poddali, ale nie ja. Harowałem, woziłem taczka piasek dla kamieniarza, odejmowałem sobie od ust, żeby tobie i twojemu bratu było lepiej. Nie bardzo wykorzystałeś swoją szansę. Nie byłeś mi wielką pociechą. Skontaktuj się z Dickim i moją siostrą Agnis Hamm i powiedz im o wszystkim. Adres Agnis znajduje się na stole w jadalni. Nie wiem, gdzie jest reszta rodziny. Nie byli...” Rozległ się ciągły sygnał. Zakończył się czas przeznaczony na pozostawienie wiadomości.

Jednak brat, „duchowy podporucznik” w Kościele Indywidualnego Magnetyzmu, miał telefon, a Quoyale znał jego numer. Poczł ucisk w żołądku, kiedy w słuchawce usłyszał znieawidzony głos. Te urywane sylaby wymawiane przez nos i te gardłowe prychnięcia. Brat oznajmił, że w ceremonii dotyczącej „kogoś z zewnątrz” nie będzie mógł uczestniczyć.

– Nie wierzę w te gówniane przesady – powiedział. – Pogrzeby. W KIM organizujemy koktajl. A tak między nami, to gdzie znalazłeś duchownego, który będzie się modlił za samobójców?

– Wielebny Stain należy do grupy Godnego Odejścia. Powinieneś przyjechać. Pomógłbyś przynajmniej uporządkować piwnicę. Ojciec zostawił w niej ze cztery tony starych czasopism. Posłuchaj, musiałem patrzeć, jak wynoszą naszych rodziców z domu. Prawie płakałem.

– Hej, dupku, zostawili nam coś?

Quoyale wiedział, o co chodzi.

– Nie. Mocno obciążona hipoteka. Wydali wszystkie oszczędności. Pewnie dlatego to zrobili. To znaczy, wiem, że wierzyli w godną śmierć, ale wydali wszystko. Sieć sklepów spożywczych zbankrutowała i ojcu przestali wypłacać emeryturę. Gdyby zdecydowali się żyć dłużej, musieliby znaleźć pracę w jakimś całodobowym sklepie albo coś takiego. Myślałem, że może matka miała emeryturę, ale nie miała.

– Żartujesz?! Ty jesteś chyba jeszcze głupszy, niż myślałem. Hej, dupku zafajdany, jeśli coś będziesz miał dla mnie, przyślij mi. Znasz mój adres. – Odłożył słuchawkę.

Quoyale przyłożył dłoń do brody.

Agnis Hamm, siostra ojca, także nie przyjechała na pogrzeb. Przysłała Quoyale’owi krótki list napisany na niebieskim papierze. Jej nazwisko i adres odbite były stemplem przeznaczonym do korespondencji.

*Nie mogę przyjechać na pogrzeb, ale będę w okolicy w przyszłym miesiącu, około dwunastego. Zabiorę prochy zgodnie z instrukcją, spotkam się z tobą i z twoją rodziną. Porozmawiamy. Kochająca ciotka, Agnis Hamm.*

Zanim jednak ciotka przyjechała, osierocony Quoyale został ponownie doświadczony przez los, tym razem jako porzucony i zdradzony mąż, a potem jako wdowiec.



– Pet, muszę z tobą porozmawiać – mówił błagalnym głosem. Wiedział o jej ostatnim kochanku, bezrobotnym agencie nieruchomości, który malował na błotnikach swego samochodu jakieś mistyczne znaki, wierzył także w horoskopy z gazet. Mieszkała z nim i tylko co pewien czas wpadała do domu po ubrania. Może nawet rzadziej. Quoyale wybełkotał jakieś sentymentalne pozdrowienia, jakby czytał z kartki pocztowej. Odwróciła wzrok i uchwyciła własne odbicie w lustrze łazienki.

– Nie nazywaj mnie „Pet”. Wystarczy już to głupie imię Petal. Powinni byli nazwać mnie raczej „Żelazo” albo „Szpic”.

– Żelazna Niedźwiedzica<sup>1</sup>? – Ukazał zęby w uśmiechu. A może tylko otworzył usta.

– Nie bądź taki dowcipny, Quoye. Nie próbuj udawać, że wszystko jest zabawne i wspaniałe. Po prostu zostaw mnie w spokoju. – Odwróciła się od niego z ubraniami przewieszonymi przez ramię, druty wieszaków przypominały szyje i głowy martwych gęsi. – Widzisz, to był żart. Ja nie chciałam wychodzić za męża. Nie chciałam być niczyją matką. Wszystko to jest jedną wielką pomyłką, naprawdę.

Któregoś dnia zniknęła, nie przyszła do pracy w Northern Security. Dyrektor zadzwonił do Quoye'a. Ricky jakiś tam.

– Czyżby? No cóż, martwię się. Petal nie „odleciałaby” tak po prostu, jak to określiłeś, nie uprzedzając mnie. – Quoye wywnioskował z tonu jego głosu, że Petal z nim sypiała. Robiła mu złudne nadzieje.

Kilka dni po tej rozmowie Ed Punch, przechodząc obok biurka Quoye'a, skinął głową w stronę swojego biura. Zawsze zachowywał się tak samo.

– Muszę pozwolić ci odejść – powiedział z obojętnym spojrzeniem, oblizując wargi.

Wzrok Quoye'a powędrował w stronę obrazu na ścianie. Udało mu się odczytać podpis pod owłosionym karkiem: Horace Greeley.

– Przystój w interesie. Nie wiem, jak długo ta gazeta się utrzyma. Cięcia. Chyba już nie będę mógł cię przyjąć.



O szóstej trzydzięci otworzył drzwi do kuchni. Pani Moosup siedziała przy stole i pisała coś na odwrocie koperty. Jej piegowate ramiona przypominały zimne uda.

– A, jest pan! – zawołała. – Miałam nadzieję, że pan przyjdzie i nie będę musiała pisać tego wszystkiego. Męczy się od tego ręka. Dzisiaj jest dzień mojej wizyty w klinice akupunktury. Naprawdę pomaga. Po pierwsze, pani Bear mówi, że ma mi pan zapłacić. Jest mi pan winien za siedem tygodni, razem trzysta osiem dolarów. Przydałby się czek od razu. Mam swoje wydatki, tak jak wszyscy.

– Dzwoniła? – zapytał Quoye. – Czy mówiła, kiedy wróci? Jej szef się dopytuje. – Słyszał telewizor włączony w drugim pokoju. Odgłosy grzechotek i bębneków.

– Nie dzwoniła. Wpadła tutaj jakieś dwie godziny temu, spakowała swoje ubrania, powiedziała, co mam panu przekazać. Zabrała dzieciaki i odjechała z tym facetem w czerwonym samochodzie. Wie pan, o kim mówię. O tamtym. Powiedziała, że chce się z nim przeprowadzić na Florydę, kazała powiedzieć, że przyśle papiery. Rzuciła pracę i pojechała. Zadzwoniła do szefa i powiedziała: „Ricky, odchodzę”. Kiedy to powiedziała, stałam dokładnie w tym samym miejscu. Mówiła, żeby pan mi zaraz wypisał czek.

– Nie mogę się w tym wszystkim połapać – powiedział Quoye z ustami pełnymi zimnego hot-doga. – Zabrała dzieciaki? Nigdy ich nie zabierała. – „Matka-uciekierka porywa dzieci”.

– Tak jakby je zabrała, panie Quoye. Może coś pokręciłam, ale na końcu powiedziała coś, jakby mieli zostawić dziewczynki u jakichś ludzi w Connecticut. Dzieciaki bardzo się cieszyły, że przejadą się tym małym autem. Prawie nigdzie nie chodzą. Marzą o takiej przygodzie. Ale o czeku wyraziła się bardzo jasno. O moim czeku. – Jej ogromne ramiona zniknęły w rękawach dolmana, uszytego z tweedu w purpurowo-złociste cętki.

– Pani Moosup, na moim koncie jest zaledwie dwanaście dolarów. Godzinę temu zostałam wylany z pracy. Petal miała pani zapłacić. Jeśli o tych trzystu ośmiu dolarach mówi pani poważnie, to żeby pani zapłacić, będę musiał sprzedać nasze płyty kompaktowe. Ale to

---

1 Bear (ang.) – niedźwiedź.

dopiero jutro. Niech pani się nie martwi, dostanie pani swoje pieniądze. – Nie przestawał sięgać po zimne hot-dogi.

– Ona tak zawsze mówiła – odparła z goryczą pani Moosup. – Zdążyłam się już przyzwyczaić. Ale to żadna frajda pracować za darmo.

Quoyłe skinął głową. Później, kiedy już wyszła, zadzwonił na policję.

– Moja żona. Chcę, żeby moje dzieci do mnie wróciły – powiedział do słuchawki w odpowiedzi na monotony głos. Moje córki, Bunny i Sunshine Quoyłe. Bunny ma sześć, a Sunshine cztery i pół roku.

Tak, one należały do niego. Rudawe włosy, piegi niczym ścinki trawy na sierści mokrego psa. Sunshine była nawet dość ładna z tymi gęstymi, rudymi lokami. Bunny przeciętna. Ale bystra. Podobnie jak Quoyłe miała oczy nieokreślonego koloru i rudawe brwi; lewa brew nieco skośna, z blizną po upadku ze sklepowego wózka. Miała kręcone włosy, krótko obcięte. Obie dziewczynki były grubokościste.

„Przypominają meble przerobione ze skrzyń do pakowania” zażartowała kiedyś Petal. Dyrektorka przedszkola uznała je za nieokiełznane podżegaczki i wyrzuciła najpierw Bunny, a potem także Sunshine. Za szczypanie, popychanie, wrzaski i specyficzne żądania. Pani Moosup uznała je za żywe wcielenia małych utrapień, które wyją, kiedy są głodne, i nie dają jej oglądać telewizji.

Jednak od samego początku, gdy Petal z wściekłością przyjęła wiadomość, że jest w ciąży; kiedy niczym sztyletem cisnęła torebką w podłogę, a kopniakami pozrzuciła buty, celując w Quoyłe’a, i oświadczyła, że usunie ciążę – Quoyłe pokochał najpierw Bunny, a potem Sunshine. Pokochał je przepełniony obawą, że i tak żyją już na tym świecie na kredyt i kiedyś może im się przytrafić coś strasznego. Nigdy przedtem nie przypuszczał, że przyczyną nieszczęścia mogłaby być Petal. Wydawało mu się, że ona dała mu już wszystko, co miała najgorszego.



Ciotka ubrana w spodnie i zakiet w biało-czarną kratę siedziała na sofie i wysłuchiwała szlochów Quoyłe’a. Zaparzyła herbatę w nigdy nie używanym czajniczku. Była kobietą o wyprostowanej figurze i rudych włosach przetykanych siwymi pasemkami. Z profilu przypominała cel na strzelnicy. Na jej szyi widniała żółtawa narośl. Zamieszała herbatę w czajniczku, naląła do filiżanek, dodała mleka. Jej płaszcz przewieszony przez poręcz sofy przywodził na myśl kelnera podającego wino.

– Wypij. Herbata to dobry napój, postawi cię na nogi. Wierz mi. – Jej głos momentami przypominał świszający odgłos dochodzący z uchylonego okna pędzącego samochodu. Jej postać była jakby poskładana z różnych elementów niczym papierowy wykrój.

– Tak naprawdę to prawie jej nie znałem – stwierdził. – Wiedziałem tylko, że powodują ją jakieś okropne moce. Musiała żyć po swojemu. Wciąż to powtarzała.

Pogrążony w nieładzie pokój pełen był lśniących powierzchni, które go oskarżały: czajniczki, zdjęcia, jego obrączka, okładki czasopism, łyżka, ekran telewizora.

– Napij się herbaty.

– Niektórzy myślą pewnie, że była zła, ale ja uważam, że ona tylko tęskniła do miłości. Myślę, że potrzebowała więcej miłości. I dlatego była taka, jaka była. Gdzieś w głębi duszy nie lubiła samej siebie. Wszystko, co robiła... dodawało jej pewności na jakiś czas. A ja jej nie wystarczałem.

Ciotka zastanawiała się, czy Quoyłe naprawdę wierzy w tę swoją paplaninę. Domyśliła się, że to on wymyślił tę spragnioną miłości Petal. Wystarczyło jedno spojrzenie na fotografię, na lodowate oczy tej kobiety, na jej sztywną, wyzywającą pozę czy wreszcie na

różę, którą Quoyłe umieścił w stojącym przed zdjęciem wazonie, i wiedziała, że patrzy na sukę na wysokich obcasach.



Quoyłe wstrzymał oddech, przyciskając słuchawkę do ucha; świadomość straty zalewała go jak woda wdzierająca się do wnętrza pękniętego kadłuba. Powiedzieli mu, że samochód zjechał z autostrady, stoczył się z porośniętego dzikimi kwiatami nasypu i w końcu się zapalił. Dym spowijał piersi agenta nieruchomości. Włosy Petal były nadpalone, a jej kark złamany.

Na autostradę wysypały się gazetowe wycinki: artykuły o ogromnym jaju z Teksasu, o grzybie podobnym do Jaschy Heifetza, o rzepie wielkiej jak dynia i dyni małej jak rzodkiew.

Podczas przeszukiwania nadpalonych czasopism astrologicznych i przeglądania ubrań policja znalazła torebkę Petal wypchaną ponad ośmioma tysiącami dolarów w gotówce. W jej kalendarzyku znajdowała się adnotacja o spotkaniu z Bruce'em Cuddem, wyznaczonym na dzień przed wypadkiem. Miała się z nim spotkać w Bacon Falls w Connecticut. Znaleziono też pokwitowanie na siedem tysięcy dolarów wypłaconych za „prywatne usługi”. Zdaniem policji mogło to oznaczać, że sprzedała dzieci Bruce'owi Cuddowi.

Quoyłe, siedząc w swoim pokoju i bełkocząc przez czerwone palce, powiedział, że przebaczy wszystko Petal, jeśli tylko dzieciom nic się nie stanie.

Ciotka zaś wpadła w nastrój zadumy, zastanawiając się, dlaczego w niedoli skorzy jesteśmy do płaczu. Psy, jelenie, ptaki cierpią w ciszy, nie roniąc łez. Cierpienie zwierząt jest nieme. Ten płacz to pewnie taki sposób na przetrwanie.

– Masz dobre serce – powiedziała. – Inny przekląłby jej okaleczone ciało za to, że sprzedała dziewczynki. – Jej wzrok spoczął na niemal skwaśniałym mleku i brązowych grudkach w cukiernicze, pozostałościach po mokrej od kawy łyżeczce.

– Nigdy nie uwierzę, że je sprzedała. Nigdy! – zawołał Quoyłe przez łyżę. Potrącił udem stół, skrzypnęła sofa.

– Może nie sprzedała. Kto wie? – uspokajała go ciotka. Tak, masz dobre serce. Tak jak Sian Quoyłe, twój biedny dziadek. Nigdy nie miałam okazji go poznać. Umarł, zanim się urodziłam. Ale wiele razy widziałam jego zdjęcie, na szyi nosił ząb zmarłego człowieka. Żeby odegnąć bóle zębów. Wierzono w takie rzeczy. Mówili, że miał dobre serce, śmiał się i śpiewał. I zawsze dawał się na coś nabierać.

– Musiał być dość naiwny – zauważył Quoyłe znad filiżanki.

– No cóż, nawet jeśli był, to ja słyszę o tym po raz pierwszy. Mówią, że kiedy wpadł pod lód, zawołał: „Do zobaczenia w niebie!”

– Słyszałem tę historię – powiedział Quoyłe. Czuł, że puchnie mu nos, a do ust napływa słonawa ślina. – Był jeszcze dzieciakiem.

– Miał dwanaście lat i już wtedy polował na fok. Nikt nie złapał tyle młodych co on, zanim po jednym ze swoich ataków dostał się pod lód. To było w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku.

– Ojciec czasem o nim opowiadał. Ale on nie mógł mieć wówczas dwunastu lat; nigdy nie słyszałem, żeby miał dwanaście lat. Nie mógłby być moim dziadkiem, gdyby utopił się w tym wieku.

– Ach, nie znasz Nowofundlandczyków. Mimo że miał dwanaście lat, był ojcem twojego ojca. Ale nie moim. Moją matką, a twoją babką, była siostra Siana, Addy. Po tym, jak młody Sian się utopił, spiknęła się z Turveyem, drugim bratem. A kiedy i on się utopił, wyszła za Cokeya Hamma, który był moim ojcem. Mieszkali w domu na Quoyłe's Point, gdzie się

urodziłam, a później przeprowadzili się do Catspaw. Kiedy wyjechaliśmy w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku, po tym, jak zabito mojego ojca...

– Utopił się – powiedział Quoyale. Słuchał wbrew samemu sobie. Wytarł nos w papierową serwetkę. Złożył ją i umieścił na brzegu spodka.

– Nie. Później pojechaliśmy do śmierdzącego Catspaw Harbor, gdzie motłoch potraktował nas jak śmieci. Była tam okropna dziewczyna z czerwonym liszajem na jednej brwi. Rzucali w nas kamieniami. A potem przyjechaliśmy do Stanów. – Zaśpiewała: „Oj, Terra Nova zatęskniła, za duszami, które utraciła...” – Tylko tyle pamiętam z tej piosenki.

Quoyale z niechęcią myślał o skłonnym do ataków i kazirodztwa, zabijającym foki chłopcu, który miał być jego dziadkiem. Ale nie miał wyboru. Tajemnice nieznanej rodziny.



Kiedy policja wtargnęła do mieszkania, fotograf w poplamionych szortach krzychał coś do telefonu. Rozebrane do naga córki Quoyale’a ślizgały się po kuchennej podłodze, na którą wcześniej rozlały płyn do mycia naczyń.

– Nie ma wyraźnych oznak, że były molestowane seksualnie, panie Quoyale – powiedział głos w słuchawce. Quoyale nie potrafiłby określić, czy rozmawia z kobietą, czy z mężczyzną. Miał kamerę wideo. Wszędzie dokoła leżały sterty pustych kaset, ale kamera widocznie zacięła się albo coś w tym rodzaju. Kiedy przybyła policja, facet wymyślał przez telefon sprzedawcy ze sklepu, w którym kupił kamerę. Pediatra przebadał dzieci i orzekł, że nie znajduje podstaw, by twierdzić, iż tamten skrzywdził je fizycznie. Nic poza obnażeniem i obcięciem paznokci u rąk i nóg. Ale wszystko wskazywało na to, że miał jednak jakieś niecne zamiary.

Quoyale nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Dzieci pozostają pod opieką pani Bailey w biurze opieki społecznej – mówił obleśny głos. – Czy pan wie, gdzie to jest?

Natychmiast tam pojechał. Sunshine, wysmarowana czekoladą, manipulowała dźwignią, która uruchamiała plastikową przekładnię. Bunny spada na krzesło; gadki jej oczu poruszały się pod podsinionymi powiekami. Zaniósł obydwie córki do samochodu, ściskając je w gorących ramionach i powtarzając szeptem, jak bardzo je kocha.



– Dziewczynki bardzo mi przypominają Feeny i Fanny, moje młodsze siostry – stwierdziła ciotka, podnosząc i opuszczając głowę. – Tak, są niezwykle podobne. Feeny mieszka w Nowej Zelandii, jest biologiem morskim, wie wszystko o rekinach. Tej wiosny złamała biodro. Fanny przebywa w Arabii Saudyjskiej. Wyszła za sokolnika i teraz musi nosić na twarzy tę czarną rzecz. No, chodźcie tutaj dziewczynki i uściskajcie ciotkę – powiedziała.

Dziewczynki jednak pobiegły wprost do Quoyale’a i uczepliły się go jak ktoś spadający z okna, kto chwyta się parapetu; jak strumień cząstek elektrycznych, który łukiem wypełnia przerwę i zamyka obwód. Czuć było od nich płynem do mycia naczyń, nasyconym mocno zapachem nagietka i mięty. Ciotka przyglądała im się trudnym do odgadnięcia spojrzeniem. Może wyrażało tęsknotę.

Quoyale, pomimo całej udręki, dostrzegł w niej stanowczą starszą panią. Jego jedyna krewna.

– Zostań u nas – powiedział. – Nie wiem, co robić. – Spodziewał się, że pokręci odmownie głową, powie, że musi wracać lub może zostać jedynie przez kilka minut.

Skinęła głową.

– Tylko na kilka dni. Trzeba wszystko uporządkować. Potarła dłonie, jakby kelner postawił przed nią ulubioną potrawę. – Możesz spojrzeć na to w ten sposób – powiedziała. Masz okazję zacząć wszystko od nowa. Nowe miejsce, nowi ludzie, nowe widoki. Czyste konto. Zaczynając od początku, możesz być, kim zechcesz. W pewnym sensie dotyczy to również mnie. – Zamyśliła się nad czymś. – Czy chcesz kogoś poznać? – zapytała. – Warren czeka w samochodzie, śni o dawnej sławie.

Quoye wyobraził sobie trzęsącego się męża, lecz Warren okazała się suką o czarnych rzęsach i zrezygnowanym pysku. Zawarczała, kiedy ciotka otworzyła tylne drzwi.

– Nie bój się – powiedziała ciotka. – Warren nigdy już nikogo nie ugryzie. Dwa lata temu wyrwali jej wszystkie zęby.

## Rozbitek

Rozbitkiem staje się ten, kto musi opuścić statek z powodu jakiejś katastrofy.

*Słownik morski*

Twarz Quoyle'a przybrała kolor marnej perły. Wepchnięty w siedzenie na promie zmierzającym do Nowej Fundlandii, tkwił tam ze skafandrem wciśniętym pod policzek; tkanina była mokra w miejscu, w którym zacisnął na niej zęby.

Zapach morza, farby i parzonej kawy. Żadnych szans na ucieczkę przed trzaskami dochodzącymi z głośników, przed odgłosami strzałów z sali kinowej. Pasażerowie śpiewają: *Jeszcze jeden dolar dla mnie*, kołysząc się nad whisky.

Bunny i Sunshine stały na siedzeniu naprzeciw Quoyle'a, zaglądając przez okno do pokoju gier. Szkarłatne ściany, sufit odbijający głowy i ramiona, które przypominały odcięte w połowie ciała cherubinków ze starej walentynki. Dzieci wycężyły uszy, by usłyszeć szmer muzyki.

Tuż obok Quoyle'a ciotka zajęta była swą robótką. Druty kłuły go w udo, ale on na to nie zwracał uwagi. Było mu bardzo niedobrze. A przecież prom zmierzał ku Nowej Fundlandii, gdzie miał zacząć wszystko od początku.



Ciotka dobrze mu poradziła. Co mu pozostało w Mockingburgu? Był bez pracy, bez żony, a rodzice zmarli. Miał jeszcze polisę Petal na wypadek nagłej śmierci i uszkodzenia ciała. Trzydzieści tysięcy dla współmałżonka i po dziesięć dla każdego z dzieci. Wcześniej nie myślał o ubezpieczeniu, za to ciotce od razu przyszło to do głowy. Dzieci już spały, a Quoyle i ciotka siedzieli przy kuchennym stole. Ciotka, ubrana w swoją obszerną purpurową suknię, sączyła odrobinę whisky z filiżanki do herbaty. Quoyle zadawał się filiżanką owałtyny.

– Niebieskie pigułki nasenne pomogą ci zasnąć – powiedziała ciotka.

Czuł się zawstydzony, ale połknął je. Paznokcie miał już pogryzione do żywego.

– To brzmi całkiem sensownie – powiedziała – żebyś zaczął nowe życie w nowym miejscu. Dla dobra dzieci, a także dla twojego dobra. Łatwiej ci będzie otrząsnąć się z tego, co się stało. Wiesz, potrzeba roku, całego kalendarza, żeby pozbierać się po stracie kogoś bliskiego. Akurat to powiedzenie się sprawdza. A poza tym będzie ci łatwiej, gdy się znajdziesz w innym miejscu. A czy może być miejsce bardziej odpowiednie od tego, z którego wywodzi się twoja rodzina? Możesz się rozejrzeć, popytać przyjaciół z branży dziennikarskiej, powęszyć trochę. Może znajdzie się tam jakaś praca. A dla dziewczynek taka wycieczka będzie dużą frajdą. Zobaczą inną część świata. Szczerze mówiąc – dodała, poklepując go po ramieniu zniszczoną, piegowatą dłońią – twoja obecność będzie mi pomocna. Jestem pewna, że stworzymy niezły zespół. – Ciotka oparła brodę na dłoni. – W



miarę jak mijają lata, stwierdzasz, że coraz bardziej ciągnie cię do miejsca, z którego pochodzisz. Kiedy byłam młoda, nigdy nie chciałam ponownie zobaczyć Nowej Fundlandii, ale od kilku lat tęsknota za nią nie daje mi spokoju. Pewnie to jakieś atawistyczne pragnienie odejścia tam, gdzie się wszystko zaczęło. Tak więc w pewnym sensie i ja zaczynam od początku. Mam zamiar przenieść tam mój mały interes. Nic cię nie będzie kosztowało rozglądnięcie się za pracą.

Pomyślał, żeby zadzwonić do Partridge'a i opowiedzieć mu wszystko. Znowu zalała go fala paraliżującego smutku. Nie; nie potrafi się na to zdobyć. Nie teraz.

Ocknął się o północy, nękany przez nocne koszmary. Oto Petal wsiada do ciężarówki z chlebem. Obok niej siedzi odrażający kierowca o łysej głowie, usmarkanym nosie i rękach pokrytych jakąś nieokreśloną substancją. Quoyle widzi samochód z obu stron. Widzi dłonie kierowcy wsuwające się pod spódnicę Petal, jego twarz, która nieuchronnie zbliża się do jej włosów koloru dębu. Tymczasem ciężarówka wciąż mknie drogami, przechylając się na mostach pozbawionych balustrad. Quoyle, gnany niepokojem, dziwnym sposobem unosi się obok pojazdu. Kiście reflektorów zbliżają się coraz bardziej. Próbuje dosięgnąć dłoni Petal, wyciągnąć ją z ciężarówki, gdyż wie, co się stanie (życząc tego nieszczęścia kierowcy, który zdołał przemienić się w jego ojca), jednak nie może jej sięgnąć. Próbuje ze wszystkich sił, lecz ogarnia go w końcu jakaś obezwładniająca niemoc. Reflektory zbliżają się. Krzyczy, by jej powiedzieć, że nadchodzi śmierć, lecz z jego gardła nie wydobywa się żaden dźwięk. Obudził się uczepiony kurczowo koca.

Resztę nocy przesiedział w salonie z książką na kolanach. Czytał, przesuując wzrokiem po kartkach, zupełnie nie rozumiejąc, co czyta. Ciotka miała rację. Trzeba się stąd wynieść.



Pół godziny zajęło mu znalezienie numeru Partridge'a.

– A niech mnie! Dopiero co myślałam o tobie – głos Partridge'a bardzo wyraźnie dobiegał ze słuchawki. – Zastanawiałem się, co, do cholery, słyhać u starego Quoyle'a! Kiedy masz zamiar nas odwiedzić? Wiesz, że rzuciłem dziennikarstwo? Tak, rzuciłem. – Powiedział, iż ciągle nie dawała mu spokoju myśl o tym, że Mercalia jeździ sama, dlatego zapisał się na kursy dla kierowców. – Teraz stanowimy jedną załogę. Dwa lata temu kupiliśmy dom. Chcemy też kupić ciężarówkę, będziemy jeździć na własną rękę. Te ciężarówki to niezły bajer: podwójne łóżko, mała kuchenka, klimatyzacja. Siedzimy sobie wysoko i z góry spoglądamy na tych, którzy jadą pod nami. Teraz zarabiam trzy razy tyle co przedtem. Za gazetą wcale nie tęsknię. A co u ciebie słyhać, ciągle pracujesz u Puncta?

Potrzebował najwyżej dziesięciu, może jedenastu minut, żeby o wszystkim opowiedzieć Partridge'owi, zaczynając od tego, jak znalazł się na drodze nie odwzajemnionej miłości, aż do obecnych koszmarów i przesiadywania z ciotką przy stole zaśłanym mapami.

– A niech to szlag, Quoyle. Nieźle ci się dostało. Piekielny bigos. Przynajmniej masz dzieciaki. Powiem ci coś. Nie siedzę już w branży gazetowej, ale mam jeszcze kontakty. Rozejrzę się. Powiedz mi jeszcze raz, jakie tam są najbliższe miasta? Było tylko jedno, o dziwnej nazwie Killick-Claw.



Partridge zadzwonił dwa dni później. Cieszył się, że jeszcze raz może pomóc Quoyle'owi. Quoyle przypominał mu ogromny bęben świeżo wyprodukowanego papieru gazetowego. Czysty i upstrzony tylko usterkami. Jednak poza tym niewyraźnym widokiem dostrzegł jakby nikłe światło odbite od widzianego z daleka kołpaka koła; iskrę, która była dowodem na to, że

w życiu Quoyle'a istnieje jeszcze szansa na coś wspaniałego. Może na szczęście? Powodzenie? Sławę albo bogactwo? Kto wie, pomyślał Partridge. On sam tak rozsmakował się w życiu, że i Quoyle'owi życzył kilku smakowitych kąsków.

– To zdumiewające, jak stare układy nie rdzewieją. Taa... Mają tam gazetę. Tygodnik. I szukają kogoś. Jak cię to interesuje, to dam ci jedno nazwisko. Chcą kogoś, kto zajmie się kroniką portową. To musi być gdzieś na wybrzeżu. Potrzebny im jest ktoś, kto ma morskie kontakty. Quoyle, masz takie kontakty?

– Mój dziadek polował na fokii.

– O Jezu! Ty to potrafisz zasunąć coś z zaskoczenia. W każdym razie gdybyś to wziął, musiałbyś się zajmować pozwoleniami na pracę, sprawami imigracyjnymi i wszystkim, co się z tym wiąże. Miałbyś do czynienia z takimi typami. Dobra. Redaktor naczelny nazywa się Tertius Card. Masz coś do pisania? Podam ci numer.

Quoyle zapisał.

– No to powodzenia. Daj znać, jak leci. Pamiętaj, zawsze możesz wpaść do nas, ucieszymy się z Mercalią. To jest świetne miejsce na robienie forsy.

On jednak myślał już o podróży na północ. Potrzebował czegoś, żeby się odbić.

Miesiąc później wsiedli do jego furgonetki i wyjechali. Po raz ostatni spojrzął w bocznym lusterku na wynajmowany dom, na pusty ganek, krzak forsycji i kołyszące się halki w cielistym kolorze, wiszące na sznurku sąsiadki.



Tak więc wyruszyli. Quoyle i ciotka z przodu, dzieci na tylnych siedzeniach, stara Warren zaś najpierw znalazła sobie miejsce wśród walizek, a potem wgramoliła się pomiędzy Bunny i Sunshine. Dziewczynki zrobiły jej czapkę z papierowych serwetek, zawiązały ciotki apaszkę wokół jej kudłatej szyi i – kiedy ciotka nie patrzyła – karmiły ją frytkami.

Tysiąc pięćset mil – przez Nowy Jork, Vermont, przez zniszczone lasy Maine. Przez Nowy Brunswik i Nową Szkocję, trzypasmowymi autostradami. Kłopoty z jazdą na środkowym pasie sprawiały, że ciotka musiała mocno zaciskać dłonie. W North Sydney zjedli na kolację ogromne porcje ociekającej tłuszczem ryby i nie spotkali nikogo, kto by się nimi przejmował. Potem był pochmurny poranek i prom do Port-aux-Basques. Nareszcie.



Quoyle cierpiał na swoim siedzeniu, a ciotka tymczasem przemierzała pokład, zatrzymując się co pewien czas i opierając o poręcz ponad wzburzoną wodą. Przystawała na szeroko rozstawionych nogach, splatając dłonie za plecami, z twarzą zwróconą pod wiatr. Jej kamienną twarz z parą małych, inteligentnych oczu okalała chustka.

Rozmawiała o pogodzie z mężczyzną w czapce wachtowego. Rozmawiali przez jakiś czas. Ktoś przeszedł obok, zataczając się, i zauważył, że dzień jest paskudny. Martwiła się o Warren, która została na dole w samochodzie, huśtana w górę i w dół. Nie wiedziała pewnie, co się dzieje, nigdy dotąd nie była na morzu. Pewnie jej się wydawało, że to koniec świata, a ona jest sama w obcym samochodzie. Wachtowy powiedział:

– Nie ma się co martwić, pies będzie spać przez całą drogę. Zawsze tak robią.

Ciotka spojrzała przed siebie i dostrzegła niebieskawy ład, zobaczyła wyspę po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat. Nie potrafiła powstrzymać łez.

– Wracamy do domu, co? – spytał marynarz. – Taa, człowiek się wzrusza.

To miejsce, pomyślała, ta skała, sześć tysięcy mil wybrzeża spowitego we mgle. Statki zatopione pod pomarszczoną powierzchnią wody, łodzie przemykające pomiędzy skutymi

lodem klifami. Tundra i nieużytki, ziemia skarłowaciałych świerków, które człowiek wyciął i wywiózł.

Ilu przybyło tutaj, opierając się o poręcz tak jak ona teraz. Wpatrzeni w skałę wyrastającą z morza. Wikingowie, Baskowie, Francuzi, Anglicy, Hiszpanie, Portugalczycy. Zwabieni dorszem, jeszcze w czasach, gdy masowe połowy przyciągały statki płynące na Wyspy Korzenne, spodziewali się znaleźć złote miasta. Obserwator śnił o pieczonej alce i naczyniach z plecionej trawy wypełnionych słodkimi jagodami, a zamiast tego ujrzał załamujące się fale, światełka mrugające wzdłuż relingów. Jedyne miasta to miasta z lodu, góry o wnętrzach z berylu, błękitne klejnoty wewnątrz białych, które – zdaniem wielu – pachniały migdałami. Jako dziecko czuła ten zapach.

Zwiadowcy powracali na pokład umazani krwią po ukąszeniach owadów. Mokra, wszędzie mokro, wyspa, mówili, to jedno bagno i moczary, rzeki i połączone ze sobą stawy pełne ptaków wydających metaliczne dźwięki. Statki płynęły wokół przylądków, ocierając się o skały. Obserwator dostrzegł ginące we mgle karibu.

Później niektórzy uznali wyspę za siedlisko złych duchów. Z wiosennym głodem pojawiły się przypominające szkielety postacie. Z niesłychaną desperacją trzymali się życia, pragnęli przetrwać najcięższe czasy. Morze niczym alchemik zamieniało rybaków w mokre kości, unosiło łodzie wśród ławic dorszy i wyrzucało je na brzeg. Pamiętała dawne opowieści: o ojcu, który zastrzelił siebie i najstarsze dzieci, żeby pozostali mogli wyżywić się okruchami, o łowcach fok dryfujących na krze, która coraz bardziej się zanurzała, dopóki jeden z nich nie skoczył do morza, o wyprawach po lekarstwa w czasie burzy, zawsze coś nie tak i za późno.

Nie widziała tych wód od czasów, kiedy była małą dziewczynką, lecz natychmiast powróciły wspomnienia: hipnotyczne wrzenie morza, zapach krwi, wiatru i soli, rybich głów, świerkowego dymu i potu, grzechotanie kamieni niesionych przez syczącą falę, nurzyki, smak rosołu, sypialnia tuż pod dachem.

Podobno ciężkie czasy już minęły. Dotkliwość fatum złagodziło ubezpieczenie od bezrobocia, zapłonęła pochodnia nadziei i wiary w pieniądze zarobione na ropie z przybrzeżnych pól naftowych. Teraz tylko postęp i posiadanie, wyścig. Tak mówili.

Miała piętnaście lat, kiedy wynieśli się z Quoyale's Point; siedemnaście, kiedy rodzina wyjechała do Stanów – kropla w ogromnej fali Nowofundlandczyków, którzy opuszczali porty, wysepki i ukryte zatoczki. Jak woda uciekali od swych źródeł przed samotnością, nieuctwem, spodniami uszitymi ze zużytej tapicerki; przed bezzębnymi ustami, wypaczonymi myślami, szorstkimi dłońmi i desperacją.

I wreszcie stanął jej przed oczami ojciec, Harold Hamm, zmarły na miesiąc przed ich wyjazdem, zabity, gdy w czasie przeładunku zawiodło zabezpieczenie. Wyładowywali beczkę z gwoździami. Strop, do którego była podwieszona, nie wytrzymał obciążenia i beczka spadła. Jej żelazna obręcz uderzyła go w kark, przemieściła kręgi i strzaskała kręgosłup. Sparaliżowany gasł powoli na terenie przystani. Nie mógł mówić; kto wie, jakie myśli rozbiły się o brzeg jego rozgorączkowanego mózgu, kiedy żona i dzieci schylały się nad nim, wołając: ojczu, ojczu! Nikt nie wymówił jego imienia, tylko to „ojczu” – jakby ojcostwo było czymś niezwykle doniosłym w jego życiu. Wszyscy płakali, nawet Guy, który dbał tylko o siebie.

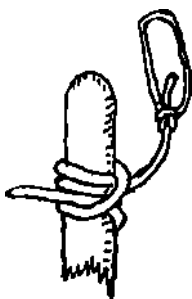
Jakie to dziwne, myślała, wracać tam z pogrążonym w smutku bratankiem i prochami Guya. Przejęła urnę od płaczącego Quoyale'a i zaniósła na górę do pokoju gościnnego. Leżała, nie mogąc zasnąć. I myślała, że mogłaby wsypać prochy Guya do plastikowej torby ze sklepu, związać sznureczkiem i wrzucić do klozetu.

Zastanawiała się, co zmieniło się bardziej: ona czy miejsce? Kiedyś to miejsce emanowało siłą. Zadrzała. Teraz będzie lepiej. Pochyliła się nad poręczą, patrząc w ciemne wody Atlantyku, który prychnął nonszalancko na mroki przeszłości.

## Chwył stoperowy

Węzeł zwany chwytem stoperowym pozwala umocować linkę na kiju od miotły, który nie ma wycięcia, pod warunkiem że jego powierzchnia nie jest zbyt gładka.

*Księga węzłów Ashleya*



Warren zaskomlała na podłodze za siedzeniem. Quoyłe jechał w górę zachodniego wybrzeża Great Northern Peninsula, posuwając się drogą mocno wyjeżdżoną przez ciężarówkę. Prowadziła między pluszczącymi falami Strait of Belle Isle a górami przypominającymi niebieskie melony. Przez wąski, ponury Labrador. Sznury ciężarówek, rycząc silnikami, podążały na wschód, ich kabiny z nierdzewnej stali lśniły paciorkami skroplonej mgły. Quoyłe miał wrażenie, że poznaje posępne niebo. Jakby kiedyś marzył o tym miejscu, a potem zapomniał o nim.

Samochód toczył się po spękanej ziemi. Mijali zarośla, popękane klify pokryte wulkaniczną glazurą, skalną półkę, na której nurzyk złożył jedno jajo. Porty wciąż jeszcze były skute lodem. Domy przypominające grobowce wyrastały wprost z granitowej skały, czarne wybrzeże lśniło jak ruda srebra.

– Nasz dom – powiedziała ciotka, krzyżując palce – znajduje się na Quoyłe’s Point. Cypel wciąż istnieje na mapie. Dom stoi opuszczony od czterdziestu czterech lat.

Śmiała się, mówiła, że to niemożliwe, by jeszcze tam był, lecz w głębi duszy wierzyła, że coś z niego zostało, że czas nie okpił jej, nakłaniając do powrotu. Mówiła nieco skrzeczącym głosem. Quoyłe, wsłuchany w jej słowa, jechał z otwartymi ustami, jakby smakował podbiegunowe powietrze.

Na horyzoncie lodowe góry podobne do białych budynków więzienia. Rozległa, błękitna tkanina morza zmarszczyła się i pofałdowała.

– Spójrz – powiedziała ciotka. – Rybackie skify. Jakie małe z tej odległości.

Fale rozbijające się o cypel. Eksplodująca woda.

– Pamiętam faceta, który mieszkał w zniszczonej łodzi powiedziała ciotka. – Stary Danny jakoś tam. Wyciągnęli łódź daleko na brzeg poza zasięg sztormowych fal i on ją sobie

naprawił. Miała mały komin, prowadziła do niej ścieżka obłożona kamieniami. Mieszkał w tej łodzi całymi latami, aż któregoś dnia, kiedy siedział na zewnątrz, naprawiając sieć, przegniły kadłub zawalił się i przygniótł go.

Autostrada skurczyła się do dwupasmowej drogi, a oni dalej jechali na wschód, przejeżdżali pod klifami, zostawiając za sobą świerkowy las oznaczony tabliczką „Zakaz wycinania”. Quoyłe spoglądał na mijane motele jak ktoś, kto szuka schronienia przed nocą.



Ciotka zakreśliła na mapie Quoyłe's Point. Cypel położony na zachodniej stronie Omaloor Bay wrzynał się w ocean jak zgięty kciuk. Kiedyś stał na nim dom. Teraz może zniszczony, ograbiony, spalony albo niesiony przez fale. Kiedyś. Widoczna na mapie zatoka przypominała jasnyniebieską flaszkę alchemika, do której wlano ocean. Statki wpływały do zatoki przez szyjkę tej flaszki. Na wschodnim wybrzeżu osada Flour Sack Cove, a trzy mile poniżej miasteczko Killick-Claw. Na samym dole znajdowały się zabudowania rozrzucone w mniejszych zatoczkach. Ciotka sięgnęła po broszurę do płaskiej, czarnej torebki. Przeczytała o urokach Killick-Claw, zaznajomiła się ze statystyką dotyczącą nabrzeża, przetwórnictwa ryb, portu przeładunkowego i restauracji. Ludność – dwa tysiące. Możliwości nieograniczone.

– Będziesz pracował w Flour Sack Cove, tak? To dokładnie naprzeciw Quoyłe's Point. Jakies dwie mile przez wodę. Za to kawał drogi łodem. Kiedyś rano i wieczorem pływał prom z Capsize Cove do Killick-Claw. Ale pewnie już go nie ma. Gdybyś miał łódź z silnikiem, mógłbyś sam pływać.

– Jak się dostaniemy do Quoyłe's Point? – spytał.

Wyjaśniła, że jest boczna droga odbijająca od głównej szosy, która na mapie zaznaczona jest kropkowaną linią. Nie podobały mu się drogi, które mijali, a szczególnie te, które na mapie zaznaczono kropkowanymi liniami. Żwir, błoto, wertepy prowadzące donikąd.

Nie zauważyli bocznej drogi, ale pojechali dalej, aż zobaczyli stację benzynową. Przeczytali tabliczkę: SKLEP IGA. Sklep w domu. Ciemny pokój. Drzwi za ladą prowadziły do kuchni, na kuchence stał czajnik plujący wrzątkiem. Bunny usłyszała śmiech dochodzący z telewizora.

Czekając, aż ktoś przyjdzie, Quoyłe przyjrzał się butom do chodzenia po śniegu. Obszedł pokój, oglądając proste półki i otwarte pudełka pełne noży do oprawiania zwierząt, igieł do naprawiania sieci, szpulek z żyłką, gumowych rękawic, peklowanego mięsa, stos kaset wideo z filmami przygodowymi. Bunny zajrzała przez szybkie drzwi do wnętrza zamrażarki, podziwiając chropowaty lód pokrywający kubki z lodami.

Wreszcie z kuchni wyłonił się mężczyzna z włosami podobnymi do kęp turzycy, wystającymi spod czapki ozdobionej nazwiskiem francuskiego producenta rowerów. Żuł jakąś chrząstkę. Jego spodnie prawie już nie przypominały wełnianej odzieży. Ciotka rozmawiała z nim, gdy tymczasem Quoyłe przymierzył czapkę z foczej skóry dla dzieci, pomógł im wybrać lalki zrobione z klamerek do bielizny. Uśmiechnięte twarze pomalowane tuszem.

– Gdzie jest droga do Capsize?

Twarcz pozbawiona uśmiechu. Przełknął ślinę, zanim odpowiedział.

– Kawalek z powrotem. Jakby siknąć z głównej drogi, po waszej prawej, kiedy będziecie wracać. Nie ma tam nic ciekawego. – Odwrócił głowę. Jego jabłko Adama przypominało włochaty wzgórek wystający z szyi niczym dziwny seksualny organ.

Quoyłe stał przy półkach z komiksami, wpatrzony w gangstera strzelającego z laserowego karabinu do związanej kobiety. Gangsterzy zawsze nosili zielone garnitury.

Zapłacił za lalki. Palce mężczyzny wypuściły w jego stronę zimne srebrne monety.



Trzy razy jeździli w górę i w dół, zanim znaleźli wystrzępioną nitkę drogi odchodzącą gdzieś do nieba.

– Ciociu, po tym się chyba nie da jechać. Nie sędzę, żeby ta droga dokądś prowadziła.

– Widać ślady opon ciężarówek – powiedziała, wskazując na wyciśnięte zygzaki.

Quoyłe skręcił w błotnistą drogę. W ubitym błocie ślady opon zniknęły. Pewnie zawrócili, pomyślał Quoyłe, pragnąc uczynić to samo i spróbować następnego dnia. Albo wpadli w bezdenną rozpadlinę.

– Kiedy dojedziemy? – spytała Bunny, kopiąc w tył siedzenia. – Mam już dość tej jazdy. Chcę już tam być. Chcę włożyć kostium kąpielowy i pobawić się na plaży.

– Ja też. – Obie zgodnym rytmem zaczęły napierać na siedzenie.

– Jest za zimno. O tej porze pływają tylko niedźwiedzie polarne. Ale będziecie mogli porzucać kamieniami do wody. Ciociu, jak daleko ciągnie się ta droga na mapie? – Dłonie obolałe od ciągłego zaciskania na kierownicy.

Posapując, przyglądała się mapie przez dłuższą chwilę.

– Od głównej drogi do Capsize Cove jest siedemnaście mil.

– Siedemnaście mil takich wertepów!

– A potem – ciągnęła, jakby go nie usłyszała – jeszcze jedenaście do Quoyłe's Point. Do domu. Cokolwiek z niego zostało. Teraz zaznaczyli tę drogę na mapie, ale kiedyś jej na niej nie umieszczali. To była tylko ścieżka. Widzisz, wtedy się nie jeździło, nikt nie miał samochodu osobowego ani ciężarówki. Wszyscy pływali łodziami. Ta betonowa główna szosa, po której jechaliśmy, jest nowa. – Na horyzoncie skalne inicjały wypisane niezgrabną ręką; nie zmienione, niezmiennie.

– Mam nadzieję, że kiedy już dotrzemy do Capsize Cove, to nie okaże się, że musimy iść pieszo jedenaście mil.

– Może tak być. Wtedy po prostu zawrócimy. – Jej twarz zamyślona, nieobecna. Wydawało się, że zatoka wynurza się z jej umysłu: błękitna halucynacja.

Quoyłe zmagał się z drogą. „Samochód rozpada się na opuszczonej ścieżce”. Zmierzch ogarniał ziemię, samochód piął się w górę. Jechali brzegiem klifu. Pod nimi Capsize Cove, pochylone, opuszczone domy w gasnącym świetle dnia. Główny trakt ginął przed nimi.

Quoyłe zatrzymaj się na skalnej półce. Zastanawiał się, czy ktoś kiedyś zjechał poza jej krawędź – metal obijający się o skały. Boczna ścieżka prowadząca w dół do opuszczonej zatoczki zasypana otoczakami. Bardziej przypominała wawóz niż drogę.

– Nie dojedziemy dzisiaj do cypla – powiedział. – Sędzę, że powinniśmy się zatrzymać, dopóki jeszcze widzimy drogę.

– Chyba nie chcesz wracać do głównej drogi, co?! – zawołała ciotka podnieconym głosem. – Tak blisko do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło.

– Tak – powiedziała Bunny. – Chcę pojechać do motelu z telewizorem, hamburgerami i chipsami, które można jeść w łóżku. I żeby były takie światła, które świecą coraz słabiej, kiedy się kręci pokrętle. I żeby można było włączać i wyłączać telewizor tym czymś bez wychodzenia z łóżka.

– Ja chcę dostać do łóżka kurczaka z rożna – odezwała się Sunshine.

– Nie – odparł Quoyłe. – Zostaniemy tutaj. Mamy w samochodzie namiot. Rozbiję go i prześpiemy się w nim. Tak zrobimy. – Spojrzał na ciotkę. Cała ta wyprawa to jej pomysł. Lecz ona pochylała się, szukając czegoś w torebce. Jej włosy były potargane. – Mamy dmuchane materace i śpiwory. Rozłożymy tylne siedzenia i położymy na nich materace, będą dwa wygodne łóżka. Ciocia zajmie jedno, a wy drugie. Ja nie potrzebuję materaca. Rozłożę sobie śpiwór na podłodze namiotu. Mówił tak, jakby zadawał pytania.

– Ale ja umieram z głodu – jęknęła Bunny. – Tato, nienawidzę cię! Jesteś głupi! – Pochyliła się i uderzyła Quoyla w tył głowy.

– Co to ma znaczyć! – krzyknęła ciotka. – Zajmij swoje miejsce, panienko, i żebym nigdy więcej nie słyszała, że tak odnosisz się do swojego ojca, albo złoję ci tyłek. – Ciotka najwyraźniej się wściekła.

Rozpacz wykrzywiła twarz Bunny.

– Petal mówi, że tato jest durniem. – Nienawidziła ich wszystkich.

– Każdy jest durniem w jakiejś sprawie – odezwał się nieśmiało Quoyl. Wsunął rękę między siedzenia, wyciągając do Bunny swoją czerwoną dłoń. Chciał ją pocieszyć. Pies polizał jego palce. Znowu to znane mu uczucie, że wszystko idzie nie tak, jak powinno.



– No cóż, nigdy więcej już tego nie zrobię – powiedziała ciotka, kręcąc głową i unosząc brodę. – Żadnego spania w samochodzie. Jakby mi przyspawali głowę. A Bunny ryczy przez sen jak niedźwiedź.

Chodzili wśród mokrych skał pogrążonych w ciszy. Na samochodzie lśniły kryształki soli. Quoyl spojrział na drogę, mrużąc oczy. Zakręcała, oddalając się od linii brzegu, i ginęła we mgle. Ta część, która pozostawała w zasięgu wzroku, wyglądała nieźle. Lepiej niż wczoraj.

Ciotka zabijała dłońią komary. Zawiązała chustkę pod brodą. Quoyl marzył o gorzkiej kawie albo o dobrej widoczności. Jednak to, o czym marzył, nigdy się nie spełniało. Zwinął wilgotny namiot.

Kiedy wrzucił do samochodu namiot i śpiwór, Bunny otworzyła oczy, lecz znowu zasnęła, gdy ruszyli w drogę. We śnie Bunny otworzyła oczy, widziała niebieskie paciorki, które wciąż spadały z nitki, chociaż trzymała mocno jej oba końce.

Wnętrze samochodu wypełniał zapach ludzkich włosów. We mgle ukazał się jeden, a za nim drugi łuk słabego pryzmatycznego światła.

– Biała tęcza – wyjaśniła ciotka.

Silnik samochodu pracował coraz głośniejsze. Nagle znowu znaleźli się na wysypanej żwirze drodze.

– Spójrzcie na to – powiedział Quoyl. – To mi się podoba. Droga skręcała. Przejechali przez betonowy most wzniesiony nad strumieniem koloru piwa.

– Na litość boską – powiedziała ciotka. – Wspaniała droga. Tylko dokąd prowadzi?

– Nie wiem – odpowiedział Quoyl, przyspieszając.

– Musi dokądś prowadzić. Może ludzie przyptywają promem z Killick-Claw do Capsize Cove, a potem jadą nią do Quoyl's Point. Bóg wie po co. Może jest tam jakiś miejscowy park. Albo duży hotel – powiedziała ciotka. – Ale jak, do licha, udało im się doprowadzić ją z Capsize Cove? Droga wygląda na zniszczoną. A Capsize Cove jest opuszczone.

Na środku drogi wyrastało pasmo turzycy, wypełniona wodą dziura znajdowała się w miejscu, gdzie zapadł się przepust, a na zamulonych skalnych występkach widniały ślady kopyt wielkości garnków.

– Dawno już nikt nie jechał tą tajemniczą drogą.

Quoyl gwałtownie wcisnął pedał hamulca. Warren zaskomlała, rzucona na tył siedzenia. W poprzek drogi stał potężny łoś; ktoś zakłócił ciszę jego królestwa.

Kilka minut po ósmej pokonali ostatni zakręt. Droga doprowadziła ich do asfaltowego parkingu przy betonowym budynku. Ze wszystkich stron napierała dzika roślinność.

Quoyl i ciotka wysiedli z samochodu. Ciszę przerywało tylko zawodzenie morza i świst wiatru piłującego róg budynku. Ciotka wskazała na popękane ściany, na umieszczone wysoko okna. Spróbowali otworzyć metalowe drzwi. Były zamknięte.

– Nie mam pojęcia, co to może być – odezwała się ciotka. Albo co to było.

– Dziwne – powiedział Quoyale – ale to już koniec. Wiatr znowu się wzmacnia.

– Och, bez wątpienia ten budynek ma jakiś związek z drogą stwierdziła ciotka. – Może uda nam się znaleźć coś, w czym moglibyśmy ugotować wodę. Mam w torebce herbatę ekspresową. Możemy tutaj odpocząć i pomyśleć. Możemy pić z puszek po napojach. Nie chce mi się wierzyć, że zapomniałam kawy.

– Jest jeszcze turystyczna patelnia – przypomniał Quoyale. – Nigdy jej nie używałem. Przez cały czas była w moim śpiworze. Spałem na niej wczoraj.

– Spróbujmy – powiedziała ciotka, zabierając się do zbierania porośniętych mchem świerkowych gałęzi połamanych przez wiatr. Nazywała je zrzutkami, a mech brodą starca. Przypominała sobie nazwy różnych rzeczy. Gałęzie złożyła na stos pod ścianą budynku.

Quoyale wyjął z samochodu kanister z wodą. Po kwadransie pili z puszek po wodzie sodowej gorącą herbatę, która pachniała dymem i miała posmak oranżady. Ciotka trzymała puszkę przez mankiet swetra, by nie poparzyć się rozgrzanym metalem. Mgła osiadała na ich twarzach. Mankiety spodni ciotki powiewały na wietrze. Brunatny blask rozproszył postrzępioną mgłę, ukazując zatokę.

– Och! – zawołała ciotka i wskazała na wirującą mgłę. Widziałam dom. Stare okna. Podwójny komin. Tak jak dawniej. Tam! Mówię ci, widziałam!

Quoyale wyteżył wzrok. Wirująca mgła.

– Tam. Zatoczka i dom. – Ciotka odeszła kilka kroków.

Bunny, zawinięta w śpiwór, wyszła z samochodu i poczłapała przez asfaltowy parking.

– Czy to ten dom? – spytała ze wzrokiem utkwionym w betonową ścianę. – Jest okropny. Nie ma okien. Gdzie będzie mój pokój? Czy ja też mogę dostać wody sodowej? Tato, dym wylatuje z twojej puszkę i z twoich ust. Jak ty to robisz?



Pół godziny później wyruszyli w kierunku domu; Sunshine na ramionach ciotki, Bunny na plecach Quoyale'a, na końcu kuśtykający pies. Wiatr wiał teraz tuż nad ziemią, unosząc mgłę. Co jakiś czas ukazywała się pomarszczona zatoka. Ciotka wskazywała, wyciągając ramię. Ujrzeni mały trawler znajdujący się w połowie drogi do cieśniny; ślad, jaki pozostawiał, przypominał odsłonięty rąbek halki.

Bunny siedziała na plecach Quoyale'a, dłonie zaciskała pod jego brodą, kiedy pokonywał zarośla. Dom był zielony jak trawa, pochylał się we mgle. Bunny cierpliwie zносиła dłonie ojca na swoich kolanach, zapach włosów, narzekania, że waży tonę, że za chwilę go udusi. Dom kołysał się w rytm jego kroków, kiedy szedł przez falujący ocean karłowatej brzozy. Od tej zieleni robiło jej się niedobrze.

– Teraz już dobrze – powiedział, rozwierając jej palce. Minęło sześć lat od urodzenia Bunny, a z każdym dniem jej odpływająca łódź oddalała się od brzegu, którym był ojciec. – Już prawie doszliśmy, jesteśmy prawie na miejscu – wyrzucił z siebie Quoyale zdyszany jak umęczony koń.

Postawił ją na ziemi. Razem z Sunshine biegały tam i z powrotem. Ich głosy powracały odbite przez ściany domu, głucho, obce.

Posępny budynek stał na skale. Charakterystyczną cechą były dwa małe okna umieszczone po obu stronach większego, jakby dorosła osoba opiekuńczym gestem otaczała ramionami dzieci. Nadświetle nad drzwiami. Quoyale zauważył, że brakuje połowy szyb. Farba łuszczyła się na drewnianych ścianach. Dziury w dachu.

– To cud, że jeszcze stoi. Dach wciąż jest prosty – stwierdziła ciotka. Drżała.

– Zobaczmy w środku – powiedział Quoyale. – Pewnie podłoga zapadła się do piwnicy.



Ciotka roześmiała się.

– Nie sądzę! – zawołała wesoło. – Tutaj nie ma żadnej piwnicy.

Dom był przywiązany szalowymi linami do żelaznych pierścieni umocowanych w skale. Smugi rdzy, wycięcia w skale niczym stopnie, wystarczająco głębokie, by mogło się w nich schować dziecko. Liny najeżone pozrywanymi drutami.

– Wierzchołek skały nie jest zbyt równy – powiedziała ciotka; jej słowa płynęły jak wstążki zawieszona na maszcie. Mówili, że jeszcze zanim się urodziłam, dom w czasie sztormów kołysał się jak ogromny fotel na biegunach. Kobietom robiło się od tego niedobrze, bały się, dlatego przywiązali dom linami i odtąd stoi mocno, za to teraz trudno zapamiętać to wycie wiatru na linach. Och, pamiętam te zimowe sztormy. Potworne wycie. Wirujące wiatry otaczały dom ze wszystkich stron. To był jeden z powodów, dla których chętnie przeniosłam się do Capsize Cove. W Capsize mieli sklep, coś wspaniałego. Ale potem przenieśliśmy się dalej, do Catspaw, a rok później już byliśmy w Stanach. – Upominała się w myślach, żeby zachować spokój.

Ogromne zardzewiałe gwoździe; okna na parterze zabite deskami. Quoyłe wsunął dłoń pod deski i pociągnął. Jakby ciągnął za krawędź świata.

– W samochodzie jest młotek – powiedział. – Pod siedzeniem. Może jest też łyżka. Przyniosę je. Wezmę też jedzenie. Możemy urządzić sobie śniadanie.

Ciotkę ogarnęły wspomnienia.

– Urodziłam się tutaj – powiedziała. – W tym domu. – Inne obrzędy także się tutaj odbywały.

– Ja też – powiedziała Sunshine, dmuchając na komara, który usiadł na jej dłoni.

Bunny klepnęła ją. Mocniej, niż to było konieczne.

– Nie. Ty urodziłaś się w Mockingburgu w stanie Nowy Jork. Tam widać dym – powiedziała, wpatrzona w przeciwległy brzeg zatoki. – Coś się pali.

– To dymy z domów w Killick-Claw. Przyrządzają śniadania. Owsiankę i placuszki. Widzicie łódź rybacką na środku zatoki? Widzicie, jak płynie?

– Chcę zobaczyć – powiedziała Sunshine. – Nie widzę. Nie widzę.

– Przestań wyć albo przetrzepię ci tyłek – powiedziała ciotka z twarzą czerwoną od wiatru.

Quoyłe przypomniał sobie, jak sam krzyczał „Nie rozumiem!” do nauczyciela matematyki, który kończył lekcję, nie dając odpowiedzi. Płachta mgły rozstała się i światło rozbiło się na powierzchni morza niczym niebieski neon.



Drewno, zahartowane przez czas i pogodę, zacisnęło się mocno na gwoździach. Wyciągane zawodziły głośno. Quoyłe wyrwał zamek, lecz mimo to nie mógł otworzyć drzwi, dopóki nie wsadził w szczelinę łyżki do kół i nie wyważył ich siłą.

Panującą wewnątrz ciemność rozjaśniał tylko prostokąt oślepiającego światła, które wpadało przez otwarte drzwi. Rozległo się echo desek upadających na skałę. Smugi światła przecięły szybę i osiadły na zakurzonej podłodze podobne do pasków żółtego płótna. Dziewczynki wbiegły do środka i zaraz wybiegły z powrotem, bojąc się pozostać w ponurym wnętrzu. Krzyczały przeraźliwie, kiedy Quoyłe odginał deski na zewnątrz, jęcząc i śmiejąc się złowrogo.

– HUU, huu, huu.

Potem weszli do środka. Ciotka wspięła się po kręconych schodach, a Quoyłe badał podłogę, powtarzając wciąż, żeby uważały. Kurz wzbili się w powietrze i wszyscy zaczęli kichać. Zimno, pleśń; przechylone drzwi na obluzowanych zawiasach. Krawędzie schodów

lekkie wkleśnięte, wytarte niezliczonym wchodzeniem i schodzeniem. Tapety odkleily się od ścian. Na strychu pierzyna, z mapami plam na poszwie, gubiła pióra. Dzieci biegały tu i tam. Te pokoje, nawet kiedy były nowe, musiały wyglądać ubogo i beznadziejnie.

– Jeszcze jeden dolar dla mnie! – wrzasnęła Bunny, obracając się na pięcie na pokrytej brudem podłodze. Przez okno widać było chłodną równinę morza.

Quoyle wyszedł na zewnątrz. Zapach wiatru wydał mu się równie słodki jak łyk wiosennej wody w spragnionych ustach. W domu ciotka prawie zaszlochała, zanosząc się kaszlem.

– Jest stół, cholerny stół, stare krzesła, jest też piec, o Boże, miotła wisi na ścianie tak jak zawsze! – krzyknęła i chwyciła drewnianą rączkę. Przegniły węzeł puścił, słoma wypadła spod trzymającego ją drutu i w dłoni ciotki pozostał tylko kij. Spojrzała na przerdzewiałą rurę pieca, na zniszczone nogi stołu i krzesła. – Potrzebuje solidnego odgrzybienia. Matka zawsze tak mówiła.

Krażyła po pokojach, brała do ręki zdjęcia, których potłuczone szklane oprawy leżały na podłodze. Zatrzymała się nad pamiątkową fotografią zmarłej kobiety, oczy przymknięte, nadgarstki owinięte białym płótnem. Ciało ułożono na kuchennym stole, trumna stała obok, oparta o ścianę.

– Ciotka Eltie. Umarła na gruźlicę. – Podniosła inne zdjęcie grubej kobiety usiłującej chwycić kurę. – Ciotka Pinkie. Była tak gruba, że nie mogła usiąść normalnie na nocniku i musiała stawiać go na łóżku, żeby się wysikać.

Kwadratowe pokoje, wysokie sufity. Światło jak woda przeciekało do środka przez setki dziur w dachu. Sypialnia. Pęknięcia na jej suficie znała lepiej niż jakiegokolwiek zdarzenie ze swojego życia. Nie mogła znieść tego widoku. Znalazłszy się znowu na dole, dotknęła umazanego farbą krzesła, dostrzegła zupełnie wytarte ozdobne gałki na jego przednich nogach. Deski podłogi, cienkie jak skóra, ugiwały się pod jej stopami. Za odbój drzwi służył kamień wygładzony przez morze. I jeszcze trzy kamienie zawieszono na drucie na szczęście, żeby odegnać niebezpieczeństwo.



Godzinę później, na zewnątrz, Quoyle rozpalil ognisko, ciotka wyjęła z torby jajka, pognieciony chleb, masło i dżem. Sunshine, przytulona do ciotki, odbierała od niej produkty. Dziewczynka rozpakowała masło, ciotka rozsmarowała je kawałkiem drewna, którego używała zamiast noża, pomieszała jajka drzące na patelni. Piętka chleba dla starej suki. Bunny rzuciła z brzegu kamienie. Wszystkie uderzały w wodę i znikaly w spienionej gardzieli.

Usiedli przy ognisku. Przesycone dymem mocne piwo jak dar ofiarny na kamiennym ołtarzu, pomyślała ciotka wpatrzona w iskry wzlatujące ku niebu. Bunny i Sunshine przytuliły się do Quoyle'a. Bunny pogryzała zwiniętą kromkę chleba – dżem przypominał oko tostera – i obserwowała wirujący dym.

– Tato. Dlaczego dym się kręci?

Quoyle odrywał kawałki chleba, kładł na nie odrobinę jajka i mówił: „Oto mały, żółty kurczaczek wchodzi do nory wilkołaka”, po czym wkładał kawałki chleba do ust Sunshine. Później dziewczynki znowu wstały i zaczęły biegać wokół domu, przeskakując nad zardzewiałymi linami, którymi przywiązano dom do skały.

– Tato, czy Petal nie będzie już z nami mieszkać? – spytała zdyszana Bunny, uderzając kamieniem o kamień.

Zaskoczyła Quoyle'a. Wcześniej wyjaśnił dzieciom, że Petal odeszła, że zasnęła i nigdy się nie obudzi. Mówił to, z trudem powstrzymując smutek, czytając na głos fragmenty

broszury, którą otrzymał z zakładu pogrzebowego: *Jak przedstawić dziecku fakt odejścia ukochanej osoby.*

– Nie, Bunny. Ona śpi. Jest w niebie. Pamiętasz, mówiłem ci o tym. – Chronił je przed pogrzebem. Nigdy nie wypowiedział w ich obecności słów „nie żyje”.

– I nie może znowu wstać?

– Nie. Zasnęła na zawsze i nigdy nie wstanie.

– Ty płakałeś, tato. Oparłeś głowę o lodówkę i płakałeś.

– Tak – powiedział Quoye.

– Aleja nie płakałam. Myślałam, że ona wróci. I pozwoli mi nosić swoje niebieskie korale.

– Nie. Ona nie może wrócić. – Quoye pozbył się już niebieskich koralików, całych stosów koralików i naszyjników, pstrokatych ubrań, welwetowej czapki obszytej górskimi kryształami, żółtych rajstop, sztucznego lisiego futra, a nawet do połowy opróżnionej butelki Tresor; wszystko to oddał na cele dobroczynne.

– Ja bym się obudziła, gdybym spała – powiedziała Bunny, znikając za rogiem domu.



Znalazła się sama na tyłach domu. Karłowate drzewa rosnące u samego podnóża skały. Zapach żywicy i soli. Za domem skalna półka. Potok spływający w rozpadlinę. Także ta strona domu, osłonięta przed słońcem, miała kolor zgniłej zieleni. Bunny spojrzała w górę i ściany wybrzuszyły się, jakby miały na nią opaść. Odwróciła się; zarośla poruszyły się jak nogi pod kocem. Ujrzała dziwnego psa: biały, zniekształcony, o skołtunionej sierści. Jego oczy lśniły jak mokre jagody. Stał, wpatrując się w nią. W otwartym, czarnym pysku widać było zęby, jakby jego wnętrzu porastały sztywne włosy. W następnej chwili zniknął jak dym.

Krzyknęła przeraźliwie. Stała w miejscu, ciągle krzycząc, a kiedy przybiegł Quoye, rzuciła się w jego ramiona, prosząc głośno, by ją uratował. Chociaż przez następne pół godziny przeszukiwał zarośla, młóćąc kijem, nie znaleźli żadnego psa. Ciotka wyjaśniła, że w dawnych czasach, kiedy listonosz jeździł zaprzęgiem i psy pomagały ściągać drewno na opał, wszyscy je trzymali. Może teraz włóczą się jeszcze jacyś dziczali potomkowie tamtych psów, dodała bez przekonania. Warren powąchała bez entuzjazmu trawę i nie chciała pójść śladem.

– Nie odchodźcie teraz same. Zostańcie z nami. – Ciotka zrobiła minę do Quoye’a, która miała oznaczać... Co? Że dziewczynka jest zbyt nerwowa.

Spojrzała w dół na zatokę, przesunęła wzrokiem wzdłuż brzegu, wzdłuż fiordów, urwistych klifów wznoszących się nad wzburzoną wodą. Podrywały się z nich wciąż te same ptaki, niczym rakiety sygnalizacyjne, swoim krzykiem przecinając powietrze. Horyzont pociemniał.

Stara siedziba Quoye’ów, częściowo zrujnowana, samotna, ściany i drzwi wygładzone twardym życiem zmarłych pokoleń. Ciotka poczuła ogarniające ją ciepło. Nic nie jest w stanie wygnać ich po raz drugi.

## Między statkami

*Hej, pospiesz się i żagle zwijaj,  
Zostaw ją, Johnny, zostaw ją!  
Cumę rzuć i do brzegu przybijaj,  
Chodź z nami, Johnny, zostaw ją!*

*Stara pieśń*

Ogień dogasał. Kolejne kawałki węgla jak w dominie przekazywały sobie resztki ciepła. Bunny leżała przytulona do Quoyle'a, przykryta połą jego kurtki. Sunshine przykucnęła po drugiej stronie ogniska i układała stos z kamyków. Quoyle słyszał, jak mruczała do siebie pod nosem: „Wstawaj, kochanie, chcesz naleśnika?” Nie udało jej się ułożyć więcej niż cztery kamyki jeden na drugim.

Ciotka liczyła na palcach punkty zdobyte przez Sunshine i nadpalonym patykiem rysowała kreski na kamieniu.

– Nie możemy zamieszkać w domu – powiedział Quoyle – chyba jeszcze długo nie.

– Ależ możemy – odparła ciotka z naciskiem – chociaż będzie ciężko.

– Ach, nawet gdyby dom był zupełnie nowy, nie mógłbym przecież jeździć codziennie tą drogą. Jej pierwszy odcinek był okropny – stwierdził Quoyle.

– Postaraj się o łódź. – Ciotka mówiła jak we śnie, jakby chodziło o szkuner i równikowe pasaty. – Mając łódź, nie będziesz potrzebował drogi.

– A co poczniemy w czasie sztormów? W zimie? – Jego własny głos zdawał mu się brzmieć idiotycznie. Nie chciał łodzi, unikał samej myśli o wodzie. Wstydził się przyznać, że nie potrafi pływać, nie potrafi się nauczyć.

– Rzadko zdarza się taki sztorm, żeby nie pozwolił Nowofundlandczykowi przepłynąć zatoki – odparła ciotka. – Zimą będziesz jeździł śniegołazem. – Patyk zazgrzytał na kamieniu.

– Mimo wszystko droga lądowa byłaby lepsza – stwierdził Quoyle, wyobrażając sobie gorącą kawę wypływającą do kubka z kurka.

– No cóż, przypuścmy, że nie będziemy mogli mieszkać w domu przez jakiś czas, dwa, może trzy miesiące – powiedziała ciotka. – Możemy wynająć dom w Killick-Claw, skąd będziesz miał bliżej do pracy, dopóki nie naprawimy domu. Jedźmy tam jeszcze dzisiaj, wynajmiemy pokoje w motelu i rozejrzemy się za jakimś domem do wynajęcia, potem najmiemy kilku cieśli do naprawy domu. Będzie ci też potrzebny ktoś do dzieci albo przedszkole. Ja muszę się zająć moją pracą. Znaleźć odpowiednie miejsce, urządzić je. Wiatr się wzmaca. – Snop iskier wzbił się ku niebu.

– Czym ty się właściwie zajmujesz, ciociu? Wstyd się przyznać, ale nic nie wiem na ten temat. To znaczy, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby cię o to zapytać. – Wyruszył w tę nieprawdopodobną podróż zupełnie w ciemno, wdychając opary smutku niczym kwaśny gaz. Miał nadzieję, że niebawem nawdycha się tlenu.

– W tych okolicznościach to zrozumiałe – powiedziała ciotka. – Tapicerstwo. – Pokazała mu poźółkę, stwardniałe palce. – Wcześniej wysłałam narzędzia i materiały. Powinny dotrzeć w przyszłym tygodniu. Myślę, że należy zaraz sporządzić listę robót, które trzeba tutaj wykonać. Musimy założyć nowy dach, zreperować komin. Masz jakiś papier? – Wiedziała, że ma całe pudło.

– W samochodzie. Przyniosę mój notes. Bunny, usiądź tutaj. Zagrzejesz mi miejsce.

– Sprawdź, czy na przednim siedzeniu nie ma jeszcze krakersów. Bunny ożywiłaby się, gdyby zjadła chociaż jednego. Dziewczynka spojrzała na nią ponuro. A to słodka buzia, pomyślała ciotka. Czowała, że od strony zatoki wieje coraz silniejszy wiatr. Na horyzoncie sunęły zwały chmur, a czarno-białe fale przypominały postrzępiony tweed.



– Zastanówmy się – powiedziała ciotka. Dorzuciła do ogniska świeżego drewna i teraz płomienie strzeliły w górę, wzniecone podmuchem wiatru. – Szyby, ocieplenie, trzeba zerwać obicie ścian, założyć nowe płyty, nowe drzwi, drzwi przeciwsztormowe, naprawić kominy, rurę pieca, poprowadzić od źródła nową instalację wodną. Czy dzieciaki pogodzą się z ubikacją na zewnątrz?

Quoyłe z niepokojem pomyślał o malutkich tyłeczkach dziewczynek opuszczających się nad huczące otwory dwukabinowej ubikacji. Myśl o jego własnym owłosionym siedzeniu na nich też go nie ucieszyła.

– Trzeba wymienić podłogi na górze, w kuchni może zostać bez zmian.

Na koniec Quoyłe dodał, że może taniej byłoby wybudować nowy dom w innym miejscu, na przykład na Riwierze. Może się okazać, że nie starczy im pieniędzy, nawet uwzględniając ubezpieczenie i oszczędności ciotki.

– Myślę, że damy sobie radę. Chociaż masz rację – powiedziała. – Będziemy chyba musieli oczyścić drogę prowadzącą z tego tajemniczego parkingu do domu. Może władze lokalne nam pomogą. Pewnie i tak skończy się na tym, że my zapłacimy. To może trochę kosztować. O wiele więcej niż Łódź. – Wstała, otuliła się szczelnie czarnym płaszczem i zapięła go pod szyją. – Robi się piekielnie zimno – stwierdziła. – Patrz. – Wyciągnęła przed siebie ramię. Drobiniki śniegu opadały na wełniany rękaw. – Lepiej się stąd wynośmy – oświadczyła. – Nie chciałabym, żeby burza śnieżna złapała nas w takim miejscu. Wiem, co mówię.

– W maju? – spytał Quoyłe. – Daj spokój, ciociu.

– Miesiąc nie ma znaczenia, chłopcze. Pogoda tutaj rządzi się innymi prawami.

Quoyłe spojrzał przed siebie. Zatoka stawała się coraz mniej widoczna, jakby patrzył na nią przez Gaze. Igiełki śniegu poczuł na twarzy.

– Nie do wiary – powiedział. Ale to było to, czego pragnął. Burza i niebezpieczeństwo. Trudne zadania. Wyczerpanie.

Kiedy jechali z powrotem, wiatr coraz mocniej napierał na samochód. Ciemność sączyła się z kłębowiska chmur, a śnieżne ziarenka uderzały w przednią szybę. Cienka warstwa śniegu zdążyła już pokryć główną drogę. Znowu zatrzymał się przy sklepie Iga.

– Skoczę po kawę – powiedział do ciotki. – Dla ciebie też?



– Taki duży budynek z parkingiem.

– Taa. To była fabryka rękawiczek. Zamknęli już dawno temu. – Mężczyzna przesunął w jego kierunku dwa papierowe kubki ze zwiniętymi uszkami.

Wiatr wył wściekle. Gorzka kawa zadrżała.

– Pogoda – powiedział mężczyzna do Quoyle’a, który, trzymając dwa kubki, próbował zachować równowagę w drzwiach.

Pochylił się, pchnięty podmuchem wiatru. Głuche grzmoty i błyskawice. Znak zawieszony nad dystrybutorem paliwa ręcznie malowane koło z cienkiej blachy – oderwał się i poszybował płasko nad sklepem. Mężczyzna wyszedł na zewnątrz; wiatr wyszarpnął mu drzwi z rąk i wyrwał je z zawiasów. Pchnął Quoyle’a na dystrybutor paliwa. Za szybą samochodu Quoyle dostrzegł zdumioną twarz ciotki. Podmuchy ze wschodu ciskały w nich drobnym śniegiem.

Quoyle otworzył ostrożnie drzwi. Kawę upuścił już wcześniej.

– Tylko popatrz! Tylko popatrz! – zawołał. – Nie da rady jechać dwadzieścia mil do Killick-Claw w taką pogodę.

– Czy po drodze mijaliśmy jakiś motel?

– Tak. Był wcześniej, w Bloody Banks. – Przesunął palcem po mapie; na jego dłoni lśnił topniejący śnieg. – Widzisz? Tutaj. Trzydzieści sześć mil za nami. – Samochód zatrząsał się.

– Pomóżmy facetowi założyć drzwi – zaproponowała ciotka. Spytamy go. Coś nam doradzi.

Quoyle wyjął spod siedzenia młotek i poszli zgięci. Przytrzymywali drzwi, kiedy mężczyzna mocował kołki.

Prawie na nich nie patrzył. Pewnie się zastanawia, czy mu nie zwieje dachu, pomyślał Quoyle. Ale odpowiadał na ich pytania. Tickle Motel. Sześć mil na wschód. Już trzeci raz w tym roku wyrwało mu drzwi. Ale po raz pierwszy znak. Od rana czuł, że będzie padać śnieg, ryknął do nich, kiedy wyjeżdżali na drogę. Pomachał im poprzez zacinający śnieg.

Śliska droga; oprócz znaku firmowego na przodzie maski nic nie było widać. Wszystko ginęło w wirujących drobinach śniegu. Wskazówka szybkościomierza nie przekraczała piętnastu mil, a mimo to samochodem wciąż zarzucało. Ciotka przechylała się raz w jedną, raz w drugą stronę, przyciskając dłoń z rozczapierzonymi palcami do deski rozdzielczej, jakby to pomagało jej utrzymać równowagę.

– Tato, czy my się bardzo boimy? – spytała Sunshine.

– Nie, kochanie. To tylko przygoda. – Nie chciał, żeby wyrosły na niezdary.

Ciotka prychnęła. Spojrzał we wsteczne lusterko. Napotkał spojrzenie żółtych oczu Warren. Quoyle puścił oko do suki. Żeby ją pocieszyć.



Neon TICKLE MOTEL, BAR & RESTAURANT zamrugał, kiedy Quoyle wjechał na parking, lawirując między furgonetkami, samochodami osobowymi, ogromnymi ciężarówkami, pick-upami z napędem na cztery koła, ciągnikami, pługami śnieżnymi i śniegołazami. Parking był niesamowicie zatłoczony.

– Został tylko pokój deluxe i apartament małżeński oświadczył recepcjonista, przecierając zaczerwienione oczy. – Burza zaskoczyła tu mnóstwo ludzi, a poza tym mamy dzisiaj turniej gry w strzałki. Brian Mulroney, premier, spał w tym pokoju w zeszłym roku, kiedy tędy przejeżdżał. Duży pokój, cztery łóżka, w tym dwa dziecięce. Jego goryle spali na dziecięcych. Sto dziesięć dolarów za noc.

Nie mieli wyboru. Recepcjonista wręczył Quoyle’owi ozdobny klucz z numerem 999. Obok kasy stał kosz pełen nakręcanych pingwinów i Quoyle kupił po jednym dla dziewczynek. Zanim opuścili hol, Bunny zdążyła złamać skrzydła swojego pingwina. Za sobą, na dywanie, zostawili mokrą ścieżkę.

Pokój numer 999 znajdował się dziesięć stóp od głównej szosy, miał duże okna, które wychodziły wprost na nią. Światła reflektorów wszystkich pojazdów wjeżdżających na parking osuwały się po ścianie ich pokoju niczym surowe jajko wbite do oleju.

Klamka od wewnątrz została Quoyłe'owi w dłoni, więc umieścił ją ostrożnie na swoim miejscu. Później pójdzie do recepcji po śrubokręt i przykręci ją. Rozejrzeli się po pokoju. Okrągła sofa służyła za jedno z łóżek. Dywan pokryty śladami zabłoconych stóp.

– Nie ma szafy na ubrania – powiedziała ciotka. – Pan Mulroney pewnie spał w garniturze.

Toaleta i prysznic wciśnięte do małej kabiny. Umywarka umieszczona tuż obok telewizora miała tylko jeden kurek.

W miejscu drugiego była dziura. Przewody telewizora zwieszały się aż do podłogi. Jego górna część wydawała się jakby stopiona, najwyraźniej rozpalono na nim ognisko.

– Nic nie szkodzi – ziewnęła ciotka – lepsze to niż spanie w samochodzie. – Rozejrzała się za kontaktem. Kiedy go przekręciła, pojawiło się purpurowe jarzenie.

Quoyłe poszedł pierwszy wziąć prysznic. Z rozbitego kafelka bluznęła woda o dziwnym kolorze, popłynęła pod drzwiami, a potem wsiąkła w dywan. Ubranie Quoyłe'a zsunęło się z kłapy sedesu i leżało w wodzie, gdyż wieszaki na drzwiach były poddrywane. Tuż obok sedesu na łańcuchu wisiała Biblia: jej luźne strony ledwo się trzymały. Dopiero wieczorem następnego dnia zorientował się, że przez cały dzień chodził z przyklejonym do pleców kawałkiem tekstu z Księgi Kapłańskiej.

W pokoju było bardzo gorąco.

– Spójrz na termostat – powiedziała ciotka. – Nie ma co się dziwić. – Był z jednej strony wgnieciony, jakby od uderzenia maczugą.

Quoyłe podniósł słuchawkę telefonu, ale nie było sygnału.

– Przynajmniej możemy zjeść kolację – powiedziała ciotka. – Mają tutaj jadalnię. Kiedy zjemy dobrą kolację i porządnie się wyśpimy, będziemy gotowi na wszystko.

Zatłoczoną jadalnię oświetlały czerwone żarówki, które sprawiały, że ludzie wyglądali, jakby piekli się żywcem na swoich krzesłach. Quoyłe skrzywił się, kiedy spróbował kawy, lecz inni popijali ją z uśmiechem. Na kolację czekali godzinę, trudno się więc dziwić, że Quoyłe w towarzystwie nieznośnych dzieci, z ziewającą starą ciotką i plamami z sosu tatarskiego na obu kolanach ledwie miał siłę, by się uśmiechnąć. Petal przewróciłaby stół kopniakiem i wyszła. Znowu z nim była. Petal. Niczym refren piosenki, wierszyk z dzieciństwa, który nieustannie chodzi po głowie. Nieustannie.

– Dzięki – mruknął Quoyłe do kelnerki, wycierając swój talerz bułeczką. Pod spodkiem zostawił dwa dolary napiwku.

Z sąsiednich pokoi dochodziło walenie i płacz dzieci. Obrazki z Jezusem zawieszane nad łózkami drżały, kiedy przejeżdżał śnieżny pług. Wiatr wył przeraźliwe w szczelinach okiennych ram. Kiedy Quoyłe zamykał za sobą drzwi, klamka znowu została mu w ręku, a po chwili usłyszał, jak zewnętrzna część spadła ze stukotem na podłogę.

– O rany, jak na wojnie – powiedziała Bunny, patrząc, jak drży cienka ściana. Ciotka pomyślała, że chyba ktoś kopie w nią obiema nogami. Odwinęła pościel i zobaczyła, że prześcieradła są pozszywane z różnych kawałków. Warren chleptała wodę w łazience.

– Tu jest tylko trochę lepiej niż w samochodzie – zauważyła ciotka. – Ale o wiele cieplej.

– Opowiedz nam jakąś historyjkę, tato – powiedziała Bunny. – Już sto lat niczego nam nie opowiadałeś.

Sunshine podbiegła do Quoyłe'a, chwyciła go za koszulę i usiadła mu na kolanach z palcem w buzi; przytulona do jego piersi, wsłuchiwała się w świszczący oddech, bicie serca, burczenie dochodzące z jego brzucha.

– Jeszcze nie, jeszcze nie – powiedział Quoyłe. – Najpierw myjemy zęby. Zęby i buzie.

– I mówimy pacierz – dodała ciotka.

- Ja nie znam pacierza – mruknęła Sunshine.
- No, już dobrze – powiedział Quoyale, sadowiac się na krzesle przy łózk. – Niech pomysle. To będzie opowieść o lesie i o młotkach.
- Nie, tato! Nie o młotkach i lesie! Opowiedz nam jakas ładna historie!
- O czym? – spytal Quoyale bezradnie, jakby zrodlo jego pomyslow wyschlo.
- O losiu – powiedziala Bunny. – O losiu i drogach. O dlugich drogach.
- I o psie. Takim jak Warren.
- O milym psie, tato. Moze byc szary.

Quoyale zaczal:

– Byl sobie los, bardzo biedny, chudy, samotny los, ktory mieszkal na skalistym wzgórzu, gdzie rosly tylko gorzkie trawy i krzaki o kolczastych galęziach. Pewnego dnia obok wzgórza przejechal czerwony samochod. Na tylnym siedzeniu siedzial cyganski pies ze zlonym kolczykiem w uchu.



Bunny obudzila sie w srodku nocy, przerazona koszmarnym snem. Pochlipywala na kolanach u Quoyale'a, ktory kolysal ja, powtarzajac:

- To tylko zly sen, tylko zly sen, tylko sen.
- Zlapala ja Stara Wiedzma – mruknela ciotka.

Lecz Quoyale nie przestawal sie kolysac, gdyz Stara Wiedzma wiedziala, ze i jego moze tu znalezc. Strzepy Petal przenikaly kazda godzine nocy.

Spod lozka Warren wydawala grzmiace odglosy. Duszacy smrod. „Pierdzacy pies zaczadzil czteroosobowa rodzinę”.



Rano zacinal snieg. Za sciana rozlegalo sie potezne chrapanie. Quoyale ubral sie i podszedl do drzwi. Nie mogl znalezc klamki. Szukal pod lozkiem, w lazience, w bagazach, a nawet w Biblii. Pomyslal, ze jedna z dziewczynek zabrala klamke do lozka, lecz kiedy wstaly, okazalo sie, ze nigdzie jej nie ma. Zaczal walić w drzwi, zeby zwrócic czyjas uwage, lecz w odpowiedzi uslyszal wołanie z sasiedniego pokoju: „Zamknij sie, kurwa, albo ci przyladuje!” Ciotka potrzasała z uporem sluchawka telefonu w nadziei, ze uslyszy sygnal. Nic z tego. Ksiazka telefoniczna dotyczyla Ontario i byla wydana w 1972 roku, poza tym brakowalo wielu stron.

– Bolą mnie oczy – powiedziala Bunny. Obie dziewczynki mialy czerwone, zalawione oczy.

Przez nastepna godzine uwiezieni patrzyli na padajacy coraz slabiej snieg i pracujace plugi, walac w drzwi i wołajac: „Halo, halo!” Oba plastikowe pingwiny byly juz zepsute. Quoyale chcial wywazyć drzwi. Ciotka jednak napisala na poszewce wiadomosc i wywiesila ja w oknie: „Ratunku! Jesteśmy uwiezieni w pokoju 999. Telefon nie dziala”.

Drzwi otworzyl recepcjonista. Jego oczy przypominaly swiatla stopu.

– Trzeba bylo nacisnac dzwonek alarmowy. Zaraz by ktos przyszedl. – Wskazal na przycisk umieszczony tuż pod sufitem. Wyciagnal ramie i przycisnal go. Rozleglo sie donośne brzęczenie, a zaraz potem walenie w sciane, tak ze zadrzal caly motel. Recepcjonista przetarl oczy jak aktor w telewizji, grajacy role czlowieka, ktoremu zdarzyl sie cud.

Burza szalala jeszcze przez nastepny dzien, wiatr byl przerazliwie, zasypujac sniegiem droge.



– Lubię burzę, ale teraz mam już tego dość – powiedziała ciotka. – Jeśli tylko uda mi się wydostać z tego motelu, to obiecuję, że będę się dobrze sprawowała, obiecuję regularnie chodzić do kościoła, piec ciasto dwa razy w tygodniu i nie zostawiać nie pozmywanych naczyń. Nie będę też wychodziła z gołymi nogami, tylko, Boże, pomóż mi się stąd wydostać. Już zapomniałam, jak to jest, ale pomału zaczynam sobie przypominać.

W nocy śnieg zamienił się w deszcz, od południa zaczął wiać wiatr, był ciepły i niósł ze sobą zapach śmietanki.

## „Pleciucha”

Kaczka edredonowa nazywana jest w Nowej Fundlandii pleciuchą ze względu na zwyczaj zbierania się tam w dużych stadach. Nazwa ta pochodzi z dawnych czasów, kiedy dwa statki spotykające się na morzu odpowiednio się ustawiały i wymieniały wiadomości. Aby zbliżyć się maksymalnie do siebie, statek od nawietrznej obracał grotreję pod wiatr, a statek od zawietrznej fokreję. Manewr taki nazywano „plotkowaniem”.

Kobieta w deszczowcu szła brzegiem drogi, prowadząc za rękę dziecko. Kiedy samochód Quoyle’a zrównał się z nimi, spojrzała na niego. Obcy. Uniósł nieznacznie dłoń, lecz ona zdążyła już opuścić wzrok. Płaska twarz dziecka. Czerwone kalosze. Pojechał dalej.

Droga do Flour Sack Cove pięła się w górę z Killick-Claw, pokonywała wzniesienie i opadała ku domom i wyciągniętym na brzeg łodziom. Rybie łuski, rusztowania z okorowanego świerku, pochodzące jeszcze z dawnych czasów, kiedy przygotowywano na nich solonego dorsza. Minął dom pomalowany na biało-czerwono. Drzwi zamknięte, nieruchome. Minął kilka przystani i szop ze sprzętem rybackim. Garbate skały przykryte welonami sieci.

Nie miał wątpliwości, że dojechał do siedziby gazety. Nad drzwiami wisiał przybity gwoździem emblemat. Napis PLECIUCHA wypisany nad wymalowaną kaczką edredonową.

Quoyle zaparkował przed budynkiem obok dwóch półciężarówek: zardzewiałego, dość nowego modelu dodge’a i starszej, lecz lśniącej toyoty.

Z wnętrza biura dochodziły jakieś krzyki. Drzwi gwałtownie otworzyły się do wewnątrz. Jakiś mężczyzna wyszedł szybko i wskoczył do toyoty. Rura wydechowa zadrżała. Silnik zacharczał i zamilkł, jakby zawstydzony. Mężczyzna popatrzył na Quoyle’a. Wsiadł z samochodu i podszedł do niego z wyciągniętą dłonią. Policzki miał poznaczone bliznami po pryszczach.

– Jak widzisz – powiedział – czasem nie da się zwiać. Jestem Tert Card, cholerny redaktor naczelny, maszynistka, facet od makiet, szef działu reklamy, facet zajmujący się pocztą i dystrybucją, a także odśnieżaniem. A ty jesteś albo dzianym gościem od reklamy, który chce zamówić czterostronicowe ogłoszenie zachwalające japońskie buty z lewej nogi, albo panem Quoyle’em, którego oczekujemy z zapartym tchem. – W jego głosie pobrzmiwała nuta gderliwości. Diabeł dawno już upodobał sobie Terta Carda, wypełniając go, niczym róg obfitości, drażliwością i irytacją. Jego drugie imię zaczynało się na X. Twarz przypominała rozgnieciony widelcem twaróg.

– Quoyle.

– No to wejdz, Quoyle, i poznaj bandę zbójów, spośród których najgorszy jest Nutbeem i jego skore do duszenia dłonie. Pan Jack Buggit przebywa w domu i odczynia uroki nad swoją cherlawą pierśią, żeby usunąć z niej wspaniały zapas flegmy, który magazynował przez cały tydzień. – Mówił tak, jakby deklamował ze sceny. – Tutaj jest tak zwany pokój redakcyjny –

rzucił drwiąco. – A oto i Billy Pretty – dodał, pokazując palcem, jakby wskazywał na jakiś szczegół w krajobrazie. Stary wyjadacz.

Billy Pretty, drobny mężczyzna dobrze po siedemdziesiątce, siedział przy stole ustawionym pod ścianą, przykrytym ceratą koloru owadzych skrzydeł. Jego twarz przypominała kawałek drewna poryty nacięciami w kształcie wachlarza. Niebieskie, skośne oczy, opadające powieki. Policzki wypchnięte lekkim uśmiechem ciężkich ust, między nosem i górną wargą wyraźne wgłębienie niczym blizna. Krzaczaste brwi, resztki włosów koloru starego zegara.

Stół zakotył się, kiedy Billy oparł się o niego; przypominał stragan przed kościołem. Quoyłe dostrzegł na nim koszyki, drewniane motyle, dziecięce nylonowe buciki.

– Billy Pretty redaguje kolumnę wiadomości lokalnych. Ma tysiące korespondentów. Jak widzisz, przysyłają mu najprzeróżniejsze skarby. Tak, wielu pisze do niego.

– Taa – mruknął Billy Pretty. – Pamiętasz tego omaloor, który przyniósł mi pisanekę z jaja nurzyka? Pięknie wymalowane krajobrazy. Pękło w nocy na biurku. Śmierdziało później przez rok. – Wytarł palce we wzorzysty sweter z łatami na łokciach i upstrzony plamkami kleju oraz ścinkami papieru.

– Omaloor? Tak jak Omaloor Bay?

– Tak. Omaloor: ogromny, tępawy, niezdarny, głupawy typ. Pełno ich było po drugiej stronie zatoki – wskazał na Quoyłe's Point – i stąd wzięła się nazwa. – Puścił oko do Quoyłe'a, który zastanawiał się, czy powinien się uśmiechnąć. Zrobił tak.

Siedzący przy oknie mężczyzna słuchał radia. Tłuste włosy miał zaczesane za uszy. Oczy osadzone blisko siebie, wąsy. Obok niego leżała paczka importowanych daktyli. Wstał, żeby ucisnąć dłoń Quoyłe'a. Niezdarny patyczak. Muszka w szkocką kratę i paskudny pulower. Brytyjski akcent sączył się z jego płaskiego nosa.

– Nutbeem – powiedział. – Nutbeem z Arktyki. – Wykonał namiastkę salutowania. Imitacja postaci z jakiegoś starego wojennego filmu.

– To jest B. Beaufield Nutbeem – powiedział Tert Card. Żałosny, paskudny Brytol wyrzucony już rok temu na brzeg niegościnniej Nowej Fundlandii. Między innymi wydaje mu się, że jest szefem wiadomości ze świata. Kradnie je z radia i przepisuje w swoim własnym kwiecistym języku.

– Które to cholerny, obrzydliwy Card ma czelność przerabiać na swój własny obłąkany sposób. To właśnie uczynił ten szczur klozetowy.

Wiadomości Nutbeema pochodziły z radia odbierającego krótkie fale, które charczało, jakby cierpiało na migrenę. Kiedy odbierało czysto, mruczało tenorem, lecz w czasie zakłóceń warczało wściekle. Nutbeem leżał zwykle na swoim biurku z uchem przy głośniku, łapiąc fale i wyjące obce głosy po to, by i tak potem przystosować zasłyszane historie do swojego nastroju. Pokrętko fonii dawno już odpadło, dlatego regulował ją, wsuwając czubek noża w szczelinę i kręcąc nim to w jedną, to w drugą stronę. Jego kącik przesiąknięty był zapachami radia: kurz, metal, ciepło, drewno, elektryczność, czas.

– Wszystko to tylko po to, żeby uchronić cię przed oskarżeniem o plagiat, mój synu.

Nutbeem zaśmiał się gorzko.

– Widzę, że nie tracisz zimnej krwi, ty nowofundlandzki gnojku. – Nachylił się do Quoyłe'a. – Rzeczywiście. Uchronić przed plagiatem. W każdym zdaniu tyle błędów drukarskich, że autorzy i tak nie poznają swoich tekstów. Dam ci przykład. – Sięgnął do stosu teczek i wyjął pożółkły arkusz. – Przeczytam ci jeden z jego klejnotów nonsensu, żebyś miał pojęcie, o czym mówię. Pierwszą wersję ja napisałem, druga ukazała się w gazecie. Wiadomość: „Birmańscy właściciele tartaków oraz przedstawiciele Ranguńskiej Korporacji Rozwoju spotkali się w Tokio we wtorek, żeby osiągnąć porozumienie w sprawie gospodarki twardym drewnem tropikalnym w kontekście interesów lokalnych, jak i eksportu”. A oto, co zrobił z tym Card: „Birbańscy czyściciele tartaków oraz przedstawiciele Drakońskiej Komisji

Rozwoju spotkali się koło Tokio w czwartek, żeby przyciągnąć zrozumienie w sprawie twardej gospodarki drewnem w kontekście tropikalnych warunków lokalowych, jak i eksportu”. – Rozsiadł się wygodnie w trzeszczącym krześle. Pozwolił, by kartka z tekstem opadła powoli do kosza.

Tert Card podrapał się po głowie i spojrzął na swoje paznokcie.

– No cóż, i tak jest to przede wszystkim kawałek ukradzonej fikcji literackiej – powiedział.

– Uśmiechasz się, Quoyle, myślisz, że to zabawne – odezwał się Nutbeem. – Teraz śmiejesz się pod nosem, ale zaczekaj, aż zabierze się do twoich tekstów. Czytam ci to, żebyś wiedział, co cię czeka. „Sklejka” zamieni się w „uklejkę”, zamiast „rybaka” będziesz miał „robaka”, a z „przepukliny” zrobi się „opuchlina”. Takiemu oto człowiekowi Jack Buggit powierza naszą prozę. Bez wątplenia nie śpiąc po nocach, zadajesz sobie pytanie: „dlaczego?”, tak jak i mnie się to zdarza. Jack twierdzi, że błędy Carda dodają humoru naszej gazecie. Twierdzi, że są lepsze niż krzyżówki.

Przeciwległy kąt pokoju oddzielało przepierzenie z wiórowej płyty.

– To jest biuro Jacka – powiedział Card. – A tutaj jest twój kącik, Quoyle. – Zatoczył szeroki łuk ramieniem. Biurko, połowa szafki (zamiast górnej, odpiłowanej połowy przybity kawałek sklejk), książka telefoniczna prowincji Ontario z 1983 roku, obrotowe krzesło z jedną poręczą. Obok biurka stała lampa, jaką można było znaleźć w hotelowym holu w latach trzydziestych: gruby, czerwony przewód przypominający szczurzy ogon i wtyczka wielkości piłki baseballowej.

– Co mam robić? – spytał Quoyle. – Jakie zadanie ma dla mnie pan Buggit?

– Ach, o tym tylko on sam może ci powiedzieć. Na razie chce, żebyś siedział spokojnie i czekał na niego. Powie ci, co ma dla ciebie. Masz przychodzić tutaj rano, a on pojawi się któregoś pięknego dnia i wyjawi ci wszystko. Poczytaj stare egzemplarze „Pleciuchy”. Zapoznaj się z gazetą. Przejeżdź się trochę po okolicy i poznaj wszystkie nasze cztery drogi. – Card odwrócił się do swojego komputera.

– Muszę wyruszyć w teren – powiedział Billy Pretty. – Chodzi o wywiad z facetem, który robi bransoletki i talizmany ze szczypców homara na eksport na Haiti. Wezmę twój samochód, co, Card? W moim nawalił zawór emisyjny. Czekam na nowy.

– Zawsze czekasz na jakąś część do tego grata. Mój i tak dzisiaj coś źle pali. Ciągle gaśnie.

Billy odwrócił się do Nutbeema.

– Jeździłem dzisiaj rowerem. Możesz go wziąć.

– Wolę iść pieszo, niż pozrywać sobie nogi na tej kupie żelastwa. – Chrząknął i spojrzął na Quoyle’a. On jednak odwrócił wzrok do okna. Czuł się jeszcze zbyt obco, żeby się mieszać. No cóż, zwijam się. To tylko niecałe osiemnaście mil w jedną stronę.

Po dłuższej chwili usłyszeli, jak przeklina, wsiadając na rozklekotany rower.

Pół godziny później Tert Card opuścił biuro, włączył silnik swojego samochodu i odjechał gładko.

– Pojechał się urznąć – powiedział Nutbeem z zadowoleniem. – Kupi swój los na loterię, a potem się urznie. Zauważ, że jego samochód zapala, kiedy on tego chce.

Quoyle uśmiechnął się, osłaniając podbródek dłonią.



Pozostałą część dnia i następne dni tygodnia spędził, przeglądając starą książkę telefoniczną i czytając stare egzemplarze „Pleciuchy”.

Gazeta liczyła czterdzieści cztery strony, podawała wiadomości w skrócie, drukowano ją na cienkim papierze. Sześć kolumn, umiarkowane nagłówki – trzydziestosześcypunktowy tytuł był już wielkim obwieszczeniem. Używali jakiegoś pogrubionego, nie znanego mu kroju pisma bez szeryfów. Malutka wysepka bieżących wiadomości gineła w morzu ogłoszeń.

Nigdy nie widział tylu ogłoszeń naraz. Ciągnęły się w dół po obu stronach niczym schody, pomiędzy którymi pozostawała niewielka przestrzeń w kształcie wazonu, na której upychano wiadomości. Proste ogłoszenia, nie zajmujące więcej niż kilka wierszy. Nie płacisz nic aż do stycznia! Żadnej opłaty z góry! Żadnych odsetek! Nawoływania jakby na gorąco ukute dla winylowej oblicówki, gumowych stempli, polis ubezpieczeniowych, festiwalu muzyki ludowej, usług bankowych, sznurowych drabin, siatek ładunkowych, sprzętu okrętowego, marynarskich usług pralniczych, koncertu rockowego w Snowball Lounge, zegarów, drewna opałowego, usług dotyczących odpisów podatkowych, podnośników podłogowych, ciętych kwiatów, tłumików do ciężarówek, nagrobków, kotłów, pinezek, lokówek, spodni do joggingu, śniegołazów, nocnej potańcówki w Seal Flipper Lounge przy akompaniamencie Arthura, asa akordeonu, używanych śniegołazów, kurczaków z różną, kapeluszy hutniczych, podkoszulków, serwisu sprzętu naftowego, gazowych roznów, parówek, lotów do Goose Bay, przysmaków chińskiej restauracji, usług przewozowych, szklanki wina z kotлетem wieprzowym specjalności w Norse Sunset Lounge, kursu zawodowego dla rybaków, napraw sprzętu wideo, kursów dla operatorów sprzętu ciężkiego, strzelb, ławeczek dla zakochanych, mrożonej kukurydzy, galaretki w proszku, potańcówki w Barze Wuja Demmy'ego, lamp naftowych, napraw kadłubów, pokryw luków, torebek do herbaty, piwa, gospodarki budulcem, magnetycznych mioteł czy aparatów słuchowych.

Oszacował liczbę ogłoszeń. „Pleciucha” musiała zarabiać mnóstwo pieniędzy. A ktoś musiał być piekielnie dobrym sprzedawcą.

– Pan Buggit zajmuje się ogłoszeniami? – spytał Nutbeema.

– Nie. Tert Card. Zakres obowiązków redaktora naczelnego. Możesz nie wierzyć, ale tak jest. – Spod jego wąsów wychynął uśmiezek. – Nie są tak dobre, na jakie wyglądają.

Quoyłe przewracał kolejne strony. Zamrugał, ujrawszy zdjęcia rozbitego samochodu na stronie tytułowej. Raporty dotyczące napastowania seksualnego – w każdym numerze trzy lub cztery. Niedźwiedzie polarne na krze. Kronika portowa wyglądała dość nieciekawie – zawierała głównie listę statków przebywających w porcie. Albo wypływających z niego.

„Kiedy jesteś głodny” – pod tym nagłówkiem umieszczono przegląd restauracji prowadzony przez Benny'ego Fudge'a i Adonisa Collarda; ich nazwiska widniały pod dwoma brudnymi zdjęciami. Twarz Fudge'a wyglądała jakby ulepiona z resztek mięsa. Collard miał na głowie czapkę, która zakrywała mu oczy. Czytając, Quoyłe wzdrygnął się.

„Zastanawiacie się, gdzie przekąsić coś gotowego? Dlaczego nie w Cod Hop u Grudge'a? Okno frontowe sali głównej wychodzi na autostradę. Siedząc przy intymnie oddzielonych stolikach, możecie obserwować przejeżdżające ciężarówki! Tak jak my. Zamówiliśmy «Porcję rybnych płatów», na którą składały się trzy kawałki smażonej ryby, surówka z kapusty i pokaźna porcja frytek za pięć dolarów i siedemdziesiąt centów. Napoje trzeba kupić osobno. Z «Porcją rybnych płatów» powinniście dostać obiadową bułkę, lecz my otrzymaliśmy kromkę chleba. Rybie płaty były chrupiące i smakowite. Można też wybrać między sokiem z cytryny a sosem tatarskim. Obaj wzięliśmy sos tatarski. Możesz też zamówić przy ladzie”.

„Wiadomości lokalne” Billy'ego Pretty'ego – zbieranina wierszy, fotografii dzieci, wzorów kilimów na ścianę. Stały kącik: jak zbudować domek dla ptaków z blaszanych puszek, tekturową pochwę na siekierę, urządzenie do przewracania bekonu ze starego widelca. Przepisy na „pieczone diabliki”, wino z derenia i groszek z ikrą.

Jednak rubryką, od której wszyscy powinni zaczynać czytanie, pomyślał Quoyłe, była rubryka zatytułowana „Miazga”, stek nieomal oszczerczych plotek. Autor zgromadził raporty

policyjne z sądu, fragmenty listów od krewnych, pogłoski o niegrzecznych młodzieńcach, którym należałyby się „irlandzkie wakacje”. Artykuł ten bił na głowę wszelkie plotki, jakie Quoyłe’owi dane było kiedykolwiek przeczytać. Jego autorem był Junior Sugg.

„Oto listonosz wylądował w więzieniu na czterdzieści pięć dni za wyrzucenie poczty do wody w Killick-Claw Harbour. Powiedział, że ma zbyt dużo przesyłek do doręczania, i jeśli ludzie chcą, to mogą je sobie sami wziąć. No cóż, myślę, że w takiej sytuacji może się przydać umiejętność pływania. Biedna pani Tudge została we wtorek potrącona przez turystę podróżującego swoim luksusowym samochodem. Przebywa w szpitalu w niezbyt dobrym stanie. Wiemy, że samochód też ma się nie najlepiej. Policja konna bada sprawę pożaru, w wyniku którego wczesnym rankiem spłonęła przetwórnia ryb Pinhole Seafood na Shebeen Island; możliwe, że będą w tej sprawie wypytywać pewnego osobnika w jednej z zatoczek wyspy. Nieszczęśliwy wypadek w czasie jazdy śniegołazem kosztował życie Ricka Puffa liczącego siedemdziesiąt osiem lat. Pan Puff wracał z – jak to określiła pani Puff – «pohulanki», kiedy łódź załamał się pod jego pojazdem. Pan Puff był znanym akordeonistą, którego kiedyś filmowała uniwersytecka ekipa filmowa. W latach siedemdziesiątych odsiedział cztery lata za seksualne molestowanie swoich córek. Daję głowę, że się specjalnie nie zmartwiły. A teraz dobre wiadomości! Podobno pies Kevina Mercy’ego zwany Gryzakiem zginął pod lawiną na Chinese Hill. A co my tam czytamy w zagranicznych gazetach na temat porywaczy przysyłających pocztą rodzinie lewe ucho sycylijskiego biznesmena, którego porwano? Można się zdziwić, czytając, jak żyją inni!”

Artykuły wstępne stanowiły strumień inwektyw skierowany na lokalną scenę polityczną. Napuszone oracje najeżone ohydnyimi epitetami. „Pleciucha” była bezlitosna. Zaglądała wprost w przebiegłe, przekrwione oczy życia. Twarda gazetka. Sprawiała, że Quoyłe poczuł się nieswojo, jakby stał na placu zabaw i obserwował, jak inni grają w grę, której zasady są mu nie znane. Coś zupełnie innego niż „Record”. Nie miał pojęcia, jak się zabrać do swojej działki.



W poniedziałkowy rano, po tygodniu pracy w gazecie, zobaczył, że drzwi biura Jacka Buggita są uchylone. Sam Buggit siedział odchyłony na drewnianym krześle z papierosem wetkniętym za ucho i mruczał do telefonu „hmmm”. Zakreślił dłonią dwa kółeczka, dając Quoyłe’owi znak, by przyszedł do niego.

Quoyłe usiadł na krześle z oberwaną krawędzią, która wrzynała mu się w uda. Dłoń na brodzie. Zza przepierzenia dochodziło mamrotanie radia Nutbeema, stukot klawiszy komputera, skrzypienie stalówki pióra starego Billy’ego Pretty’ego, którą maczał w butelce.

Jack Buggit wyglądał dość nietypowo jak na wydawcę gazety. Drobny, o rudawym czole; wiek jakieś, pomyślał Quoyłe, czterdzieści pięć, dziewięćdziesiąt pięć lat. Broda pokryta szpeciną zarostu, obwisła szyja. Potargane włosy, opadające niechlujnie. Palce miały kolor ochry z powodu nieustannego palenia papierosów. Ubrany w oblepiony rybimi łuskami kombinezon położył na biurku nogi, na których miał gumowe buty z czerwonymi podeszwami.

– Ach, taa! – odezwał się zaskakująco głośno. – Ach, taa – powtórzył i odłożył słuchawkę. Zapalił papierosa. – Quoyłe! – Jego dłoń pomknęła w kierunku Quoyłe’a, który ją uściśnął. Jakby ścisnął skórzany uchwyt jakiegoś naczynia. – Mgła i pada trochę. Tak więc, Quoyłe, siedzimy w głównej kwaterze „Pleciuchy”, która nieźle sobie radzi, a w której teraz i ty pracujesz. Opowiem ci, jak do tego wszystkiego doszedłem. Żebyś miał jasność. Pewnie zorientowałeś się, że nie ukończyłem dziennikarstwa. – Kącikami ust wypuścił obłoczki

dymu i spojrział w górę, jak marynarz spoglądający na gwiazdy. – Kanibalizm uratował mojego praprapradziadka przed śmiercią. Osiedliliśmy się właśnie tutaj, w Flour Sack Cove, teraz pozostało tu już tylko kilka rodzin. Buggitowie łowili na tych wodach, polowali na foki, wypływali daleko, robili wszystko, co pozwalało im zarobić na życie. Kiedy byłem młody, łowiliśmy głównie przy brzegu. Miałeś swój skif, swoje sieci. Niełatwo było znaleźć ryby. Prawdziwe jest powiedzenie, że „ryba nie pływa z dzwonkiem na szyi”. Mało kto dorównywał Billy'emu Pretty'emu. Potrafił przewidywać pogodę tak dobrze, jak opisać z pamięci dziury we własnym materacu. Nie skłamię, jeśli powiem, że może podać bezbłędnie nazwę każdego wraku na tym wybrzeżu.

Trzeba było wypruwać sobie flaki, harować bez końca; zdrzemnąłeś się tu i tam odrobinę i dalej do roboty w nocy przy pochodniach; dłonie i nadgarstki miałeś całe w pęcherzach, ale robota nie ustawała. Odkąd nauczyłem się je leczyć, nigdy już ich nie miałem. Wystarczy obciąć paznokcie w poniedziałek i masz spokój. Teraz wszyscy tak robią! Wiesz, jak szybko spec potrafi wypatroszyć rybę? Nie, widzę, że nie wiesz. Trzydzieści ryb na minutę, chociaż tobie to i tak nic nie powie. Pomyśl tylko. Oczyścić trzydzieści ryb na minutę! Moja siostra robiła to z zamkniętymi oczami. – Urwał na chwilę. Siedział, oddychając głęboko. Zapalił kolejnego papierosa i wypuścił dym.

Quoyłe próbował sobie wyobrazić siebie zmagającego się ze specjalistami od rozcinania ryb, pogrążonego w rosnącym stosie martwych ciał. Petal popłynęła w górę w długiej sukni z platynowych łusek, nagie, srebrzyste ramiona, białe usta.

– To były ciężkie czasy, ale dawały pewną satysfakcję. Tak, było ciężko. Cholernie ciężko. Posłuchaj niektórych historii, a osiwiejesz w jedną noc. Ja mogę ci je opowiedzieć. Wtedy istniały dzikie, okrutne miejsca, w których ludzie robili, co chcieli. Ty pewnie możesz coś na ten temat powiedzieć, zważywszy, kim jesteś! Ale wiele się zmieniło. Kiedy to cholerne miejsce poddało się twardym czasom i zawiązało konfederację z Kanadą, jaki był tego rezultat? Oczywiście rząd. Och, taa, Joey Smallwood powiedział: „Chłopczy, wyciągnijcie łodzie na brzeg, spalcie zwisładki i zapomnijcie o rybołówstwie. Teraz każdy Nowofundlandczyk będzie mógł mieć przynajmniej dwa zawody”. – Roześmiał się ponuro, ukazując cztery zęby, i zapalił następnego papierosa. – Wtedy byłem jeszcze frajerem i mu uwierzyłem. Przez jakieś dziesięć lat pozwalałem się naciągać. Pewnie, że chciałem tego wszystkiego: elektryczności, dróg, telefonów, radia. Chciałem opieki zdrowotnej, a jakże, poczty, dobrej szkoły dla dzieciaków. I niektóre z tych rzeczy dostałem, ale nie pracę.

A rybołówstwo upadało, coraz bardziej upadało przez czterdzieści lat. Ten cholerny kanadyjski rząd dawał prawa łowieckie całemu światu, ale nas wykopywał z interesu. Przekłete obce trawlerzy. To one zgarniają wszystkie ryby. A potem jeszcze cholerny Greenpeace, próbujący zakazać polowania na foki. Dobra, powiedziałem sobie, kiedy zobaczyłem, że koniec z łowieniem, dobra, powiedziałem sobie, teraz już będę mądry, zatańczę tak, jak chce tego rząd. Idę więc do Kanadyjskiego Biura Zatrudnienia w Killick-Claw i mówię: „No to jestem. Szukam pracy. Co macie dla mnie?” A oni mi na to: „A co potrafisz robić?” „No cóż, mówię. Potrafię łowić. Zimą pracowałem w lesie”. „Nie, nie, nie. Nie potrzebujemy rybaków. Nauczymy cię czegoś bardziej pożytecznego”. Widzisz, wtedy wprowadzali przemysł. Praca dla wszystkich. Tak więc posłał mnie do tej cholernej garbami w Go Slow Harbor. Pracowało tam dziesięciu, może piętnastu ludzi, ponieważ zakład nie ruszył jeszcze pełną parą. Ta bardziej pożyteczna umiejętność polegała na wrzucaniu do kadzi śmierdzących skór, które przywozili z Argentyny czy skądś tam. Wrzucałem je od rana do wieczora przez cztery dni, potem skończyły im się skóry, a nie dostali nowych. No to objaliśmy się albo zamiataliśmy podłogi. Po kilku miesiącach garbarnia splajtowała. No to ja wracam do siebie i łowię, dopóki się da. Potem znowu do urzędu. „Dajcie mi coś, mówię. Potrzebuję nowej pracy”. „A co potrafisz robić?” – pytają. „Potrafię łowić, rąbać drewno, rzucać skóry do kadzi przez cały dzień, zamiatać podłogę”. „Nie, nie, nie. Przyuczmy cię.

Przydasz się w industrializacji Nowej Fundlandii”. Posłali mnie do St. John’s, gdzie wybudowali dużą nową fabrykę, w której mieli produkować narzędzia przemysłowe, różne maszyny, śrutowniki, kruszarki do kamienia i orzechów, diamentowe wiertła, szlifierki. Istne piekło. Czegoś takiego nie widziałem. Kosztowało to pięć milionów dolarów. Tyle że nikogo tam nie było. Ale ja jadę, dostaję pokój, który dzielę z jakimś śmierdzącym starym dupkiem, i czekam. Siedzę tam, przymierając głodem, łapię, co się da, za ćwierć dolara dziennie, i czekam, aż otworzą fabrykę. Ale te sukinsyny nigdy jej nie otworzyły. Nie zrobili ani jednej rzeczy. Więc wracam do domu i łowię przez cały sezon.

Przychodzi jesień, ja walę do biura zatrudnienia i mówię: „Robi się niedobrze. Potrzebuję roboty”. Wtedy wciąż jeszcze wierzyłem, że coś mi znajdą, no wiesz, cała ta industrializacja. „No cóż, mówi urzędnik, a on zawsze wie, co powiedzieć, Jack, w każdej branży przychodzi chwila zastoju. Ale szukamy czegoś dla ciebie. Damy ci pracę w papierni w Hyphenville. Będziesz robił tekturowe wkładki”. Pracowałem w tym domu wariatów przez trzy miesiące. Potem go zamknęli. Powiedzieli mi, że z moim doświadczeniem mogę pracować albo w nowej rafinerii naftowej w Bird Wing, albo w elektrowni w Eden Falls. Powiedzieli, że rafineria jeszcze nie ruszyła, więc pomogli mi wypełnić kwestionariusz zgłoszeniowy długi na dwie mile i kazali czekać w domu na wiadomość z Eden Falls. Wciąż czekam. Taa, owszem, elektrownia działa, ale nie potrzebują tam dużo ludzi. Tak więc zostałem w domu i łowiłem, ile się dało. Ciężkie czasy. Moja żona chorowała, ledwie wiązaliśmy koniec z końcem. To były najtrudniejsze chwile. Straciliśmy wtedy najstarszego syna. Więc znowu idę do biura.

„Słuchajcie chłopaki, sprawy mają się kiepsko. Potrzebuję roboty”. A oni mówią, że mają coś w sam raz dla mnie. Trzymali to właśnie dla mnie! Dokładnie koło twojego domu na waszym cyplu, Quoyale. Mieli produkować tam rękawiczki, skórzane rękawiczki. W ich ustach zabrzmiało to tak, jakby rząd wybudował tę fabrykę właśnie dla mnie. Powiedzieli, że nie będzie tam lepszego ode mnie, biorąc pod uwagę moje doświadczenie w garbami. Byłem po prostu mistrzem w skórzanym fachu! Miałem szansę na brygadzystę! Czy nie miałem powodu do radości? Uruchomili prom. Pierwszego dnia zważyło się do pracy mnóstwo ludzi. Mówię ci, poszliśmy tam, weszliśmy do środka, wszędzie pełno ludzi, miły bar samoobsługowy, ogromne kadzie z nierdzewnej stali do farbowania, maszyny do szycia, stoły krojnicze. Brakowało tylko dwóch rzeczy: kogoś, kto by wiedział, jak się robi rękawice, i skóry. Widzisz, skóra na rękawice miała przychodzić z garbarni, w której pracowałem dużo wcześniej, a którą zamknęli i nikt nigdy nie zawiadomił o tym facetów z fabryki rękawic ani z biura zatrudnienia. Tak to było.

Więc wracam do domu na drugą stronę zatoki, drugi i ostatni kurs promy. Wracam i myślę. Myślę, że gdybym wiedział, że ci frajerzy nie mają skóry, tobym sobie zaoszczędził wycieczki. A skąd się człowiek dowiaduje o różnych rzeczach? Czytasz o nich w gazetach! A my nie mieliśmy żadnej lokalnej gazety. Tylko ten rządowy szmatławiec w St. John’s, „The Sea Lion”. Pomyślałem więc sobie – chociaż nie miałem o tym pojęcia, sam ledwie potrafiłem sklecić zdanie na papierze, a w szkole ledwie zaliczyłem elementarz – że skoro oni potrafili otworzyć fabrykę rękawic, nie mając skóry ani nikogo, kto by wiedział, jak je robić, to ja mogę otworzyć gazetę.

No to idę do Kanadyjskiego Biura Zatrudnienia i mówię: „Chcę otworzyć gazetę. Możecie mi pomóc?” „Ilu ludzi masz zamiar zatrudnić?” – pytają. A ja idę na całego. „Pięćdziesięciu. Jak tylko ruszę, mówię. Oczywiście musi być okres próbny. Trzeba się przyuczyć”. Kupili to. Dali mi tony formularzy do wypełnienia. Od tego zaczęły się moje kłopoty, dlatego przekonałem Billy’ego Pretty’ego, żeby dał sobie spokój z łowieniem i zaciągnął się do mnie. Pięknie pisze i potrafi czytać jak ktoś z rządu. Daliśmy radę. Posłali mnie do Toronto, żebym się nauczył wszystkiego o gazetach. Dali pieniądze. Siedziałem tam, ja wiem, jakieś cztery albo pięć tygodni i słuchałem ich gadania o równowadze rynku wydawniczego, integralności,



nowym dziennikarstwie, reporterskiej etyce, służbie dla społeczności. Miałem dość. Nie zrozumiałem połowy z tego, co mówili. Tego, co musiałem się dowiedzieć, nauczyłem się tutaj, w moim dawnym warsztacie. Już siedem lat prowadzę tę gazetę, nakład dobija do trzynastu tysięcy i wciąż wzrasta. Na całym wybrzeżu. Ponieważ ja wiem, o czym ludzie chcą czytać. Tylko mi nie mów, że nie mam racji. Najpierw zatrudniłem Billy'ego, potem Terta Carda. Są dobrzy. W Toronto połowę uczestników kursu stanowiły kobiety, które wciąż kłapały, chichotały i lustrowały facetów albo dla odmiany oni lustrowali kobiety. Nikt się nie kwapił do pracy. A Billy wie, jak powinna pisać kobieta dla kobiet. Jest starym kawalerem i potrafi gotować jak cholera. Moja żona, pani Buggit, na wszelki wypadek wszystko przegląda. Ja wiem, czego chcą moi czytelnicy, czego oczekują i to im daję. Co powiem, to święte. Nie chcę słyszeć żadnych dziennikarskich bzdur, a nie będziemy się kłócić.

Zamilkł, by zapalić kolejnego papierosa. Spojrzał na Quoyle'a, którego nogi powoli drętwiały. Przytakiwał z lekka, zasłaniając dłonią brodę.

– Okay, panie Buggit, będę się starał.

– Mów mi Jack. No więc tak się rzeczy mają, jeśli chodzi o gazetę. Najważniejsze: ja tu gram pierwsze skrzypce, ja tu jestem kapitanem. Billy Pretty redaguje wiadomości lokalne, pisze „Miazgę” – żebyś czasem nikomu nie pisał, że Junior Sugg to właśnie on – wiesz, wszystkie lokalne spotkania, posiedzenia, edukacja. W Kanadzie dla rządu pracuje więcej ludzi niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie. Pracuje dla niego prawie połowa ludności. Tak więc my zajmujemy się głównie spotkaniami, które odbywają się wzdłuż wybrzeża nieomal w każdej minucie. Billy pisze też trochę o przestępczości. A jest jej coraz więcej. Widzisz, to, co kiedyś nazywano zabawą albo wybrykami na rauszu, teraz nazywa się wandalizmem i napaścią. Billy Pretty jest ze mną od samego początku istnienia gazety.

– W „Record” zajmowałem się tematyką samorządową – odezwał się Quoyle przez ściśnięte gardło.

– Mówiłem ci, że tym zajmuje się Billy. Nutbeem redaguje wiadomości zagraniczne, krajowe i okręgowe. Słucha radia i przepisuje informacje. Molestowanie seksualne też należy do niego. Ledwie nadaża. Co tydzień przedstawiamy dwie lub trzy historie M.S., jedna duża na stronie tytułowej i druga w środku. Ma też sport i drobniejsze sprawy dla wypełnienia strony, czasem artykuły wstępne, ale nie przesadzamy z nimi. Pracuje u nas dopiero siedem, może osiem miesięcy i nie mogą powiedzieć, żeby był doskonały. W każdym razie pozostaje tymczasowo zatrudniony. Słyszysz, Nutbeem?

– Pewnie – padła odpowiedź zza przepierzenia.

– Tert Card zastępuje mnie, kiedy jestem nieobecny. On jest redaktorem naczelnym i czym tam jeszcze. Rozdziela pracę, zajmuje się składem, redakcją, zawozi matryce do drukarni w Misky Bay, czuwa nad wysyłką, dystrybucją, a jak ma czas, pisze coś na tematy lokalne. Jest tutaj od kilku lat. Słyszałem już wiele narzekań na temat Terta Carda i błędów drukarskich, ale błędy drukarskie są częścią „Pleciuchy”. Zajmuje się też ogłoszeniami. Jeśli chodzi o artykuły na temat rybołówstwa, to chcę je najpierw zobaczyć. Znam problem, ponieważ wciąż się tym zajmuję.

A teraz ty. Chcę, żebyś zajął się wypadkami samochodowymi. No wiesz, piszesz artykuł, robisz zdjęcia. Co tydzień na stronie tytułowej dajemy zdjęcie z kraksy, bez względu na to, czy był jakiś wypadek czy nie. To nasza zasada. Żadnych wyjątków. Tert ma dużą kolekcję zdjęć powypadkowych. Jeśli nie mamy nowych, trzeba sięgnąć do zbiorów. Ale zwykle nie brakuje bieżących. Tłumy z Horncup dostarczają nam nowych materiałów. Tert pokaże ci, gdzie jest aparat. Jemu będziesz oddawał filmy. Wywołuje je w domu. A teraz kronika portowa. Weź listę od komendanta portu. Statki, które przyplývają do Killick-Claw i które wypływają. Co roku jest ich więcej. Mam przecucie, że to wypali. Na razie musimy improwizować. Zorientuj się, co się da zrobić.

– Tak jak mówiłem przez telefon – powiedział Quoye – nie mam wielkiego doświadczenia ze statkami. – Wypadki samochodowe! Z przerażeniem pomyślał o tym, że będzie musiał oglądać krew i umierających ludzi.

– Będziesz wiedział, jak o tym powiedzieć czytelnikom, a jeśli nie, to zabieraj się do nauki. Łodzie masz we krwi. Popracuj nad tym. I rób to, co ci powie Tert Card.

Quoye uśmiechnął się nieśmiało i wstał. Położył już dłoń na klamce, kiedy Jack Buggit odezwał się ponownie:

– I jeszcze jedno. Nie waż się ze mnie żartować, Quoye, i żadnych żartów na temat Nowej Fundlandii czy Nowofundlandczyków. Nienawidzę tego. Zapamiętaj to sobie.



Quoye wyszedł z pokoju. Samochodowe kraksy. Utkwił wzrok w postrzępionej książce telefonicznej.

– Quoye! – szepnął Nutbeem. – Hej, Quoye, chyba się nie rozpłaczysz, co? Nie uciekniesz do Stanów? Liczymy na ciebie, Quoye. Wierzmy, że przyniesiesz nam szczęście, Quoye.

Jack Buggit uchylił szklane drzwi i wystawił głowę.

– Billy! Elvis ma już swoje szczeniaki?

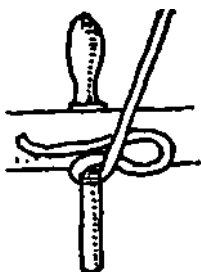
– Tak. Mają już tydzień. Trzy. Wszystkie są czarne z białymi skarpetami.

– Chcę jednego. – Drzwi znowu się zamknęły.

## Węzeł poślizgowy

Na pokładzie statku rzadko używa się tego rodzaju węzła, lecz na małej łodzi, szczególnie na łodzi otwartej, która łatwo może się wyrwać, bardzo często konieczne jest natychmiastowe odwiązanie liny i wtedy węzeł poślizgowy staje się niezastąpiony.

*Księga węzłów Ashleya*



– Ja się chyba nie nadaję do tej pracy – powiedział Quoye. Pochłoniął dwa piwa i torbę zatechłej prażonej kukurydzy w Sea Anchor w Killick-Claw, zastanawiając się, czy jego los nie przypomina losu pasażera samolotu, który rozbija się jeszcze na pasie startowym.

Ciotka spojrzała na niego. Siedziała na okrągłym łóżku i z szybkością maszyny robiła na drutach coś ogromnego, co przypominało chmurę angory. Warren leżała nieruchomo u jej stóp; poruszała jedynie oczyma otoczonymi czerwonymi obwódkami. Bunny z zapłakaną twarzą siedziała na krześle, trzymając na kolanach rozdartą poduszkę. Krzesło było odwrócone w stronę kąta pokoju. Sunshine podbiegła do Quoye'a, rycząc przeraźliwie.

– Tato, ona mnie ugryzła. Bunny ugryzła mnie w nogę. Pokazała Quoye'owi dwa półkoliste znaki na udzie.

– To ona zaczęła! – zawołała Bunny nachmurzona.

– Ty gówniany gryzoniu! – zawyła Sunshine.

– Na miłość boską, zamknijcie się – odezwała się ciotka. Bratanku, musimy coś zrobić. Dzieci potrzebują przestrzeni. W naszym domu z pomocą pogromcy lwów moglibyśmy je zapędzić do pielenia ziemniaków, zmywania, zmywania i mycia okien, żeby się nie drapały i nie gryzły. Ale tutaj się duszą. Warren też ledwie żyje pozbawiona ruchu.

– Zgadnij, co się stało, tato – powiedziała Sunshine. – Warren narzygała pod twoje łóżko.

– Nie może dojść do siebie, to pewne – mruknęła ciotka. Co powiedziałeś na temat swojej pracy? – W jej głosie zabrzmiała nuta czujności.

– Powiedziałem, że to chyba nie dla mnie. Nie pracowałem nigdy w czymś takim jak ta gazeta. Wydawca jest jakby trochę stuknięty. Jack Buggit. Nie znam tych okolic ani ludzi, a on chce, żebym się zajmował kraksami samochodowymi. Nie mogę. Wiesz, dlaczego. Wciąż

myślę o tym, co się stało. Kraksy samochodowe. Statki. Do naszego domu też chyba nie możemy się jeszcze przeprowadzić. Mój samochód nie wytrzyma jednego tygodnia na tej drodze. Jak będę jeździł do pracy i z pracy? Pewnie moglibyśmy kupić ciężarówkę z napędem na cztery koła i porządnymi amortyzatorami, ale dojazd drogą potrwiałoby całe wieki. A co z wynajęciem czegoś w Killick-Claw?

Ciotka machała zawzięcie drutami. Wełna śmigła między jej palcami.

– Oczywiście, że poradysz sobie z pracą. Stawiamy czoło paskudnym rzeczom, ponieważ nie możemy przejść obok nich obojętnie albo zapomnieć. Im szybciej się z nimi uporasz, tym szybciej powiesz sobie: „Tak, stało się, ale nic na to nie mogę poradzić”, tym szybciej zaczniesz żyć własnym życiem. Tak więc musisz się z tym uporać. Jeśli musimy się z czymś uporać, to robimy to tak czy inaczej. Nawet z tymi najgorszymi rzeczami.

Pewnie, uporasz się, pomyślał Quoye. Taniutka filozofia. Ona nie wie, przez co przeszedłem. Przez co ciągle przechodzę.

– Szukałam przez cały tydzień, włączając za sobą dzieciaki po całym Killick-Claw w taksówce Toma Rocka. Szukałam domu, mieszkania czy choćby kilku pokoi. Muszę się zająć moim interesem. Wspominałam ci o tym kilkakrotnie. Ale ty myślisz o czymś innym. – Zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie się chował za grobem zmarłej kobiety. – Musimy połączyć nasze wysiłki.

– Masz rację, ciociu. Przepraszam, że zwałem wszystko na ciebie.

Był tutaj i nie miał dokąd wracać.

– Ja też niczego nie znalazłam. Stara pani Speck ma ciemny pokój. Władze kazały jej zmienić pościel i wywiesić tabliczkę „Pokoje ze śniadaniem”. Ale jej pokój jest gorszy niż ta nora, chociaż tańszy. A poza tym tam jest miejsce tylko dla jednej osoby. Zdaje się, że Killick-Claw przeżywa kryzys lokalowy. A mówią, że kwitnie. – Zdania mknęły coraz szybciej, jakby chciały dotrzymać kroku szczękającym drutom. – Wychodzi na moje. Potrzebna nam jest łódź. W pół godziny będziesz po drugiej stronie zatoki. Głupota jest marnowanie pieniędzy na wynajmowanie domu, podczas gdy nasz dom rodzinny wciąż tam stoi i wymaga tylko remontu. Rozmawiałam dzisiaj z cieślą. Dennis Buggit, mieszka w Killick-Claw. Nie ma zbyt wiele do roboty. Mówi, że może zacząć od zaraz. Jego żona obiecała jutro zająć się dziewczynkami, a ja pojedę z Dennisem. Ocenimy, co trzeba zrobić. Jego żona ma na imię Beety. Myśli, żeby zorganizować przedszkole w swoim domu. To najlepsza wiadomość od chwili naszego przyjazdu tutaj. Te dwie – skinęła głową w stronę dziewczynek – mogłyby być pierwszymi i najlepszymi wychowankami.

Bunny kopnęła w ścianę. Pociągnęła nosem.

Quoye wciąż słyszał słowo „łódź”.

– Ciociu, nie mam pojęcia o łodziach. Są drogie. Niewygodne. Niebezpieczne. Potrzebna też przystań. Nie chcę łodzi.

– Odpowiedź, że się boisz, nie brzmi zbyt rozsądnie. Chyba że chcesz tutaj zostać i dalej płacić ponad stówę za noc. Tyle weźmie cieśla za dwa dni pracy. – Jej głos przypominał szczekanie. Roziskrzono oczy.

Quoye zaczął naciskać guziki telewizora, zapominając, że jest zepsuty.

– Nie działa, tato – odezwała się Sunshine, pochlipując.

– Nienawidzę tego miejsca. – Bunny kopała w ścianę pozdieranymi butami. – Chcę popłynąć łodzią. Chcę naprawić zielony dom, gdzie urodziła się ciotka, i mieć tam swój pokój. Jeśli tam pojedziemy, będę nawet zamiatała podłogi, tato. Zrobię wszystko.

– Chodźmy na kolację – mruknął Quoye. – Teraz i tak nic nie poradzę.

– Jadalnia jest dzisiaj zarezerwowana. Mają przyjęcie z okazji mistrzostw curlingowych. Przygotowali nam potrawkę z ryb, ale będziemy musieli przynieść ją sobie do pokoju.

– Chcę mięso – marudziła Bunny. – Chcę potrawkę z mięsa. – A to pech – powiedziała ciotka z okrutną satysfakcją. – Nie mają tego w menu. – W duchu dodała: Jedz rybę albo zdychaj.



Tert Card w czerwonej koszuli i białym krawacie ze słuchawką przy uchu; Billy Pretty na drugiej linii. Billy śmieje się, mamrocząc jakieś zdania, których Quoyale nie rozumie, jakby słuchał obcego języka. Bębniący deszcz, dziurawiący zatokę niezliczonymi kroplami. Gazowy grzejnik wyje w kącie.

Quoyale spojrział na Nutbeema.

– Czy facet o nazwisku Dennis Buggit jest spokrewniony z Jackiem? Ciesła. Ciotka rozmawiała z nim w sprawie naprawy naszego starego domu. Musimy coś zrobić. Długo już nie wytrzymamy w tym cholernym motelu. Droga na cypel jest parszywa, a w Killick-Claw nie ma co wynająć. Nie wiem, co zrobimy. Prędzej wróć do Stanów, niż kupię łódź.

Nutbeem opuścił szczękę i uniół dłonie w geście udawanego przerażenia.

– Nie lubisz łodzi? Wiesz, to może być całkiem zabawne. Łódź jest dość praktyczna w miejscu składającym się głównie z wybrzeża i zatoczek, i zaledwie kilku dróg. Ja dlatego właśnie tutaj wylądowałem. Z powodu łodzi. „Borogove”. Tak ją nazwałem ze względu na jej przesadną prostotę. – Krasomówcze porywy Nutbeema. Teatralne przemówienia niczym paplanina przedwyborczego agitatora, niezwykle aktualna dzisiaj, lecz zapomniana już następnego dnia, kiedy agitator zmierza do kolejnego miejsca.

Notatnik Quoyale’a oparty o garnuszek do herbaty, kartka z nie dokończonym tekstem o wypadku ciężarówki wkręcona do maszyny do pisania. Wszyscy inni mieli komputery.

– Dostaniesz komputer, kiedy ci go dam – stwierdził wcześniej Jack Buggit. Nie mówił złośliwie.

– Dennis jest najmłodszym synem Jacka – powiedział Tert Card, który przysłuchiwał się rozmowie. Przysunął się, chuchając nieprzyjemnie przez cały pokój. – Ze staruszką nie układa mu się najlepiej. Kiedyś był jego oczkiem w głowie, szczególnie po tym, jak stracili biednego Jessona, ale nie teraz. Trudno przewidzieć, Jack może się rozgniewać, jeśli Dennis będzie dla ciebie pracował. Albo i nie. – Telefon zagwizdał jak dziecinny gwizdek. – To on – powiedział Card, który nigdy się nie mylił, i podniósł słuchawkę. – „Pleciucha!” Taa, okay. Zrozumiałem, kapitanie. – Odłożył słuchawkę, obrócił się z krzesłem i spojrział na zmacone morze. Roześmiał się. – Billy! I co ty na to? Siedzi w domu i cierpi na szczególnie ostry ból ucha. Powiedział tak: „Nie spotkamy się wcześniej niż jutro albo pojutrze”.

– Myślałem, że tym razem będą pęknięte żebra – zauważył Nutbeem. – Ból ucha jest niezły. Tego jeszcze nie było.

Zadzwoił telefon.

– „Pleciucha!” Taa, okay, okay. Jaki jest twój numer? Zaczekaj. Nutbeem, pali się stacja Marcusa Irvinga w Four Hands Cove. Bierzesz?

– Quoyale, dlaczego nie sprawisz sobie łodzi? – zawołał ze swojego kąta Billy Pretty. Miał na biurku dwa kosze do bielizny: jeden z plastyku, drugi zaś z ręcznie rzeźbionych stew.

Quoyale udał, że nie słyszy. Nie mógł jednak zignorować Nutbeema siedzącego przy sąsiednim biurku, który odsunął radio i spojrział na niego uważnie. Twarz miał pobrużdżoną, jego palce wybijały ulubiony rytm. Nawyk, który pozostał mu z pobytu w Bahii, gdzie zauroczyły go *afoxés* i *bloco afros*, muzyka bębnowa i metalowych rożków, ustrojonych świecidełkami cymbałów i nieregularne rytmy. Nutbeem pozostawał pod wpływem faz księżycy. Miał w sobie coś z wilkołaka. W czasie pełni księżycy ni stąd, ni zowąd wybuchał,

mówił do upadłego, uprawiał ćwiczenia w formie tańca i walki w Starlight Lounge, po czym zapadał powoli w stan kontemplacji.

Zanim pojechał do Bahii, opowiadał Nutbeem, przebywał w Recife, gdzie pracował dla przesiąkniętego rumem gościa, byłego pracownika „London Times”, który później wydawał czterostronicową gazetę w kilku językach.

– Tam właśnie po raz pierwszy pomyślałem o łodzi – powiedział Nutbeem, wyjmując daktyla z paczki leżącej na biurku. Chyba dlatego, że mieszkałem na wybrzeżu i codziennie patrzyłem na wodę i łodzie. Wciąż oglądałem *jangada* – te niesamowite malutkie łódki rybackie, które właściwie są platformami skleconymi z kilkunastu niegrubych bali, coś takiego jak tratwy balsa, zbite drewnianymi kołkami i powiązane włóknami. Napędzane wiatrem, a sterowane wiosłem. Kiedyś świat składał się głównie z węzłów i wiązań, wszystko poddawało się, gięło elastycznie, tak, tak było, zanim nastały barbarzyńskie gwoździe i śruby. Rozumiesz coś z tego? Z daleka wydawało się, że rybacy stoją w wodzie. Naprawdę w niej stali. Woda zalewała tratwę, a oni stali po kostki w wodzie. Wstał i zaczął chodzić po pokoju z uniesioną brodą.

– Tak samo robili dawniej komatiki, sanie – wtrącił Billy. – Bez jednego gwoździa. Wszystko powiązane ścięgami i rzemieniami.

Nutbeem zignorował jego uwagę.

– Podobały mi się te łodzie, ale nic w tym kierunku nie zrobiłem. Kiedy interesy z tym śmierdzącym śledziem z „Timesa” wzięły w łeb – wciąż wylegiwał się na swoim wodnym materacu, grając na papierowym grzebieniu i popijając czarny rum – poleciałem do Houston w Teksasie, tylko nie pytaj, dlaczego, i kupiłem turystyczny rower. Rower, nie motocykl. A potem popedałowałem do Los Angeles. Najstraszniejsza podróż w moim życiu. Apsley Cherry-Garrard i Scott wysiadają ze swoimi przygodami na biegunie. Przeżyłem burze piaskowe, straszliwe, śmiertelne upały, niesamowite pragnienie, mroźne wichry, ciężarówka, które próbowały mnie zabić, defekty roweru, północne wichry, ulewne deszcze i powódzie, wilki, ranczerów w jednosilnikowych samolotach zrzucających pyłowe bomby. I mówię ci, Quoyale, jedyne, co trzymało mnie przy życiu, to myśl o malutkiej łodzi, o słodkiej żaglóweczce, która mknie cicho po chłodnej wodzie. Przysięgałem sobie, że jeśli kiedyś zsiądę z tego pieprzonego siodełka, które wtedy przyrosło mi do dupy, jeśli kiedyś zwlokę się z niego, to pojedę nad morze i nigdy już się stamtąd nie ruszę.

Telefon znowu zadzwonił.

– „Pleciucha”! Taa, Jack, jest tutaj. Nie, Nutbeem pojechał już zrobić reportaż z pożaru. Stacja Marcusa Irvinga. Four Hands Cove. Nie wiem. Podali tylko numer. Taa. Okay. Jak tylko wróci. Quoyale, to znowu Jack. Do ciebie.

– Co napisałeś w tym tygodniu? – Słowne pociski wylatywały ze słuchawki i wpadały mu do ucha.

– Hm. Ciężarówka. Właśnie skończyłem.

– Jaka ciężarówka?

– Jechał do Desolation, naczepa przechyliła się na zakręcie i samochód poleciał w dół. Przewoził nowe śniegołazy. Połowa z nich wpadła do wody i wszystkie łodzie z portu popłynęły, żeby wyciągać je bosakami. Kierowca wyskoczył. Nikt nie został ranny.

– Nie zapomnij o kronice portowej. – Odłożył słuchawkę.

– Nutbeem! Lepiej jedź już do tego pożaru, zanim go ugaszą, bo nie zdążysz sfotografować skaczących płomieni. Weź aparat. Przydaje się, kiedy trzeba zrobić jakieś zdjęcia. Mamy sarkazm.

– Dlaczego nie sprawisz sobie ładniutkiej, malutkiej rodney? – spytał Billy Pretty. – Czas, żebyś wybrał sobie jakąś ślicznotkę. Paradowałbyś w niej w weekendy, dawał się fotografować turystom. Dobrze by ci było w łodzi.

Nutbeem nie był jeszcze gotowy do wyjścia.

– Tak więc, Quoye, znowu wróciłem do Londynu, znowu głodowałem. Przynajmniej kolekcja moich taśm pozostała nienaruszona. Ale wiedziałem, że muszę mieć łódź. Byłem zdesperowany. Może ci się wydawać, że chodzi tutaj o równanie typu „łódź i woda”. Wcale nie. Raczej „pieniądze i łódź”. Woda nie jest tutaj niezbędna. Dlatego widuje się tyle łodzi wystawionych w ogródkach. Nie mając ani grosza przy duszy, byłem zdesperowany. Przez cały rok czytałem książki o łodziach i morzu. Zacząłem się włóczyć po przystaniach. W jednym miejscu dwóch młodych koleśków budowało łódź wiosłową. Odniosłem wrażenie, że bardzo dużo czasu spędzają na heblowaniu, a ja zawsze lubiłem heblować, i to mnie wciągnęło. Zacząłem planować, że zbuduję własną łódź. I pożegluję nią przez Atlantyck.

– NUTBEEM! – ryknął Card.

– Ach, idź do diabła – odparł Nutbeem, wciągając kurtkę i szkocki beret z pomponem. Zatrzasnął za sobą drzwi.

– Chryste, zapomniał aparatu. Quoye, Jack kazał ci przypomnieć o kronice portowej. Jedź do biura kapitana portu i przepisz listę statków. Nazwy, daty, pochodzenie. Nie podadzą ci tego przez telefon. Musisz sam do nich pojechać.

– Miałem zamiar to zrobić po południu – powiedział Quoye. – Ale mogę pojechać teraz. Gdzie jest biuro kapitana portu?

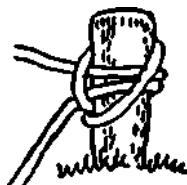
– Przy Składzie Morskim Pubby’ego na nabrzeżu. Na górze.

Quoye wstał i włożył kurtkę. Przynajmniej nie będzie to samochodowy wrak, pełno szkła i kapiących cieczy, a do tego jeszcze faceci z karetki dłubiący w pokiereszowanych twarzach.

## Węzeł cumowniczy

Zaletą tego węzła jest to, że jeśli zawiążemy go ciasno, to nie zsunie się z pala. Każdy, kto cumował przy pełnym pływaniu, po całym dniu łowienia, z cumą mocno przywiązaną do pala cztery albo pięć stóp poniżej linii wysokiej wody, z pewnością zechce się nauczyć go wiązać.

*Księga węzłów Ashleya*



Lawirował między grzechoczącymi wózkami podnośnikowymi i wciągarkami na Wharf Road. Łodzie lśniły od deszczu. Przed sobą widział czarny prom przybrzeżny z czerwonymi relingami, na który wjeżdżały samochody, a obok statek szpitalny „Labrador”. W doku administracji pomarańczowa burta kutra poszukiwawczo-ratunkowego. Mały trawler podpływający do przetwórci ryb.

Wharf Road wybrukowana była wypłukanym, niebieskawym kamieniem, przywiezionym jako balast z jakiegoś odległego miejsca. W powietrzu unosił się morski smród ropy, ryb i brudnej wody. Wokół wznosiły się mniej czy bardziej podejrzanym bary i magazyny zaopatrzeniowe. W jednym z okien dostrzegł ogromną piramidę paczkowanych daktyli, takich jakie lubił Nutbeem. Na etykietce widniały czerwone wielbłądy i komety – talizmany pustyni.

Do biura kapitana portu prowadziły zapiaszczone, drewniane schody.



Diddy Shovel, kapitan portu, patrzył, jak złoty deszczowiec wynurza się z wnętrza furgonetki, a potem Quoyle upuszcza swój notatnik na mokre kamienie. Sklasyfikował go jako silnego niezdare. Shovel słynął niegdyś ze swej ogromnej siły. W wieku dwudziestu lat założył dziwne bractwo o nazwie „Klub Palucha”. Klub liczył sobie siedmiu członków, którzy potrafili zawisnąć na małym palcu na krokwi sufitu w piwnicy Eddy’ego Blunta. Mieli krzepę. W miarę jak się starzał, kumulował swoją siłę, a potem zamienił ją w moc swojego tubalnego głosu. Teraz pozostał już jedynym żyjącym członkiem „Klubu Palucha”. Często wracał myślami do tamtych czasów.



Kilka chwil później Quoyłe otworzył drzwi, spojrział przez okna wysokie na dwanaście stóp. Właściwie była to szklana ściana, za którą rozciągał się port przesłonięty zacinającym deszczem, państwowe doki i falochrony, a za nimi ponura zatoka, głaskana pasmami mgły.

Rozległo się skrzypienie. Obrotowe krzesło okręciło się i okropna twarz kapitana portu zwróciła się w stronę Quoyłe'a.

– Powinieneś pan zobaczyć zatokę w czasie sztormu, kiedy z gór spływają lawiny chmur. Albo zachód słońca, przypominający stado ptaków w płomieniach. W całej Nowej Fundlandii nie znajdziesz podobnego okna. – Jego głos był niski jak krzyk w jaskini.

– Wierzę – odparł Quoyłe. Woda z jego płaszczu ściekała na podłogę. Znalazł w kącie pokoju haczyk na płaszcz.

Skóra Diddy'ego Shovela przypominała asfalt, spękany, porysowany i utwardzony przez pogody długiego życia – wiekowa skorupa. Przez pobrużdżoną skórę przebijała się szczecina zarostu. Powieki opadały w zewnętrznych kącikach oczu, tworząc ochronną zasłonę. Najeżone brwi. Rozszerzone pory sprawiały, że powierzchnia nosa przypominała papier ścierny. Szwy na ramionach kurtki miały dziwne nacięcia.

– Jestem Quoyłe. Nowy w redakcji „Pleciuchy”. Przyszedłem zebrać wiadomości do kroniki portowej. Chętnie wysłucham paru rad. Na temat kroniki. Wszelkich rad.

Kapitan portu odchrząknął, wstał i pokuśtykał za kontuar. Mężczyzna naśladuje aligatora, pomyślał Quoyłe. Chłodne światło padało z okna na obraz wielkości prześcieradła. Jakiś statek mknął w dół fali, za jej wypiętrzeniem tonął inny, mniejszy statek, zwrócony do patrzącego burzą. Po pokładzie biegali w panice ludzie, ich usta wykrzywiały paniczny strach.

Kapitan wyjął notes z luźnymi kartkami, które przewertował kciukiem, po czym podał go Quoyłe'owi. Na okładce widniał napis: PRZYJAZDY; zyski i straty, ładunki, przebyte odległości, zapachy tropików.

Podążył za wzrokiem Quoyłe'a.

– Świetny obraz! To „Queen Mary”, kiedy wpadła na swoją eskortę, „Curacoa”. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim. Dwadzieścia mil od brzegu Irlandii przy idealnej pogodzie i doskonałej widoczności. „Queen”, osiemdziesiąt jeden tysięcy ton, przebudowana z pasażerskiego liniowca na wojskowy transportowiec. I tylko czterysta pięćdziesiąt ton krążownika. Przecięła go na pół jak gotowaną marchewkę.

Quoyłe pisał nieustannie, dopóki nie zdrętwiała mu ręka. Dopiero wtedy zauważył, że przepisał nazwy statków, które już dawno przybyły do portu.

– Skąd mam wiedzieć, czy jakiś statek jest jeszcze w porcie?

Kapitan portu wyciągnął inną księgę. Okładka ze sklejki, na której wypalono chwiejnymi literami: ODJAZDY.

– Cha, cha, myślałem, że kapitan ma do dyspozycji komputer – powiedział Quoyłe. Zdaje się, że trzeba się nieźle napracować nad tymi księgami raportowymi.

Kapitan portu wskazał na wnękę za kontuarem. Ekran monitora miał kolor gotującego się mleka. Kapitan naciskał klawisze i wyskakiwały wypisane granatowymi literami nazwy statków, ich tonaż, właściciele, miejsce rejestracji, ładunki, daty przyplłynięcia i odpłynięcia, miejsca ostatniego postoju, miejsca kolejnego portu, daty wypłynięcia z portów macierzystych, składy osobowe załóg, nazwiska kapitanów, daty urodzenia, numery polis ubezpieczeniowych. Kapitan portu wcisnął kolejny klawisz i zaterkotała drukarka, papier opadał do plastikowego kosza. Oderwał poszczególne strony i wręczył je Quoyłe'owi. Ot i cała kronika portowa.

Szczelina uśmiechu ukazała sztuczne zęby aż do ich korzeni.

– Teraz pan zapamięta, że robimy to na dwa sposoby – powiedział. – Kiedy szaleje sztorm i nie ma prądu, otwiera się stare książki i jest wszystko. Napij się pan herbaty. Nie ma to jak filiżanka herbaty w taką pogodę.

– Chętnie – powiedział Quoye. Usiadł na brzegu krzesła. Strużki wody spływały po szybach.

– Złaź – nakazał kapitan portu, spychając z krzesła kota. Mamy tutaj niezłą kolekcję. Wysoki poziom wody w Omaloor Bay, prawie do linii brzegowej. Dwa lata temu rząd wsadził siedemnaście milionów dolarów w rozbudowę portu. Wyremontowali doki, wybudowali nowy terminal kontenerowy. W tym roku mamy przyjąć szesnaście liniowców. Nie zatrzymują się u nas na dłużej niż dzień lub dwa, ale jak już pasażerowie zejść na ląd, to nieźle szastają pieniędzmi.

– Jak długo pan się tym zajmuje?

– To zależy, co ma pan na myśli. Wyruszyłem na morze, kiedy miałem trzynaście lat, byłem marynarzem pokładowym na sześćdziesięcotonowym szkunerze żaglowym u mojego wujka, pływaliśmy po całym wybrzeżu. Tam okrzepłem. Och, żarcie było królewskie, ale robota ciężka. Potem łowiłem trochę u wybrzeży Belle Isle. Pracowałem też na przybrzeżnym promie. Służyłem w marynarce handlowej. W czasie drugiej wojny światowej byłem podporucznikiem w Kanadyjskiej Marynarce Wojennej. Po wojnie zaciągnąłem się do straży przybrzeżnej. Stanowisko kapitana portu w Killick-Claw objąłem w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku. Trzydzieści lat. W przyszłym roku idę na emeryturę. Dopiero siedemdziesiąt lat i już mnie wyrzucają. Mam zamiar nauczyć się grać na bandzo. Jeśli tylko uda mi się nie pozrywać wszystkich strun. Czasem nie zdaję sobie sprawy ze swojej siły. A pan? – Splótł palce i wykręcił dłonie tak, że stawy się wybrzuszyły. Wysunął mały palec podobny do buraka.

– Ja... Ja po prostu pracuję w gazecie.

– Wyglądasz pan, jakbyś stąd pochodził, ale jesteś inny.

– Moja rodzina pochodzi z Quoye's Point, ale ja wychowałem się w Stanach. Tak więc jestem obcy. Mniej więcej. – Dłoń Quoye'a pomknęła w stronę brody.

Kapitan portu przyglądał mu się uważnie.

– Tak – powiedział Diddy Shovel. – Tak, no to już wiesz coś niecoś, chłopcze. A jak to się stało, żeś się wychował tak daleko od domu? I że wróciłeś? – Jeszcze teraz mógłby niejednego zadziwić swoją siłą.

Quoye zagrzechotał filiżanką na spodku.

– Ja byłem... Ach, to skomplikowane. – Zamilkł. Uderzył piórem w notatnik. Zmienił temat. – A tamten statek – powiedział, wskazując. – Jak się nazywa?

Kapitan portu podniósł spod krzesła lornetkę i spojrzał na zatokę.

– „Polar Grinder”? Dobra sztuka. Przy pływa tutaj regularnie po ryby i ikrę jeżowca dla japońskich smakoszy. Statek chłodnia zbudowany w Kopenhadze dla Northern Delicacies w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym lub siedemdziesiątym pierwszym roku. Widziałeś kiedy, jak pakują w przetwórnicy ikrę jeżowca?

– Nie. – Quoye pomyślał o zielonych poduszczykach w rozlewiskach pływowych.

– Piękne! Piękne. Wyobraź sobie drewniane tace ładownicze. Japońce uważają ikrę za wielki przysmak, płacą sto dolarów za tacę. Układają je w najróżniejsze desenie. Nazywają je umi. Jedzą na surowo. Można je dostać w barach sushi w Montrealu. Próbowałem. Próbowałem wszystkiego. Bizon. Mrówki w czekoladzie. Surowa ikra jeżowca. Mój żołądek wytrzyma wszystko.

Quoye wypił łyk herbaty, czując lekkie mdłości.

– Masz. Sam zobacz. Gruszkowata nasada dziobu. Takie zaczynali wprowadzać, gdy go budowali. Ma swój statek bliźniaczy, „Arctic Incisor”. Statek chłodnia, cztery ładownie, izolowane kabiny. Sterownia na śródkręciu, najnowsze elektroniczne wyposażenie. Bardzo zautomatyzowany jak na swoje czasy. Po wypadku podczas sztormu wyposażono go w nowy sprzęt nawigacyjny, nowe elektroniczne wskaźniki temperatur, które można odczytywać z mostku. Kiedy go budowano, modne były skandynawskie meble. Szło na nie całe drewno

tekowe. Pamiętasz tę piosenkę *Norwegian Wood*? – Zaśpiewał kilka linijek grzmiącym basem. – „Polar Grinder” wyposażono w pokostowane tekowe meble. Zamiast basenu zrobili saunę. Bardziej się przydaje na tych wodach, co? A na ścianach malowidła przedstawiające biegi narciarskie, renifery, zorze polarne i takie tam. Pewnie słyszałeś o tym statku.

– Nie. Jest z czegoś znany?

– To on właśnie poróżnił ojca i syna, Jacka i jego najmłodszego syna, Dennisa.

– Dennisa – powtórzył Quoye. – Dennis ma naprawiać nasz stary dom. Na Quoye’s Point.

– Może i byłem w tym domu – powiedział Diddy Shovel obojętnym głosem. – Jako chłopiec. Dawno, bardzo dawno temu. Dennis, tak, dobry z niego cieśla. Lepszy cieśla niż rybak. A i Jackowi lżej, szczególnie po tym, co się przydarzyło Buggitom na morzu. Jack okropnie boi się morza, chociaż tyle czasu spędza na wodzie. Nie chciał, żeby jego chłopcy zostali rybakami. A oni, oczywiście, obaj wariowali na punkcie łowienia. Jack tłumaczył im, że to ciężkie życie, z którego nic nie ma poza biedą i zrujnowanym zdrowiem. No i wciąż istnieje niebezpieczeństwo, że któregoś dnia znajdziesz się sam pod cholernie zimnym lodem. To właśnie przytrafiło się jego najstarszemu chłopakowi, Jessonowi. Statek naładowany rybami pokrył się lodem przy Baggy Banks i przewrócił się, gdy pogoda się zepsuła. Przepowiadali bardzo silny wiatr, a w rzeczywistości zerwał się sztorm. Na brzegu straszliwa srebrzysta szklanka, im piękniejsza, tym bardziej niebezpieczna. Napij się jeszcze herbaty. – Nalał Quoye’owi czarnej herbaty, od której język zupełnie mu zeszywniał. – Dennis idzie więc na ucznia do znanego cieśli z St. John’s, Briana Corkeryego, tak się chyba nazywał, i uczy się u niego gruntownie fachu. A co robi potem? Zauważ, że to była jego pierwsza robota. Zaciąga się na „Polar Grinder” jako cieśla okrętowy! Statek popłynął kilka razy z prowincji nadmorskich do Europy, dwukrotnie do Japonii, wzdłuż wybrzeża do Nowego Jorku. Dennis, oczywiście, ma takiego samego bzika na punkcie morza, jakiego ma Jack i miał Jesson. Wciąż myśli o łowieniu. Ale Jack nie chce nawet o tym słyszeć. Ależ on się potrafił wściekać. Myślał, że Dennis jako cieśla będzie bezpieczny na lądzie. Bał się, widzisz, bardzo bał się o niego. A jak się czegoś boimy, to często złościmy się na to. Jack miał rację. Widzisz, on wie, że morze wycisnęło swoje piętno na wszystkich Buggitach.

I tak nadszedł kiedyś jeden z tych zimowych sztormów. Pech chciał, że złapał „Polar Grinder”. Jakieś dwieście mil na południowy wschód od St. John’s. Okrutny grudniowy sztorm. Zimno, fale na czterdzieści stóp, wiatr o sile huraganu wieje? szybkością pięćdziesięciu węzłów. Byłeś pan kiedyś na morzu w czasie sztormu, Quoye?

– Nie – powiedział Quoye. – I nie chcę być.

– Tego się nie zapomina. Po czymś takim zawsze już, słuchając wiatru, słyszysz to zawodzenie jakby z zaświatów, jęki statku, widzisz góry wody z wierzchołkami pokrytymi pianą. Wystarczy zwykły sztorm, ale to był środek zimy i panowało przeraźliwe zimno, na olinowaniu gromadził się lód, aż zebrało się go mnóstwo, tysiące funtów. Sypał tak gęsty śnieg, że za oknem widać było tylko białą kotłowanąinę. Nie widziałem nawet ulicy na dole. Ściany domów od północnego zachodu pokryła gruba na stopę skorupa twardego jak stal śniegu.

Filiżanka w dłoni Quoye’a stawała się coraz chłodniejsza. Słuchał. Starzec zgarbił się, słowa z sykiem wydostawały się z jego ust. Przeszłość wypływała z ich ciemnej czeluści.

– Statki szukały bezpiecznych portów. Na całym północnym Atlantyku od prowincji nadmorskich po Europę rozlegało się wołanie o pomoc. Tankowiec z substancjami chemicznymi stracił mostek, a z nim kapitana. Towarowiec pełen rudy żelaza poszedł na dno z całą załogą. Bułgarski trawler rufowy złamał się na pół, wszyscy poszli na dno. Statki w porcie ciągnęły za sobą kotwice i zderzały się. Paskudny sztorm. Nie sposób było znaleźć bezpiecznego kąta. „Polar Grinder” przeszedł piekło. Ogromne fale. Kapitan próbował utrzymać szybkość sterowną i ślizgać się na fali. Och, namów kiedyś Dennisa, żeby ci o tym

opowiedział. Włosy staną ci dęba, jak usłyszysz, przez co ten statek przeszedł. Woda zniszczyła okna sterówki. Miotani potężnymi falami przez całą noc myśleli jedynie o tym, czy wytrzymają do rana. I dotrwali. Dzień przyniósł tylko tyle, że widzieli spadające na nich straszne fale, widzieli tam rozwścieczony żywioł.

Wczesnym rankiem nadeszła fala, ogromna ściana wody, wydawało się, że niesie ze sobą pół Atlantyku, a potem nastąpił przerażający wybuch. Dennis opowiadał, że pomyślał wtedy, iż uderzyli w górę lodową albo że coś wybuchło na pokładzie. Powiedział, że wręcz ogłuchł na jakiś czas. Ale to była tylko ta fala, która spadła na statek. Pod jej ciężarem stalowy kadłub pękł w śródkreściu, pęknięcie szerokie na cal od prawej burty do lewej. Miotali się jak wściekli, usiłowali załatać szczelinę, rozrabiali cement, próbowali stempli, wszystkiego, co mogło zatrzymać wodę, ale ona bez przerwy wlewała się do ładowni. Chodzili po pas w wodzie. – Pociągnął łyk herbaty. Wreszcie ogromne fale i tony wlewającej się wody przewróciły statek. Wydawało się, że pójdzie na dno, dlatego kapitan dał sygnał do opuszczenia statku. Wyobraź sobie te łupinki ratunkowe w taki sztorm! Stracili dwudziestu siedmiu ludzi. Na końcu jednak wydarzyły się dwie dziwne rzeczy. Po pierwsze, „Polar Grinder”, jak widzisz, nie zatonął. Unosił się na burcie. Kiedy kapitan zobaczył, że statek nie tonie, wrócił na pokład. Następnego dnia holownik ratowniczy przyholował ich do portu.

– A Dennis?

W tej chwili zadzwonił telefon i starzec, trzeszcząc stawami, odszedł do kabiny nawigacyjnej. Grzmiącym głosem mówił coś do słuchawki. Po chwili stanął w drzwiach.

– No cóż, muszę się streszczać. Złapali rosyjski trawler burtowy w dwustumilowym pasie. Nie mają licencji i używają złych sieci. Już drugi raz ten sam statek i ten sam kapitan. Eskortuje go straż przybrzeżna. Będę miał trochę papierkowej roboty. Przyjedź na herbatę w przyszłym tygodniu.



Quoyale szedł nabrzeżem, wyciągając szyję, by jeszcze raz zerknąć na „Polar Grinder”, lecz deszcz przesłaniał mu widok. Mężczyzna ubrany w marynarską kurtkę i sandały ze sztucznego tworzywa wpatrywał się w gumowe buty umieszczone na wystawie Składu Morskiego Cuddy’ego. Przemoczony, czerwone palce u nóg. Powiedział coś do przechodzącego Quoyale’a. Sklep monopolowy, sklep z żelaznym sprzętem marynarskim. Taklowiec płynął wolno do przetwórci ryb, postać w żółtej kurtce sztormowej stała oparta o reling, wpatrzona w pomarszczoną wodę koloru oleju silnikowego.

Na końcu nabrzeża skrzynie, zapach śmieci. Obok skrzyń nieduża łódź wyciągnięta na brzeg, a przy niej tabliczka: „Na sprzedaż”. Quoyale spojrzął na łódź. Deszcz spływał z jej odwróconego dna i bębnił o kamienie.

– Możesz ją mieć za setkę. – W drzwiach stał mężczyzna z rękoma w kieszeniach. – Mój chłopak ją zbudował, ale wyjechał. Wygrał pięćset dolarów na loterii. Pożeglował na stały ład. Tam mieszkają wśród węży. – Zachichotał. – Pojechał szukać pieprzonej fortuny.

– Nie wiem, tak tylko patrzyłem. – Sto dolarów wydawało mu się niezbyt wygórowaną sumą za łódź. Wyglądała nieźle. Dość solidnie. Biało-szara. Chyba nowa. Coś tu musi być nie tak. Quoyale uderzył zaciśniętą pięścią w burtę łodzi.

– Posłuchaj – odezwał się mężczyzna. – Dasz pięćdziesiąt i jest twoja.

– Przecieką? – spytał Quoyale.

– Nie! Ani trochę. Solidnie zbudowana. Chłopak ją zbudował, ale wyjechał. No i dobrze, nie będę płakał. Widzisz, nie chcę na nią patrzeć. Miałem ją spalić – dodał przebiegle, spoglądając uważnie na Quoyale’a. – Żeby nie musiał już na nią patrzeć. Przypomina mi chłopaka.

– Nie, nie pal jej – powiedział Quoye. – Pięćdziesiąt to chyba nie przepłacam, co? – Wyjął pięćdziesiąt dolarów i nabazgrał dowód kupna na odwrocie koperty. Zauważył, że kurtka mężczyzny zrobiona jest z jakiegoś porowatego materiału, podarta i poplamiona na dole.

– Masz przyczepę? – Mężczyzna wskazał na łódź i zatoczył dłonią, naśladując obracające się koło.

– Nie. No właśnie, jak ją zabiorę do domu?

– Możesz wypożyczyć u Cuddy’ego, jeśli nie przeszkadzają ci jego cholerne ceny. Albo możemy ją przywiązać na budę twojej ciężarówki.

– Nie mam ciężarówki – odparł Quoye. – Jeżdżę furgonetką. – Nigdy nie miał tego, co w danej chwili było mu potrzebne.

– No to wystarczy, jest wystarczająco długa. Tylko żebyś nie jechał za szybko. Będzie ci trochę zwiślała z przodu i z tyłu.

– Jak wy nazywacie takie łodzie?

– Ach, to po prostu motorówka. Założysz jej silnik i będziesz miał niezłą frajdę! – Mężczyzna stawał się coraz bardziej ożywiony. – Ta chlapa niedługo się skończy.

Ostatecznie jednak Quoye wynajął przyczepę i razem z mężczyzną i kilkoma innymi – którzy śmiali się i poklepywali tamtego po ramieniu w sposób, który Quoye starał się ignorować – umieścili na niej łódź. Pojechał z powrotem do „Pleciuchy”. A co tam, do cholery, pięćdziesiąt dolarów ledwie starczało na kolację dla czterech osób. Płachty deszczu przelatywały w poprzek drogi. Łódź kołysała się jak na falach.

Wtedy ją zobaczył. Wysoka kobieta w zielonym deszczowcu. Szła skrajem drogi, jak zwykle, z kapturem odrzuconym do tyłu. Spokojna, nieomal piękna twarz, rudawe włosy zaplecione w warkocze, zwinięte wokół głowy w staroświecką koronę. Włosy miała mokre. Była sama. Spojrzała na niego. Pomachali do siebie w tej samej chwili, a Quoye pomyślał, że ona musi mieć nogi maratończyka.



Wszedł wolno do pokoju redakcyjnego i usiadł przy swoim biurku. Byli tam tylko Nutbeem i Tert Card; Nutbeem drzemał z uchem przy radiu, uśpiony niskim ciśnieniem, Card rozmawiał przez telefon, jednocześnie wystukując coś na komputerze. Quoye chciał coś powiedzieć do Nutbeema, lecz zrezygnował. Zabrał się do kroniki portowej. Nudna robota, pomyślał.

W tym tygodniu do portu przybyły następujące statki:

- „Bella” (Kanada) z łowisk
- „Farewell” (Kanada) z Montrealu
- „Foxfire” (Kanada) z Bay Misery
- „Minatu Maru 54” (Japonia) z łowisk
- „Pescamesca” (Portugalia) z łowisk
- „Porto Santo” (Panama) z pełnego morza
- „Zhok” (Rosja) z łowisk
- „Ziggurat Zap” (USA) z łowisk

I tak dalej.

O czwartej Quoye wręczył arkusz z kroniką portową Tertowi Cardowi, którego wilgotne ucho wciąż trwało przyklejone do słuchawki telefonu ułożonej na uniesionym ramieniu, podczas gdy on pisał. Znowu dokuczał mu ból w karku.

Na zewnątrz trzasnęły drzwi samochodu, rozległ się śpiewny głos Billy'ego Pretty'ego. Rozbudzony Nutbeem kłapnął szczęką.

– A oto pan Jack Buggit oraz Billy Pretty wracający z oględzin samochodowego wraku. Zderzenie z łosiem podczas twojej nieobecności, Quoye. Dwie osoby zginęły. Łoś też.

Znowu mi się udało, pomyślał Quoye.

– Mam nadzieję, że wszystko porządnie obfotografowali, żebyśmy mogli zapełnić luki w informacjach – powiedział Tert Card, który przepisywał kronikę portową Quoye'a.

Mijały minuty, a drzwi wciąż pozostawały zamknięte. Głos Billy'ego umilkł już jakiś czas temu. Quoye wiedział, że oglądają łódź. A co, poszedł na całego. Uśmiechnął się, układając w myślach opowieść o tym, jak to zdecydował się kupić łódź w jednej chwili, żeby z tym wszystkim skończyć, jak czuł się nieomal przemieniony, gotowy wyruszyć w morze, zanurzyć się w swoje dziedzictwo.

Otworzyły się drzwi. Billy Pretty wszedł szybko i nie patrząc na Quoye'a, skierował się do swojego biurka. Jack Buggit z włosami zroszonymi kroplami deszczu przeszedł przez środek pokoju, zatrzymał się przed biurkiem Quoye'a i wypuszczając kłęb dymu, syknął:

– Po jaką cholere kupiłeś to próchno?

– Jak to, przecież wszyscy mnie namawiali, żebym kupił sobie łódź! Ta wyglądała równie dobrze jak inne. Nie była droga. Teraz będę mógł się poruszać o wiele szybciej. To jest motorówka.

– To jest gównorówka! – powiedział Jack Buggit. – Najlepsze, co możesz zrobić, to pozbyć się jej którejs nocy. – Zatrzasnął drzwi, wchodząc do swojego oszklonego biura, skąd dochodziły potem jego pomruki, odgłosy zapalania zapalek, zamykania i otwierania szuflad w biurku. Nutbeem i Tert Card podeszli do drzwi i wyjrżeli na zewnątrz, by obejrzeć łódź Quoye'a.

– Co w tym złego? – spytał Quoye, rozkładając ręce. – No co? Wszyscy mnie namawiają, żebym kupił łódź, a kiedy już ją kupuję, to twierdzą, że źle zrobiłem.

– Mówiłem ci – odezwał się Billy Pretty. – Mówiłem ci, żebyś kupił ładniutką, małą szesnastostopową rodney z silnikiem o mocy siedmiu koni, z ładniutkim, małym kadłubem, który dobrze trzyma się wody, z dobrym wychyłem, niezbyt wysmukłą, malutką łódkę, która dobrze niesie pod dziobem. A ty kupiłeś jakąś cholerną pokrakę, która może da radę odpłynąć od brzegu na dziesięć stóp, i to w dobrą pogodę. Jest garbata jak krótka fala, nie ma miejsca na silnik, kształtem przypomina nie wiadomo co, będzie się gibała i nabierała wody, będzie stawała dęba i w końcu zatonie.

Nutbeem nic nie powiedział, lecz spojrział na Quoye'a w taki sposób, jakby rozpakowując prezent, znalazł w nim nylonowe skarpety. Billy Pretty jeszcze nie skończył.

– Tę łódź zbudował durnowaty dzieciak, dzieciak Reedera Goucha, który uciekł jakiś miesiąc po tym, jak ją zbudował. Nie miał za grosz pojęcia o budowaniu łodzi. Aż żal patrzeć na nią, że nie wspomnę już o tym, że do niczego się nie nadaje. Jak ktoś mógł zbudować łódź ze stewą z odwrotnym wygięciem? Nie widziałem jeszcze łodzi z taką dziobnicą. Tutaj takich nie robią. Reeder mówił, że chce ją spalić. Szkoda, że tego nie zrobił. Mówiłem ci, żebyś kupił malutką rodney, tego ci trzeba. Albo mały szkuner z silnikiem. Albo dobrą motorówkę. To coś powinienes załadować kamieniami i opuścić na dno. Jedź do Nunny Bag Cove i pogadaj tam z facetami. Pogadaj z wujem Shagiem Dismalem i Ahdnem Yarkiem. Zamów u któregoś przyzwoitą małą łajbę. Oni zbudują łódź, która będzie pasowała do wody i będzie miała odrobinę harmonii między dziobem i rufą.

Dudnienie deszczu. „Głupiec po raz kolejny popełnia głupstwo”.

## Podróż morska Nutbeema

Podróż morska to przeprawienie się z domu i z powrotem; chociaż przepłynięcie z jednego portu do innego także jest często traktowane przez towarzystwa ubezpieczeniowe jako podróż morska.

*Słownik morski*

Quoyłe wszedł do pokoju i zastał w nim ciotkę ubraną w wełniany płaszcz. Z profilu przypominała blaszaną sylwetkę ze szklanym okiem. Na podłodze pod oknem leżało białe zawiniątko. Owinięte w prześcieradło z łóżka i związane plecionym sznurkiem.

– Gdzie są dzieciaki? – spytał Quoyłe. – Co to jest?

– Zostały u Dennisa i Beety. Uznałam, że tam będzie im lepiej. Po doświadczeniach dzisiejszego ranka. – Wskazała na zawiniątko. – Warren. Zdechła dzisiaj pod łóżkiem. Tylko łapy wystawały. Zupełnie sama. Przyszłam i znalazłam ją. – Nie płakała. Mówiła spokojnym głosem. Quoyłe poklepał jej czarne ramię; poczuł sztywne watowanie. Na rękawie sierść psa. Ciotka sprawiała wrażenie, jakby chciała się schować głęboko w swoim płaszczu. – Dziewczynkom podoba się u Beety. Grają w kolory z ich dziećmi. Buggitowie mają dzieci w tym samym wieku. Błagały, żeby Sunshine i Bunny zostały u nich. Pomyślałam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu. Zastanawiałam się. Powiedziałam im, że Warren musiała odejść. Ale chyba nie wiedziały, co mam na myśli. Sunshine jest za mała, ale Bunny chciała wiedzieć dokładnie, kiedy Warren wróci. Ty im to chyba lepiej wytłumaczysz. – Jej głos brzmiał, jakby recytowała alfabet, coś pomiędzy jękiem i milczeniem.

– Biedna, stara Warren. Tak mi przykro, ciociu.

Rzeczywiście było mu przykro. Opadł na krzesło i otworzył butelkę piwa. Pomyślał o dręczących Bunny koszarach, które sprawiały, że wszystkich budziła; złana potem, źrenice czarne jak atrament Billy'ego. Miał nadzieję, że nie obudzi w nocy Dennisa i Beety.

– A co Dennis powiedział na temat naprawy domu? – spytał znużony.

– No cóż – odrzekła ciotka, wieszając płaszcz i ściągając buty. – Mówi, że gdyby miał kogoś do pomocy, to w ciągu dwóch tygodni moglibyśmy się wprowadzić, żeby mieć dach nad głową. Tak, tak, wyobraź sobie. W tej sytuacji przycisnęłam recepcjonistę, żeby dał nam ten słynny apartament małżeński – wskazała na jedną ze ścian – dopóki tutaj pozostaniemy. Możemy też zatrzymać ten pokój za starą cenę. Spójrz. – Otworzyła drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, w którym znajdowało się jedno łóżko i kuchenna wnęka. – Możesz spać tutaj. Ja zostanę tam z dziewczynkami. Będziemy mieli chociaż trochę więcej miejsca i spokoju. Rano będzie można zaparzyć kawę i zrobić coś do jedzenia, zamiast narażać nasze wnętrzności w jadalni na dole. Kupię jutro coś dojedzenia. Wyjęła butelkę whisky i naląła sobie trochę. – A wracając do młodego Dennisa i jego pracy w naszym domu. Mówi, że pójdzie szybciej, jeśli pomożesz mu w weekendy. Będzie ciężko, ale damy radę. Nie może być gorzej niż tutaj. Dalsze prace potrważą do końca jesieni. Jego zdaniem przydałaby nam się prądnicą, piec gazowy i kilka butli z propanem. Może skontaktować się z facetem od

buldożera, żeby wyrównał drogę z domu do starej fabryki rękawiczek. Twierdzi, że może to zrobić nawet jutro, jeśli nas na to stać. Powiedziałam, że tak, bo nie mamy wyjścia. Ale przede wszystkim trzeba zacząć od zbudowania choćby prowizorycznej przystani, żeby Dennis mógł przyplwać i odpływać, żeby miał jak transportować materiały budowlane. Zna faceta, zapomniałam, jak się nazywa, który budował przystanie na całym wybrzeżu. Jest już na emeryturze, ale z taką robotą uporałby się w kilka dni, gdyby miał ludzi do pomocy przy cięższych pracach. Dennis mówi, że byłoby o wiele szybciej łodzią, zamiast jeździć dookoła.

Quoyłe przytaknął jej, lecz jego twarz pozostała obojętna.

Ciotka westchnęła. Pomyślała, że gdyby potrafiła zedrzeć swoje stare ciało aż do młodych kości, to sama by wszystko zrobiła. Potrafiłaby uporać się z nową pracą, nauczyć się pływać łodzią, odbudować dom i zapomnieć o stracie drugiej osoby, która ją oszukiwała. Wyciągnęła plik kartek pokrytych szkicami i długimi kolumnami liczb i rozłożyła je na stole. Grube palce, obcięte prosto paznokcie.

– Szkoda, że nie mogę znaleźć mojego kalkulatora – powiedziała. – Dennis wciąż coś oblicza, dodaje po trzy razy, gubi się w tym. Zdaje się, że ja też już nie potrafię dodawać. A mówią, że człowiek nigdy się nie zestarzeje, jeśli będzie liczył coś dziesięć razy dziennie. W takim razie bankierzy powinni być geniuszami, a wcale tak nie jest. To największe matoly na świecie.

Quoyłe obrócił swoje krzesło, udając zainteresowanie. „Mężczyzna okazuje obojętność wobec zagadnienia drogi prowadzącej na cypel, do jego rodowej siedziby”.

– Największy problem to ocieplenie domu. Jak już się wprowadzimy, nie będzie można całkowicie zerwać tynku z listwami. Za dużo pyłu. Ale on wymyślił coś innego. Powiedział, że można by wbić nowe kołki w ściany, potem dać izolację i założyć na nią okładzinę. Mielibyśmy podwójne ściany. Szczególnie, że nie chcę na zewnątrz tego paskudztwa z winylu. „Och, powiedział. Ta winylowa oblicówka daje dużo ciepła, nie trzeba jej malować, można kupić na raty”. A ja mu na to: „Nie chciałabym tym obić nawet własnej trumny”.

Dwoma łykami wypija swoją whisky, pobrzękując jedną kostką lodu. Quoyłe za zdziwieniem zobaczył, że jeszcze sobie nalewa. Straciła swego starego psa.

– Co masz zamiar zrobić z Warren?

– Nie ma sensu próbować jej grzebać – powiedziała. – Tutaj jest wszędzie skała. Chciałabym zabrać ją na morze i urządzić jej morski pogrzeb. Wiesz, taka krótka ceremonia, kilka słów. Pomyślałam, że przejadę się wybrzeżem i poszukam odpowiedniego miejsca. Oddam ją falom. Biedna Warren. Nie zdążyła zaznać tutaj szczęścia. Nie zdążyła zakosztować prawdziwego spaceru, porządnego spaceru brzegiem morza. Psy to uwielbiają.

– Kupiłem dzisiaj łódź. Szkoda, że nie mam silnika. Moglibyśmy zabrać Warren na morze. Gdybym tylko wiedział, jak się pływa łodzią.

– Nie!

– Tak. Ale Jack Buggit twierdzi, że to szmelc. Zważywszy jednak, ile za nią zapłaciłem, można powiedzieć, że facet mi ją podarował. Pięćdziesiąt dolarów. To znaczy, chciałem powiedzieć, że nawet jeśli nie jest najlepsza, to była przynajmniej bardzo tania. Wynająłem przyczepę. Teraz muszę postarać się o silnik. Mogę się na niej uczyć pływać.

Ciotka zerknęła przez okno na parking.

– Stąd nie widać – powiedziała. – Ale dobrze zrobiłeś. Może popłyniesz kilka razy z Dennisem i przyjrzyj się, jak to się robi.

– Słyszałem dzisiaj historię Dennisa, a przynajmniej jej część.

Rozległo się pukanie do drzwi, dziwnie rytmiczne pukanie.

Znowu to samo niespokojne bębnienie, jakby perkusista uderzał palcami w napiętą skórę bębna. Gdzie on to słyszał? Ach tak, Nutbeem.

– Witam, witam – odezwał się Nutbeem.



Jego długie nogi przypominały rozwierające się i zamykające nożyczki, gdy szedł przez pokój, by uścisnąć dłoń ciotki i wręczyć jej butelkę *vin du France réserve de Terre Neuve*. Uścisnął też dłoń Quoyle'a i rozejrzał się uśmiechnięty, jakby podziwiał nowe widoki. Usiadł na krześle stojącym najbliżej Warren; jego zgięte kolana znalazły się całkiem blisko ramion. Zerknął na zawiniątko.

– Pomyślałem sobie, że zajrzę – powiedział. – Opowiem ci do końca o mojej łodzi. W redakcji nie da się pogadać. Mam na zbyciu węzłówkę, dam ci do twojej łodzi. Stary Buggit wściekł się, jak ją zobaczył, ale może ci się przydać. Tylko bądź ostrożny. Z nikim innym nie mogę tutaj pogadać. Nie gadałem z nikim od czasu mojego przyjazdu. Osiem miesięcy. Przez osiem miesięcy nie zamieniłem z nikim cywilizowanego słowa. Dlatego pomyślałem sobie, że wpadnę po kolacji, żeby poznać pannę, panią...

– Hamm – odpowiedziała ciotka. – Agnis Hamm.

– Jest mi bardzo miło, pani Hamm. Wie pani, jedną z tragedii prawdziwego życia jest to, że nie ma ono muzycznego tła. Przyniosłem ze sobą kilka taśm. Trochę jemeńskiego blaszanego bębnienia, trochę algierskiej raj, tacy tam artyści. To na wypadek, gdybyście mieli magnetofon. Nie? Niezła tu speluna, co? No cóż, musicie kiedyś mnie odwiedzić i posłuchać. Chociaż u mnie trochę ciasno. Mieszkam w przyczepie. Ale sami się przekonacie. Muszę was zaprosić na jedno z moich curry. Mam nawet taśmy z miejscowymi nagraniami. We Fly-By-Night, tam zostałem wyrzucony na brzeg, nagrałem takiego dziwnego typka, jest ekspertem od, jak oni to nazywają, mruczanki, żadnych instrumentów, po prostu wybiera melodię i wypuszcza nosem te niewiarygodne strumienie nonsensownych sylab. Zupełnie jak na giełdzie tytoniowej: „Łubi-dubi dubi-dubi-łubi-dubi dybi-o!”

Ciotka wstała.

– Panowie, miałam dzisiaj trudny dzień i umieram z głodu. Co byście powiedzieli na to, żebyśmy zeszli do jedynej w swoim rodzaju jadalni Tickle Motel na solidną porcję dorszowego kuperka? Panie Nutbeem? – Zastanawiała się, czy ma taki spłaszczony nos od urodzenia, czy też ktoś mu go spłaszczył.

– Och, właściwie to jadłem już kolację. Curry. Ale chętnie zejdę z wami. Wy zajmiecie się jedzeniem, a ja gadaniem. No, może wypiję piwo.

Quoyle zamówił smażoną kiełbasę z wieprzowego, wołowego i cielęcego mięsa. Była to jedyna pozycja z menu, której jeszcze nie próbował, a która, jak się domyślał, musiała być miejscową specjalnością, gdyż co wieczór obserwował, jak goście przy sąsiednich stolikach pochłaniają łączywie jej ogromne porcje. Kelnerka przyniosła talerz z górą kiełbasianych zwojów, a także frytki, sos, rzepę i fasolę szparagową z puszkii – wszystko podgrzane w kuchence mikrofalowej. Czuć było głównie ciepło buchające od skwierczącej jeszcze kiełbasy oraz nadmierną ilość soli. Ciotka oparła głowę na dłoni; sprawiała wrażenie, że słucha Nutbeema.

– Tak więc włóczyłem się po przystaniach, zaglądałem do pubów, w których przesiadywali ludzie zajmujący się budowaniem łodzi, popijałem piwo, słuchając, czasem zadając kilka pytań. Pamiętajcie, że nie miałem pojęcia o łodziach, nigdy nie zbudowałem niczego poza półką na toster mojego wuja, nigdy wcześniej nie żeglowałem, nigdy nie wyruszyłem w morską podróż. Zawsze podróżowałem samolotami. Ale słuchałem uważnie i planowałem swoją eskapadę. Myśl o niej nie dawała mi spokoju.

Wreszcie wyglówkowałem coś, co sam potrafiłbym zbudować i co utrzymałoby się na wodzie. Wymyśliłem zmodyfikowaną wersję chińskiej dżonki zbudowanej ze sklejki, z usztywnionym ożaglowaniem lądowym. Mówię wam, Chińczycy zdążyli więcej zapomnieć o żeglarstwie, niż cała reszta świata kiedykolwiek o nim wiedziała. To oni wynaleźli kompas, wodoszczelne kabiny, ster rufowy, a przede wszystkim najlepszy w świecie żagiel. Dżonki to bardzo stare łodzie, znane są już od ponad pięciu tysięcy lat. Doskonale się nadają do długich morskich podróży. Zawsze miałem bzika na punkcie chińskich poetów.

– Nieźle posolone – powiedział Quoyle nieśmiało do kelnerki. – Chyba wypiję szklaneczkę piwa, gdyby pani tak zechciała przy okazji.

Ciotka pochyliła czerwoną twarz; zmarszczki wokół jej ust przypominały kleszcze. Nie sposób było powiedzieć, czy słucha Nutbeema, czy może wznosi się nad Himalajami.

Nutbeem wypił do końca swojego lagera i podniósł dłoń, prosząc stojącą obok kelnerkę o kolejną szklanekę.

– Przez cały czas zajmowałem się pisaniem recenzji książek dla niezwykle wysublimowanego czasopisma zajmującego się krytyką zrozumiąłą jedynie dla wydawców. Straszne tłuki. I tak, żerując na moim wuju i żyjąc na cienkich zupkach, udało mi się zaoszczędzić tyle pieniędzy, bym mógł wynająć konstruktora, który wyrysował mi dżonkę na tyle prostą, żebym mógł ją zbudować w domu z półcalowej żeglarskiej sklejki. Ach, pani Hamm, szkoda, że jej pani nie widziała, kiedy już skończyłem robotę. Była brzydka. Ordynarna i brzydka, długa na dwadzieścia osiem stóp, osiem stóp zanurzenia i tylko jeden żagiel, ale za to o powierzchni trzystu pięćdziesięciu stóp kwadratowych. Na rufie ster z lotką. Była powolna i ciężka. I bardzo brzydka. Zbrzydła jeszcze bardziej, kiedy pomalowałem ją na szarobrazowo. Zamiast materaca kawałek styropianu, śpiwór. Pudła posłużyły mi za stół i krzesła. To było to. Początkowo chlapałem się tylko przy brzegu. Byłem zdumiony, jak mi było na niej wygodnie, jak dobrze dawało się nią manewrować. Żagiel okazał się istnym cudem. Muszę wam opowiedzieć, jak go zdobyłem.

Ciotka wypiała herbatę, obróciła dzbanek i nalała sobie jeszcze pół filiżanki. Teraz już nie można było powstrzymać Nutbeema, który zupełnie zatracił się w swojej opowieści.

– Widzicie, mój przyjaciel, który pracował w Sotheby's, wspomniał któregoś dnia, że będą mieli wyprzedaż marynarskich i żeglarskich ciekawostek. Poszedłem tam z czystej ciekawości. I rzeczywiście, czego tam nie było: ozdoby z kłów morsów, tabliczka informacyjna z jednej z łodzi ratunkowych „Titanica”, polinezyjskie mapy morskie ręcznie robione i inne stare mapy. W katalogu znalazłem tylko jeden przedmiot, który mnie zainteresował, a był to zupełnie dobry, wzmocniony bambusem żagiel dżonki z Makau. Zapłaciłem za niego mniej niż za nowy. Cudowne zrządzenie losu. Później dopiero przekonałem się, jakim aerodynamicznym cudem jest półsftywny żagiel. Tworzy coś jakby płaską krzywą. A to tylko trzcinowe albo płócienne płachetki wzmocnione poziomymi listwami działa mniej więcej jak wachlarz, który zwijas i otwierasz do góry. Usztywnione płaty pozwalają bardzo łatwo nim manewrować, w kilka sekund refujesz albo zwijas żagiel. Żadnych sztagów ani want. Małe płaty pozwalają ci doskonale regulować trym. Mówią, że taki żagiel pociągnie nawet wtedy, gdy będzie dziurawy. Chińczycy nazywają go „uchem, które nasłuchuje wiatru”. Dawniej bywało, że rozbitkowie z dżonek zwijali trzcinowy żagiel i używali go jako tratwy ratunkowej. Mój żagiel też był dobry.

I tak wyruszyłem tamtego lata. Popłynąłem przez Atlantyck. Widzicie, człowiek dochodzi do takiego punktu, w którym po prostu musi iść naprzód. Żywiłem się tymi orientalnymi kluskami z malutkich paczuszek, suszonymi grzybami i krewetkami. Miałem maleńką kuchenkę wielkości filiżanki do herbaty. Na pewno taką widzieliście. W sześćdziesiąt siedem dni dotarłem do Fly-By-Night. Mam nadzieję opłynąć świat.

– Ale wciąż jest pan tutaj. Oszczędza pan pieniądze na kolejne etapy? – spytała ciotka.

– Ach, to też, a poza tym kończę poważne naprawy. Planowałem dotrzeć do Montrealu Rzeką Świętego Wawrzyńca, ale trafiłem na sztorm i zwiąło mnie z kursu. Nie planowałem płynąć do Nowej Fundlandii. Nic na to nie mogłem poradzić. Miałem pecha i trafiłem na najgorszy odcinek wybrzeża. Paskudne skały. Biedna „Borogove”, przepłynęła taki kawał, a roztrzaskała sobie dno we Fly-By-Night. Bardzo dziwne miejsce. Tam właśnie słyszałem tego chłopaka od mruczanek.

– Pójdę zająć się Warren – odezwał się cicho Quoyle do ciotki. Zauważył, że zwinęła swoją serwetkę w biały pasek.

– Nie, nie. Zostań z panem Nutbeemem. Ja to zrobię. Wolę być sama. – Wstała i wyszła.

– Zdechł jej pies – wyjaśnił Quoyale.

Nutbeem dał znak kelnerce, by przyniosła kolejne piwo.

– Teraz ja stawiam – powiedział i wziął głęboki oddech, jednak zanim zaczął opowiadać o Fly-By-Night, Quoyale zdążył go uprzedzić.

– Słyszałem coś niecoś o przygodach Dennisa Buggita na „Polar Grinder”. Od pana Shovela, kapitana portu. Niezły z niego gawędziarz.

– O tak. Musisz przyznać, że jest o czym opowiadać, co? Aż człowieka ciarki przechodzą. Serce zaczyna mi szybciej bić, kiedy Jack wchodzi do pokoju. Dziwny facet. Potrafi czytać w myślach.

– Jack? Shovel nic nie mówił o Jacku. Tyle tylko, że był wściekły, kiedy Dennis zaciągnął się na okręt. Chodziło mi o to, w jaki sposób opisał sztorm i opuszczenie statku. Prawdziwa morska powieść. Ale nie zdążył jej dokończyć.

– Boże, część o Jacku jest najlepsza w tym wszystkim. No cóż! – Nutbeem odchylił się do tyłu, poszukał wzrokiem kelnerki z piwem i zobaczył, że szklanka stoi już przed nim. – Z tego, co słyszałem, ekipa ratunkowa uznała wreszcie Dennisa i pozostałych za zaginionych. Wyłowili dwie tratwy z tymi, którzy przeżyli, i wszystkie, poza jedną, łodzie ratunkowe. Znaleźli też sześciu ludzi powiązanych plastikową liną. Czterech wciąż brakowało. Dennis był wśród nich. Szukali przez tydzień, aż wreszcie dali za wygraną. Odwołali samoloty, straż przybrzeżną, łodzie rybackie. Przez cały ten czas Jack prawie nie spał, chodził w tę i z powrotem po nabrzeżu, palił i czekał na jakąś wiadomość. Pani Buggit siedziała w domu. Nie było mnie przy tym, ale mówili mi Billy i Tert Card, no i oczywiście sam Dennis. Tak więc wreszcie przyszedł do niego i powiedzieli, że muszą zaprzestać poszukiwań. A on jakby ich nie słyszał. Mówili, że stał jak kamień. A potem nagle odwrócił się, znasz ten jego gwałtowny sposób odwracania się, i mówi: „On żyje”.

Pojechał do swojego brata w Misky Bay i mówi: „On żyje, a ja wiem, gdzie on jest. Chcę po niego popłynąć”. Widzisz, William, brat Jacka, miał nowy takłowiec, bardzo zdalny do żeglugi. Ale bał się odpływać zbyt daleko od brzegu. Morze wciąż było wzburzone, chociaż upłynął już tydzień od sztormu. Zauważ, że nigdy nie powiedział, że nie popłynie, zawahał się tylko na ułamek sekundy. Jack nie czekał dłużej. Odwrócił się na pięcie i wrócił do Flour Sack Cove. Zebrał ludzi, razem wyciągnęli z wody jego skif, załadowali na przyczepę i Jack wyruszył na południowe wybrzeże. Przez całą noc jechał do Owi Bawi, tam spuścił skifa na wodę, załadował kanistry z paliwem i sam wypłynął na morze w poszukiwaniu Dennisa. I znalazł go. Nie wiadomo, skąd wiedział, gdzie szukać. Znalazł Dennisa i jeszcze jednego. Dennis miał połamane ramiona, a ten drugi facet był nieprzytomny. Jak mu się udało zataszczyć ich na skifa? Z tego, co słyszałem, to Jack nie odezwał się ani słowem, dopóki nie dopłynęli do Owi Bawi. Wtedy powiedział: „Jeśli jeszcze raz wejdiesz na łódź, to sam cię utopię”. Oczywiście gdy tylko zdjęli mu gips, Dennis wyruszył na kałamarnice ze swoją żoną. Jack pogroził mu wtedy pięścią i odtąd nie rozmawiają.

– Od jak dawna? – spytał Quoyale, obracając szklanką, aż piana na powierzchni zawirowała.

– Och, całe wieki. Zanim jeszcze tutaj przypląnałem.



Ujechawszy kilka mil wybrzeżem, ciotka spojrzała na wyszczerbiony wiatrami brzeg. Miejsce dobre jak każde inne. Zaparkowała u szczytu wydm i spojrzała w dół. Zbliżał się przypływ. Słońce wisiało nad krawędzią morza. Blask jego spłaszczonych promieni złocił mokre kamienie. Grzywacze pieniły się pod pasmem żółtego nieba. Wciąż napływały nowe

fale z grzbietami poznaczonymi pomarańczowymi pasmami, rozbijały się i wracały, grzechocząc otoczkami. Otworzyła tylne drzwi samochodu Quoyle'a i wyciągnęła zdechłego psa. Zaniosiła go niżej, za linię wodorostów, na twardy piasek. Kępy morskich wyciągnęły się, opadły, znowu podpłynęły niesione niespokojną wodą. Ciotka położyła sukę na kamieniach. Napływająca fala zmoczyła prześcieradło.

– Byłaś dobrą dziewczynką, Warren – powiedziała ciotka. – Mądrą dziewczynką. Nigdy nie sprawiałaś kłopotów. Przykro mi było, kiedy musieli ci wyrwać wszystkie zęby, ale ty wiesz, co gorszego mogli zrobić. Chapnął kilka kasków, co? To były dobre czasy, chociaż już bez kości. Przykro mi, że nie mogę cię pochować, ale znaleźliśmy się tutaj w trudnej sytuacji. Szkoda, że nie doczekałaś przeprowadzki do domu. Szkoda też, że Irene nigdy cię nie poznała. Polubiłaby cię, jestem pewna. Irene Warren, pomyślała. Jak mi cię brakuje. Zawsze będzie mi cię brakowało.

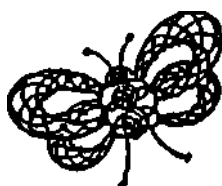
Załkała w chusteczkę i czekała w zapadających ciemnościach, cofając się przed falami, dopóki woda nie uwolniła Warren, która oddalała się coraz bardziej na zachód, wzdłuż brzegu, unoszona niewidzialnym prądem. Morze wyglądało tak, jakby uderzone mogło wydać dźwięk. Warren sunęła gładko, aż odpłynęła poza zasięg wzroku i zniknęła w zachodzącym słońcu.

Jak w starych westernach.

W dole, w zatoce, Quoyle słuchał nie kończącej się opowieści Nutbeema. Zmierzch Terta Carda gromadził się w jego szklance demerary.

## Broszka z ludzkiego włosa

W dziewiętnastym wieku jubilerzy robili pamiątkowe ozdoby z włosów zmarłych osób. Z pojedynczego włosa pletli arabeskowe róże, inicjały, ptaki, motyle.



Ciotka wyruszyła do domu w piątek rano. Jechała swoim nowym samochodem, ciemnoniebieskim pick-upem ze srebrnymi kołpakami, dodatkowym miejscem dla pasażera, odtwarzaczem płyt kompaktowych i chromowym wykończeniem tablicy rozdzielczej.

– Jest nam potrzebny. Musiałam kupić samochód. Muszę jeździć do sklepu i z powrotem. Ty masz łódź, a ja półciężarówkę. Naprawili drogę, mamy też przystań. Pokoje na górze skończone. Ubikacja na zewnątrz. Tymczasowo. Woda podłączona do kuchni. Takie nowe rury z czarnego plastyku. Później dobudujemy łazienkę. W tym tygodniu kładziemy dach. Jeśli utrzyma się pogoda. Na razie dobrze idzie. Możemy się wyprowadzić z tego paskudnego motelu. Kupię jedzenie i lampy naftowe. Ty przyjedź jutro rano. Przywieź dziewczynki i swoją łódź.

Mówiła szybko, gestykulując żywo. Jej dłonie zaciskały się, jakby ścigała mocno wodze pędzącego konia. Pragnęła tam pojechać.



Ciotka była sama w domu. Odgłosy jej kroków rozbrzmiewające w pokojach, miska z łyżką na stole. Teraz to jej dom. Woda bulgotała wspaniale w czajniku. A teraz na górę. A jednak wspinając się po schodach i wchodząc do tego pokoju, miała wrażenie, że wchodzi na jakąś zdradliwą równinę pełną dziur, rozpadlin i przepaści – niewidocznych, zanim się w nie wpadło.

Puszka z prochami brata stała w kącie pokoju na podłodze.

– W porządku – powiedziała i podniosła ją. Z puszką pod pachą wyszła na zewnątrz. Pogodny dzień. Niebo szkliste, ozdobione mewami. Jej cień płynął przed nią. Poszła do ubikacji i wysypała prochy do otworu. Uniosła spódnice i usiadła. Rozległ się odgłos rozpryskującego się moczu. Pomyślała, że ona, jego własny syn i wnuczki będą codziennie załatwiać się na jego prochy i tylko ona będzie o tym wiedziała.



W sobotę rano przyjechał Quoyle z córkami. Walizki leżały na tylnym siedzeniu, łódź kołysała się na wynajętej przyczepie. Jechał powoli wyrównaną drogą. Buldożer przedłużył ją od parkingu fabryki rękawiczek aż do domu. Świeżo wysypany żwir chrzęścił pod kołami samochodu. Chmury poczochrane i postrzępione i ocean koloru soku. Słońce przebiło się przez chmury niczym pstrąg wyciągany wędką.

– Drabinowy dom – powiedziała Sunshine, ujrzawszy rusztowanie.

– Tato, myślałam, że to będzie nowy dom – odezwała się Bunny. – Że Dennis zbuduje nowy. A to jest ten sam. Jest taki brzydki, tato. Nienawidzę zielonych domów. – Rzuciła mu złowrogie spojrzenie. Czyżby ją oszukał?

– Dennis naprawił go od wewnątrz. A my możemy go sobie później pomalować na inny kolor. Najpierw jednak musimy załatać dziury i naprawić jego słabe miejsca.

– Na czerwono, tato. Pomalujmy go na czerwono.

– No cóż, tutaj decyduje ciotka. To przede wszystkim jej dom. Czerwony może jej się nie spodobać.

– To ją też pomalujmy na czerwono – rzuciła Bunny. Zaśmiała się jak hiena.

Quoyle zaparkował obok samochodu ciotki. W niedzielę zajmie się przyczepą i łodzią. Dennis Buggit na dachu zonglował gontami. Ciotka otworzyła drzwi i zawołała:

– Halo!

Gładkie ściany i sufity, na zaprawie przy spojeniach wciąż widoczne ślady kielni. Nowe parapety, etykiety z ceną przyklejone jeszcze do poplamionych szyb. Zapach drewna. Materace oparte o ścianę. Pokój dziewczynek. Bunny położyła sobie na głowie garść trocin.

– Hej, tato, popatrz na moje kręcone włosy, popatrz na moje kręcone włosy. Tato, mam kręcone włosy. – Mówiła wysokim głosem, jakby się miała za chwilę rozpłakać. Quoyle oderwał od jej koszuli grudkę topionego sera.

W kuchni ciotka odkręciła wodę w zlewie, włączyła kuchenkę gazową, żeby im wszystko pokazać.

– Przyrządziłam niezłą porcję duszonego dorsza – powiedziała. – A Dennis przyniósł bochenek chleba, który upiekła Beety. Przywiozłam już wcześniej łyżki, talerze, masło i trochę warzyw. To, co może się zepsuć, jest w chłodziarce. Będiesz musiał przywieźć lód. Nie wiem, gdzie tutaj można dostać benzynową lodówkę. Bratanku, przez jakiś czas będzie ci musiał wystarczyć nadmuchiwany materac i śpiwór. Za to dziewczęta mają łóżka i sprężynowe materace.

Quoyle i Bunny złożyli stół z desek i z kozła do piłowania drewna.

– Ciężkie – powiedziała Bunny, unosząc koniec deski i udając, że sapie.

– Tak – odparł Quoyle. – Ale ty jesteś bardzo silna. – Jego krępe, niezbyt urodziwe dziecko, czasem nieobliczalne, ale doskonały pomocnik, gdy chodziło o płyty, kamienie, pudła. Jeśli chodzi o kuchnię, nie interesowało jej nic, co nie znajdowało się na jej talerzu.

Dennis zszedł z dachu. Uśmiechnął się do Quoyle'a. Nie miał w sobie nic z Jacka Buggita, może poza oczyma, które mknęły ku horyzontowi, jakby mierzyły niebo.

– Wspaniały chleb – stwierdził Quoyle, wkładając kromkę do ust.

– Taa, Beety piecze chleb codziennie, codziennie z wyjątkiem niedzieli.

– I dobra ryba – powiedziała ciotka. – Potrzeba nam tylko fasoli szparagowej i sałaty.

– No – odezwał się Dennis. – Niedługo będzie dużo gromadnika. Przygotujcie ogród. Doskonały z niego nawóz.

Po południu Quoyle i Bunny wygładzili mokrymi gąbkami nierówności zaprawy, tak że spoiny były równe. Bunny pochłonięta pracą – dobry był z niej pomocnik, lecz musiała zajrzeć w każdy kąt. Na dachu Dennis stukał młotkiem. Ciotka wygładziła parapety papierem ściernym i pomalowała je farbą podkładową.

Kiedy Quoyłe odprowadzał Dennisa do nowej przystani, zapadał już zmierzch. Po drodze minęli skalny ogródek ciotki, gład przykryty śmieszłą kępą mchu, który wyglądał jak włosy na głowie. Z mchu wyłaniał się kamień jak duże oko, była tam także muszla, kawałki koralu oraz biały kamień przypominający kształtem zwierzęcą głowę.

Świeże drewno nowej przystani pachniało żywicą. Niżej chlupotała woda pokryta zmaconą pianą.

– Teraz przycumujesz łódź, co? – spytał Dennis. – Weź kilka starych opon, żeby się nie poobijała.

Dennis zdjął z pali liny cumownicze, wskoczył do swojej łodzi i odpłynął w zapadającą ciemność, mrużąc silnikiem na pofalowanym morzu. Na cyplach zamigotały światła latarni morskich. Quoyłe ruszył pod górę do domu, w kierunku okien lśniących pomarańczowym blaskiem lamp. Odwrócił się, jeszcze raz spojrzął na zatokę. Ślad łodzi Dennisa przypominał biały włos.

W kuchni ciotka potasowała karty i rozdała je.

– Kiedy byłam dziewczynką, graliśmy co wieczór – powiedziała. – Stare gry. Teraz już takich nie znają. Francuski wist, jambone, skat, czwórki. Znam wszystkie.

Klap, klap, uderzenia kart.

– Zagramy w czwórki. Uwaga, każdy walet odkryty przez rozdającego daje mu punkt. No to gramy, trefle są atutem.

Ale dziewczynki nie potrafiły grać i rzuciły karty na stół. Quoyłe wołał książkę. Ciotka się rozżłościła.

– Wieczne wycie!

Czego się spodziewała? Że odtworzy jeden z wieczorów ze swojej zamierzchłej przeszłości? Roześmiała się z samej siebie.

W rezultacie Quoyłe opowiedział córkom bajki w mrocznej sypialni, o kotach, które odkrywały nowe lądy, o ptakach, które grały w karty i zgubiły je na wietrze, o dziewczynkach-piratach i zakopanym skarbie.

Kiedy zszedł na dół, spojrzął na ciotkę. Nareszcie w domu. Jej szklanka do whisky była pusta.

– Tak cicho – powiedział Quoyłe, nasłuchując.

– Słysząc morze. – Jak wciąż otwierane i zamykane drzwi. I ta nieuchwytna pieśń lin.



Quoyłe obudził się w pustym pokoju. Szare światło. Miarowe uderzenia. Jego własne serce. Leżał w śpiworze na środku pokoju. Obok świeca. Czuł zapach wosku, zapach otwartej książki, która leżała przy nim, kurzu w szczelinach podłogi. Okno wypełnione bladym światłem. Znowu dudnienie i trzepoczący w górze okna cień. Ptak.

Wstał i podszedł do okna. Odpędzi go, zanim obudzi ciotkę i dziewczynki. Wydawało się, że ptak chce się uwolnić z zamkniętej przestrzeni morza, skał i nieba i wdrzeć do przestworzy pustego pokoju. Szelest jego stóp na podłodze. Za szybą mleczne niebo, blade niebo pobazgrane i podrapane ścinkami chmur. Pusta zatoka, przeciwległy brzeg przykryty śmietanką mgły. Quoyłe ubrał się i zszedł na dół.

Na progu znalazł trzy kępki zawiązanej w węzły trawy. Jakiś nowy pomysł Sunshine. Obszedł ogromną skałę, do której był przymocowany dom, i wszedł między krzaki. Jego oddech tworzył różki z pary.

Ledwie widoczna ścieżka skręcała ku morzu. Pomyślał, że pewnie zaprowadzi go na brzeg, od północnej strony przystani. Ruszył w dół. Kiedy uszedł sto stóp, dróżka stała się

bardziej stroma i mokra, tak że szedł, ślizgając się wśród badyli dzięgielu i gęstych krzewów derenia. Nie zauważył węzłów zawiązanych na końcach gałęzi olchy.

Dotarł do kępy świerków. Ich gałęzie były porośnięte mchem. Trzepot skrzydeł sójek. Ścieżka zamieniła się w łożysko strumienia, pełne kamieni pokrytych jakby galaretą. Potknął się i chwycił liści krzewu, którego zapach pozostał na jego dłoniach.

Wokół niego unosiły się chmary much i komarów. Quoyłe zauważył pętlę z niebieskiego plastyku. Podniósł ją. Kilka stóp dalej dostrzegł przemoczoną pieluchę. Płaski patyk ostemplowany napisem „Lodowy Piotruś 5 centów”. Włożył śmieci do rozdartej plastikowej torby, którą znalazł. Blaszane puszki, słoiczki po odżywkach dla niemowląt, tacka do mięsa z supermarketu, podarta gazeta wabiąca bezrobotnego czytelnika:

„...może nie jesteście jeszcze pewni, czy potrafcie ukończyć z powodzeniem kurs w zakresie handlu odzieżą. No cóż, jeśli istotnie tak jest, to ja mam specjalną ofertę, która wam to ułatwi. Na początek proponuję pierwszą część kursu. Nie zmusza was to do długoterminowych zobowiązań i daje szansę...”

Plastykowa linka, rozwinięta tekturowa tulejka po rolce papieru toaletowego, różowe tampony.

Quoyłe usłyszał za sobą głębokie westchnienie, westchnienie kogoś pozbawionego nadziei, zdesperowanego. Odwrócił się. Sto stóp od brzegu dostrzegł płetwę i lśniący grzbiet. Płetwał uniósł się, potem opadł i sunął pod mleczną powierzchnią. Quoyłe patrzył na wodę. Wieloryb znowu się pojawił, westchnął, zniknął pod wodą. Ramiona skłębionej mgły unosiły się pięćdziesiąt stóp nad powierzchnią morza.

Uwagę Quoyłe'a przyciągnął jakiś przedmiot, płatanina supelków i węzłów tkwiąca wśród kamieni. Przedmiot utknął w szczelinie. Lekko pociągnął w przód i w tył, zanim szarpnął mocniej. Położył znalezisko na dłoni. Zawile węzły na drucie, spirale i pętłe. Druciki były pozrywane w miejscu, w którym oderwał przedmiot od skały. Odwrócił go i zauważył zardzewiałą zapinkę. Obracając przedmiot, dostrzegł wreszcie wzór: wymyślny owad o podwójnych skrzydłach i pofałdowanym tułowiu. Drut zaś nie był wcale drutem, lecz ludzkim włosiem – sztywnym, pokrytym rdzą, z siwymi pasemkami. Włosy zmarłego. Coś, co pochodziło z zielonego domu. Z odrazą rzucił broszkę w spienione fale.

Zaczął się wspinać z powrotem do domu. Kiedy dotarł do świerków, usłyszał warkot silnika. Łódź skręcała w stronę brzegu. Zanim zobaczył, że łódź pokryta jest łuszczącą się, brudną farbą, pomyślał, że to Dennis. Płynęła na wolnych obrotach. Mężczyzna na rufie wyłączył silnik i podniósł śrubę. Łódź unosiła się we mgle. Mężczyzna siedział z opuszczoną głową, biała szczecina zarostu, otwarte usta. Kurtkę miał związaną plecionym sznurkiem. Był stary i silny. Szarpnął do góry linę wężowca. Nic. Opuścił śrubę i kilkakrotnie pociągnął za umazaną smarem linkę. Wreszcie silnik zaczął nieregularnie pracować. Niebawem mgła pochłonięła mężczyznę i jego łódź. Warkot silnika oddalał się na południe, aż zamilkł w okolicy fabryki rękawic i ruin Capsize Cove.

Quoyłe piął się wyżej. Pomyślał, że mógłby przyjść w to miejsce z piłą i siekierą, wyciąć schody w najbardziej stromych częściach zejścia, wybudować most nad rozmokłym odcinkiem i miałby wspaniałą drogę prowadzącą nad morze. Własną drogę.



– Myślałyśmy, że porwały cię mewy.

Zapach kawy, dziecięca wrzawa. Ciotka, w wyprasowanych niebieskich džinsach, z włosami upiętymi pod chustką, smarowała grzanekę dla Sunshine.

– Dennis przyjechał samochodem. Musiał pojechać z teściem naciąć drewna. Mówi, że zbliża się zła pogoda i może będziesz chciał założyć resztę gontów. Twierdzi, że to robota na



dzień, może półtora. Zostawił ci swój pas zabezpieczający. Nie był pewny, czy masz narzędzia. Powiedział, że pod tamtym plastykiem jest jeszcze pięć czy sześć paneli. Nie wiedział, kiedy wróci. Może przed środą. Spójrz, co przyniósł dziewczynkom.

Na stole leżały dwa małe młotki o ręcznie struganych trzonkach. Na obu widniały wymalowane paski: czerwone na jednym i niebieskie na drugim.

Quoyłe poczuł, że robi mu się słabo. Nigdy dotąd nie był na dachu, nigdy nie przybił ani jednego gonta. Nalał kawy do filiżanki, rozlewając trochę na spodek. Nie miał ochoty na grzanki z chleba upieczonego przez żonę Dennisa.

Podszedł do drabiny i stanął pod nią. Spojrzał w górę. Wysoki dom. Nie potrafił powiedzieć, jak wysoki. Stromy dach. W całej Nowej Fundlandii dachy były płaskie, ale u Quoyłków musiał mieć ostry spadek.

Wziął głęboki oddech i zaczął się wspinać. Aluminiowa drabina podskakiwała i dźwięczała, kiedy po niej wchodził. Szedł wolno, trzymając się mocno szczebli. Znalazłszy się na krawędzi dachu, spojrzął w dół, żeby sprawdzić, jak strasznie to wygląda. Cętki miki lśniły zimno na kamieniach. Spojrzał na dach. Smołowany papier był już przymocowany. Nowe gonty położone do połowy. Nad nimi przybita drewniana kotew. Ma usiąść okrakiem na kotwi i przybijać gwoździami gonty? Najtrudniej będzie dostać się do kotwi. Zszedł powoli na ziemię.

Usłyszał śmiech Sunshine dochodzący z kuchni, stukot małego młotka. Pod stopami słodka ziemia!

Zapiął jednak pas Dennisa; torebka była ciężka od gwoździ do przybijania papy. Młotek obijał mu się o nogę. W połowie drabiny Quoyłe przypomniał sobie o gontach, zszedł na dół i wziął trzy.

Teraz wchodził, trzymając się tylko jedną ręką, w drugiej ścisnął płytki. Na szczycie drabiny poczuł się bardzo niepewnie. Kilka szczebli wystawało ponad dach, tak więc musiał zejść w bok, na dach i przepelznąć nad ziejącymi otworami.

Przycupnął niezdarnie na kotwi. Zobaczył, że Dennis układał gonty warstwami, tak żeby mógł ich łatwo dosięgnąć, a potem przenosił kotew. Czubki świerków wyglądały we mgle jak plamki. Słyszał powolne dudnienie morza. Przez kilka minut nic nie robił. Nie było tak źle.

Quoyłe położył swoje trzy gonty na pochyłości dachu. Wziął jeden, dopasował wolno do ostatniego przybitego przez Dennisa, pamiętając o pięciocalowym ościeżu. Wyjął z fartucha kilka gwoździ, wysunął ostrożnie młotek spod siedzenia i wyciągnął go ze skórzanej pętli. Zaczął przybijać gont. Kiedy wbijał trzeci góźdź, usłyszał szuranie i zobaczył, że dwa pozostałe gonty zsuwają się. Zatrzymał je młotkiem. Przyłożył gont, przybił gwoździem. W końcu trzeci. Wyszło nie najgorzej – było mu tylko niewygodnie i brakowało tchu.

Wchodząc ponownie na górę, Quoyłe trzymał na ramieniu połowę panela gontów. Wszystko szło łatwiej, dostał się na szczyt dachu bez pełzania, położył gonty na szczycie i zabrał się do pracy. Raz czy dwa zerknął na morze, na horyzoncie dostrzegł profil tankowca podobnego do węża morskiego.

Zakładał ostatni rząd. Praca posuwała się szybko, gdyż teraz potrafił usiąść okrakiem na szczycie dachu. Gwoździe zanurzały się w drewno.

– Cześć, tato.

Słyszając głos Bunny, skierował wzrok ku ziemi, lecz jego spojrzenie się zatrzymało. Stała na jednym ze szczebli wystających ponad krawędź dachu i próbowała postawić na nim stopę. Trzymała młotek za pomalowaną w paski górną część trzonka. Quoyłe ujrzał wszystko w mgnieniu oka: oto Bunny za chwilę postawi nogę na dachu, stanie na krawędzi pochyłej powierzchni, jakby była pozioma, natychmiast spadnie i krzyząc przeraźliwie, roztrzaska się o skałę.

– Pomogę ci. – Dotknęła stopą dachu.

– Och, dziecinko – wyszeptał Quoye. – Zaczekaj tam. Mówił cichym, ale natarczywym głosem. – Nie ruszaj się. Zaczekaj tam na mnie. Już idę po ciebie. Trzymaj się mocno. Nie wchodź na dach. Pomogę ci. – Hipnotyzującym głosem i spojrzeniem próbował powstrzymać dziecko w miejscu, zsuwając się powoli po zdradzieckiej pochyłości wbrew wszelkim zasadom. Chwytał ramię dziewczynki – młotek spadł na ziemię i powtarzał: – Nie ruszaj się, nie ruszaj się, nie ruszaj się. Usłyszał uderzenie młotka o skałę. I wreszcie bezpieczny, Bunny przyciśnięta jego piersią do szczebli drabiny.

– Tato, zgnieciesz mnie!

Quoye zszedł na dół na trzęsących się nogach; jedną ręką trzymał się szczebli, drugą przyciskał mocno córkę. Drabina drżała razem z nim. Nie mógł uwierzyć, że mała nie spadła, w ułamkach sekund zdążył przeżyć przeraźliwy krzyk umierającego dziecka, podczas gdy on wyciągał na próżno ramię i chwycił powietrze.

## Fala rufowa

Żeby węzeł się nie rozwiązał, musi zaistnieć odpowiednie tarcie, żeby zaś uzyskać odpowiednie tarcie, musi istnieć pewien nacisk. I właśnie ten nacisk oraz przestrzeń wewnątrz węzła tworzą zaciśnięcie. Wydaje się, że bezpieczeństwo węzła zależy całkowicie od niego.

*Księga węzłów Ashleya*

Przypominało to pisanie w lustrzanym odbiciu. Najmniejszy ruch wstecz powodował, że przyczepa skręcała w przeciwnym kierunku, dwukrotnie ocierając się o przystań. Wciąż zachodziła jak ostrze scyzoryka, które nie może trafić na swoje miejsce. Zaczynał mieć już dość, kiedy wreszcie pojechała prosto i dotarła do wody. Udało się.

Wysiadł i spojrzął na przyczepę. Koła były zanurzone w wodzie, łódź kołysała się w powietrzu. Położył już dłoń na dźwigni pochylni, kiedy przypomniał sobie o linie zabezpieczającej. Byłaby niezła zabawa, gdyby zwodował łódź, a potem patrzył, jak odpływa.

Zamocował rufową i dziobową linę i dopiero potem pociągnął za dźwignię. Łódź się zsunęła. Poluzował linę wciągarki, wygramolił się na przystań i przywiązał łódź. Była to praca dla dwóch ludzi. Wrócił do przyczepy, podniósł dźwignię i zwinął linę. Łódź za pięćdziesiąt dolarów kołysała się na wodzie.

Gdy zajął miejsce w środku, przypomniał sobie o cholernym silniku. Został w samochodzie. Przyniósł go na przystań, postawił nogę na krawędzi nadburcia i wpadł do łodzi. Przeklinał wszystko, co pływa, od drewnianych kłód po supertankowce.

Quoye nie zauważył, iż zamocował silnik w taki sposób, że dziób łodzi musiał zadrzeć się do góry jak nos psa myśliwskiego. Wlał benzynę z czerwonego kanistra.

Silnik zaskoczył za pierwszym pociągnięciem. Oto Quoye siedzący na rufie łodzi. Własnej łodzi. Silnik pracował. Dłoń Quoye'a spoczywała na rumplu, obrączka błyszczała na palcu. Przesunął dźwignię biegów na pozycję „wstecz”, tak jak robił to Dennis. Ostrożnie dodał gazu. Rufę łodzi zarzuciło trochę w stronę pomostu. Manewrował w przód i w tył, dopóki nie wydostał się z przystani. Włączył bieg. Silnik zaryczał niskim tonem i łódź za szybko ruszyła do przodu równoległe do brzegu. Przymknął przepustnicę i łódź zwolniła. Znowu dodał gazu i skały przed nim jakby podskoczyły. Instynktownie przesunął rumpel w kierunku brzegu i łódź skręciła w stronę Omaloor Bay. Woda falowała. Płynął na szklanej strzale.

Manewrował rumplem, próbował robić łuki. Teraz szybciej. Quoye się roześmiał. Dlaczego tak bardzo bał się łodzi?

Od lądu wiała bryza i rozhuśtane fale uderzały w dno łodzi. Quoye wykonał ostry zwrot i poczuł, że łódź się ślizga. Zamknął przepustnicę. Fala rufowa uniosła się i przelała przez pawęż, zawirowała wokół jego kostek i rozlała po dnie łodzi. Znowu dodał gazu i łódź skoczyła do przodu, lecz tym razem ociężała, a woda w jej wnętrzu popłynęła ku rufie, dodając swój ciężar do ciężaru Quoye'a. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby ją wylać; niczego nie znalazł. Zawrócił bardzo ostrożnie w stronę przystani. Łódź wydawała się teraz

oporna i niepewna, gdyż woda zmieniała jej przegłębienie. Mimo to posuwał się do przodu. Nie bał się, że zatopi łódź zaledwie dwieście stóp od przystani.

Kiedy znalazł się już całkiem blisko, znowu zamknął przepustnicę i jeszcze raz fala rufowa przelała się przez pawęż. Był jednak już na tyle blisko, że wyłączył silnik i pozwolił łodzi przykleić się do przystani. Przywiązał liny cumownicze i poszedł do domu po czerpak do kawy.

Później wypłynął jeszcze raz. Teraz delikatnie dodawał gazu, wykonywał łagodne zwroty, uważając na falę rufową. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby powstrzymać wodę przed wlewaniem się przy zwalnianiu.



– Oczywiście, że jest – powiedział Nutbeem. – Twoja pawęż jest za nisko wycięta. Potrzebujesz studni silnikowej; grodz powinna sięgać na wysokość burt, wysunięta przed silnik, z samoodwadniającymi odpływami w rogach. Godzina pracy. Nie chce mi się wierzyć, że zarejestrowali taką łódź.

– Nie jest zarejestrowana – odparł Quoyale.

– To lepiej skocz do straży przybrzeżnej i zrób to – powiedział Nutbeem. – Niezłe wybulisz, jak cię złapią bez rejestracji, bez studni, bez odpowiednich świateł i zabezpieczeń ratunkowych. Ale kotwicę chyba masz?

– Nie.

– A wiosła? Coś do wylewania wody? Rakiety do wzywania pomocy? Łańcuch zabezpieczający silnik?

– Nie, nie – powiedział Quoyale. – Ja chciałem ją tylko wypróbować.



W sobotę Dennis i Quoyale wyciągnęli łódź z wody. Bunny stała na przystani, rzucając kamykami.

– Ale krowa – powiedział Dennis. – Mógłbyś ją spalić i postarać się o nową.

– Nie stać mnie. Nie moglibyśmy dorobić studni? W tygodniu łódź sprawowała się całkiem niezłe, dopóki nie nabrała wody. Zależy mi tylko na tym, żebym mógł pływać na drugi brzeg zatoki i z powrotem.

– Założę grodz i coś ci poradzę: pływaj tym gratem tylko w spokojne dni. W burzliwą pogodę zabierz się z ciotką albo jedź swoim samochodem. Inaczej narobisz sobie kłopotów.

Quoyale wpatrywał się w swoją łódź.

– Popatrz na nią – powiedział Dennis. – To tylko kilka desek skleconych do kupy. Zastrzeliłbym tego szczeniaka, który ją zbudował.

Dłoń Quoyale'a powędrowała do brody.

– Tato – odezwała się Bunny, który przykucnęła na ścieżce i wbijała patyk w piasek. – Chcę popływać łodzią.

Dennis cmoknął, tak jakby powiedziała coś bardzo brzydkiego.

– Pogadaj z Alvinem Yarkiem. Zorientuj się, czy może ci pomóc. On robi dobre łodzie. Sam bym ci coś zmajstrował, ale on to zrobi szybciej i taniej. Założę grodz, ale tak, żeby nikt nie widział, że w ogóle coś przy tym robiłem, a ty lepiej pogadaj z Alvinem. Musisz mieć dobrą łódź. Inaczej się nie da.



Bunny pobiegła do domu, zaciskając coś między kciukiem i palcem wskazującym.

– Ciociu, największą rzeczą na świecie jest niebo. A zgadnij, co jest najmniejsze?

– Nie wiem, kochanie. Co takiego?

– To. – Wyciągnęła przed siebie ramię, by pokazać malutkie ziarenko piasku na palcu.

– Chcę zobaczyć. – Sunshine pochyliła się gwałtownie i huragan jej oddechu porwał ziarenko.

– Nie, nie, nie – zawołała ciotka, chwytając zaciśniętą pięść Bunny. – Mamy ich pod dostatkiem. Piasku starczy dla każdego.

## Holenderskie ucho

Ucho może stanowić doskonały zapasowy uchwyt do walizki.

*Księga węzłów Ashleya*



– Chłopcze, mamy tu coś godnego zobaczenia. Czegoś takiego jeszcze na tych wodach nie widziałem. – Grzmiący głos dudnił ze słuchawki wprost do ucha Quoyle’a. – Z daleka pachnie złem. Nie wypłynąłbym tym w morze za wszystkie dorsze świata. Sam zobacz. Nigdy już czegoś podobnego nie zobaczysz.

– O czym pan mówi, panie Shovel? Ma pan w porcie statek flagowy hiszpańskiej Armady?

– Nie, chłopcze. Ale weź ze sobą ołówek i aparat. Myślę, że tym razem będziesz miał coś więcej do zapisania niż tylko czas przyplłynięcia. – Odłożył słuchawkę.

Quoyle wcale się nie ucieszył z tego telefonu. Deszcz zaciął mocno, stukając w parapety i bębniąc w dach. Za oknem słycać było wściekłe porywy wiatru. Wygodnie było siedzieć z łokciem opartym o biurko i przepisywać ściągniętą przez Nutbeema z radia historyjkę z Los Angeles. Jej bohaterem był starszy mężczyzna rozebrany do naga przez chuliganów z baru, którzy zawiązali mu oczy i wypchnęli na autostradę. Mężczyzna wyszedł właśnie ze szpitala, w którym odwiedzał krewnego, i zaszedł do pobliskiego baru na szklankę piwa. Złapało go pięciu chuliganów z głowami pomalowanymi na niebiesko. Tert Card stwierdził, że stanowi to doskonały przykład zwariowanego życia w Stanach. Czytelnicy „Pleciuchy” bardzo lubili podobne historie: wariactwa innych, którzy mieszkają gdzieś daleko. Quoyle zdecydował się oddzwonić.

– Panie Shovel. Teraz jakoś mi nie po drodze do portu.

– No to ci powiem. To jest łódź Hitlera. Łódź spacerowa zbudowana specjalnie dla niego. Holenderski jacht płaskodenny. Czegoś takiego jeszcze nie widziałeś. Obecny właściciel jest na pokładzie. Twierdzi, że chętnie pokaże ją prasie.

– O Boże. Będę tam za jakieś pół godziny.

Billy Pretty wytrzeszczył oczy.

– Co on tam ma? – spytał szeptem.

– Mówi, że w porcie jest holenderska łódź, która kiedyś należała do Hitlera.

– Nie! – powiedział Billy. – Chciałbym ją zobaczyć. Stare czasy, chłopcze. Niemcy myszowali wzdłuż wybrzeża, torpedowali statki, tak, torpedowali statki w cieśninie. Alianci

mieli łódź podwodną i złapali inną, niemiecką. Zabrali ją do St. John's. Mielśmy tu też szpiegów. A jakże, niektórzy całkiem do rzeczy. Pamiętam tamtą kobietę, widzę ją jak dzisiaj w starym drelichowym płaszczu. Raz w tygodniu pedałowiała na swoim skrzypiącym rowerze z Rough Shop Harbor do Killick-Claw, a potem z powrotem. Już nie pamiętam, jak wyjaśniła to, że tak musi jeździć, ale w końcu się połapaliśmy, że była niemieckim szpiegiem i liczyła nasze statki, a potem informowała przez radio niemieckie łodzie podwodne, które czaiły się niedaleko brzegu.

– No to bierz swój deszczowiec i idziemy.

– Mówiono później, że ją zastrzelili. Po prostu któregoś tygodnia nie pojawiła się już więcej. Twierdzili, że złapali ją w Rough Shop Harbor i wykonali wyrok. Podobno uciekała na rowerze i wrzeszczała jak wściekła, a oni za nią, nieźle się naganiiali, zanim ją złapali.

Quoyle cmoknął. Nie wierzył w ani jedno słowo.



W podłodze jego samochodu była dziura, przez którą co jakiś czas chlustała brudna deszczówka. Quoyle pomyślał z zazdrością o nowym pick-upie ciotki. Nie stać go było na nowy samochód. Pieniądze z ubezpieczenia topniały w zastraszającym tempie. Nie miał pojęcia, skąd ciotka wzięła pieniądze. Na swój koszt wyremontowała dom i dokładała się do posiłków. On zapłacił za drogę i przystań, a także za łóżka dla dziewczynek, ubrania, rachunek z motelu i benzynę. I jeszcze nowa skrzynia biegów.

– Szkoda, że nie włożyłem gumowców! – krzyknął Billy Pretty. – Nie wiedziałem, że nie masz w samochodzie połowy podłogi.

Quoyle zwolnił, żeby nie ochlapać idącej z wdziękiem, wyprostowanej kobiety w zielonym deszczowcu. Boże, czy ten deszcz nigdy nie przestanie padać? Była z dzieckiem. Skierowała wzrok wprost na Quoyle'a. Ich spojrzenia spotkały się.

– Kto to jest? Wydaje mi się, że spotykam ją zawsze, kiedy tylko gdzieś jadę.

– To Wavey. Wavey Prowse. Prowadzi chłopca do domu. Odbiera go ze szkoły. Jej chłopak chodzi do klasy specjalnej. Jest tam trochę takich dzieciaków. To ona założyła tę klasę. On nie jest całkiem w porządku. Urodził się taki przez jej zgryzotę. Wavey chodziła z nim w ciąży, kiedy zatonął „Sevenseas Hector”. Straciła męża. Trzeba było ją podrzucić, chłopcze.

– Szła w przeciwnym kierunku.

– Nie zajęłoby nam to dużo czasu, gdybyśmy zawrócili. Leje jak z cebra – powiedział Billy.

Quoyle zatrzymał się przed cmentarną bramą i zawrócił. Kiedy oboje wsiedli do samochodu, Billy przedstawił ich. Wavey Prowse. Herry. Kobieta przeprosiła, że jest taka mokra, a potem już się nie odezwała, aż dojechali do małego domu pół mili za redakcją „Pleciuchy”. Ani razu nie spojrziała na Quoyle'a. Podwórko z tyłu małego domku przypominało bajkową krainę pełną malowanych drewnianych figur, galopujących koni, psów balansujących na obręczach, był też rząd chromowanych kołpaków zatkniętych na patykach. Swoiste zoo.

– A to ci podwórko.

– Pomysły taty – powiedziała Wavey Prowse i zamknęła drzwi.

Pojechali z powrotem do Killick-Claw drogą tonącą w deszczu.

– Szkoda, że nie widziałeś krzesła, które wykonał z rogów łosia – odezwał się Billy. – Siedzi się w nim całkiem wygodnie, a innym się wydaje, że ci wyrosły złote skrzydła.

– Ona ma świetną figurę – powiedział Quoyle. Zaraz jednak zapragnął odwołać swoją uwagę. – To znaczy, dobrze chodzi. No, chciałem powiedzieć, że jest wysoka. Tak mi się

wydaje. – „Mężczyzna gada jak skończony dureń”. Nie potrafił wyjaśnić, że przyciągnęła jego uwagę, ponieważ wydawało mu się, że wyłoniła się z mokrych kamieni, woni ryb i wody.

- Może to ona jest tą wysoką i łagodną kobietą, chłopcze.
- A co to znaczy?
- Tak zwykł mawiać mój staruszek.



– Tam jest.

Patrzyli przez ociekającą deszczem przednią szybę. Boterjacht wyróżniał się zdecydowanie spośród pozostałych łodzi. Stał między australijskim żaglowcem, który zawinął do portu już przed dwoma tygodniami, a statkiem szkoleniowym. Gdy patrzyło się z góry, przypominał niską balię z dziwnymi, ogromnymi łyżkami do butów przytwierdzonymi do burt.

– Co to jest to z boku? Wygląda jak ogromny chrząszcz z niedorozwiniętymi skrzydłami.

– Boczne miecze. Działają jak normalny miecz. No, wiesz. Normalnie podnosisz albo opuszczasz miecz, żeby dodać kil. Niektórzy nazywają to opuszczanym kilem. Jak masz łódź o małym zanurzeniu i musisz pracować na nawietrzną, to wtedy błogosławisz swój miecz. Ale jak masz miecze boczne, to zyskujesz więcej miejsca na sztautowanie. Przyczepiasz je z boku, zamiast wpychać do bebeczków łodzi. Skrzynka mieczowa zajmuje trochę miejsca.

Przy skurczonej postaci Billy’ego zwałista sylwetka Quoyle’a przypominała osuwającą się górę. W kabinie rozbłysło światło. Nawet poprzez strumienie deszczu widać było, że mają przed sobą skarb.

– Kadłub pewnie dębowy – zauważył Billy Pretty. – Popatrz tylko! Spójrz na ten maszt! Albo na kabinę! Tekowy pokład. Płaski, niski i szeroki. Nigdy jeszcze nie widziałem łodzi o takim kształcie. Spójrz, pełny dziób. Stewę dziobową ma zakrzywioną jak eskimoski nóż. Widzisz te rzeźby?

Nazwę jachtu wymalowano na misternie rzeźbionej mahoniowej wstędze: „Łobuzica”, Puerta Malacca. Usłyszeli stłumione głosy.

– Nie wiem, jak można tak nazwać łódź – mruknął Billy Pretty, idąc po rampie. Wskoczywszy na lśniący pokład, ryknął: – Ahoj, „Łobuzico”. Przyszli goście! Możemy wejść na pokład?

Mężczyzna o rumianej twarzy i jasnych włosach otworzył jedno z podwójnych, rzeźbionych u góry drzwi. Ubrany był w madrasowe spodnie ściągnięte paskiem z lakierowanej skóry i białe buty. Quoyle się rozglądał. Wszystko tonęło w wodzie. Zwinięta mokra lina, ociekające wodą wentylatory, strugi deszczu zalewające pokład. Przy drzwiach kabiny mokra walizka ze świńskiej skóry z rączką ze splecionej linki.

– Czyja was znam? – Oczy miał przekrwione.

– Jesteśmy z lokalnej gazety, proszę pana. „Pleciucha”. Pomyśleliśmy, że naszych czytelników zainteresuje pański jacht. Staramy się opisywać co ciekawsze łodzie, które cumują w Killick-Claw, a takiej jeszcze nie widzieliśmy. – Quoyle powiedział swoje. Czuł się, jakby stanął na równinie. Uśmiechnął się przymilnie, chociaż „Łobuzica” wcale nie wydawała się gościnna.

– Ach, tak. Ten niesamowity kapitan portu, jak mu tam, Doodles czy jakoś tak, mrucał coś o wizycie z *la presse locale*. – Mężczyzna westchnął głęboko. Wykonał gest, jakby wyrzucał skórki owoców. – No cóż, moja kochana żona i ja jesteśmy właśnie w trakcie czegoś na kształt piekielnej sprzeczki, ale sądzę, że możemy dać jeszcze jedno przedstawienie. Wygłosiłem już na tej łodzi tyle wykładów dla różnych osób, począwszy od



Andy'ego Warhola dwa tygodnie temu, przed tą fatalną operacją, po Scotland Yard. Wszędzie gromadzi ona niezliczone tłumy, bez względu na to, czy znajdziemy się w Antibes, czy w Boca Raton. Jest absolutnie niepowtarzalna. – Zrobił krok na zewnątrz, w deszcz. – Jeśli chodzi o konstrukcję, jest to tradycyjny holenderski jacht płaskodenny, lecz cudownie komfortowy, z wieloma niewiarygodnymi detalami. Moim zdaniem to najwspanialszy boterjacht, jaki kiedykolwiek zbudowano. Kiedy go ujrzelśmy po raz pierwszy, był całkowitym wrakiem. Tkwił przycumowany w jakimś paskudnym włoskim porcie. Należał do księżniczki L'Aranciata. Wynajęliśmy na lato willę w Ansedonii, sąsiadującą z jej posiadłością. Kiedyś wspomniała, że ma jakiś wrak holenderskiego jachtu, który należał do Hitlera i którego ma już dość. Tak więc poszliśmy go obejrzeć i od razu dostrzegłem jego możliwości. Nie mogło być najmniejszej wątpliwości, że natrafiliśmy na coś jedyne w swoim rodzaju. – Deszcz kapał z jego mokrych włosów, koszulę miał już tak moką, że stała się przezroczysta. – Absolutnie płaskie dno, tak że może pływać zupełnie bezpiecznie. Gdy trzeba coś naprawić lub w czasie sztormu, można wpłynąć wprost na brzeg. Niewiarygodnie ciężki. Prawie czterdzieści ton dębu. Ma się rozumieć, został zaprojektowany na podróże po Morzu Północnym. Pełen dziób. Nic nie może lepiej trzymać się na wodzie. Moja żona go nienawidzi, ale ja go kocham.

Wzrok Pretty'ego spoczął na kawałku sztucznej trawy, który wziął za coś w rodzaju wycieraczki, dopóki nie dostrzegł na nim psich odchodów podobnych do niedopałków cygar. Otworzył szerzej oczy.

– To dla małego spaniela mojej żony. Świetny system. Piesek robi kupę na sztucznej trawie, ty wyrzucasz ją za pokład. Widzicie w rogu pętlę z linką? Presto, ciągnie się tę sztuczną trawę za łodzią, dopóki nie będzie idealnie czysta. Wspaniały wynalazek. Konstrukcja była znana już w piętnastym wieku. Mówię o łodzi, oczywiście, nie o gównianym dywaniku. Takie jachty widuje się na cudownych obrazach Rembrandta. To były jachty królewskie. Henryk VIII miał jeden, a także Elżbieta I. Tak, doprawdy, królewski jacht. Kiedy go zobaczyliśmy, nosił nazwę „Das Knie”, co znaczy „Kolano”, i musiałem przyklęknąć na jedno kolano, by przekonać moją kochaną, najukochańszą żonę, żeby mi pozwoliła go kupić. – Urwał, czekając, aż Quoyle skończy się śmiać. – Tak samo się nazywał, kiedy kupiła go księżniczka. Nikt nie zmieniał jego nazwy od czasu, kiedy ten plugawy niemiecki przemysłowiec dostał go w swoje łapy. Moja ukochana żona uważała, że powinien nosić jej imię, ale ja nazwałem go „Łobuzicą”. Kiedy poznałem jego prawdziwy charakter. Za sto lat będzie równie mocny. Został zbudowany w Haarlemie. Budowali go przez dziewięć lat. Jest absolutnie, absolutnie niezniszczalny Niewiarygodnie masywny. Wręgi siedem i jedna ósma na sześć cali, na jedenastocalowym wzdłużniku.

Billy Pretty zagwizdał i uniośł brwi. Włosy mężczyzny wyglądały jak żółty gips. Krople kapiące z rond kapeluszy Billy'ego i Quoyle'a przypominały paciorki z księżycowego kamienia. Quoyle pisał pochylony nad notesem, by osłonić go przed deszczem. Na próżno.

– Poszycie, nikt nie chce wierzyć, poszycie wykonano z najlepszej dębiny, dwie i trzy szesnaste cala, a do tego podwójne poszycie na dnie. Dlaczego? Dlatego że w miejscu, gdzie go zbudowano, wody są bardzo płytkie, a poza tym jest tam dużo piaskowych ławic, wydłużonych cyplów, ruchomych kanałów. Trudno uwierzyć. *Zuider Zee*. Zdradliwe, bardzo zdradliwe wody. Wciąż wpadasz na mieliznę. Pokład też niczego sobie. Możecie mi wierzyć albo nie, ale stoicie na tekowych deskach grubych na cal i trzy czwarte, które sprowadzono z Birmy jeszcze przed drugą wojną światową! Takiego drewna nie kupicie już nigdzie za żadne pieniądze. Nie, takiego już nie ma. – Wibrujący głos rozbrzmiewał bez końca. Quoyle zauważył, że dłonie Billy'ego schowane w kieszeniach poruszają się niespokojnie.

– Ty paskudny bękartie, z kim rozmawiasz? – rozległ się ochryply, wysoki głos.

Przemoknięty mężczyzna mówił dalej, jakby nigdy nic:

– Czterech ludzi załogi. Jacht ma ożaglowanie kutrowe, dwa tysiące stóp kwadratowych głównego żagla. Potrzeba trzech silnych facetów, żeby się uporać z grotżaglem, a i tak zawsze dostają jakichś tam przepuklin i tym podobnych. Zawsze dezerterują i uciekają z jachtu. Waży tysiąc funtów. Mówię o żaglu. Jacht jest powolny. To dlatego, że jest ciężki. Ale wytrzymały, bardzo wytrzymały. – Nie przerywając, krzyknął: – Opowiadam miejscowej prasie o łodzi! – Nos zmarszczył jak warczący pies.

– Powiedz im, co się wydarzyło w czasie huraganu Bob!

Słowa opadały wraz z deszczem. Quoyłe odłożył swoje przemoknięte notatki i stał, trzymając mokrą dłoń na mokrej brodzie. Włosy na torsie jasnowłosego mężczyzny sterczały przez mokry jedwab jego koszuli, przypominając szare węzły. Wydawało się, że nie zauważa deszczu. Quoyłe dostrzegł szkarłatne blizny na dłoniach, a na serdecznym palcu rubin wielkości niewielkiego pomidora. Poczł zapach alkoholu.

– Absolutnie cudowne rzeźby. Są wszędzie. Ci nieprawdopodobni mistrzowie pracowali nad nimi przez dziewięć lat. Wszelkie możliwe zwierzęta. Zebry, łosie, dinozaury, żubry, legwany, rosomaki; musieliśmy zatrudnić znanego specjalistę od dzikiej zwierzyny, żeby zidentyfikował wszystkie te gatunki. Do tego jeszcze ptaki. Zupełnie, zupełnie niewiarygodne. Pewnie już wiecie, że jacht zbudowano dla Hitlera, ale jego stopa nigdy na nim nie stanęła. Tysiące celowych opóźnień. Niezwykły holenderski ruch oporu. – Słowa rozbryzgiwały się, krople odbijały się od pokładu.

– Powiedz im, co się wydarzyło w czasie huraganu Bob.

– Zdaje się, że moja kochana żona stara się zwrócić na siebie uwagę – stwierdził przemoknięty mężczyzna. – No to zajrzyjcie do środka i rzućcie okiem na wnętrze. Spodoba się wam. Te zewnętrzne rzeźby są naprawdę okazałe, ale w środku twórcy przeszli samych siebie. – Przytrzymał otwarte drzwi i wciągnął brzuch, by ich przepuścić.

W murowanym kominku płonął ogień; jego obramowanie wykonano z drewna atłasowego wyłożonego masą perłową, opalem i jaspisem. Wszystko wyglądało niezwykle. Przepych pomieszczenia miał w sobie coś odpychającego, lecz on nie potrafił określić, co to było. Wyczuwał wypaczającą wszystko morską wilgoć, żrącą sól. Na sofie siedziała kobieta w poplamionym jedzeniem szlafroku, o włosach koloru piany pokrywającej ściek. Jej dłonie obwieszane bransoletami i pierścieniami. Nogi wyprostowane, grubawe, szkarłatne kostki. Trzymała w dłoni kieliszek z wyrżniętym inicjałem M. Łkające dźwięki wiolonczeli dodawały dramatyzmu. Na ławie Quoyłe dostrzegł okładkę płyty kompaktowej, *Śniadanie w satynowej pościeli*. Kobieta postawiła kieliszek. Mokre, żółte usta.

– Bayonet, opowiedz im o tym, co się stało w czasie huraganu Bob. – Mówiła do mężczyzny rozkazującym tonem, nie patrząc na Quoyłę a i Billy’ego Pretty’ego.

– Jego szerokość wynosi szesnaście stóp i jedenaście cali powiedział jasnowłosy mężczyzna, biorąc z kominka kieliszek z inicjałem J. Kostki lodu prawie już stopniały, lecz on pił, nie zważając na to. – Istnieje hoogarsjacht i boeierjacht...

– Jest też hokejjacht i pokerjacht i snookerjacht – powiedziała kobieta. – A także inne pierdoły i kocopoły. Jeśli nie powiesz im, co się stało w czasie huraganu Bob, to ja to zrobię.

Mężczyzna napił się. Woda ściekała z nogawek jego spodni.

Billy Pretty spróbował ułagodzić kobietę, przeczując, że może się wściec.

– No dobrze, moja droga, powiedz nam, co się stało podczas huraganu Bob. Jesteśmy bardzo ciekawi.

Usta kobiety otworzyły się, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Utkwiła wzrok w mężczyźnie. On westchnął i zaczął mówić znużonym, monotonnym głosem.

– Okay. Trzeba dbać o szczęście pieprzonej rodziny. Cumowaliśmy w White Crow Harbor, na północ od Bar Harbor. Wiecie, w Maine, w Stanach Zjednoczonych. W górę wybrzeża od Portlandu. Właściwie to są dwa miasta Portland, ale to drugie znajduje się na Zachodnim Wybrzeżu. W Oregonie, poniżej Kolumbii Brytyjskiej. No cóż, „Łobuzica” tak

jakby uwolniła się z cum w samym środku tego huraganu. Morze zupełnie oszalało. Widzicie, jaka jest „Łobuzica”. Przerażliwie masywna. Przerażliwie ciężka. Zbudowana tak po to, by wymierzać karę. Zmiażdżyła na drzazgi siedemnaście łodzi. Siedemnaście!

Kobieta odchyliła głowę do tyłu i złowieszczo zakrakała.

– Nie koniec na tym. Zauważyliście, że ma płaskie dno. Tak, by mogła wpływać na brzeg. Po tym więc, jak zdruzgotała co lepsze łajby z White Crow, fale wciąż pchały ją na brzeg. Jak jakiś taran. No i łup!

– Łup! – powtórzyła kobieta. Jej szlafrok się rozchylił. Quoyłe dostrzegł siniaki powyżej kolan.

– Pożeglowała na brzeg. Między domy. Nie między jakieś tam chałupki rzeźników czy piekarzy, nie, to były wspaniałe nadmorskie rezydencje zaprojektowane przez znanych na całym świecie architektów.

– Zgadza się, zgadza się! – Popędzała go. Jakby tresowała psa skaczącego przez płonącą obręcz.

– Zniszczyła dwanaście nadmorskich domów, doki, przystanie. Ruina, absolutna ruina. Na brzeg. Łup!

– Łup!

– Wdarła się na brzeg między domy i roztrzaskała je w drzazgi. Wilkie Fritz-Change próbował się przespaciać w pokoju gościnnym jednego z tamtych domów. Wcześniej był ambasadorem w jakimś wschodnioeuropejskim trefnym kraju i regenerował siły po kryzysie w nadmorskim domu Jacka i Daphne Gershomów. Ledwie uszedł z życiem. Myślał, że strzelają do niego z działa. Tak nam później opowiadał. Jednak najbardziej zdumiewający był fakt, że po całym tym szalonym, dzikim miotaniu się jedynym uszkodzeniem na jachcie było pęknięcie na burcie zawietrznej. Ani jednego wgniecenia lub zadrapania.

Kobieta przytaknęła mu, oczy miała zamknięte, usta wydęte. Teraz była już znudzona. Zmęczona tymi ludźmi.

– Co was sprowadza do Killick-Claw? Wakacyjna podróż?

Jasnowłosa mężczyzna gotów był mówić dalej.

– Wakacje? Tutaj? Na najbardziej wyludnionym i podłym wybrzeżu świata? Wołami by mnie tutaj nie zaciągnęli. Wolałbym raczej na najgorszej łajbie ujeżdżać rozszalałe fale u wybrzeży Ziemi Ognistej. Nie, kładziemy tapicerkę, prawda? – Powiedział to z ogromnym sarkazmem. – Ta oto Silver, moja najdroższa żona, nalega, by robił to specjalnie zamówiony tapicer. Wybrany spośród tysięcy tapicerów mieszkających na Long Island, siedem mil od naszego letniego domu. Właśnie dlatego musimy pędzić na tę zapadłą skałę. Wlecemy się tu z Wysp Bahama, żeby położyć w jadalni nową tapicerkę. Jak tu można żyć? Boże, musieliśmy nawet przywieźć ze sobą skórę na te obicia.

Ze sposobu, w jaki wymówił imię kobiety, Quoyłe zorientował się, że zmienił je z jakiegoś innego, bardziej pospolitego, jak Alice albo Bernice.

– Tapicer jachtowy? Nie miałem pojęcia, że istnieje coś takiego.

– Och, tak. Na jachtach pełno jest tych dziwacznych, niewiarygodnych zakamarków, przedziwnych ławek, trójkątnych stolików. Potrzeba tysięcy dolarów, żeby zmienić tapicerkę w jadalni tak niezwykłego jachtu jak ten. Wszystko na zamówienie. Oczywiście każda łódź jest inna. Bardziej ekskluzywne jachty mają obite skórą ściany albo sufity. Widziałem też skórzane podłogi, pamiętasz, Silver? To chyba było na jachcie „Biscuit Paragon”, co? Kurdybanowe płytki na podłodze. Nie do wiary. Oczywiście na czymś takim łatwo się przewrócić.

– Jak on się nazywa? – spytał Quoyłe. – Taki miejscowy tapicer jachtowy może zainteresować naszych czytelników.

– To nie jest „on” – odezwała się kobieta. – Ma na imię Agnis. Agnis Hamm. „Tapicerka jachtowa – Hamm”. Męcząca kobieta, ale absolutny anioł tapicerskiej igły. – Roześmiała się.

Billy Pretty poruszył się.

– No cóż, dzięki, Bayonet i Silver...

– Melville'owie. Tak jak Herman Melville. – Mężczyzna nalał sobie kolejnego drinka, drżał, może z powodu przemoczonego ubrania.

Uścisnęli mu dłoń, Billy Pretty przytrzymał zimne palce kobiety. Z gorącej kabiny wyszli prosto na deszcz. Zawartość mokrej walizki była pewnie zniszczona.

Usłyszeli podniesione głosy dobiegające z wnętrza kabiny.

– No, dalej – powiedziała kobieta – jazda, idź sobie, zobaczymy, jak daleko zawędrujesz, ty obrzydliwy bękarcie. Możesz sobie znowu być przewodnikiem wycieczek. No, dalej, śmiało.

## Wavey

W Wyomingu nadają dziewczętom imię Skye. W Nowej Fundlandii Wavey.

Sobotnie popołudnie. Quoye cały popryskany turkusową farbą, którą malował pokój dziewczynek. Usiadł przy stole z filiżanką i talerzem ciasteczek z galaretką.

– Tak więc, ciciu – powiedział – zajmujesz się tapicerką jachtową. – Pociągnął łyk herbaty. – A ja przez cały czas myślałem, że chodzi o sofy.

– Widziałeś mój szyld? – Ciotka czyściła komodę papierem ściernym. Obwisła skóra jej ręki trzęsła się, kiedy pocierała papierem o drewno.

Bunny i Sunshine siedziały pod stołem z samochodami i tekturową drogą, która rozwijała się, tworząc wciąż nowe zakręty. Bunny położyła klocek na drodze.

– To jest łoś – powiedziała. – A tutaj nadjeżdża tata, Brrr. Tii-tii. Łoś dalej stoi. – Uderzyła samochodem w drewniany klocek.

– Ja też chcę tak zrobić! – zawołała Sunshine, sięgając po samochód i klocek.

– Weź swoje. Te są moje. – Najpierw słycać było szarpaninę, potem uderzenie głowy o nogę stołu i wreszcie płacz Sunshine.

– Beksa! – Bunny wygramoliła się spod stołu, rzucając klokiem i samochodem w Sunshine.

– Dosyć już! – odezwała się ciotka.

– Uspokój się, Bunny. – Quoye posadził sobie Sunshine na kolanach, obejrzał czerwony ślad na jej czole, pocałował go i pokołysał dziewczynkę. Z drugiego końca pokoju Bunny obrzuciła całą trójkę morderczym spojrzeniem. Uśmiech Quoye'a miał być sygnałem jego obojętności na podobne spojrzenia. Wydawało mu się, że jego dzieci potrafią tylko wrzeszczeć i drapać. Kiedy wreszcie złagodnieją?

– Pracownia jest jeszcze w nieładzie, ale przynajmniej udało mi się ustawić maszyny. Trudno tutaj o wykwalifikowaną pomoc, ale przyuczam dwie kobiety, panią Mavis Bangs i Dawn Budget. Mavis jest starszą panią, wdową, za to Dawn ma dopiero dwadzieścia sześć lat. Studiowała na uniwersytecie, wiesz, stypendia i takie tam. Nie ma mowy, żeby znalazła pracę w swojej dziedzinie. Żeby się czymś zająć, pracowała w przetwórci ryb przy taszy, a potem objała się na zasiłku dla bezrobotnych. Robiła kawior z taszy. Ale w ogóle jej to nie interesowało.

– Nie, nie widziałem jeszcze pracowni. Robiłem wywiad z dwójkiem twoich klientów, piszę o ich łodzi. Melville'owie. Zdziwiłem się. Nie miałem pojęcia, że zajmujesz się tapicerką jachtową.

– Tak. Czekałam na mój sprzęt. Otworzyłam pracownię jakieś dziesięć dni temu. Widzisz, zajęłam się tym po śmierci mojej przyjaciółki. W siedemdziesiątym dziewiątym. W dzisiejszych czasach nazwaliby to „znaczącą zmianą”. Warren. To po niej nazwałam sukę.

Pracowała na poczcie. Moja przyjaciółka, oczywiście, nie pies. – Roześmiała się. Trudno było odgadnąć znaczenie rumieńców na jej twarzy. Nie powiedziała Quoylo'owi, że Warren to Irene Warren. Najdroższa kobieta na świecie. Czy on potrafiłby to zrozumieć? Nie.

– Słowo daję, że aż do dzisiaj nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. Nie dziwiłbym się chyba tak bardzo, gdybyś okazała się fizykiem nuklearnym. – Zdał sobie sprawę, że prawie nic nie wie o życiu ciotki. Dotychczas nie pragnął wiedzieć.

– Jak na dziennikarza dajesz się łatwo zaskoczyć. To proste i logiczne. Wychowałam się nad morzem, widziałam więcej łodzi niż samochodów, chociaż nie były to jachty. W Stanach najpierw pracowałam w zakładach odzieżowych, szyłam płaszcze. Kiedy przyjaźniłam się z Warren, mieszkaliśmy na łodzi, cumowałyśmy w różnych basenach Long Island. Najdłużej mieszkaliśmy w Lonelybrook, w tamtejszym basenie miałyśmy specjalne ulgi. Kiedy już miałyśmy dość patrzenia na te same łodzie, w niedzielę mogłyśmy pojechać samochodem do innego portu i pooglądać inne, zjeść kolację. Traktowałam to jak hobby, jak obserwowanie ptaków. Warren zwykle mawiała: „Co byś powiedziała na małą przejażdżkę, rzuciłybyśmy okiem na kilka łodzi?” Marzyłyśmy, że kiedyś będziemy miały malutki kecz, lecz tak się nie stało. Zawsze myślałam o tym, żeby tutaj wrócić, do tego starego domu, z Warren, ale wiesz, wciąż to odkładałyśmy. Tak więc mój powrót tutaj to po części dowód pamięci o Warren. Ale nie tylko.

Zaczęło się od tego, że naprawiłam obicie starego krzesła, które miałyśmy na łodzi. Miało ładny kształt, ale obicie było koloru musztardy, a obszycie już mocno postrzępione. Kupiłam dobry nowy materiał; ciemnoniebieski z czerwonym wzorem. Zerwałam stare obicie i wykorzystałam je na wzór. Napociłam się, żeby wszystko dopasować, pozaginać i przyszyć. Ale wyszło wspaniale. Polubiłam to zajęcie. Zawsze uwielbiałam szyć, pracować rękoma. Warren też się podobało, więc robiłam to samo w skórze. To już było coś, praca z wykorzystaniem skóry. Bardzo ciemna czerwień, zdaje się, że nazywają ją burgundem. Tylko lamowania nie robiłam tak, jak należało. Odstawało w paru miejscach. Miałam też sporo kłopotu z pikowaniem. Serce mi krwawiło, kiedy zobaczyłam, jak zepsułam taką piękną skórę. Według mnie spartaczyłam robotę. A wtedy Warren powiedziała: „Dlaczego nie zapiszesz się na jakiś kurs? Kurs tapicerski”. Wiedziała, że polubiłam tę pracę.

To Warren wypatrzyła tamto ogłoszenie w „Przeglądzie Tapicerskim”. Na Boże Narodzenie podarowała mi kupon subskrypcji. Była zagorzałą czytelniczką. Czytała wszystko, co przynosiłyśmy do domu, nawet nadruki na pudełkach po paście do zębów, etykiety win. Na piątkową kolację kupowała zwykle butelkę wina. Książki! Mówię ci, nasze mieszkanie na łodzi pełne było książek. W ogłoszeniu proponowali letni kurs: „Zaawansowane techniki tapicerskie”, w jakiejś szkole w Karolinie Północnej. Warren napisała, żeby przysłali nam broszurę informacyjną na temat kursu. Przeraziłam się, kiedy zobaczyłam cenę, a poza tym nie chciałam wyjeżdżać sama na całe lato. Kurs trwał osiem tygodni. Ale Warren powiedziała: „Kto wie, Agnis, może już nigdy nie będziesz miała podobnej okazji”. Tak więc w rezultacie zdecydowałam, że pojedę.

Sunshine wysunęła się z ramion Quoylo'a i podniosła klocki. Położyła jeden na drodze pod stołem i rzuciła Bunny zwycięskie spojrzenie. Ta wierzgnęła nogami. Apotem zaczęła mrugać najpierw jednym okiem, później drugim. Sunshine, Quoylo i ciotka przesuwali się przed jej oczami raz w jedną, raz w drugą stronę. Nagle w polu jej widzenia pojawił się jakiś błyszczący cień. Coś białego! Zniknęło.

Ciotka mówiła dalej, opowiadała Swoją Historię. Jej romantyczną wersję.

– Kurs odbywał się w college'u, w małym miasteczku przy Pamlico Sound. Przyjechało około pięćdziesięciu osób z różnych części kraju. Kobieta z Iowa City, która chciała specjalizować się w odnawianiu przedmiotów muzealnych z wykorzystaniem starych brokatów i rzadko spotykanych tkanin. Mężczyzna, który robił meble dla lalek. Projektant mebli, który wciąż powtarzał, że potrzebuje praktyki. Napisałam do Warren, że jestem

zadowolona. Organizatorom kursu powiedziałam, że w niczym się nie specjalizuję, po prostu lubię kłaść skórzaną tapicerkę i chcę nabrać wprawy.

Odłożyła papier ścierny i przetrła blat stołu nawoskowaną szmatką; zbierała kurz długimi pociągnięciami. Bunny przysunęła się pod ścianą do Quoyle'a, zapragnęła znaleźć się blisko niego. Ścisnęła jego ramię obiema rękoma.

– Mniej więcej w połowie kursu instruktor, który pracował z włoskimi projektantami mody, powiedział: „Agnis, mam dla ciebie trudne zadanie”. Chodziło o małą, dwudziestostopową łódź ze szklanego laminatu, która należała do woźnego. Właśnie ją kupił. Moim zadaniem było obszyć poduszki o dziwnym kształcie, które w ciągu dnia służyły jako siedzenie, a w nocy można było na nich spać. Na łodzi był też trójkątny barek, który chciał obić czarną pikowaną skórą. Chciał też, aby wyszyć nazwę łodzi. Pamiętam, że nazywała się „Torquemada”. Przekonałam go, że lepsze będą tradycyjne romby z „plisowanym” pikowaniem i wybruszeniem przy górnej krawędzi. Powiedziałam mu, że nazwę łodzi może kazać wyryć na mosiężnej albo drewnianej tablicy, którą powiesi za barkiem. Zgodził się. Poszło dobrze. Wybrałam odpowiednie ornamenty, fałdy i zakładki w niezwykle wystawnym stylu. Tamten facet właśnie czegoś takiego pragnął. To naprawdę ma coś wspólnego ze sztuką, a ja prześcignęłam samą siebie. Miałam szczęście. – Otworzyła puszkę z żółtym woskiem. Zapach prac domowych i hali przemysłowej. – Instruktor powiedział, że mam talent do tapicerki jachtowej i że to się opłaca. Mówił, że można zobaczyć wielkie łodzie i poznać wielu interesujących ludzi. – Było oczywiste, że ciotka pozwoliła, by czyjeś pochwały zmieniły jej życie.

Quoyle siedział teraz na podłodze razem z córkami; budowali most nad drogą i miasto, większe miasto pełne klockowych samochodów i ryczących silników. Cierpliwie odbudowywał mosty po karambolach ciężarówek.

– Tato, zbuduj zamek. Zamek na drodze. – Robił wszystko, o co go prosiły.

– Wszystko sobie poukładałam w autobusie, w drodze powrotnej na Long Island, obmyślałam, jak otworzę własny mały interes. Naszkicowałam szyld: „Tapicerka jachtowa Hamm”, z wizerunkiem pięknej fregaty pod spodem. Zamierzałam wynająć pomieszczenie z oknem wystawowym na nabrzeżu w Mussle Harbor. Sporządziłam listę niezbędnego sprzętu: przemysłowa maszyna do szycia, prasa do guzików, dwa miękkie kozły, narzędzia do demontażu: wyciągarki do gwoździ i dłuta ciesielskie, a także narzędzia potrzebne do renowacji: naciągarki skóry, obciążarki do taśmy. Pomyślałam sobie, że zacznę od czegoś małego i będę kupować tylko tyle skóry, ile potrzeba na jedno zamówienie, żeby nie zamrażać za dużo pieniędzy.

Zamek został zbudowany. Miał łuki i powiewający proporzec zrobiony z jednej ze spinek do włosów ciotki i kawałka przędzy. Teraz samochody zamieniły się w galopujące rumaki. Bunny i Sunshine cmokały, naśladując tętent końskich kopyt.

– Tak więc wróciłam do domu strasznie podniecona i od razu wyrzuciłam z siebie wszystko. Warren siedziała przy stole w kuchni i kiwała głową. Zauważyłam, że schudła i jakoś tak szarzała. Wyglądała, jakby bolała ją głowa albo było jej bardzo niedobrze. Pytam więc, czy się źle czuje. Warren, biedna Warren! Cała jakaś poskręcana. Aż wreszcie wyrzuciła z siebie jednym tchem: „Rak. Wszędzie. Zostało mi cztery do sześciu miesięcy. Nie chciałam cię martwić w trakcie kursu”. – Ciotka wstała, szurając krzesłem, i podeszła do drzwi, żeby zaczerpnąć powietrza i uwolnić się od zapachu wosku, który przypomina o ciężkiej pracy. – W trzy miesiące było już po wszystkim. Kiedy się trochę pozbierałam, najpierw kupiłam tamtego szczeniaka i nazwałam go jej imieniem. – Nie dodała, że musiała powtarzać je kilkadziesiąt razy dziennie, żeby przywołać szczęście minionych dni. – Suczka była spokojna, dopóki nie dorosła. Później atakowała, ale tylko obcych. Niedługo potem wynajęłam pomieszczenie i otworzyłam pracownię tapicerki jachtowej. Warren, moja Warren, nigdy jej nie zobaczyła.

Quoyłe leżał na wznak na podłodze, klocki ułożone na jego piersi wznosiły się i opadały wraz z jego oddechem.

– To są łodzie – powiedziała Sunshine. – Tato jest morzem, a to jest prom. Tato, jesteś wodą.

– Tak się czuję – powiedział Quoyłe. Bunny wróciła do okna, ułożyła dwa klocki na parapecie. Spojrzała w zarośla.

– I siedzę w tym od trzynastu lat. A kiedy odeszli twoi rodzice, chociaż nigdy nie poznałam twojej matki, stwierdziłam, że jest to dobry moment, żeby wrócić na stare śmieci. Albo ryzykować, że nigdy już ich nie zobaczę. Chyba się starzeję, chociaż wcale tego nie czuję. Nie powinieneś zniżać się do ich poziomu. – Miała na myśli Quoyłe’a zasypanego klockami. Nigdy nie będą cię szanowały.

– Ciociu – zagadnął Quoyłe, którego umysł błędził gdzieś między łodziami cumującymi na jego piersi a tapicerką jachtową. – Ta kobieta z twojej pracowni. Co ona studiowała?

Zawsze bawił się ze swoimi dziećmi. Wstydził się przyjemności, jaką odczuwał, układając klocki z Bunny. Interesował się też babkami z piasku.

– Mówisz o Dawn? Stopa pani Bangs nie stanęła w żadnej szkole, a co dopiero na uniwersytecie. Farologia. Dziedzina zajmująca się latarniami morskimi i światłami sygnalizacyjnymi. Dawn zna się na określaniu natężenia światła, ma pojęcie o błyskach, odbłaskach i bojach. Czujesz się przy niej jak skończony dureń. I wciąż o tym gada, żeby nie zapomnieć. Co schowasz, na zawsze pochowasz. A ona zapomina. Tak mówi. Nie może jednak znaleźć pracy, chociaż ruch na morzu jest tak duży, że nocą nieomal bez przerwy słysząc prujące morze statki. Dlaczego pytasz o Dawn? – Ciotka przesunęła palcami po nawoskowanym blacie.

– Nie wiem – powiedział Quoyłe. – Nawet jej nie znam. Tak się tylko zastanawiałem.

Po stole pełzła mucha, zatrzymała się, żeby obetrzeć pyszczek, po czym ruszyła dalej. Jej tylne nogi przypominały bardziej płozy niż poruszające się kończyny. Ciotka machnęła ścierką.

– Przyjdź do pracowni któregoś dnia w przyszłym tygodniu. Poznasz Dawn i Mavis. Zjemy coś u szypra Williego.

– Dobry pomysł – odpowiedział Quoyłe. Zerknął na Bunny wpatrzoną w zarośla. – Bunny, na co tak patrzysz?

Dziewczynka spojrzała na niego nachmurzona.

– Jak dorosnę – powiedziała – będę mieszkać w czerwonej drewnianej chacie i będę miała kilka świń. Ale nigdy ich nie zabiję, żeby mieć boczek. Ponieważ boczek robią ze świń, tato. Tak nam powiedziała Beety. A Dennis zabił świnie, żeby mieć boczek.

– Naprawdę? – spytał Quoyłe, udając zdziwienie.



Nadszedł wtorek, a Quoyłe wciąż nie mógł się zabrać do artykułu. Poplamione deszczem notatki na temat boterjachtu wsunął pod inne papiery. Zwykle pisał o rezolucjach, głosowaniach, protokołach, regulaminach, programach spotkań i oświadczeniach przyozdobionych politycznymi ornamentami. Nie potrafił opisać lakierowanego poszycia „Łobuzicy”. Jak przelać na papier brutalne charaktery Melville’ów? Wciąż myślał o Bunny. Skrzypiące drzwi w starej kuchni. Przekartkował swoje papiery, spoglądając na zegarek. Pojedzie do miasta i zajrzy do pracowni ciotki. Chciał z nią porozmawiać o Bunny. Nie wiedział, czy powinien się o nią martwić. A poza tym nienasycony Quoyłe jak zwykle umierał z głodu.



Zanim uruchomił silnik, pomyślał o tej wysokiej kobiecie, Wavey. Spojrzał wzdłuż drogi w jedną i drugą stronę, czy nie idzie. Czasem szła w południe do szkoły. Pomyślał, że może pomaga w jadalni. Nie zauważył jej. Kiedy jednak wspiął się na wzniesienie na tyle, żeby zobaczyć dom Jacka, dostrzegł ją. Szła wyprostowana, kołysząc brezentową torbą. Zatrzymał się, zadowolony, że jest sama i że on jest sam.

Książki. Powiedziała, że dwa razy w tygodniu pomaga w szkolnej bibliotece. Mówiła dziwnie zachrypniętym głosem. Usiadła wyprostowana, stopy równo jedna przy drugiej. Spojrzeli sobie na dłonie, oczy obojga szukały palca serdecznego: oboje dostrzegli złoty błysk. Przynajmniej czegoś się dowiedzieli.

Cisza, coraz bardziej rozległa połąć morza. Skif i podskakująca płaskodenna łódź, pochyleni mężczyźni, ponownie nastawiający wiecierze. Quoye zerknął w bok, dostrzegł blade usta, szyję, oczy, które miały kolor pośredni pomiędzy zielenią szkła a barwą ziemi. Szorstkie dłonie. Nie taka młoda: bliżej czterdziestki. Ale wyczuwał w niej jakąś harmonię, z czym? Czasem czy miejscem? Nie wiedział, bardziej wyczuwał. Odwróciła głowę i uchwyciła jego spojrzenie. Natychmiast odwrócili wzrok. Oboje nie kryli zadowolenia.

– Moja córka pójdzie jesienią do pierwszej klasy. Bunny. Ma na imię Bunny. Młodsza córka ma na imię Sunshine, w ciągu dnia opiekuje się nią Beety Buggit. – Pomyślał, że musi coś powiedzieć. Odchrząknął.

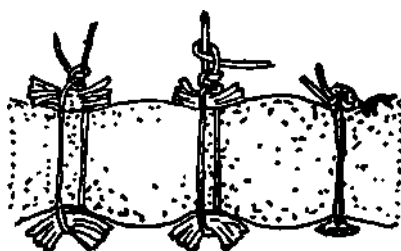
– Słyszałam. – Mówiła spokojnym głosem. Jakby do siebie.

Kiedy znaleźli się na szkolnym podjeździe, wysiadając, mruknęła coś pod nosem, czego Quoye nie zrozumiał, i poszła. Może podziękowała. Może zaproponowała, żeby któregoś dnia wpadł na filiżankę herbaty. Idąc, kołysała rękoma. Zatrzymała się na moment, wyjęła z kieszeni płaszczka pogniecioną papierową chusteczkę i wytarła nos. Quoye nie odjeżdżał. Patrzył, jak kobieta wbiega po szkolnych schodach i wchodzi przez drzwi. Co się z nim działo?

Po prostu chciał zobaczyć, jak idzie, wysoka kobieta, która lubi dużo chodzić. Petal nigdy nie chodziła, kiedy mogła jechać samochodem. Albo się położyć.

## Pracownia tapicerska

Węzły, jakich używa tapicer, to: półszytyk, podwójny półszytyk, węzeł ławkowy i węzeł kitkowy.



Pracownia ciotki znajdowała się w alei za Wharf Road. Drewniany budynek koloru ochry z drewnianymi ozdobami i czarnymi okiennicami. Quoyle popatrzył z uznaniem na rząd sklepów – były usytuowane nieomal na nabrzeżu, a mimo to osłonięte od wiatru. W oknach faliste powierzchnie starego szkła. Kiedy otworzył drzwi, zadzwonił dzwonek. Ciotka podniosła wzrok znad wypchanego liścia lilii wodnej, którego krawędź podwijiała. Wygięta igła zatrzymała się w pół drogi.

– Ach, jesteś – powiedziała. Rozejrzała się, jakby zobaczyła to miejsce po raz pierwszy.

Przy maszynie siedziała kobieta o włosach jak u Emily Dickinson, upiętych nad uszami i przedzielonych szerokim przedziałkiem. Trajkotanie igły przycichło, muślin zsunął się ze stołu. Kobieta uśmiechnęła się do Quoyle’a, ukazując idealne zęby między fioletowymi wargami, a zaraz potem uśmiech znikł z jej oblicza, ustępując miejsca strumieniowi smutku, który oblał jej twarz od czoła po usta. Pod jej szyją pienieł się żabot.

– Pani Mavis Bangs... – powiedziała ciotka niczym mistrz ceremonii.

Przy innym stole siedziała młoda kobieta o kręconych, brązowych włosach. Energicznie cięła rozłożoną skórę.

– ...I Dawn Budgel – dodała ciotka. Kobieta nie podniosła wzroku, skupiona na pracy.

Quoyle czuł zapach skóry, barwnika, kleju i perfum. Woń perfum płynęła od pani Bangs, która przyglądała się teraz Quoyle’owi z założonymi rękoma. Jego dłoń powędrowała do brody.

– No cóż, tak to wygląda – powiedziała ciotka. – Na razie mamy dwie maszyny i jedno stanowisko krojnicze, ale jak rozkręcimy interes, chciałabym mieć sześć maszyn i dwa stoły krojnicze. Tak było na Long Island. W przyszłym tygodniu przyjmę żaglową łódź rybacką, która pod pokładem wygląda tak samo jak jacht. Zbudowano ją w Stanach na Zachodnim Wybrzeżu jako kecz trollingowy, ale teraz należy do jakiegoś faceta z St. John’s. W ciągu ostatniego roku albo dwóch widziałam kilka handlowych żaglowców rybackich. Mówią, że są tanie w eksploatacji. Może to oznaczać, że żagle wracają. Nie miałabym nic przeciwko temu.

Dawn wycina oparcia krzesel do jadalni na jachcie Melville'ów. Niebieski pasuje do koloru oczu pani Melville. Skórę kazała specjalnie ufarbować w Nowym Jorku. A Mavis przyszywa otulinę, która idzie na piankową gumę. Dawn, to jest mój bratanek, o którym opowiadałam. Pracuje w gazecie. Skoczmy na drugą stronę coś zjeść u szypra Willa. Dawn, jak już skończysz wycinać, to możesz założyć niebieską nić na drugą maszynę. Nici też kazała ufarbować.

Ciotka wyszła na ulicę, stukając czarnymi obcasami, a Quoyale, zamykając za nią powoli drzwi, usłyszał, jak pani Bangs mówi do Dawn:

– Nie tego oczekiwałaś, co?



Z wentylatora baru szypra Willa buchnęło gorące powietrze, przesycone zapachem rozgrzanego oleju i spalenizny. Wewnątrz panował jeszcze większy zaduch. Rybacy, ubrani nadal w pomazane krwią nieprzemakalne stroje i rybackie buty, siedzieli pochyleni nad dorszem z frytkami i popijali z kubków, powiewając rozwiązanymi tasiemkami swoich strojów. Dym z papierosów ginął w chmurze pary. Kelnerka ryknęła w stronę kuchni. Quoyale dostrzegł brudny fartuch szypra Willa płynący to w jedną, to w drugą stronę jak kawałek lodu w rozlewisku.

– Agnis, co zjesz dzisiaj, dziewczyno? – Kelnerka spojrzała pogodnie na ciotkę.

– Wezmę duszonego dorsza, Pearl. I filiżankę herbaty. To jest mój bratanek, pracuje w gazecie.

– Taa, już go widziałam. Byli tu kiedyś z Billym. Jadł squidburgera.

– To prawda – powiedział Quoyale. – Był wspaniały.

– To szyper Will wynalazł squidburgera. Dzisiaj też go podać, mój drogi?

– Tak – odparł Quoyale. – Dlaczego nie? I herbatę. Ze śmietanką. – Poznał już kawę szypra, mętny, cierpkawy wywar zalatujący dorszem.

Quoyale złożył swoją serwetkę w wachlarz, potem rozłożył i zaczął składać w coraz mniejsze trójkąty. Spojrzał na ciotkę.

– Ciociu, chcę cię o coś zapytać. Chodzi o Bunny.

Długo się zbierał do tej rozmowy. Petal wciąż powtarzała, że Bunny jest dziwnym dzieckiem. Zaprzeczał temu. Ale rzeczywiście była inna. Coś z nią było nie tak. Przypominała czajnik z wodą, która bulgocze na wolnym ogniu. Był to ten rodzaj odgłosów, które wydobywają się z naczynia, zanim woda do końca się wygotuje i naczynie pęknie. Niekiedy zaś była jak naczynie z zimną wodą, na której powierzchni pływają plamy różnych związków.

– Czy uważasz, że ona jest normalna?

Ciotka podmuchała na swoją herbatę, spoglądając na Quoyale'a. Było to czujne spojrzenie. Patrzyła na niego uważnie, jakby był nowym rodzajem skóry, który zamierza kupić.

– Te koszmarne sny. I to jej usposobienie. I... – Urwał. Były sprawy, o których nie potrafił mówić.

– No cóż – powiedziała ciotka. – Pomyśl tylko o tym, co się wydarzyło. Straciła członków rodziny. Przeprowadziła się w dziwne miejsce. Do starego domu. Otoczyli ją nowi ludzie. Straciła dziadków, matkę. Nie wiem, czy ona rozumie, co się stało. Czasem mówi, że oni wciąż są w stanie Nowy Jork. Dla niej życie stanęło na głowie. Tak samo chyba jak i dla nas wszystkich.

– Gdyby tylko chodziło o to – zauważył Quoyale, pijąc herbatę dużymi łykami. – Ale jest coś jeszcze – jego żołądek wydał odgłos przejeżdżającego pociągu – coś jeszcze. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale to wiąże się z tym, o czym mówię. – Pamiętał te słowa: „zaburzenia

osobowości”, słowa wychowawczynie z przedszkola w Mockingburgu, kiedy Bunny popychała dzieci i łamała kredki.

– Daj mi przykład tego, co masz na myśli.

Czarna chmura opadła na Quoyłe’a.

– No cóż, nie podoba jej się kolor domu. Ta ciemna zieleń. Brzmiało to idiotycznie. Chodziło o to, co wydarzyło się w kuchni. O wszystkim innym mógł zapomnieć. Na stole pojawiło się jedzenie. Quoyłe wgrzył się w squidburgera, jakby przegryzał więzy na swoich nadgarstkach. – Przede wszystkim te koszmary. I ten płacz, i wycie o byle co. W wieku sześciu, sześciu i pół roku dziecko nie powinno się już tak zachowywać. Pamiętasz, jak pierwszego dnia wydawało jej się, że widzi psa? Bała się śmiertelnie białego psa o czerwonych oczach. Jak szukaliśmy bez końca i nie znaleźliśmy żadnego śladu? – Głos Quoyłe’a był coraz bardziej schrypnięty. Dałby wszystko, żeby teraz być gdzie indziej. Ale brnął dalej.

– Oczywiście, że pamiętam. – Skrobanie widelca po talerzu, żar z kuchni, brzęk noży, falujący śmiech. – Kilka tygodni temu wydarzyła się jeszcze jedna przygoda z białym psem. Widziałeś ten biały kamyk, który ułożyłam w ogródku? Kiedy spojrzano na niego zmrużonymi oczyma, to przypominał głowę psa. Któregoś dnia Bunny przybiegła, waląc w drzwi i wyjąc jak oszalała. Myślałam, że stało się coś okropnego. Nie mogłam jej uspokoić na tyle, żeby mi powiedziała, o co chodzi. Wreszcie wyciągnęła rękę. Na palcu miała malutkie skaleczenie, naprawdę malutkie, nie większe niż ćwierć cala. Kropelka krwi. Obandażowałam jej palec i uspokoiła się. Za nic nie chciała powiedzieć, w jaki sposób się skaleczyła. Ale kilka dni później powiedziała mi, że chciała wyrzucić ten „kamień z psim pyskiem” i on ją ugryzł. Powiedziała, że to od ugryzienia psa.

Ciotka roześmiała się, żeby pokazać, że nie ma się czym martwić.

– Właśnie o tym mówię. Ona wyobraża sobie różne rzeczy. – Quoyłe zjadł już całego squidburgera. Utknął w miejscu. Ciotka wszystko bagatelizowała, unikała spraw, o których należało mówić. Ludzie siedzący za nim przysłuchiwali się ich rozmowie. Wyczuwał ich napięcie. Zniżył głos do szeptu. – Posłuchaj, ja naprawdę się martwię. Bardzo się martwię. Pamiętasz ten sobotni poranek, kiedy pojechałaś odebrać swoją przesyłkę? Dopiero co przyszliśmy, żeby przygotować lunch. Miałem podgrzać jakąś zupę. Sunshine walczyła z butami. Wiesz, zawsze chce sama zdejmować buty. Bunny wyjmowała pudełko krakersów do zupy. Gdy otwierała pudełko, papier w środku zaszeleścił, a ona nagle zamarła. Zaczęła się wpatrywać w drzwi. Rozpłakała się. Przysięgam ci, była śmiertelnie przerażona. Powiedziała: „Tato, pies drapie do drzwi. Zamknij drzwi!” A potem zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Sunshine siedziała na podłodze z jednym butem w dłoni i wstrzymała oddech. Powinienem był wtedy otworzyć drzwi i pokazać jej, że nic tam nie ma, a ja zamiast tego zamknąłem je na zamek. Wiesz dlaczego? Ponieważ się bałem, że tam może coś być. Tak ogromna była siła jej strachu.

– Hmm – mruknęła ciotka.

– Tak – powiedział Quoyłe. – I gdy tylko je zamknąłem, ona przestała krzyczeć, wzięła pudełko i wyjęła z niego dwa krakersy. Jakby nigdy nic. Powiedz mi, czy to jest normalne? No, powiedz. Zastanawiam się, czy nie powinienem z nią pójść do psychologa dziecięcego. Albo kogoś takiego.

– Wiesz co, bratanku, nie spieszyłabym się z tym tak bardzo. Poczekałabym jeszcze. Można na to spojrzeć z innej strony. Chodzi mi o to, że może ona ma inną wrażliwość niż my wszyscy. Wyczuwa rzeczy, których my nie zauważamy. W tych stronach można spotkać takich ludzi. – Zerknęła na Quoyłe’a, żeby sprawdzić, jak to przyjął. Że jego córka potrafi widzieć coś więcej niż tylko powierzchowną rzeczywistość.

Lecz Quoyłe nie wierzył w takie rzeczy. Obawiał się, że utrata matki, beznadziejne dzieciństwo, niewystarczająca miłość ojcowska źle wpłynęły na dziewczynkę.

– Zaczekaj z tym, bratanku. Zobaczymy. We wrześniu pójdzie do szkoły. Trzy miesiące to kawał czasu w życiu dziecka. Zgadzam się z tobą, że ona jest inna; można powiedzieć, że czasem trochę dziwna, ale wiesz, wszyscy jesteście inni, chociaż lubimy udawać, że tak nie jest. Wewnątrz jesteśmy dziwni. Uczymy się maskować swoją inność, w miarę jak dorastamy. Bunny jeszcze tego nie robi.

Quoyłe odetchnął głęboko, położył dłoń na brodzie. Miał wrażenie, że wcale nie rozmawiają o Bunny. W takim razie o kim? Rozmowa rozmywała się jak mgła w blasku słońca.

Ciotka dokończyła swoją rybę. Na brzegu jej talerza pozostała platanina ości, które kelnerka nazwała obrzynkami diabelskich paznokci.

Wrócili do pracowni. Kiedy szli chodnikiem, Quoyłe dostrzegł przez okno przedziałek we włosach pani Bangs, która pochylona nad oparciem krzesła wyjmowała z niego gwoździki za pomocą dłuta.

– Dobrze, że o tym porozmawialiśmy – powiedziała ciotka. – Niestety, dzisiaj muszę zostać dłużej. Trzeba zerwać obicie z siedzeń. Wszystko musi być gotowe na przyszły wtorek. Jeśli możesz, odbierz dziewczynki. I nie martw się o Bunny. To jeszcze małe dziecko.

Ale to nie powstrzymało Guya. Za pierwszym razem była w wieku Bunny.

– Tak – powiedział Quoyłe, podbudowany kilkoma sekundami szczęścia. No cóż, poczekamy, zobaczymy. Wszystko może się zdarzyć. – Zjesz kolację w mieście, czy mamy ci coś przygotować?

– Och, tutaj coś przekąszę. Jedź już. Musisz kupić mleko i więcej lodu do chłodziarki. Nie zamartwiaj się byle czym.

– Dobrze – odparł Quoyłe. – Do widzenia. – Pochylił się do miękkiego policzka ciotki, roztaczającego delikatny zapach mydła z olejkiem awokado. Chciała dobrze, ale nie miała pojęcia o dzieciach i o udrękach, przez które przechodzą.

## Kuchnia Beety

Potrzeby pani domu są różnorodne, lecz nie stanowią niczego nadzwyczajnego i większość z tego, czego jej trzeba, jest powszechnie dostępna.

*Księga węzłów Ashleya*



Najlepsza część dnia nadeszła dla Quoyle'a dopiero wtedy, kiedy pojechał do domu Dennisa i Beety, aby zabrać córki. Poczul, że życie ma głębszy sens, stał się bardziej ojcem, a jednocześnie miał okazję okazać uczucia, które często sprowadzały się do tęsknoty.

Wzgórze opadało w stronę wody. Minął ogrodzenie z rzadko przybitymi sztachetami, a potem dom Dennisa w kolorze ultramaryny, z głównym oknem wychodzącym na ulicę. Zanim Quoyle wszedł do środka, wyjął z kieszeni wieczne pióra i położył je na desce rozdzielczej samochodu. Drzwi otwierały się do wnętrza. Prowadziły do kuchni. Szedł ostrożnie, klucząc między dziećmi. W saloniku, pod retuszowanym zdjęciem przedstawiającym dwie krępe kobiety siedzące w paprociach, Dennis oglądał wiadomości rybackie rozparty wygodnie na cętkowanych poduszkach. Po jego obu stronach leżały poduszki przybrane szydełkowymi ozdobami w kwadraty i tęczę. Cieśla w domu.

Było gorąco i pachniało chlebem. Quoyle uwielbiał, gdy w mieszkaniu było ciepło i pachniało drożdżami. Rozmowy i pokrzykiwania dzieci zagłuszały odgłosy telewizora. Od czasu do czasu któreś z dzieci płakało. Czuł, jakby Dennis i Beety byli jego tajemnymi rodzicami, chociaż Dennis był w jego wieku, a Beety młodsza.

Dennis zawołał w stronę kuchni, prawie nie odrywając wzroku od telewizora:

– Zrób nam herbaty, mamusiu.

Strumień wody popłynął do czajnika. Na białym piecu stał syczący imbryk. Beety przetarła dłonią blat kuchennego stołu i położyła na nim bochenek chleba. Winnie, najstarsza z dzieci Buggitów, przyniosła stos talerzy. Kiedy Quoyle usiadł, Bunny rzuciła się na niego, jakby wrócił z dalekiej, niebezpiecznej podróży. Ścisnęła go i uderzała w niego głową. Nic jej nie jest. Nic. Sunshine bawiła się w pająka z Murchie Buggit. Jej palce pełzały w górę ramienia Murchie, a ona powtarzała: „gigli migli”.

Quoyłe słuchał i kiwał głową, siedząc przy kuchennym stole z dziećmi na kolanach i jedząc chleb z dżemem jabłkowym. Dennis mówił trochę o ostatnich wydarzeniach, Beety opowiadała niestworzone rzeczy, które rozrastały się w kolejne opowieści. I tak bez końca.

Trąbki i mydlane bańki tworzyły deseń na obrusie. Dennis stwierdził, że jest oburzony: jego kumpel, Carl, wjechał w wykop, który przeprowadzono w poprzek drogi na Bonę Hill. Leży w szpitalu ze złamanym karkiem. Beety postawiła przed dziećmi spodeczki z morelami z puszki. Bunny podniosła łyżeczkę i po chwili opuściła ją.

– Tak, Carl był jakby wybrany. Osiem, dziewięć lat temu dopadł go prawdziwy strach. Zupełnie osiwiiał w ciągu jednego miesiąca. Wyobraź sobie: łowi w wodzie ze swoim bratem niedaleko Cauldron i widzi to coś starego, nieruchawego. Myślał, że to luźna sieć, czasem zrywają się i wypływają na powierzchnię. Podpływają więc, maca hakiem, a tu z wody wyłania się ogromna macka i chwyta go. – Dennis uniósł ramię nad głowę z groźnie zakrzywionymi palcami. – Łapie go za ramię. Twierdzi, że nigdy nie czuł takiej siły. Na szczęście nie był sam. Jego brat łapie za nóż, którym czyścił dorsze, i zaczyna piłować mackę, same mięśnie i przyssawki, które pozostawiły okropne blizny. Udało mu się ją przeciąć i włączyć silnik. Mało nie umarł ze strachu, gdyż spodziewał się, że potwór dosięgnie go innymi mackami. Udało im się uciec. Uniwersytet zapłacił mu nawet za odciętą mackę. A teraz złamał kark, wjeżdżając w wykop na drodze. Jaki w tym wszystkim sens?

Bunny zeszła już z jego kolan, poszeptwała coś z Beety i wyciągnęła boczek z lodówki, żeby pokazać Quoyłowi. Słynny boczek ze świni, którą zabił Dennis. Quoyłe otworzył szeroko oczy i uniósł brwi, żeby pokazać Bunny, jak wielkie zrobiło to na nim wrażenie. Nie przestawał słuchać Dennisa.

– Ojciec nie nauczył mnie niczego o rybołówstwie. On kocha łowienie, ale kocha je tylko dla siebie. Próbuje trzymać mnie od tego z daleka. Najchętniej zabroniłby wszystkim dostępu do morza. A efekt jest taki, że Jesson pokumał się z ludźmi wuja Gordona, a ja wciąż myślę o łowieniu. Och, oczywiście chciałem być cieślą, ale chcę też łowić – mówił zamyślony. – To jest to. W łowieniu jest coś, czego nie da się opisać. Za każdym razem, kiedy wyciągasz sieci, jest tak, jakbyś otwierał prezent. Nigdy nie wiesz, co w niej znajdziesz, czy wzbogacisz się, czy pójdziesz z torbami, czy będziesz panem, czy dziadem. Tak więc chciałem łowić. Wszyscy Buggitowie ciągną do wody. Wszyscy. Nawet dziewczyny. Marge jest instruktorem żeglarstwa w Ontario. Eva jest dyrektorem socjalnym na statku wycieczkowym. Nie sposób odpędzić nas od łodzi. Ale ojciec robił wszystko, co w jego mocy.

– Bał się o ciebie.

– Tak. Jakby coś wiedział, coś o Buggitach i morzu. On ma taki dar. Wiedział, kiedy zatonął statek Jessona, tak samo jak wiedział, gdzie mnie odnaleźć, kiedy „Polar Grinder” został uszkodzony. Nigdy nie zapomnę, jak to było z biednym Jessonem. Widzisz, Jesson był pupilkiem mamy. Zawsze tak było, odkąd tylko się urodził.

Quoyłe wiedział coś na ten temat.

– Ojciec wstał od stołu. Siedział przy stole i słuchał radia na krótkich falach, wszyscy tam siedzieliśmy. Nagle powiedział: „Jesson nie żyje” i poszedł na drugą stronę ulicy do swojego warsztatu, gdzie dzisiaj jest biuro „Pleciuchy”. Siedział tam sam przez całą noc. Tamtej nocy świeciła zorza polarna, tak piękna, że aż dech zapierało, kolorowe pasma, snuły się po niebie jak pajęczyna. A rano wszystko opłotły srebrzyste nitki, wszystko, ożaglowanie, domy, druty telefoniczne. Pewnie z powodu zorzy. Matka powiedziała, że to za sprawą Jessona, kiedy opuszczał swoje ziemskie ciało.

– Twój ojciec założył gazetę po śmierci Jessona, tak?

– Mniej więcej. Ale wiesz, tak naprawdę wszystkim zajmuje się Tert Card. Owszem, ojciec ją założył i mniej więcej on decyduje o wszystkim. Ale zwykle dzwoni, wymyśla jakąś historyjkę o chorobie i wypływa na połów. Wszyscy o tym wiedzą.

– Och, on tam jest prawdziwym szefem – stwierdził Quoye. – Myślę, że Tert Card tańczy tak, jak on mu gra.

– Jedz swoje morele, Bunny – powiedziała Beety, zbierając puste spodki.

Bunny szepnęła jednak do Quoye'a:

– Morele wyglądają jak małe tyłeczki, tato. Tyłeczki małych wrózek. Nie chcę ich jeść. – Zaczęła pochłapywać.

Dennis wciąż mówił, kiedy nagle w drzwiach ukazał się niski, pomarszczony mężczyzna. Oparł się o framugę. Wyglądał jak kawałek drewna unoszonego przez wodę, tylko twarz miał fiołkoworóżową. Ubrany był w koszulę w kwiaty hibiskusa wielkości naleśników. Beety dała mu kubek herbaty i pajdę chleba z margaryną, którą pochłoniął w mgnieniu oka.

– Alfred! – powiedział Dennis. – Szyper Alfred! Wejdz i usiądź z nami. Ten tutaj to Quoye, pracuje w gazecie. Wrócił razem z Agnis Hamm do starego domu na Quoye's Point.

– Taa – odparł mężczyzna. – Pamiętam Quoye'ów i ich kłopoty. Dzika banda. Mówią, że w dawnych czasach Quoye'owie przybili człowieka do drzewa za uszy i odcięli mu nos, żeby zapachem krwi zwabić robale i muchy, które zżarły go żywcem. Nie ma już ich, poza tym dziwakiem Nolanem z Capsize Cove. Nie sądziłem, że ktoś z nich wróci, a tu zjawilo się czworo, chociaż ta Hamm i pozostała trójka nigdy nie byli na Nowej Fundlandii. Ale przyszedłem zobaczyć tę małą pomocnicę cieśli.

Dennis wskazał na Bunny.

– A więc to ty jesteś tą panienką, która chciała przybić dach swoim młoteczkim.

– Chciałam pomóc tacie – szepnęła Bunny.

– Dobrze. Mało który dzieciak pomaga teraz ojcom, czy to chłopak, czy dziewczyna. A ja ci przyniosłem coś jakby na zachętę. – Wręczył Bunny mały mosiężny kątownik, którego podziałka była już mocno wytarta, lecz wciąż jeszcze widoczna. – Myślisz sobie pewnie: „co to jest?” A to zwykła rzecz. Pomoże ci kreślić proste linie i prosto wycinać. Jak będziesz miała kątownik, piłkę, młotek, trochę gwoździ i drewna, to będziesz mogła zrobić mnóstwo rzeczy. Miałem to wszystko, kiedy byłem w twoim wieku, i zrobiłem pudełko z wieczkiem: sześć deszczulek i dwa zawiasy z kawałków skóry. Ale byłem dumny!

– I co ty na to, Bunny? – spytał cicho Quoye.

– Chcę zrobić pudełko z wieczkiem i dwoma zawiasami.

Wszyscy się roześmiali z wyjątkiem Quoye'a. Obserwował Bunny, która zaczerwieniła się zawstydzona.

– A zatem – odezwał się Quoye – dziękujemy szyprowi Alfredowi za wspaniały kątownik i pojedziemy do domu, jeśli chcemy mieć jeszcze dzisiaj trochę czasu na ciesielkę.

– Czy słyszała, co powiedział o człowieku przybitym do drzewa?

Kiedy znaleźli się już w samochodzie, kazał Bunny położyć kątownik na podłodze, na wypadek gdyby wpadli w wykop na drodze.



## Kronika portowa

Kuzyn statku: osoba mile widziana na pokładzie statku.

*Słownik morski*

Zdjęcia boterjachtu leżały na biurku. Ciemne, ale nadające się do druku, wystarczająco dobre, żeby ukazać przerażającą siłę jachtu. Quoyale postawił jedno przed sobą i wkręcił do maszyny arkusz papieru. Teraz już wiedział.

### MORDERCZY JACHT W KILLICK-CLAW

„Potężny jacht zbudowany pięćdziesiąt lat temu dla Adolfa Hitlera zawinął w zeszłym tygodniu do portu w Killick-Claw. Hitler nigdy nie stanął na pokładzie luksusowego boterjachtu nazwanego «Łobuzica», ale jego zła moc zdaje się emanować z łodzi. Obecni właściciele, Silver i Bayonet Melville’owie z Long Island, opisali spustoszenie, jakie «Łobuzica» uczyniła podczas huraganu Bob wśród łodzi wycieczkowych i luksusowych willi White Crow Harbor w Maine. «Zmiażdżył na drzazgi siedemnaście łodzi, roztrzaskał w puch dwanaście nadmorskich domów i przystani» – powiedział pan Melville”.

Słowa pojawiały się na papierze z szybkością jego myśli. Teraz czuł, że pisze dobrze. Tekst dobrze oddawał dumę Melville’ów z niszczycielskiej siły ich łodzi. O jedenastej położył skończony artykuł na biurku Terta Carda. Card, zatopiony w myślach, liczył fale.

– To do kroniki portowej. Opis jednego z jachtów w porcie.

– Jack nic mi o tym nie mówił. Kazał ci to napisać? – Jego poliestrowe spodnie były wybrzuszone w kroczu.

– To jest coś ekstra. Ciekawa łódź.

– Weź to, Tert. – Billy Pretty bębni w klawisze, płodząc swoją plotkarską kolumnę.

– A co z wypadkiem? Gdzie jest artykuł o wypadku?

– Tego właśnie nie napisałem – powiedział Quoyale. – Nic wielkiego się nie wydarzyło. Pani Diddolote skręciła kostkę. Kropka.

Tert Card wlepił w niego wzrok.

– Nie zrobiłeś tego, co Jack ci kazał, za to zrobiłeś to, czego ci nie kazał robić. Cholera, pewnie, że to wezmę. Jak nic. Już dawno nie widziałem, jak Jack się wścieka. Ostatni raz zdarzyło się to wtedy, kiedy jego but rybacki spadł na kuchnię i się usmażył. Coś ci poradzę, kiedy jutro rano przyjedziesz do pracy, lepiej nie wyłączaj silnika.

Co ja narobiłem, pomyślał Quoyale.

– Daj sobie spokój z Edith Diddolote. Mam ją w swojej kolumnie razem ze skręconą nogą i kilkoma siarczystymi uwagami. – Mankiety swetra Billy’ego były już mocno postrzępione. Jego niebieskie oczy pozostawały wciąż czujne.



– Cholera, dobrze, że jesteś. Billy jest w klinice, badają mu prostatę, a Jack już jedzie. Chce cię zobaczyć. – Tert Card energicznie otworzył świeży egzemplarz „Pleciuchy”. Gradowe spojrzenie jego lśniących oczu.

Siedzący przy swoim biurku Nutbeem zapalił fajkę. Białe obłoki dymu popłynęły w górę. Za oknem mgła i porywisty wiatr, który nie był w stanie jej rozpędzić.

– Dlaczego? – spytał Quoyale lękliwie. – Z powodu tego kawałka?

– Taa. Pewnie zamierza wypruć ci flaki za ten kawałek o jachcie Hitlera – stwierdził Tert Card. – On nie lubi niespodzianek. Powinieneś być trzymać się tego, co ci kazał robić.

Ryk silnika samochodowego, trzaśnięcie drzwiami. Quoyale spocony i napięty. To tylko Jack Buggit, pomyślał. Tylko okropny Jack Buggit ze swoim cholernym knutem i rozgrzanym żelazem. „Dziennikarz zatłuczony pałką”. Zawadził rękawem o pudełko z notatkami i innymi papierami stojące na jego biurku; arkusze rozsypały się po blacie. Fajka przekrzywiła się w ustach Nutbeema, kiedy rozplątywał przewód telefonu, pozwalając słuchawce opaść na dół i kręcić się swobodnie. Upuścił bryłkę żarzącego się tytoniu.

Jack Buggit wszedł do pokoju, powiódł ożywionym wzrokiem dookoła, zatrzymał spojrzenie na Quoyale’u. Machnął ręką nad głową, jakby łapał muchę, i zniknął za szklanym przepierzeniem. Quoyale poszedł za nim.

– No dobra – zaczął Buggit. – Mamy, co mamy. Ten mały kawałek, który napisałeś i przyczepiłeś na końcu kroniki portowej...

– Myślałem, że ją trochę ożywię, panie Buggit – powiedział Quoyale. – Niezwykła łódź w porcie i...

– Jack – odparł Buggit.

– Nie muszę już pisać drugiego. Myślałem tylko... – „Dziennikarz liże buty wydawcy”.

– Gadasz, jakbyś łowił dziurawą siecią. – Patrzył groźnie na Quoyale’a, który opadł na krzesło, zasłaniając dłonią brodę. – Miałem wczoraj cztery telefony w sprawie tej łodzi Hitlera. Ludziom się to podobało. Pani Buggit też. Sam przejechałem się, żeby ją zobaczyć. Zebrał się tam niezły tłum, wszyscy oglądali. Oczywiście, ty nie masz pojęcia o łodziach, ale to też jest zabawne. W każdym razie pisz dalej. Od dzisiaj będziesz miał kolumnę, rozumiesz? „Kronika portowa”. Rozumiesz? Co tydzień artykuł o jakiejś łodzi. Będą czytać. Nie tylko w Killick-Claw. Na całym wybrzeżu. Masz kolumnę. Znajdujesz łódź i piszesz. Nieważne, czy to taklowiec, czy statek wycieczkowy. To wszystko. Zamówimy ci komputer. Powiedz Tertowi Cardowi, że chcę z nim rozmawiać.

Cardowi nie trzeba było nic mówić. Słyszał wszystko przez cienką ściankę.

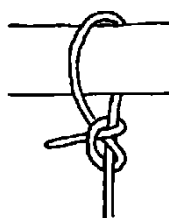
Quoyale wrócił do swojego biurka. Czuł się lekki jak piórko. Nutbeem złączył dłonie nad głową i znacząco nimi potrząsnął. Przekrzywił fajkę. Quoyale wkręcił papier do maszyny, lecz niczego nie napisał. Miał trzydzieści sześć lat i po raz pierwszy ktoś powiedział mu, że zrobił coś dobrze.

Za oknem mgła biała jak mleko.

## Pasztet z homara

Węzeł pławy homarowej... był szczególnie przydatny do mocowania budulca.

*Księga węzłów Ashleya*



Chłopiec na tylnym siedzeniu mówił dużo, operując rozciągniętymi sylabami, które rozumiała tylko jego matka. Mimo to Quoye pojmował sens jego słów. Wypowiedź chłopca była pełna egzaltacji. Podniecał się takimi rzeczami, jak niebieska nitka na mankiecie swetra, bębnie brunatnożółtego deszczu w kałużach czy ciasteczko zawinięte w chusteczkę higieniczną. Podniecało go wszystko, co jasne, na przykład pomarańczowe rękawice rybackie. Bardzo żywiołowo reagował na kolory.

– Ekawica! Ekawica!

Albo niebieski irys w ogrodzie pani Buggit.

– Jiis!

– Ma wspaniały wzrok – powiedział Quoye.

Nie musiał dodawać nic więcej, aby zachęcić Wavey do mówienia. Zespół Downa, wyjaśniła. Chciała, żeby miał godziwe życie. To nie jego wina. Żeby nie musiał siedzieć zamknięty w jakimś pokoju albo włóczyć się zaśliniony po ulicach, jak to dawniej bywało. Dużo można było zrobić dla niego. Na wybrzeżu więcej było takich dzieci. Rozpytywała o nie, wyszukiwała, rozmawiała z rodzicami. Jej brat, Ken, woził ją swoim samochodem. Tłumaczyła, że wiele można zrobić.

– Te dzieci są zdolne, mogą się wiele nauczyć.

Pełna wewnętrznego ognia. Dźwięczny głos. Galopująca Wavey. Przez miejscową bibliotekę sprowadziła odpowiednie książki. Założyła grupę rodzicielską. Sprowadziła z St. John's specjalistów z odczytami. Wyjaśniała, co można zrobić. Stawiała dzieciom wymagania. Wystąpiła z petycją, organizowała spotkania. Rodzice pisali listy z prośbą o zorganizowanie klasy specjalnej. I dostali pozwolenie. W No Name Cove była trzyletnia dziewczynka, która nie umiała jeszcze chodzić. Ale mogła się nauczyć i nauczyła się. Zorganizowali tę klasę, żeby ratować zagubione dzieci, pokazać im, jak chwycić się życia. Złączyła dłonie, pokazując mu, że każdy, kto żyje, potrafi chwycić się jakiejś możliwości.

Zastanawiał się, co jeszcze mogłoby rozpać w niej taką pasję.

Poprosiła Quoyle'a, żeby podwiózł ją kiedyś do biblioteki. Była otwarta tylko w piątkowe i wtorkowe popołudnia.

– Widzisz, Ken zawozi mnie, kiedy tylko może, ale teraz łąwi. A mnie brakuje książek. Dużo czytam. Czytam też Herry'emu, wciąż mu czytam. I jeszcze muszę mu zastąpić ojca. Robimy to, co lubi. Wspinaczka, trudne wyprawy, podróże na Labrador.

W piątek rano Quoyle przygotował się, włożył najlepszą koszulę. Wyczyścił buty. Nie chciał być podekscytowany. Na miłość boską, przecież tylko podwozi ją do biblioteki. Ale czuł podniecenie.



Biblioteka mieściła się w odnowionym domu. Kwadratowe pokoje, tapety w intensywnych kolorach pistacji i melona. Proste półki, pomalowane stoły.

– Tu jest dział dziecięcy – powiedziała Wavey. – Może dziewczynki będą chciały wypożyczyć kilka książek. Sunshine i Bunny. – Wymówiła ich imiona ostrożnie.

Jej włosy były wyszczotkowane i zaplecione, szara sukienka ozdobiona koronkowym kołnierzykiem. Herry stał już przy półkach z książkami, ciągnął za grzbiety, otwierał okładki, odsłaniając fantastyczne światy.

Quoyle czuł się jak ogromny, niezdarny słoń, za każdym razem, kiedy się obrócił, zaczepiał swetrem o wystającą książkę. Zrzucał eseistów, morderców, jeźdźców, perorujących lekarzy i łapał ich w powietrzu albo nie. Głupi Quoyle, z rumieńcem na twarzy, w malutkiej bibliotece na północnym wybrzeżu. Ale dotarł jakoś do działu podróżniczego i znalazł Erica Newby'ego i Hansena oraz Redmonda O'Hanlona i Wilfrida Thesigera. Wziął cały stos.

W drodze powrotnej zajechali do domu Beety, żeby zabrać dziewczynki. Bunny i Sunshine nie znały Wavey.

Nastąpiło oficjalne przedstawianie.

– To jest Herry Prowse. A to jest Wavey. Matka Herry'ego.

Wavey odwróciła się i uścisnęła im dłonie. Herry także ścisnął dłonie wszystkich, Quoyle'a, swojej matki, obie jednocześnie. Jego palce, cała dłoń była gorąca jak psia łapa.

– Miło mi – powiedziała Wavey. – Och, miło mi was poznać.

Zatrzymał się przed domem Wavey, zachęcony zaproszeniem na herbatę i ciastka. Sunshine i Bunny mocowały się na tylnym siedzeniu, żeby zobaczyć ogródek przy następnym domu, a w nim menażerię malowanych psów, kogutów, srebrzystych gęsi i łaciatych kotów. Była tam też drewniana postać mężczyzny w kraciastych spodniach, który trzymał za rękę drewnianą kobietę. Wiatrowskaz był w kształcie łodzi.

Potem wzrok Bunny spoczął na psie ze sklejki, który miał na szyi obrozę z kapsli. Otwarty pysk, wyszczerzone kły, nos uniesiony do góry.

– Tato. – Chwyciła ojca za kołnierz. – Tam jest biały pies. Zaczęła cicho płakać. Quoyle dyszał, jak wciągnęła głęboko powietrze. – Biały pies. – Usłyszał, jak powtarza okropne słowa jeszcze raz, cicho: „biały pies”. I zrozumiał coś. Bunny wzbudzała w sobie przerażenie, sama wywoływała ten stan.

– Bunny, to tylko drewniany pies. Tylko drewno i farba, on nie jest prawdziwy. – Ale do niej to już nie docierało. Popłakiwała cicho i szczykała zębami. – Chyba kiedy indziej wpadniemy na herbatę – powiedział Quoyle do Wavey. A Bunny obrzucił surowym spojrzeniem. Nieomal się rozżłościł.

– Tato – odezwała się Sunshine. – Gdzie jest ich ojciec? Herry'ego i Wavey?



W czasie weekendu Quoyle i ciotka zajęli się remontem i malowaniem. Dennis rozpoczął kołkowanie ścian kuchennych. Wszędzie pełno trocin, na podłodze leżały płyty dwie stopy na cztery. Ciotka czyściła papierem kolejną szafkę.

Quoyle wyrąbywał swoją tajemną ścieżkę. Czytał książki. Bawił się z córkami. Raz przez moment spojrzenie Sunshine przypomniało mu Petal. Pomyślał, że ból chłodzi gorącą lawę uczuć. Jakby nagle ukazała się i zniknęła. Przywołał do siebie Sunshine, zapragnął wziąć ją w ramiona, przytulić twarz do jej szyi, żeby przedłużyć to złudzenie, ale nie zrobił tego. Zamiast tego uściśnął jej dłoń, powtarzając:

– Miło mi cię poznać, miło mi cię poznać i jeszcze raz miło mi cię poznać. – Przywoływał obraz Wavey, tej wysokiej kobiety. Roześmiał się razem z dziewczynkami.



Któregoś sobotniego poranka Quoyle popłynął łodzią do No Name Cove po homary. Zostawił Bunny wściekającą się na przystani.

– Chcę popłynąć z tobą!

– Popływamy, jak wrócę.

Już się pogodził z żartami, jakie rzucano w No Name Cove pod adresem jego łodzi. To jest ta słynna łódź, w której – jak mówili – kiedyś pójdzie na dno. W drodze powrotnej musiał opłynąć niewielką górę lodową, którą fale unosiły w dół zatoki. Zaciekawiała go – bryła lodu pełna łuków i zagłębień. Wielka jak salon bingo.

– W tym roku już ponad czterysta osiadło na mieliźnie – powiedział ciotce. Wciąż o nich myślał. Nigdy nie przypuszczał, że w jego życiu będzie miejsce na góry lodowe. – Nie wiem, w którym miejscu dotarły do brzegu, ale tak mówią. Wczoraj oglądałem specjalny biuletyn informacyjny na ten temat.

– Dostałeś homary?

– Tak, u Luda Younga. Naładował mi pełen koszyk, jakby chodziło o czyjeś życie. Próbowałem mu zapłacić, ale nie chciał pieniędzy.

– Niedługo już będzie po sezonie, więc lepiej najedźmy się, dopóki są. A ty bierz, jak dają. Pamiętam Youngów z dawnych czasów. Te ich włosy wpadające do oczu. Wiesz, najlepsze, co tu mają, to ryby. Poczekaj, aż przyjdzie sezon na śnieżnego kraba. Najśłodsze mięso w świecie. No a jak przyrządzimy nasze homary?

– Ugotujmy je.

– No cóż, czemu nie. Już dawno nie jedliśmy potrawki z homara. Ma ona swoje zalety. – Spojrzała w kierunku drugiego pokoju, z którego dochodził stukot młotka Bunny. – Damy jej talerz kaszy i nie będziemy musieli wysłuchiwać tych wrzasków o „czerwonych pajakach”. Albo ugotuję homary, wyciągnę mięso i zrobię zawijańce. A może tak mięso z homara w sosie śmietankowym zawijane w placuszkach?

Quoyle czuł, że ślina napływa mu do ust. To była stara sztuczka ciotki: prezentowała całą gamę smakowitych dań, po czym wracała do najprostszych. To nie było w stylu Partridge’a.

– Sałatka z homara też jest dobra, ale może zbyt skromna jak na kolację. Z Warren jadałyśmy homara w ulubiony sposób w The Fair Weather Inn na Long Island. Mięso z ogona moczysz w sake, a potem gotujesz z dodatkiem bambusowych pędów i kotewki, po czym faszerujesz nim skorupy i zapiekasz. Dawali do tego gorący sos, jakiego już dzisiaj nie uświadczysz. Tutaj nie mają takich składników. Oczywiście, gdybyśmy mieli małże i mięso z krabów, mogłabym zrobić faszerowane ogony homara. Przyrządza się podobne danie, tylko że z białym winem i parmezanem. Gdybym tak miała białe wino i parmezan.

– Kupiłem ser. Ale to nie jest parmezan. Cheddar.

– No to nie ma się nad czym zastanawiać. Pasztet z homara! Nie mamy śmietany, ale mogę dodać mleka. Bunny zje bez grymasów, a poza tym będzie to pewna odmiana po gotowanych homarach. Chcę, żeby to było coś dobrego. Zaprosiłam Dawn na kolację. Na szóstą, więc mamy dużo czasu.

– Kogo?

– Słyszałaś. Zaprosiłam Dawn. Dawn Budget. To miła dziewczyna. Dobrze ci zrobi takie spotkanie towarzyskie.

Ciotka uważała, że bratanek za dużo pracuje i troszczy się nadmiernie o dzieci.

Z salonu dobiegło potężne walenie.

– Bunny – zawołał Quoyale. – Co robisz? Jeszcze jedno pudełko?!

– Robię namiot. – Wściekły głos.

– Drewniany namiot?

– Tak. Ale drzwi są KRZYWE!

Rozległ się łoskot.

– Co ty wyprawiasz?

– Drzwi są krzywe. A ty powiedziałaś, że popływamy łódką. I nie popływaliśmy.

Quoyale wstał.

– Zapomniałem. Okay, włóżcie kamizelki i idziemy.



Jednak gdy tylko znaleźli się za drzwiami, Bunny wymyśliła nową zabawę, więc Quoyale musiał czekać.

– Połóż się na plecach, o tak.

Sunshine opadła ciężko na plecy, rozkładając ręce i nogi.

– A teraz popatrz w górę, na sam szczyt domu. Patrz w to samo miejsce. Straszne, co? Wygląda, jakby dom się przewracał.

Ich spojrzenia powędrowały w górę ściany, wypaczonej sztormami, aż pod czarne krokwie. Chmury na niebie pędziły ukośnie. Z dołu wydawało się jednak, że to one stoją w miejscu, a dom przewraca się nieubłaganie do przodu. Ściana przechyliła się w stronę Sunshine, która podniosła się i uciekła, wydając pełne podniecenia radosne okrzyki. Bunny wytrzymała dłużej, ale i ona niebawem zerwała się i pobiegła w bezpieczne miejsce.

Quoyale kazał im usiąść obok siebie. Łódź płynęła, mrużąc monotennie.

– Popłynij szybciej, tato! – krzyknęła Sunshine.

Lecz Bunny spojrzała na spienioną falę dziobową. W kotłującej się pianie dostrzegła pysk białego psa, lśniące oczy, pysk z bąbelków. Fala podpłynęła wyżej, a z nią wzniósł się pies; Bunny uczepliła się kurczowo siedzenia i zawyla. Quoyale wyłączył bieg.

Łódź unosiła się na wodzie bezwładnie, fale z chłupotem uderzały o burtę.

– Widziałam w wodzie psa – powiedziała Bunny zapłakana.

– W wodzie nie ma żadnych psów – odpowiedział Quoyale. – To tylko bąbelki powietrza, piana i dziecięca wyobraźnia. Bunny, wiesz przecież, że psy nie żyją w wodzie.

– Ale Dennis mówi, że są wodne psy – powiedziała przez łzy Bunny.

– On ma na myśli inne psy. Prawdziwe, takie jak Warren nie, Warren przecież nie żyła – żywe psy, które pływają i przynoszą myśliwym nieżywe kaczki. – Chryste, czy wszystko musi być nieżywe?

– Ale to wyglądało jak pies. Jak biały pies, tato. On jest na mnie wściekły. Chce mnie ugryźć. Chce, żeby moja krew kapiała. – Znowu zaniósł się płaczem.

– Bunny, to nie jest prawdziwy pies. Tylko taki wymyślony i nawet jeśli wygląda jak prawdziwy, to nie może ci zrobić krzywdy. Jeśli go znowu zobaczysz, powiedz sobie: „Czy to

jest prawdziwy pies, czy tylko wymyślony?” I będziesz wiedziała, że on nie jest prawdziwy. Zobacysz, będziesz się z tego śmiała.

– Tato, a jeśli on jest prawdziwy?

– Bunny, w wodzie? W kamieniu? W kawałku sklejki? Daj spokój. – Quoye próbował pokonać białego psa logicznym myśleniem. Bardzo wolno ruszył w stronę przystani, żeby uniknąć fali dziobowej. Zaczynał mieć już dość białego psa.



Po południu Quoye nakrywał do stołu, gdy tymczasem ciotka kończyła pasztet.

– Połóż ten czerwony obrus, bratanku. Jest w szufladzie pod schodami. Może zmieniłbyś też koszulę. – Ciotka umieściła dwie świece w szklanych świecznikach, chociaż na zewnątrz świeciło jeszcze słońce. Miało zająć dopiero po dziewiątej.

Bunny i Sunshine paradowały wystrojone w białe rajstopy i aksamitne sukienki z koronkowymi kołnierzykami, które wkładały w Święto Dziękczynienia. Sunshine miała lakierowane buciki po Bunny, za to Bunny musiała włożyć zniszczone pionierki. Do tego jej sukienka była za ciasna pod pachami i za krótka. Było jej w niej za ciepło.

– Jest – oświadczyła ciotka, usłyszawszy odgłos japońskiego samochodu skręcającego w stronę ich domu. – Tylko żebyście się odpowiednio zachowywały.

Dawn weszła po schodach, utrzymując ostrożnie równowagę w butach na wysokich obcasach, butach tak dużych, że pasowałyby na niejednego mężczyznę. Uśmiechała się brązowymi ustami. Jej nylonowa bluzka lśniła. Z tyłu zwisał odpruty rąbek spódnicy. W dłoni trzymała butelkę. Quoye myślał, że to wino, ale był to sok z winogron. Dostrzegł etykietkę z ceną. Szpice jej butów sterczały niewiarygodnie wysoko.

Przypomniał sobie Petal w sukni z lamówką, jej długie nogi w pantoflach ozdobionych srebrnymi zapięciami. Petal, kręcąca się tu i tam, owiana obłokiem perfum, zerkająca do lustra na swoje odbicie, ktoś wznosi toast, dźwięczą kieliszki, Petal strzela palcami ku Quoye'owi, który stoi z rozdziawionymi ustami. Poczul cień współczucia dla tej biednej ćmy.

Rozmowa się nie kleiła. Dawn powiedziała, że gołe podłogi i okna są „uderzające”. Sunshine ułożyła na jej kolanach liczne brudne misie i metalowe samochody – to jest miś, to jest samochód – jakby gość przybył z kraju, w którym nie znają zabawek.

Wreszcie ciotka z hukiem postawiła przed Quoye'em pachnący pasztet.

– Śmiało, bratanku, bądź gospodarzem i nakładaj.

Zapaliła świece, płomienie pozostały niewidoczne w snopie światła, który przecinał stół w poprzek, lecz zapach wosku przypominał o nich. Przyniosła groszek z cebulą i sałatkę.

– Pozwól, że ci pomogę – zaoferowała Dawn, unosząc się nieco; spódniczkę przytrzasnęła sobie nogą od krzesła i nie mogła się ruszyć. Jej głos odbił się echem w pustym pokoju.

Quoye aluminiowym przyrządem przebił skorupkę pasztetu. Bunny wsadziła swój widelec w płomień świecy.

– Nie rób tego – rzuciła groźnie ciotka. Porcja pasztetu z homara uniesiona nad półmiskiem zsunęła się na talerz Dawn.

– Och, czy to homar?

– Tak. – Ciotka. – Pasztet z homara, słodziutki jak miód.

Dawn zwróciła się do ciotki. Starła się mówić pogodnym głosem.

– Poproszę tylko o sałatkę, Agnis. Nie mam ochoty na homara. Nie jadam go od czasów dzieciństwa. Musieliśmy zabierać do szkoły kanapki z homarem. Wyrzucaliśmy je do rowu. Kraby też. Przypominały ogromne pająki! – Próbowała się roześmiać.

Bunny spojrzała na skórkę i pomarańczowe mięso na swoim talerzu. Quoyale przygotował się na wybuch jej niezadowolenia, lecz nic takiego nie nastąpiło. Bunny żuła ostentacyjnie.

– Uwielbiam mięso czerwonych pajaków – powiedziała.

Dawn zwróciła się teraz do Quoyale’a. Mówiła tak, jakby się zwierzała. Jej słowa wydawały się jakieś wymęczone. Wyraźnie udawała zainteresowanie.

– To takie okropne, co ci ludzie zrobili Agnis. – W rzeczywistości nic jej to nie obchodziło.

– Jacy ludzie? – spytał Quoyale z dłonią na brodzie.

– Ludzie z łodzi Hitlera. Sposób, w jaki zniknęli.

– O co tu chodzi? – spytał Quoyale, zwracając się do ciotki.

– No cóż, zdaje się, że mnie naciągnęli – powiedziała, wyraźnie tłumiąc wściekłość. – Założyliśmy siedzenia na jachcie, obiliśmy wszystkie krzesła poza dwoma i dostarczyliśmy na pokład. A oni zniknęli. Jacht wyparował. Odpłynęli nocą.

– Nie możecie ich wytropić w dokumentach portowych? Taka łódź jest tylko jedna.

– Postanowiłam poczekać trochę – powiedziała ciotka. Może otrzymam jakieś wiadomości. Może mieli jakiś powód, dla którego musieli nagle odpłynąć. Może choroba albo interesy. Siedzą w naftowych interesach. Chyba tylko ona. To ona ma pieniądze. Może przypomniała sobie, że ma wizytę u fryzjera w Nowym Jorku. Tacy już są. Dlatego nic ci nie mówiłam.

– Ale przecież robiłaś już coś dla nich w Stanach? Powinnaś mieć jakiś adres.

– Tak, kilka lat temu obijałam dla nich sofę. Ale tamte dokumenty są jeszcze na Long Island. W magazynie.

– Myślałam, że przesłałaś wszystko tutaj – powiedział Quoyale, ponownie zwracając uwagę na pustkę pokoi, brak mebli, które – jak zapewniała ciotka – miały niebawem nadejść. Minęły już dwa miesiące.

Dawn zauważyła, że na jego ustach lśni odrobina masła.

– Na to potrzeba czasu – powiedziała ciotka. – Nie od razu Rzym zbudowano.

Wiatr na zewnątrz wzmógł się, zawodził teraz w linach. Bunny stanęła przy oknie.

– Kto chce zagrać w karty? – zapytała ciotka. Potarła dłonie i zmrużyła oczy jak jarmarczny oszust karciany.

– Jak się gra w czwórki? – spytała Dawn.

– Dziewczyno, na pewno znasz tę grę – zapewniła ciotka.

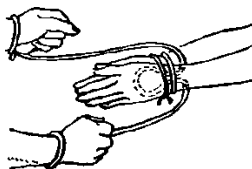
Zerknęła na szafkę, w której trzymała butelkę whisky. Mogłaby odgryźć jej szyjkę.



## Żegnaj, „Buddy”

Rosyjska ucieczka. Więzień zostaje... przywiązany do swojego strażnika. Próbując ucieczki, trze dłońmi tak długo, aż jest w stanie chwycić pętlę liny wewnętrzną stroną dłoni. Wtedy z łatwością może zsunąć ją aż do podstawy palców, gdzie uda się mu chwycić ją palcami jednej ręki i zsunąć po zewnętrznej stronie palców drugiej. Wtedy więzień ciągnie z całej siły i... sznur zsuwa się po grzbiecie dłoni i pod wiązaniem kajdanów.

*Księga węzłów Ashleya*



Czasem Tert Card zachowywał się tak, że wymiatało wszystkich z biura. Było to gorące, bezwietrzne południe, przypominające szczelinę między dwoma wojującymi ze sobą rodzajami pogody. Wcisnęli się do półciężarówki Billy’ego i pojechali do Fisherman’s Chance w Killick-Claw na rybę z frytkami. Chcieli uciec przed Tertem Cardem, którego nosiło i który gotów był drapać wszystkimi pazurami.

Usiedli na nabrzeżu, jedząc swoje porcje ze styropianowych tacek, zamroczeni upałem. Quoyle oddychał ustami, mrużył oczy przed oślepiającym blaskiem słońca. Billy Pretty, zwrócony na północny wschód, wskazał na fioletowe chmury, które wynurzały się w jednym miejscu zza horyzontu niczym jedwabna apaszka wyciągana z obrączki. Na południowym wschodzie widniały rywalizujące z nimi podniebne grzywacze, tworzące fantastyczne wzory, jakby ktoś powycinał kaskady i fontanny.

– Jeszcze nigdy dotąd nie miałem w jednym tygodniu tylu przypadków molestowania seksualnego – powiedział Nutbeem. – Jack powinien być zadowolony. Aż siedem. Tradycyjna paplanina o obrzydliwych starych capach napastujących swoje dzieci, jeszcze jeden ksiądz obmacujący chłopców z chóru, milutki wujaszek ze Stribbins Cove, który podwozi dziewczęta do szkoły niedzielnej i kupuje im cukierki, jeśli zdejmą majtki. Ale jeden kawałek jest wyjątkowy, pozwala dostrzec mroczniejszą stronę charakteru Nowofundlandczyka. Ten chłopak pracował jako wykidajło w barze w Misky Bay i próbował wyrzucić pijanego klienta. Ale klient poszedł do swojej ciężarówki, wyjął małego ze skrzyni z lodem, wrócił do baru, złapał chłopaka, ściągnął mu portki, tak zupełnie, od rufy po dziób, i przeleciał go małym. – Nutbeem się nie roześmiał.

– Co to jest mały? – spytał Quoyle.

Billy oparł się o pal i ziewnął.

– Mały, chłopcze. Mały dorsz. Masz małego, solonego, pęczaka... W każdym razie, jakkolwiek byś go nazwał, to jest to ryba. – Spojrzał na zbliżające się chmury. Wici rozchodzące się po błękicie. – Dziwna pora, dziwna pogoda. Pamiętam, że w poniedziałek mieliśmy żółty dzień; niebo miało paskudne żółtawe zabarwienie, jak słój starych szczyn. A wczoraj niebieska mgielka i gęsta mgła. Na dodatek dzwonił najmłodszy chłopak mojej siostry z St. John's i mówił, że na Water Street zamarzyły kaczki, osiem czy dziesięć, żadnych ran, oczy zamknięte, jakby spały, zamarznęte na kamień. Kiedy coś takiego się zdarza, chłopaki, trzeba mieć się na baczności. Tak jak w tej historii, którą opowiedzieli mi wczoraj przez telefon. To samo miejsce, gdzie wydarzyła się przygoda z małym Nutbeema: Misky Bay. Och, zdaje się, że jakieś astralne promieniowanie oddziałuje na Misky Bay. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby i oni znaleźli u siebie zamarznęte kaczki.

– Opowiedz nam tę historię – poprosił Nutbeem, pokaszując w swoją fajkę.

– Nie ma za wiele do opowiadania, ale ta historia dobrze opisuje aurę, jaka zapanowała w Misky Bay. Tak więc konni opowiedzieli mi, że matka trojga dzieci zaatakowała swoją babkę metalowym wieszakiem na ręczniki, obita ją niemiłosiernie, a potem podpaliła dom. Wydostali ich, ale biedna staruszka była zakrwawiona jak odarty ze skóry węgorz i cała poparzona. A w kuchni strażacy znaleźli skarb. W kuble pod zlewem ukryte były precjoza religijne warte trzysta dolarów, ukradzione ze sklepu Woolwortha w ciągu ostatniego roku. Obie twierdzą, że to ta druga ukradła.

– Nie mam żadnej kraksy w tym tygodniu – wtrącił Quoyale zamysłony.

Powiew bryzy zmarszczył powierzchnię zatoki i ucichł.

– No tak – stwierdził Nutbeem. – Nieszczęścia chodzą parami. Mam te paskudne seksualne historie, a do tego najlepszą historię, jaką kiedykolwiek usłyszałem w wiadomościach zagranicznych – sprawa lesbijskiej wampirzycy zakończona. Słyszałem rano na krótkich.

– Dobrze – powiedział Quoyale. – Może Jack odpuści kraksę, jak o tym usłyszy. Jakieś zdjęcia?

– No wiesz, raczej trudno je zrobić w tych starych radiach – odparł Nutbeem. – A ja nie sądzę, żeby Jack zrezygnował z kraksy na rzecz australijskiej historii. Taki jest regulamin: kraksa i zdjęcie na tytułowej stronie. Będziesz musiał wykorzystać coś z archiwum Terta, chyba że ktoś rozwali się przed piątą. Ale masz swój kawałek do „Kroniki portowej”, co? – Nutbeem powiedział swoje i zamilkł.

– Tak. – Quoyale zlizął keczup z wieczka tacki, zawiązał węzeł na serwetce. – O statku, który we wtorek rano wyleciał w powietrze w Perdition Cove.

Billy przeciągnął się i ziewnął, jego pomarszczona szyja na kilka chwil stała się gładka.

– Czuję zmianę – powiedział. – Dni stają się krótsze. Ta zmiana oznacza koniec upałów. Czas popłynąć na Gaze Island i uporządkować grób mojego biednego staruszka. Odłożyłem to w zeszłym roku i dwa lata temu. – Smutek podkreślał znaczenie jego słów. Billy sprawiał wrażenie zamkniętego w kopercie, która czasem otwierała się i ukazywało się jego spłaszczony „ja”.

– Jakie upały? – spytał Quoyale. – To chyba pierwszy dzień, kiedy temperatura przekroczyła czterdzieści stopni Fahrenheita. Zawsze można się spodziewać, że zamiast deszczu zacznie padać śnieg. A gdzie jest Gaze Island?

– Nie wiesz, gdzie jest Gaze Island? – Billy roześmiał się krótko. Jego niebieskie oczy spojrzały przesywająco. – Piętnaście mil na północny wschód od cieśniny. Kiedyś dostało się tam na mieliznę stado wielorybów, dlatego niektórzy nazywają ją Whale Island, ale dla mnie jest tylko Gaze Island. Chociaż wcześniej miała jeszcze inne nazwy. Piękne miejsce. Coś, co warto zobaczyć, Quoyale. – Powiedział to kuszącym tonem.

– Chciałbym je zobaczyć – zapewnił Quoyale znad porcji surówki z kapusty. – Nigdy nie byłem na wyspie.

– Przestań, chłopcze. Przecież jesteś na wyspie, popatrz tylko na mapę. Możesz ze mną popłynąć. Powinieneś poznać Gaze Island. Tak, byłoby dobrze. W sobotę rano. Jeśli pogoda będzie znośna, to popłynę w sobotę.

– Jeżeli będę mógł – obiecał Quoye. – Jeśli ciotka nie zaplanuje dla mnie czegoś ważniejszego. – Nie odrywał wzroku od zatoki, jakby czekał na statek. – Wczoraj leżał w dryfie gotowy do wypłynięcia transportowiec pełen papieru gazetowego. Miałem o nim napisać.

Chmury coraz bardziej zasłaniały słońce.

– Widziałem go. Podobno miał jakieś kłopoty.

– Pożar w maszynowni. Przyczyna nieznana. Diddy Shovel mówi, że jeszcze pięć lat temu taki statek za nic w świecie by do nas nie zawinął. Ale teraz są tutaj warsztaty remontowe, magazyny, terminal załadowniczy. Dlatego teraz już przyprawiają. Planowana jest rozbudowa portu. Mówi się o stoczni.

– Nie zawsze tak to wyglądało – powiedział Billy Pretty. – Kiedyś w Killick-Claw było tylko kilka rozwalających się przystani i nie więcej niż dwadzieścia domów. Duży port jeszcze po drugiej wojnie światowej był tylko w tym cholernym miejscu, o którym rozmawialiśmy, w Misky Bay. Och, to było gorące miejsce: duże okręty wojenne, tankowce, frachtowce, transportowce wojskowe, wszystko. Ale po wojnie, chłopcze, nastąpił w zatoce zastój. Killick-Claw wykopało ją za burtę. No, zapytaj mnie, co się stało.

– Co się stało?

– Amunicja. W czasie wojny w Misky Bay przeładowywali amunicję. Tyle jej nawrzucaли do morza, że do dzisiaj nikt nie chce tam opuszczać kotwicy. Amunicja i kable. Jakbyś zobaczył na dnie tę plataninę kabli telefonicznych i telegraficznych, tobyś pomyślał, że stado kotów bawiło się wełną. Rzeczywiście, od tego chyba zaczęła się zła passa biednej starej zatoki. Wiesz co, to byłoby nawet niezłe nawiązanie do mojej historii z wieszakiem na ręczniki. „Przekleństwo Misky Bay wciąż niszczy ludzkie życie”.

Zamazane słońce, plusk wody, silna bryza.

– Spójrz. – Billy wskazał na holownik ciągnący wypalony kadłub. – Nie jestem pewien, czy wiedzą, co mają z tym zrobić. To pewnie temat twojej historii z Perdition Cove. Co się stało, Quoye?

Poczuł woń spalonego drewna.

– Mam to przy sobie. – Sięgnął do kieszeni. – Oczywiście, jeszcze nie wyglądzone.

Przez dwa dni rozmawiał z krewnymi, świadkami, strażą przybrzeżną, elektrykami, a także pracownikami zakładu sprzedającego butle gazowe w Misky Bay. Przeczytał głośno.

## ŻEGNAJ, „BUDDY”

„Nikt w Perdition Cove nie zapomni wtorkowego poranka. Wielu spało jeszcze, kiedy pierwsze promienie słońca padły na rufę takłowca «Buddy».

Właściciel statku, Sam Nolly, wyszedł na pokład z nową żarówką w dłoni. Miał zamiar wymienić przepaloną. Lecz zanim promienie słońca dotarły do sterowni, Sam Nolly już nie żył, a «Buddy» zamienił się w dymiący wrak, który unosił się na wodach zatoki.

Potężny podmuch wybił prawie wszystkie szyby w oknach domów w Perdition Cove, a wybuch słychać było aż w Misky Bay. Załoga łodzi rybackiej znajdującej się w okolicy Finał Point zeznała, że na wodzie ukazała się ognista kula, a w chwilę później chmura gęstego czarnego dymu.

Podobno przyczyną eksplozji był ulatniający się w ciągu nocy propan, który wybuchł w chwili, kiedy Sam Nolly wkręcił nową żarówkę.

Takłowiec pływał zaledwie od dwóch tygodni. Zwodowano go w dniu, kiedy Sam Nolly i Helen (z domu Bodder) zawarli ślub”.

– Wstyd – podsumował Billy.  
– Nieźle – powiedział Nutbeem. – Spodoba się Jackowi. Krew, łódzie i eksplozje. –  
Spojrzał na zegarek.

Wstali. Wiatr porwał papier, potoczył go po nabrzeżu i wrzucił do wody.

Billy zmrużył oczy.

– W sobotę rano – przypomniał Quoye’owi. Oczy niczym błękitne pęknięcie na niebie.

Ruszyli z powrotem do Terta Carda, do ciasnego biura. Chmury nad ich głowami już się wymieszały, przypominając ziarniste spirale, podobne do tych, jakie pozostawia na piasku odpływ.

Billy i Nutbeem wrócili już do samochodu, lecz Quoye ociągał się, stojąc jeszcze chwilę na spękanej drodze. Odległy horyzont, falująca skorupa morza niczym wahadłowe drzwi, otwierające się i zamykające nieustannie.

## Gaze Island

Pirat, mając więcej więźniów niż miejsca na pokładzie, holuje za rufą łódź z więźniami. Zabiera się im noże, a łódź przywiązuje mocno liną podwójnej długości. Koniec liny od strony rufy jest przywiązany do ucha rufy. Następnie lina opasuje każdą ławkę węzłem wyblinkowym, przechodzi przez ucho na dziobie i wraca na pokład statku. Więźniom wolno uciec, jeśli potrafią. Jak uciekają?

*Księga węzłów Ashleya*



Quoyłe zajął miejsce w skifie Pretty’ego. Staruszek wskoczył dziarsko do łodzi, wsunął pod siedzenie plastikową torbę i pociągnął za linkę. Silnik zagrał – łaaa – jak trąbka. Z tyłu głośno falował pozostawiony przez nich ślad. Billy pogrzebał w pudełku ze sklejki, wyjął z niego jakiś przedmiot z brązowego plastyku, ułożył go w kąciku i usiadł, odchylając się do tyłu.

– Ach, to jest mój „przyjaciel pleców”, pozwala lepiej podeprzeć kręgosłup i wygodniej siedzieć.

Nie było o czym rozmawiać. Mgiełka na horyzoncie. Niebo jak perłowy papier, przez który prześwituje żółte światło. Wiatr wciskał się w usta Quoyłe’a, rozdzielał i szarpał jego włosy.

– To Ram i Lamb – powiedział Billy, wskazując na dwie skały tuż poniżej cieśniny. Obmywała je woda.

– Podoba mi się to – powiedział Quoyłe. – To, że skały mają swoje nazwy. Przy Quoyłe’s Point jest jedna...

– Ach, taa, Comb.

– Tak. Poszarpana skała z wystającymi zębami.

– Dwanaście. Tyle przynajmniej było kiedyś. Nazwali ją tak, ponieważ przypomina zapalki siarkowe, jakie kiedyś robili. Zwykle przypominały właśnie grzebień, na dole tworzyły całość. Było ich dwanaście. Odłamywało się je. Siarka strasznie śmierdziała. Dlatego nazywano je śmierdziuchy: grzebień śmierdziuchów. Quoyłe’s Point ma kilka znanych skał podwodnych. Na północ od Comb jest Tea Buns, jak talerz pełen okruchów, pół sążnia pod wodą. A przy samym skraju cypla Komatik-Dog. Jak płyniesz na wprost niego, to

wszystkim się wydaje, że to ogromny pies pociągowy, który siedzi na wodzie i rozgląda się z uniesioną głową. Kiedyś mówili, że czeka na rozbity statek, wtedy ożyje, podpłynie i pożre biednych rozbitków.

Bunny, pomyślał Quoye. Nie mogę dopuścić, żeby go zobaczyła.

Billy spuścił czapkę na oczy, żeby ochronić je przed słońcem.

– Widziałeś się już ze starym Nolanem?

– Nie. Ale chyba widziałem go któregoś ranka w starej łodzi.

– To on. Dziwak. Żyje po staremu. Nie chce przyjąć zasiłku dla bezrobotnych. Dobry rybak, ale żyje w biedzie. Trzyma się na uboczu. Pewnie nie umie czytać ani pisać. On jest z twojego rodu, jakby daleki krewny z dawnych czasów. Powinieneś odwiedzić jego mały domek.

– Nie wiedziałem, że mamy jeszcze jakichś żyjących krewnych. Ciotka powiedziała, że wszyscy umarli.

– Myli się. Nolan ma się jeszcze całkiem dobrze. Podobno wygłówkował sobie, że dom należy do niego.

– Jaki dom? Nasz? Dom ciotki na cyplu?

– Właśnie ten.

– No to w porę się dowiaduję – mruknął Quoye. – Nikt mi o tym nie wspomniał nawet słowem. Mógł przyjść do nas.

– Nie, to nie w jego stylu. To ty musisz go poznać. To jest Quoye w starym stylu, skrada się w nocy. Mówią, że zalatuje od niego zgnilizną i glinę. Podobno spał ze swoją żoną po jej śmierci i teraz czuć od niego smród profanacji. Żadna kobieta nie chciałaby już się z nim przespać. Żadna.

– Jezu! – Quoye zadrżał. – Co to znaczy „Quoye w starym stylu”? Nic o tym nie wiem.

– Lepiej, żebyś nie wiedział. Quoye’owie dali nazwę Omaloor Bay. To pomyleńcy. Dzikusy parzące się między sobą, półgłówki i mordercy. Połowa z nich to kompletne prymitywy. Szkoda, że nie słyszałeś Jacka, kiedy dostał list z wiadomością, że przyjeżdżasz. Dzwonił, gdzie tylko się dało, żeby cię sprawdzić. Gadał też z jakimś facetem o takim ptasim nazwisku. Ale tamten zapewnił, że jesteś złoty człowiek, żaden tam zabijaka.

– Partridge.

– Nie mogliśmy się doczekać, kiedy staniesz w drzwiach redakcji. Spodziewaliśmy się zobaczyć ogromnego, dzikiego zbira. Rzeczywiście jesteś wielki. Czy wiesz, że Quoye’owie mieszkali na cyplu dopiero od jakichś stu lat? Przybyli tam w latach osiemdziesiątych albo dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Ciągnęli linami ten swój zielony dom kawał drogi po lodzie. Wszyscy Quoye’owie i ich różni krewni. Ciągnęli go na ogromnych płozach zrobionych ze świerkowych pali. Przypominało to ogromne sanie.

Kiedy wy płynęli z cieśniny, Billy skierował łódź na pełne morze. Skif wciął się w martwą falę. Quoye poczuł tę nieokreśloną przyjemność, jakiej można doznać tylko na łodzi w pogodny dzień.

– Ach – odezwał się Billy, przekrzykując warczenie silnika i szum wody bryzgającej spod dziobu. – Imiona skał, mamy ich tutaj mnóstwo, chłopcze, tysiące mil usiane kamieniami i podwodnymi skałami, a każda z nich ma własne imię. Sama Nowa Fundlandia to nic innego jak ogromna skała zanurzona w morzu, otoczona mniejszymi skałkami. W St. John’s są słynne skały, takie jak Chain Rock i Pancake, obie wystają nad wodę i obie są bardzo strome. Ludzie mówią, że wybuchły i wypluły Merlina i Ruby Rock w cieśninie St. John’s. Stało się to sto lat temu albo wcześniej. Niedaleko północnego wybrzeża znajduje się też Long Harry. A także piekielne skały z płataniną wodorostów. Przy Cape Bonavista jest Old Harry Rock zanurzona dwa sążnie pod wodą; ciągnie się trzy mile przez morze, a na końcu ma paskudne, niewielkie wzniesienie zwane Young Harry. W North Broad Cove mają Shag Rock i Hell’s Rock. Shag to inna nazwa kormorana, czarnej gęsi, śmierdzącego, czarnego ptaka, o którym

mówiono dawniej, że buduje gniazda ze zdechłych ryb. Dlatego tak cię nazywali, jeśli pochodziłeś z Grand Bank. A jeśli pochodziłeś z Fortune, to nazywali cię *gally*, czyli straszdyło. Tak, na Burin Peninsula. – Billy Pretty odrzucił głowę do tyłu i zaśpiewał trochę skrzeczącym, lecz melodyjnym tenorem:

*Straszdyła z Fortune i kormorany z Grand Bank  
W papierowe torby razem wpakowali.  
Kiedy papierowe torby wreszcie pękają,  
Kormorany z Grand Bank siarczyście przeklinają.*

Słyszałeś to? A wracając do skał. W Salvage Harbor jest ogromny kamień, który nazywają Baker's Loaf, a za nim spotkasz Cook-room Rock. Wody wokół Funk Islands kryją wiele niespodzianek, rafy, mielizny i podwodne skały. Cleopatra i Snap Rock. Fogo Islands, niebezpieczne wody usiane skałami, na których rozbił się niejeden statek. Żeby się nie pogubić, trzeba się tam urodzić. Z wody wystaje Jigger, Old Gappy, Ireland Rock, Barrack Rock, a także Inspector, który rad by sprawdzić twój tyłek.

Popatrz, już widać Gaze Island. Ze trzy lata już tu nie byłem. A tutaj się urodziłem, wychowałem i mieszkalem do czterdziestki. Przez ładnych parę lat, jeszcze jako młodzik, pływałem na frachtowcach. Potem dwukrotnie przeżyłem katastrofę statku i pomyślałem sobie, że jeśli ma być jeszcze trzeci raz, to niech to się stanie na rodzinnych wodach. Wielu moich krewnych spoczywa tutaj na dnie, więc czuję się tu jak w domu. Dlatego wróciłem i łowiłem przy brzegu z innymi. Jednym z nich był Jack Buggit, chociaż on pochodzi z Flour Cove. Jego matka była kuzynką mojej matki. Trudno zgadnąć, patrząc na nas, ale jesteśmy rówieśnikami. Obaj mamy siedemdziesiąt trzy lata. Tylko że Jack stwardniał, a ja się skurczyłem. Rząd przeniósł nas z Gaze w sześćdziesiątym roku. Ale zobaczysz, że niektóre domy całkiem nieźle się jeszcze trzymają, chociaż minęło już ponad trzydzieści lat. Tak, wyglądają jeszcze całkiem solidnie.

– Tak jak nasz dom na cyplu – powiedział Quoye. – Wytrzymał czterdzieści lat, chociaż nikt w nim nie mieszkał.

– Więcej – odparł Billy.

Gaze Island wznosiła się z wody niczym stromy klif. Pół mili od groźnej wyspy spienione fale rozbijały się o wystające skały.

– To jest Home Rock. Według niej się kierujemy. – Zmienił kurs w kierunku południowego skraju wyspy.

Billy lawirował w niewidocznym labiryncie mielizn i podwodnych skał. Łódź płynęła wprost na czerwoną kamienną ścianę, o którą z hukiem rozbijały się fale. Quoye poczuł, że ma sucho w ustach. Dotarli już nieomal do granicy piany. Płynęli zaledwie dwadzieścia stóp od ściany klifu, a on wciąż nie widział żadnego przejścia. Billy skierował łódź w stronę cienia. Warkot silnika odbijał się echem od ścian wznoszących się ponad onyksową powierzchnią wody.

Znaleźli się w wąskim przesmyku. Quoye mógł nieomal dotknąć skały. Skalny tunel rozszerzał się stopniowo, potem skręcił na lewo, aż przeszedł w zatoczkę zamkniętą pętlą ładu. Pięć czy sześć zabudowań, biały dom, kościół z przekrzywioną iglicą, pozrywane deski, stare pomosty. Quoye nawet nie byłby w stanie wyobrazić sobie tak tajemniczego, opuszczonego zakątka. Aura spustoszenia i tajemniczość przesmyku nadawały temu miejscu charakter zbójeckiej jaskini.

– Dziwne miejsce – stwierdził Quoye.

– Gaze Island. W Killick-Claw mówiło się kiedyś, że mieszkańcy Gaze Island znani są z dwóch rzeczy: nikt nie potrafił tak jak oni znaleźć ryby i nikt w całej Nowej Fundlandii nie wiedział o wulkanach co oni.

Billy podpłynął do plaży, wyłączył silnik i podniósł go. Ciszę przerywało tylko kapanie wody ze śruby i nawoływanie mew. Billy chrząknął i splunął, wskazując na budynek oddalony nieco od wybrzeża.

– To nasz stary dom.

Kiedyś pomalowano go na czerwono, lecz słone morskie powietrze rozjaśniło farbę, tak że teraz miał kolor wyblakłego różu. Część płotu przewróciła się. Billy wziął swoją torbę i wyskoczył z łodzi; obcasy jego butów zostawiały w piasku półkoliste ślady. Przywiązał linę do rury białej w skałę. Quoye wygramolił się za nim. Cisza. Słychać tylko skrzypienie ich butów i pomruki morza.

– Kiedy mój ojciec był chłopakiem, mieszkało tutaj pięć rodzin: rodzina Prettych, Poolów, Sopów, Pilleyów i Cuslettów. Żenili się między sobą. Mówię ci, chłopcze, to byli spokojni, dobrzy ludzie, takich już dzisiaj nie ma. Teraz każdy tylko patrzy na swoje. Kobiety też.

Próbował wypłatać z chwastów przewróconą część ogrodzenia, lecz rozsypała mu się w dłoni. Zerwał więc tylko zielsko z górnej części i podparł ją kamieniami.

Poszli w górę, w kierunku położonego na krawędzi klifu wysokiego pagórka, od którego wyspa wzięła swoją nazwę. W rogu rósł świerkowy zagajnik, a cały pagórek otoczony był kamiennym murkiem. Quoye obracał się w kółko, spoglądając najpierw w dół, na zatoczkę, potem na otwarte morze, na widoczne w oddali statki płynące do Europy albo Montrealu. Poniżej lśniła turkusowa powierzchnia wody. Na północy dostrzegł dwie góry lodowe, które wyglądały, jakby przykryto je nakrochmalonymi prześcieradłami. Zauważył też dymy z Killick-Claw. Daleko na wschodzie, prawie niewidoczne, rozciągało się ciemne pasmo podobne do zwiniętej rolki siatki.

– Z tego miejsca z każdej strony widzieli statki. Latem wypasali tutaj krowy. Żadna krowa w całej Nowej Fundlandii nie miała piękniejszego widoku.

Poszli przez mech i wrzosa w kierunku cmentarza. Tępo zakończone pale ogradzały krzyże i drewniane płyty pamiątkowe. Wiele z nich przewróciło się na ziemię, napisy były prawie niewidoczne. Billy Pretty przyklęknął i zaczął wyrywać trawę z jednego z grobów. Górna część drewnianej tablicy miała kształt trzech łuków, imitowała kamień. Napis wciąż pozostawał czytelny:

W. Pretty

ur. 1897 zm. 1934

Przez życiowe burze dzielnie żeglował,  
A Bóg wiecznym odpoczynkiem go obdarował.

– Tu leży mój staruszek – wskazał Billy Pretty. – Miałem piętnaście lat, kiedy umarł. – Zrywał trawę i chwasty z grobu, który okalała drewniana obudowa w kształcie trumny. Pomalowano ją w biało-czarne romby, wciąż jeszcze dobrze widoczne. – Odnowiłem, kiedy byłem tutaj po raz ostatni – powiedział Billy, otwierając torbę i wyjmując z niej puszki z farbą i dwa pędzle – ale dzisiaj poprawię.

Quoye pomyślał o swoim ojcu. Zastanawiał się, czy ciotka ma jeszcze jego prochy. Nie było żadnej ceremonii pogrzebowej. Czy powinni postawić nagrobek? Poczul wzbierające w nim uczucie straty.

Nagle zobaczył swojego ojca, a także szlak wiśniowych pestek, prowadzący z ogrodu wokół żywopłotu okalającego trawnik. Obchodził go, zjadając owoce. Owoce były jego namiętnością. Quoye pamiętał purpurowobrązowe gruszki, które wielkością i kształtem przypominały figi. Ojciec gryzł je leniwie. Zapach owoców wypełniający cały dom, popielniczki pełne ogryzków i skórek, szkielety kiści winogron pozbawione owoców, pestki brzoskwiń na parapetach, podobne do kurzych mózdzków, rękawiczki bananowych skórek na desce rozdzielczej samochodu. Na stole w piwnicy wśród trocin leżały plejady nasion i pestek, długie, białe pestki z daktyli, przypominające statki kosmiczne. Truskawki w



lodowce, a w czerwcu samochód zaparkowany przy wiejskiej drodze i ojciec zbierający na kolanach poziomki. Wydrażone grejpfrutowe czapeczki, popękane kule mandarynkowych skórek.

Inni ojcowie zabierali swoich synów na ryby i wędrówki, lecz Quoye wraz z bratem odbywali tylko wyprawy po czarne borówki. Wyli z wściekłości, kiedy ojciec zniknął w gęstwinie, pozostawiając ich w dusznym upale z plastikowymi pojemnikami. Któregoś razu jego brat – pamiętał jego twarz opuchniętą od płaczu i ugryzień owadów – zebrał tylko kilkanaście borówek. Ojciec wrócił, uginając się pod ciężarem pełnych wiader. A wtedy brat zaczął płakać i pokazał palcem na Quoye'a. Skłamał, że Quoye zabrał mu borówki. Quoye nazbierał pół kwarty, tak że dno jego wiadra było całkowicie przykryte. Dostał solidne cięgi różgą zerwaną z najbliższego krzaka. W drodze do domu patrzył wciąż do wnętrza wiader, obserwując zielone robaki, śmierdzące pluskwy, mrówki, mszyce i niezdarne pająki, które wychodziły tunelami na powierzchnię owoców i zdumione machały w powietrzu odnóżami. Uda z tyłu piekły go niemiłosiernie.

Ojciec spędzał całe dni w ogrodzie. Ileż to razy, wspominał Quoye, opierał się na motyce i spoglądał na rzędy fasoli szparagowej, mówiąc: „Ach, jaki raj mamy tutaj”. Wtedy wydawało mu się, że słowa ojca były wyrazem patriotycznego sentymentu imigranta, lecz teraz na drugiej szali kładł parszywe dzieciństwo spędzone na przeżartej solą skale. Ojciec był oczarowany głęboką glebą. Powinien był zostać farmerem. Spóźnione dociekania.

Billy Pretty jakby słyszał jego myśli.

– Właściwie to mój ojciec powinien był zostać farmerem powiedział. – Był chłopakiem z domu, podróżującym do Ontario, gdzie miał zostać wynajęty farmerowi do pracy.

– Chłopakiem z domu? – Quoye nie zrozumiał.

– Z sierocińca. Dom dziecka i przechowalnia dla dzieci, których rodzice nie mogli trzymać w domu albo takich, które włóczyły się po ulicach. W Anglii i Szkocji zmiatali je całymi setkami i wysyłali statkiem do Kanady. Mój ojciec był synem drukarza z Londynu, ale mieli dużą rodzinę, a poza tym jego ojciec umarł, kiedy on miał zaledwie jedenaście lat. Ponieważ był synem drukarza, potrafił bardzo dobrze czytać i pisać.

Wtedy nie nazywał się Pretty. Urodził się jako William Ankle. Matka musiała się wszystkim zajmować, więc oddała go do sierocińca. W całej Anglii pełno było takich miejsc. Może jeszcze są. Różnie się nazywały. Bamardo Home, Sears Home, National Children's Home, Fegan Home, Church of England Bureau, Quarrier Home i wiele innych. Ojciec był w Sears Home. Pokazali mu obrazki z chłopcem zbierającym ogromne, czerwone jabłka w słonecznym sadzie, powiedzieli, że to jest Kanada. Nic dziwnego, że chciał pojechać. Opowiadał nam często, jak soczyście wyglądały tamte jabłka. Tak.

Kilka dni później znalazł się na pokładzie statku „Aramania”, płynącego do Kanady. To był rok tysiąc dziewięćset dziewięć. Dali mu blaszany kuferek z jakimiś ubraniami, Biblię, szczotkę i grzebień, a także fotografię wielebnego Searsa z jego autografem. Wiele razy opowiadał nam o tej podróży. Było tam trzysta czternaścioro dzieci, chłopcy i dziewczynki, które podpisały dokument wyrażający zgodę na pomoc farmerom. Mówił, że wiele z nich miało dopiero trzy albo cztery lata. Nie miało pojęcia, co z nimi robią, dokąd płyną. Tacy mali życiowi rozbitkowie wysłani do obcego kraju i rzućeni w szpony rolniczego niewolnictwa. Widzisz, ojciec utrzymywał później kontakty z kilkoma spośród tych, z którymi zaprzyjaźnił się na pokładzie i którzy przeżyli.

– Przeżyli?

– Statek się rozbił, chłopcze. Dlatego ojciec znalazł się tutaj. Pamiętasz, płynąc tutaj, rozmawialiśmy o nazwach różnych skał, ale na morzu czyhają też inne śmiertelne niebezpieczeństwa, które nie mają swoich nazw, ponieważ wciąż unoszą się na wodzie, polują i znikają. – Wskazał na góry lodowe widoczne na horyzoncie. – W tysiąc dziewięćset dziewięćtym roku nie było lodowych patroli, radarów ani faxów przekazujących prognozę

pogody. Płynąc lodową aleją, można było liczyć tylko na szczęście. Dlatego statek mojego ojca, podobnie jak „Titanic” trzy lata później, wpadł na górę lodową. Stało się to o świcie któregoś czerwcowego poranka. Właśnie tam, niedaleko Gaze Island. Nie ma czegoś takiego jak mapa gór lodowych. Z ponad trzystu dzieci uratowało się tylko dwadzieścia czworo. A oficjalnie dwadzieścia troje. Zostali uratowani tylko dlatego, że Joe Sop, później znany jako szyper Joe, kapitan jednego z ostatnich szkunerów rybackich w Banks, przyszedł na Gaze po krowę. Zobaczył światła i usłyszał krzyki dzieci tonących w lodowatej wodzie. Popędził do wioski, krzycząc, że rozbił się statek. Wypłynęły wszystkie łodzie, dwie wdowy uratowały troje dzieci, podając im wiosła, robili, co mogli, ale było już za późno. W takiej wodzie nie wytrzymasz długo. Krew przestaje krążyć w żyłach, drętwiejesz i umierasz w takim czasie, jaki zająłby nam powrót do mojego starego domu.

Jakiś czas później kolejny statek wiozący dzieci zatrzymał się niedaleko brzegu i przysłali łódź, żeby zabrała te, które przeżyły, do ostatecznego miejsca przeznaczenia. Ale mój ojciec nie chciał popłynąć. Przygarnęła go rodzina Prettych i ukryła. Władzom powiedzieli, że nastąpiła pomyłka i uratowało się tylko dwadzieścia troje dzieci. Biedny William Ankle zginął. Tak więc mój ojciec zmienił nazwisko na William Pretty i żył tutaj niezależnym życiem. Jeśli nawet nie był szczęśliwy, to nie wiedział o tym. Gdyby popłynął z tamtymi, czekałby go marny los. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że Kanada wyrosła na niewolniczej pracy tych biednych sierot, które zaharowywały się na śmierć, były traktowane jak śmieci, przymierały głodem i popadały w obłęd z powodu osamotnienia. Widzisz, ojciec utrzymywał kontakty z trzema spośród chłopców, którzy przeżyli, pisali do siebie. Mam jeszcze te listy. Biedni, nieszczęśliwi chłopcy porzuceni przez rodziny. Przeżyli katastrofę statku i lodową wodę po to, by popłynąć dalej ku okrutnemu życiu, pozbawieni przyjaźni, samotni.

Quoyle miał lzy w oczach; wyobraził sobie swoje córki, porzucone, podróżujące przez zimny kontynent do jakiegoś farmera barbarzyńcy.

– Zauważ, że u Prettych też nie było łatwo, życie na Gaze Island nigdy nie było łatwe, ale mieli kilka krów, kopkę siana, to, co zebrali w lesie, ryby, poletka ziemniaczane. Jesienią od kupca w Killick-Claw kupowali mąkę i boczek, a kiedy przychodziły ciężkie czasy, dzielili się, pomagali sąsiadom. Nie, nie mieli pieniędzy. Morze było niebezpieczne i zabierało ludzi, ale wiedli tutaj życie dające zadowolenie w takim sensie, jakiego dzisiaj nikt nie jest w stanie zrozumieć. Żyli we wspólnocie, wszyscy pracowali razem, czasem było łatwiej, czasem trudniej, ale byli razem. Praca i życie stanowiły jedno, nie były oddzielone, tak jak dzisiaj.

Ojciec otrzymywał te wzruszające listy, czasem po sześciu miesiącach od chwili ich wysłania, i czytał je na głos, a ludzie płakali. Och, jak bardzo pragnęli dostać w swoje ręce tych okrutnych farmerów z Ontario. Ani jeden mieszkaniec Gaze Island nie głosował za konfederacją z Kanadą! Gdyby mój ojciec żył dłużej, to w Dzień Konfederacji zakładałby pewnie czarną opaskę. Jeden z tych chłopaków, Lewis Thorn, nigdy nie miał własnego łóżka, musiał spać na sianie, nie miał butów, a stopy owijał szmatami. Karmili go łupinami ziemniaków i skórkami, które dawali świniom. Bili go codziennie, aż jego skóra przybrała kolor ciemnej tęczy, żółta, czerwona, zielona, niebieska i czarna. Pracował od świtu do ciemnej nocy, podczas gdy dzieci farmera chodziły do szkoły i na różne przyjęcia. Włosy sięgały mu do pleców, brudne i potargane. Próbował przyciąć je sierpem. Możesz sobie wyobrazić, jak wyglądały. Był brudny i zawszony. Najgorsze jednak było to, że śmiali się z niego, szydzili, dlatego że był chłopcem z domu, gardzili nim. Uczynili z jego życia piekło. A na koniec ograbili go z niewielkiej zapłaty, jaka mu się należała, i wyrzucili w środku zimy. Miał wtedy trzynaście lat. Poszedł do innego farmera, który okazał się jeszcze gorszy, jeśli to w ogóle jest możliwe. Przez wszystkie te lata, kiedy pracował na farmach, a służył na nich dlatego, że nie potrafił robić niczego innego, a potem zginął w wypadku w wieku zaledwie dwudziestu lat, tak więc przez wszystkie te lata, odkąd zszedł ze statku w Montrealu, nie usłyszał ani jednego przyjaznego słowa. Musiał kraść papier, żeby napisać list. Planował

podróż do Nowej Fundlandii, ale umarł. Pozostali dwaj też nie mieli lżejszego życia. Ach, pamiętam, jak ojciec kładł się na tapczanie, wyciągając nogi, i opowiadał nam o tych biednych, samotnych chłopcach, niewolnikach okrutnych kanadyjskich farmerów. Mówił wtedy: „Powinniście się cieszyć, że żyjecie w takiej zacisznej zatoce”.

Wszystkie swoje dzieci ojciec nauczył czytać i pisać. W czasie zimy, kiedy nie łowili i kiedy wokół Gaze Island szalały sztormy, ojciec prowadził szkołę w kuchni naszego starego domu. Tak, wszystkie dzieci z wyspy potrafiły bardzo dobrze czytać i pięknie pisały. A kiedy miał trochę pieniędzy, zamawiał dla nas książki. Nigdy nie zapomnę takiej jednej chwili. Miałem wtedy dwanaście lat, a było to w listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku. Niedługo potem ojciec umarł na gruźlicę. To były ciężkie czasy, nie wyobrażasz sobie nawet, jak ciężkie. Statek pocztowy, który przypląwał jesienią, przywiózł dla mojego ojca ogromną, drewnianą skrzynię. Była ciężka jak nie wiem co i zabita gwoździami. Nie otwierał jej aż do Bożego Narodzenia. Nie spaliliśmy po nocach, zastanawiając się, co w niej może być. Braliśmy pod uwagę wszystko, tylko nie to, co znajdowało się w niej naprawdę. W Boże Narodzenie zaciągnęliśmy skrzynię do kościoła, a tam wszyscy powyciągali szyje i wybałuszyli oczy, żeby zobaczyć, co w niej jest. Ojciec wyciągnął gwoździe i otworzył skrzynię, a tu, proszę, pełno książek. Musiało w niej być chyba ze sto książek, bajki z obrazkami dla dzieci, ogromna czerwona księga o wulkanach, która zaprzątneła umysły wszystkich na całą zimę, bo widzisz, było to poważne studium geologiczne, zawierające mnóstwo informacji. Ostatni rozdział poświęcony był dawnej wulkanicznej aktywności na Nowej Fundlandii. Wtedy po raz pierwszy ujrzelśmy w książce nazwę „Nowa Fundlandia”. To nas dopiero podkreśliło – istna rewolucja intelektualna. To miejsce było w książce. Widzisz, nam się wydawało, że jesteśmy zupełnie sami na świecie. Mieliśmy tylko książkę kucharską. Ale nie było w niej ani jednego przepisu, który moglibyśmy wykorzystać przy użyciu tego, co mieliśmy w naszych kuchniach. Nigdy się nie dowiedziałem, w jaki sposób zapłacił za wszystkie te książki, czy były one prezentem, czy też nie. Jeden z tych chłopców, do których pisał, przeniósł się do Toronto, kiedy podrósł, i został operatorem windy. To on przysłał nam te książki. Może też za nie zapłacił. Nigdy się tego nie dowiem.

Świeża farba lśniła na drewnie, litery wyraźnie odcinały się czernią.

– No cóż, zastanawiam się, czy następnym razem przybędę tutaj jeszcze o własnych siłach, czy też nogami do przodu. Lepiej będzie, jeśli każę głęboko wyryć litery na moim kamieniu, bo oprócz kilku siostrzeńców i siostrzenic w St. John’s nie mam nikogo, kto pomalowałby je choć raz na kilka lat.

Quoyłe myślał o Wiliamie Ankle’u.

– Co on miał na myśli, kiedy mówił o wysokiej, łagodnej kobiecie? Powiedziałaś tak o Wavey Prowse. Twierdziłaś, że twój tato tak mawiał. Jakiś wiersz albo powiedzenie?

– Ach, to. Zaraz, jak to było... Mówił, że w sercu każdego mężczyzny są cztery kobiety. Panna na łące, demoniczna kochanka, kobieta o lwim sercu oraz wysoka i łagodna kobieta. Nie wiem, co to znaczy i skąd to wziął.

– Billy, nigdy się nie ożeniłeś?

– Tak między nami, miałem pewną osobistą dolegliwość i nie chciałem, żeby się ktoś o tym dowiedział.

Dłoń Quoyłe’a powędrowała do brody.

– Nie rozumiem – stwierdził Billy. – Nie rozumiem połowy z tej gadaniny Nutbeema i Terta o seksie. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. – W jego pojęciu kobiety były jak liście, a mężczyźni po prostu opadali na nie jak nasiona. Wskazał w dół, w głąb wyspy. – Tam jest jeszcze jeden cmentarz. Stary.

Cmentarz otoczony był kamieniami z plaży. Poszli przez zarośla w tamtą stronę. Kilka grobów, po których pozostały zarośnięte kopczyki, inne zginęły w płataninie roślinności. Billy utkwiał spojrzenie w Quoyłe'u, jakby czekał na coś.

– Nie domyśliłbym się, że to jest cmentarz. Wygląda na bardzo stary.

– Och, tak. Bardzo stary. To cmentarz Quoyłe'ów.

Zadowolili go efekt, jaki wywołały jego słowa. Quoyłe otworzył szeroko usta i odrzucił głowę do tyłu jak zmięta z dumioną widokiem lustra.

– Mówią, że byli grabieżcami wraków. Podobno przybyli na Gaze Island bardzo dawno temu i uczynili z niej swoją jaskinię. Byli piratami, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Zwabiali statki na skały. Kiedy byłem mały, kopaliśmy tutaj w różnych miejscach. Odkrywaliśmy kamienie, żeby sprawdzić, czy nie ma pod nimi czarnej skrzyni.

– A to dopiero! – Włosy Quoyłe'a nieomal stanęły dęba. Czuł rozchodzące się mrowienie. Ukryta przystań.

– Widzisz te płaskie skały? Tam stał twój dom zanim go przeciągnęli po lodzie na Quoyłe's Point, a za nimi powędrował cały motłoch wyspiarzy. No bo po jakimś czasie przybyli inni i osiedlili się. Wypędzili Quoyłe'ów. Chociaż zbrodnią, która ostatecznie przeważyła szalę, była ich niechęć do uczestniczenia w święcie Zesłania Ducha Świętego. W tamtych czasach mieszkańcy Gaze Island byli bardzo religijni, ale religia jakoś nie wzięła Quoyłe'ów. Tak więc wynieśli się, zabrali dom i poszli sobie, wyśpiewując piosenki, które śpiewali przy wodowaniu.

– Dobry Boże – powiedział Quoyłe. – Czy ciotka wie o tym wszystkim?

– Musi wiedzieć. Nigdy ci nie opowiadała?

– Nic nie mówiła o przeszłości – odparł Quoyłe, kręcąc głową. Nic dziwnego, pomyślał.

– Prawdę mówiąc – ciągnął Billy – wielu było tutaj takich, którzy poprawiali swój los, ograbiając rozbite statki. Ratowali, kogo się dało, a potem łupili statek. Zabierali kosztowności, masło, ser, chińską porcelanę, srebrne zastawy i pełne komody. Jeszcze teraz w wielu domach możesz zobaczyć skarby, które pochodzą z rozbitych statków. A piraci zawsze przyplływali z Karaibów do Nowej Fundlandii, aby werbować ludzi do swoich załóg. Tak, to miejsce urodzonych piratów i grabieżców.

Wrócili na wzgórze, żeby jeszcze raz się rozejrzeć. Quoyłe próbował wyobrazić sobie siebie w roli bezbożnego pirata, który rozgląda się w poszukiwaniu wroga albo ofiary.

Billy krzyknął, ujrzawszy, że zasnuty mgiełką horyzont zamienił się w ścianę kotłujących się chmur, odległą o niecałą milę. Nad kasztanową wodą rozciągała się mglista zasłona.

– Zbierajmy się, chłopcze! – zawołał, schodząc ścieżką prowadzącą na plażę i pobrzękując puszkami po farbie. Quoyłe, zasapany, podążał za nim.

Silnik zawarczał i po kilku minutach płynęli już przesmykiem.

## Cudowna nawigacja

Mgła... Ciepłe wody Gólsztromu na dużych szerokościach geograficznych są przyczyną gęstych mgieł, szczególnie w okolicach Grand Banks, gdzie różnica temperatur zimnego prądu labradorskiego i okolicznych wód jest wyjątkowo duża.

*Słownik morski*

Kiedy ponownie wpłynęli w skalny labirynt, ławicę mgły dzieliła od nich odległość dwu tysięcy jardów.

– Jeszcze z dziesięć minut, a zostawimy za sobą skały i prądy i weźmiemy kurs na Killick-Claw – zauważył Billy, sterując łodzią sobie tylko znanym kursem, którego Quoyłe mógł się jedynie domyślać. – To na te skały Quoyłe’owie zwabiali statki. – Zawołał.

Quoyłe’owi wydawało się, że czuje prąd sunący wzdłuż klifów; utkwiał wzrok w powierzchni wody, jakby w jej głębinach spodziewał się zobaczyć nasiąknięte wodą kadłuby. Minęli popękaną skałę, którą Billy nazwał Net-Man.

– Zawsze, kiedy się coś zgubi, pływak czy garnek, czy kawałek liny, wszystko w jakiś niewyjaśniony sposób ląduje w szczelinach Net-Man. Pewnie jakieś zawirowanie prądu znosi tutaj te rzeczy, a one wciskają się w szczeliny.

– Teraz też coś jest – powiedział Quoyłe. – Jakby pudełko. Zaczekaj, Billy, to jest walizka.

Billy podpłynął do bulgoczącej skały i podał Quoyłe’owi bosak.

– Tylko się pospiesz.

Walizkę wyrzuciły wysoko na skałę fale pływu, który teraz się cofał. Spoczywała na niewielkim występie skalnym, jakby ją ktoś tam przed chwilą położył. Quoyłe zaczął hak o rączkę z linki i pociągnął. Była tak ciężka, że spadła do wody. Kiedy tylko wynurzyła się na powierzchnię, ponownie zaczął hakiem o ucho i przyciągnął walizkę bliżej łodzi. Wreszcie znalazła się na tyle blisko, że mógł chwycić ją ręką. Była ciężka, ale udało mu się wciągnąć ją na pokład. Billy nic nie powiedział i dalej manewrował między skałami.

Walizka poczerniała od morskiej wody. Wyglądała na kosztowną, mimo że uchwyt miała zrobiony z linki. Quoyłe spróbował otworzyć zamek, ale był zamknięty. Znowu nadeszła mgła, zasłaniając wszystko dookoła. Nawet postać siedzącego z tyłu łodzi Billy’ego bardziej przypominała ducha niż żywego człowieka. Zniknął horyzont, zniknęło niebo, żadnego kierunku.

– A niech mnie, Quoyłe, jesteś grabieżcą. Z tym bosakiem w dłoni wyglądasz jak prawdziwy Quoyłe.

– Jest zamknięta. Kiedy wrócimy, spróbujemy ją czymś otworzyć.

– A to może tak szybko nie nastąpić – stwierdził Billy. – Będziemy musieli trochę powęszyć. Jeszcze nie wypłynęliśmy za skały. Trochę pokłuczemy, zanim wypłyniemy na czystą wodę.

Quoyłe wytrzeszczał oczy aż do bólu, lecz nic nie widział. Na myśl o niewidzialnych istotach najpierw poczuł lekki niepokój, a potem rosnącą falę strachu. Widział w myślach nieznaną zjawy i pirackich Quoyłków. Przodków, których plugawa krew płynęła w jego żyłach, którzy mordowali rozbitków, topili swoje niechciane bękarty, toczyli walki, zanosili się wyciem, nosili długie, postrzępione brody, przyświecali sobie świecami. Byli uzbrojeni w zastrzone pałki zahartowane w ogniu.

Po prawej stronie przed nimi wynurzyła się ogromna skała, potężna wieża spowita tumanami wirującej mgły.

– No, w porządku. Jest Home Rock. Teraz już prosta droga. Niedługo poczujemy dymy Killick-Claw i popłyniemy za nosem.

– Billy, widzieliśmy Home Rock, płynąc na wyspę. Nie była tak wielka, wystawała nad wodę może na stopę.

– Zgadza się. Teraz wystaje trochę więcej, ponieważ jest odpływ i gęsta mgła. To właśnie przez mgłę wydaje się taka ogromna. Złudzenie optyczne, taka mglista fatamorgana. Sprawia, że zamiast zwykłej łodzi widzisz tankowiec.

Łódź, pomrukując, płynęła przez mleczną zasłonę. Zdesperowany Quoyłe zacisnął dłonie. Billy stwierdził, że czuje zapach dymów z kominów w Killick-Claw, piętnaście mil przed nimi, a także coś jeszcze, coś zgniłego, rozkładającego się.

– Nie podoba mi się ten smród. Tak cuchnie wieloryb wyrzucony na plażę, po trzech tygodniach leżenia na piasku w upale. Wydaje mi się, że ten odór staje się coraz silniejszy. Może gdzieś we mgle unosi się na wodzie zdechły wieloryb. Nasłuchuj pławy dzwonowej przy Ram i Lamb. W takiej mgle możemy łatwo przegapić wejście do przesmyku.

Minęło prawie pół godziny, kiedy Billy oświadczył, że słyszy odgłosy z brzegu, fale rozbijające się o kamień. Potem we mgle i zapadającej nocy ukazały się dwie skały przypominające druty do robótek.

– Prrr – powiedział Billy Pretty. – Knitting Pins. Jesteśmy za bardzo na wschód od Killick-Claw. Ale niedaleko od Desperate Cove. Co myślisz, może zacumujemy tutaj i poczekamy, aż podniesie się mgła? Och, kiedyś mieli w Desperate Cove malutką, ale bardzo dobrą restaurację. Zobaczmy, czy jeszcze do niej trafię. Nie przyplýwałem tu łodzią od czasów dzieciństwa.

– Na miłość boską, Billy, tutaj jest pełno skał!

Z mgły wynurzył się następny czarny masyw oblewany spienioną wodą. Lecz Billy kierował się słowami starej rymowanki, którą śpiewano, żeglując bez żadnych map, kompasów czy świateł.

*Gdy Druty przed tobą wyrosną już na wodzie,  
Desperate Cove znajdziesz na zachodzie.  
I niechże ci na dobre wpadnie to do ucha:  
Za Drutami steruj wprost na But Starucha.  
Przesmyk ci się ukáže, gdy opłyniesz paluch,  
Przesmyk nader wąski – żegluj więc pomatu.*

Billy obrócił łódź za sterczącymi skałami i skierował ją wzdłuż prądu i ssącego pływu.

– Istnieje wiele sposobów znalezienia drogi: możesz nasłuchiwać odgłosów z brzegu, krzyknąć i orientować się według echa odbitego od klifu, możesz też próbować wyczuć prąd pod łodzią albo nauczyć się odróżniać zapachy poszczególnych zatoczek. Mój staruszek na podstawie zapachów potrafił nazwać sto mil brzegu.

Skalny garb, odgłosy wody liżącej brzeg, a potem powolne uderzenia fal o skalną krawędź. Quoyłe, zdumiony, usłyszał trzaśnięcie drzwi samochodu, a potem ktoś włączył silnik i odjechał. Nic nie widział. Niebawem jednak dostrzegł niewyraźne światło na pomoście. Billy zatrzymał łódź, wyskoczył na pomost i założył linę cumowniczą na pacholek.

– To ta walizka tak śmierdzi – stwierdził.  
– Pewnie skóra zaczyna gnić – odparł Quoye. – Jak daleko stąd do restauracji? Nie chcę jej tutaj zostawić.

– Kiedyś była po drugiej stronie drogi. Latem przyjeżdżało mnóstwo turystów z aparatami fotograficznymi, wysiadawali tutaj całymi dniami i patrzyli na wodę. Jakby obserwowali jakieś dziwne zwierzę, nie mogli oderwać oczu.

– Zrozumiałbyś to, gdybyś pochodził z Sudbury albo New Jersey – odrzekł Quoye.

– Wszystko po staremu. Czuję olej do smażenia nawet bardziej niż ten smród. Zostaw walizkę na zewnątrz.

W środku nie było żadnych klientów. Kelnerka i kucharka siedziały przy jednym ze stołów, obie zajęte szydełkowaniem ozdobnych serwetek. Zapach chleba, wypiekanego na następny dzień.

– Dziewczyno, umieramy z głodu – odezwał się Billy.

– Szyper Billy! Wyszedłeś tak znieczeka z tej mgły, że aż się przestraszyłam.

Kucharka odłożyła serwetkę i stanęła obok tablicy z wypisanym menu.

– To wszystko, co mamy – powiedziała, wymazując dorsza i krewetki. – Jest smażona kałamarnica, kochaniutki, i klopsiki. Słyszałeś o tym łosiu, którego trafił Railey? Zmieliliśmy go mniej więcej tak jak na hamburgery, a ponieważ dzisiaj rano chciałam opróżnić zamrażarkę, więc zrobiłam klopsiki w sosie. Niezłe wyszły. Tłuczone ziemniaki? – Pionowe linie: twarz poznaczona pionowymi bruzdami, ciemne plisy spódnicy.

Billy zatelefonował do Terta Carda; oparł się o ścianę, grzebiąc w uchu wykałaczką.

– Jesteśmy z Quoye'em w Desperate Cove, mgła. Może byś nas zabrał z powrotem do Killick-Claw, bo chcę zostawić tutaj łódź. Samochód został na nabrzeżu, a on też nie ma swojego. Taa. Zabiorę ją jutro. Grabieżca Quoye znalazł walizkę na Net-Man. Nie wiemy. Jest zamknięta. Gęsta mgła, więc jedź ostrożnie. Nie ma co się spieszyć. Zamówiliśmy sobie coś do jedzenia. Taa. Nie, zmieliła łosia na klopsiki. Taa, powiem jej.

Quoye zamówił kałamarnicę z siekaną cebulą. Nafaszerowano ją małutkimi różowymi krewetkami, ułożonymi na czymś zielonym. Billy zajął się swoimi pulpecikami. Kelnerka przyniosła im gorące bułeczki z masłem i dżemem z czerwonych jagód.

Kucharka wystawiła z kuchni swoją podłużną twarz.

– Szyprze Billy, zrobiłam dla Raileya stary dobry figowy budyń. Mam go dużo. Może chciałbyś sobie przypomnieć, jak smakuje?

– Pewnie. Przyjedzie po nas Tert Card. Zamówił porcję klopsików, jeśli masz je jeszcze.

Więc na deser porcja figowego budyniu z odrobiną rumu i kawa.

– Spróbuję otworzyć walizkę – powiedział Quoye.

– Ach, Quoye, ty grabieżco, potrafisz myśleć tylko o tej cholernej walizce. No dobra, otwórz ją. Podważ zamek widelcem albo rozbij kamieniem. Mam nadzieję, że jest pełna skarbów z Gaze Island. – Billy podniósł palec, dając znać, że prosi o herbatę.



Quoye zaciągnął walizkę pod jedyną latarnię na nabrzeżu. Znalazł kawałek rurki i uderzył w zamek. Dźwięk metalu uderzającego o mosiądz. Zamek nie ustąpił. Quoye rozejrzał się za czymś, czym mógłby go podważyć, jakiś śrubokręt albo dłuto, ale wokół leżały tylko kamienie i potłuczone szkło. Zdesperowany zamachnął się mocno i z całej siły uderzył w zamek. Rozległ się metaliczny trzask i wieko walizki nagle ustąpiło, roztaczając falę okropnego smrodu.

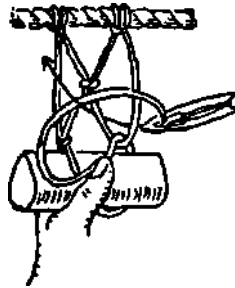
W słabym świetle dostrzegł zmasakrowane oko, płaską twarz i pokryte skorupą krwi wąsy Bayoneta Melville'a, którego głowa spoczywała na wyściółce z wodorostów. Galaretowate okropieństwo wysliznęło się na nabrzeże.



## Jak pies z kotem

Węzeł sieciarski wykorzystuje się zwykle przy wiązaniu węzła szotowego z pomocą igły sieciarskiej.

*Księga węzłów Ashleya*



– Agnis ma serce mężczyzny, o tak – powiedziała Mavis Bangs do Dawn, kiedy ciotka wyszła z miarą i notatnikiem. – Jest odważna, stawia czoło rzeczom jak prawdziwy mężczyzna. To dlatego, że mieszkała w Stanach. Tamtejsze kobiety są takie. Widziałaś, jaka była spokojna? A jej bratanek trząśł się jak galareta. Znalazł tę głowę. Mówiła, że nie mógł prowadzić samochodu przez dwa dni, taki był zszokowany. Sama się przeraziłam. Ci wszyscy konni zadający tysiące pytań. Tysiące. Biedna Agnis. Ale nie tylko o to chodzi. Ona nazywa się Hamm, ale jest z Quoyłe’ów. Dużo mówili, moja droga. Omond, mój biedny mąż, znał ich. Urodził się w No Name Cove, jeszcze za Capsize Cove, to tylko jedna zatoczka przed Quoyłe’s Point. Mieli służącą, która była prawdziwym Quoyłe’em, potrafiła się wściekać jak pława na wzburzonym morzu.

Dawn ledwie ją słyszała. Zawsze, kiedy Agnis Hamm wyjeżdżała gdzieś swoim autem, Dawn natychmiast zasiadała do elektronicznej maszyny do pisania. Czasem zostawała w pracy dłużej, żeby z niej skorzystać. Pisała listy.

*Szanowny Panie. Mój list dotyczy stanowiska w salonie samochodowym waszej firmy. Wprawdzie moja dotychczasowa praca związana była z żeglugą morską...*

*Szanowny Panie. Piszę w związku z waszym ogłoszeniem dotyczącym ekspedientki władającej językiem hiszpańskim. Wprawdzie nie mówię po hiszpańsku, ale posiadam dyplom ukończenia wyższych studiów w zakresie kontroli ruchu morskiego i mogę się przekwalifikować. Załączam...*

Mavis Bangs mówiła dalej:

– Pani Buggit była taką kobietą, co to potrafiła łowić razem z mężczyznami. Zostawiała dzieci u siostry i wypływała z nimi. Podobno siłą wcale nie ustępowała mężczyznom. Teraz nie wychodzi dalej niż do sznura z bielizną. Cierpi na chorobę, którą nazywają niemożnością utrzymania moczu. Popuszcza. Wystarczy, żeby wstała albo roześmiała się czy zakaszłała. Poważny problem. Kazali jej robić takie różne ćwiczenia, wiesz, popuść, wstrzymaj, popuść, wstrzymaj, ale mówiła, że to nic nie zmienia poza tym, że kiedy była w łazience, ich pies siedział pod drzwiami mocno zaniepokojony. Bardzo przeżyła śmierć ich najstarszego, Jessona. On był podobny do Jacka. Uparty! Nic do niego nie przemawiało. Jak myślisz, Dawn, czy pani Melville mogła to zrobić? Ta sama, dla której szyłyśmy niebieską skórę? Myślisz, że to ona odcięła mu głowę? Bratanek Agnis mówi, że oni żarli się jak pies z kotem. Kłócili się. I byli pijani. Pijana kobieta! I żeby tak odpłynąć nocą i nie zapłacić Agnis za wykonaną pracę! Oczywiście, wygląda na to, że to ona odpłynęła i nie zapłaciła. Ale żeby odciąć facetowi głowę i wsadzić ją do walizki? Mówią, że musiała mieć kogoś do pomocy, była za słaba i za stara.

– Nie wiem – powiedziała Dawn.

Maszyna do pisania sama przepisywała ten sam tekst. Trzeba było tylko zmienić nazwisko adresata oraz rodzaj pracy i już miała nowy list.

*Szanowny Panie. Przeczytałam niedawno wasze ogłoszenie w „The Globe and Mail” dotyczące asystenta naukowego. Wprawdzie nie władam japońskim, ale gotowa jestem nauczyć się...*

*Szanowny Panie. Przeczytałam niedawno wasze ogłoszenie w „The Globe and Mail” w sprawie zatrudnienia osoby do układania kwiatów. Wprawdzie nie układałam nigdy kwiatów, ale gotowa jestem nauczyć się...*

*Szanowny Panie. Przeczytałam niedawno wasze ogłoszenie w „The Globe and Mail” dotyczące stanowiska maklera. Wprawdzie posiadam wykształcenie w zakresie kontroli ruchu morskiego, ale gotowa jestem nauczyć się...*

– Ach, wszystko przez tych niegodziwych ludzi, którzy tutaj przybywają. Wszystko dzisiaj jest inaczej. Podobne okropieństwa nigdy się tutaj nie zdarzały. Dawniej ludzie prowadzili godziwe życie. Dzisiaj może się ono wydawać śmieszne, ale było dobre. Ot, choćby coś takiego. Mało która dziewczyna wie o tym, ponieważ już nie robią mat. Kiedyś, wiesz, kiedy ktoś zrobił nową matę, dziewczęta, młode dziewczęta, brały kota i sadzały go na niej, a potem zawijały ją i podnosiły kota. Zawsze znalazł się jakiś kot, Nowofundlandczycy lubią koty. Potem rozwijały matę i obserwowały kota: ta, do której podszedł, była kolejną kandydatką do zamążpójścia. Szczera prawda, zawsze się sprawdzało.

Postanowiła, że będzie pisać dwadzieścia pięć listów tygodniowo. Regularnie. Musi przyjść jakaś odpowiedź.

*Szanowny Panie. Przeczytałam niedawno wasze ogłoszenie dotyczące posady opiekuna psiarni. Wprawdzie posiadam wykształcenie w zakresie kontroli ruchu morskiego, ale gotowa jestem się przekwalifikować...*

– Moja siostra pracowała nad matą przez całą zimę, wzór z róż i dorszy na błękitnym tle. Ładna była. Miałam wtedy czternaście lat. Było pięć dziewcząt. Liz, moja siostra, Kate, Jen i dwie Mary. Kiedy mata była skończona, zawinęły w nią kota. Rozwinęły ją, a tu kot idzie prosto do mnie i wskakuje mi na kolana. Może się wydać dziwne, ale rzeczywiście to ja wyszłam następna za męża. Liz umarła na gruźlicę jeszcze przed latem. Kate nigdy nie wyszła za męża. Mary Genge pojechała z rodziną do Bostonu, a druga Mary to już nie wiem. Ale ja

wysłałam za Thomasa Munna. W moje piętnaste urodziny. Zginął na morzu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku. Piękny mężczyzna. Czarne włosy. Kiedy wchodził do pokoju, to jakby napłynęła fala gorącego powietrza. Po jego śmierci schudłam od płaczu jak szczapa. Ważyłam zaledwie osiemdziesiąt siedem funtów. Już myśleli, że umrę. Ale jakoś przetrwałam. I wysłałam za Desmonda Bangsa. Byliśmy małżeństwem, dopóki nie zginął w katastrofie lotniczej na Labradorze. Powiedziałam sobie wtedy: „Dosyć, wystarczy, więcej bólu już nie zniosę”. Nie tak jak niektóre, co to odcinają mężom głowy i pakują je do walizek.

Jeszcze tylko pięć i wystarczy na ten tydzień. Na początek przyjmie cokolwiek, żeby tylko się stąd wyrwać. Żeby nie słuchać gadaniny Mavis Bangs. Żeby zobaczyć coś jeszcze poza łodziami rybackimi, skałami i wodą!

*Piszę w sprawie stanowiska technika monitorowego. Wprawdzie posiadam wykształcenie w zakresie kontroli ruchu morskiego oraz tapicerstwa, ale gotowa jestem nauczyć się...*

– Wiesz, wtedy wszystkie byłyśmy dobre w robótkach. Liz, oczywiście, robiła maty, wszyscy je znali. Nasza matka hodowała owce na wełnę. Wciąż ją widzę, jak po kolacji snuje przędzę albo robi na drutach. Zawsze po południu robiła na drutach. Wciąż słyszę ich klekotanie. Twierdziła, że wełna lepiej poddaje się w nocy, jest luźniejsza, kiedy owce leżą, śpią. Odziedziczyłam tamten stary kołowrotek. Teraz wart jest fortunę. Zwykle wystawiałam go na trawnik. Des pomalował go na czerwono i żółto i był piękną ozdobą. Ale musieliśmy zabierać go na noc do domu, baliśmy się, że turyści go ukradną. Tak, potrafią zabrać ci kołowrotek z samego podwórka. Znam kobietę, której coś takiego się przydarzyło. Pani Trevorowa Higgend, chodzi do mojego kościoła. Co myślisz o tym bratanku, Dawn? Byłaś u nich na kolacji. Żeby znaleźć coś takiego. Nie chciałabyś chyba mężczyzny, który znalazł odciętą głowę? Z żadnym Quoye'em jeszcze nic dobrego się nie wydarzyło.

– O nie. – Klawisze maszyny stukały. Ostatni list w tym tygodniu. Może w skrzynce czeka już jakaś odpowiedź.

*Piszę w sprawie posady kreślarza. Wprawdzie posiadam wykształcenie w zakresie kontroli ruchu morskiego, ale jestem gotowa zmienić miejsce zamieszkania i przekwalifikować się w celu zdobycia zawodu kreślarza...*



Quoyle i Wavey siedzieli obok siebie, przepełnieni uczuciem wzajemnej sympatii. Herry oddychał mocno, dmuchając im w szyje. Samochód pojeździł, wspinając się w deszczu na wzgórze i zostawiając za sobą szkołę. Pokonali grzbiet wzniesienia. Po stronie Quoyle'a ocean, sina szarość pod napiętym, mokrym światłem.

Przedzierali się przez żółtawy deszcz. Rząd skrzynek na listy, niektóre podobne do domków z wymalowanymi oknami. Cztery kaczki kuśtykające wzdłuż błotnistych kolein. Quoyle zwolnił i jechał powoli, dopóki nie zeszły do rowu. Minęli redakcję „Pleciuchy”, dom Buggitów, pojechali dalej. Kwadratowe domy pomalowane w fantastyczne pasy, wyraźnie odcinające się od skał.

Parter małego domku Wavey pomalowany na kolor mięty, czerwone skrzydło okna. Na sznurze chłopięca pizama, purpurowa jak czerwony pieprz. Stos pali o zaostzonych końcach, kozioł do cięcia drewna wśród góry wiórów i kawałków kory, porąbane kłody gotowe do ułożenia.

Przy drodze dwaj rybacy, szczupli i zylaści, naprawiali w deszczu sieć. Ich swetry lśniły kropelkami deszczu. Ostre irlandzkie nosy, długie irlandzkie szyje i włosy schowane pod czapki z długimi daszkami. Jeden z nich podniósł głowę, jego spojrzenie powędrowało od Wavey do Quoyle'a, przesunęło się badawczo po jego twarzy, rozpoznając go. W jego dłoni błysnęła igła do sieci.

– Tam jest wuj Kenny – powiedziała Wavey do chłopca swoim niskim, donośnym głosem.  
– Phies! – zawołał chłopiec.

Na podwórku Archiego Sparksa wśród łabędzi ze sklejki pojawił się niebieski pudel.

– Phies.

– Tak, nowy pies – powiedziała Wavey. Drewniany pies z ogonem z linki i obrozą z puszki. Umocowany na kiju. Oko podobne do czyraka.

Quoyłe zobaczył we wstecznym lusterku, że brat Wavey idzie w ich stronę. Drugi rybak obserwował ich ze swojego miejsca, trzymając sieć w nieruchomych dłoniach.

Wavey wyciągnęła chłopca z samochodu. Uniósł twarz do góry i zamknął oczy, czując, jak drobne krople dotykają skóry niczym końce zimnych włosów. Pociągnęła go do drzwi.

Quoyłe wyciągnął dłoń w stronę zbliżającego się mężczyzny, jakby to był nie znany mu, skradający się pies.

– Quoyłe – przedstawił się niepewnie. Rybak uściśnął krótko jego dłoń.

Twarz podobna do twarzy Wavey: tak samo szczupła, lecz bardziej surowa. Młody mężczyzna pachniał rybami i deszczem. Chudy, żylasty, gotowy dożyć dziewięćdziesiątki.

– Podwozisz Wavey do domu, co?

– Tak. – Poczł się zawstydzony swoją miękką dłonią. W oknie domu na tyłach podwórka z drewnianym zoo poruszyła się zasłona.

– Tato podgląda – powiedział Ken. – Wejdz na filiżankę herbaty.

– Nie, nie – odparł Quoyłe. – Muszę wracać do pracy. Podwoziłem tylko Wavey.

– Wycieczki dobrze ci służą. To ty znalazłeś walizkę z głową. Mnie by chyba skreśliło. Mieszkasz na cyplu po drugiej stronie. – Pokazał głową. – W pogodne dni ojciec widzi cię przez swoje szkło. Położyłeś nowy dach na starym domu?

Quoyłe skinął głową i wsiadł do samochodu. Jego bezbarwne oczy zachowały ciepło.

– Wracasz? Podjadę z tobą do sieci – stwierdził Ken, obchodząc maskę samochodu i siadając ciężko na miejscu Wavey.

Quoyłe wycofał samochód i zawrócił. Wavey zniknęła już w domu.

– Przyjdz ją odwiedzić – powiedział Ken. – Szkoda, że jej chłopak jest taki, ale dobry z niego urwis. Mały, biedny urwis.



*Szanowny Panie, pisała Dawn. Piszę w związku z...*

## Zło

Tajemnicza moc, która rzekomo drzemie w węzłach... może okazać się zgubna lub zbawienna.

*Węzły czarownic i dawnych ludów peruwiańskich*



Quoyłe malował. Miał jednak wrażenie, że dom wciąż wydaje się ponury, że nie zmienił się ani trochę od tamtej chwili, kiedy po raz pierwszy wyłonił się z mgły. Ciekawe, jak wyglądał, kiedy go zbudowano na Gaze Island albo kiedy go ciągnęli po lodzie? Wciąż myślał o tym, że podróż przez lód w jakimś sensie wypaczyła dom, zmieniła jego pierwotny kształt. Wciąż jeszcze pamiętał dreszcz, jaki poczuł, napotkawszy nieugięte spojrzenie siwego starca.

Zainteresowanie ciotki remontem domu nieco wygasło. Teraz częściej przebywała w swoim pokoju, gdzie czasem przez godzinę leżała na łóżku ze wzrokiem utkwionym w sufit. Potem wstawała, ziewając, albo śmiała się krótko, mówiąc: „No cóż, zobaczmy teraz”. Wracała ze swojego świata.

Weekendy wyglądały teraz podobnie: ciotka w swoim pokoju albo miesza coś na kuchni, albo spaceruje, Quoyłe wyrąbuje ścieżkę nad morze, dzieci myszkują w trawie i obserwują owady wspinające się po łodygach roślin. Albo rąbał drewno, przygotowując opał na nadchodzące chłody. Myślał o Partridge’u, przyrządzał nowe potrawy, pozwalał dzieciom zanurzać palce w mieszaninach składników i cieczy; czasem nawet pozwalał Bunny użyć noża do obierania. Czuwał nad nią.

Koniec sierpnia. Miska oczyszczonej kałamarnicy na półce w kuchni. Postanowienie Quoyłe’a: po skończonej pracy makaron z kałamarnicą. Był winien Partridge’owi list. Ciotka zaproponowała sałatkę, chociaż sałata była zwiędnięta, a pomidory ze szklarni blade.

– Mogliśmy założyć mały ogródek – powiedziała. – Mielibyśmy wreszcie własną sałatę. To, co sprzedają na targu, nie nadaje się dojedzenia. Seler prawie cały zgniły, a sałata wygląda jak ugotowana.

– Wavey – odezwał się Quoyłe. – Wavey twierdzi, że morski seler jest lepszy od szpinaku. Rośnie go pełno wzdłuż brzegu.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam – powiedziała ciotka. – Nie interesowałam się dziko rosnącymi roślinami.

– Jest lepszy od dzikiej morskiej pietruszki – powiedział Quoyłe. – Mogę dodać trochę do sosu z kałamarnicy.

– Dobrze – odpowiedziała ciotka. – Sam spróbuj. – Niemniej jednak poszła poszukać kawałka ziemi wśród skał, który nadawałby się pod ogródek. Jeszcze nie jest za późno na sałatę. Pomyślała, że szklarnia też by się przydała.

Dzień był ciepły, wiatr muskał wodę, marszcząc powierzchnię zatoki. Ciotka czuła napawający smutkiem zapach przekopanej ziemi. Quoyłe poczuł ból głowy od długotrwałego wdychania farby.

– Ktoś idzie – powiedziała ciotka oparta na trzonku szpadla. – Idzie drogą.

Quoyłe spojrział w tamtym kierunku, lecz nikogo nie zauważył.

– Gdzie?

– Za świerkiem ze złamaną gałęzią. Tą złamaną przez buldożer.

Patrzyli w dół drogi prowadzącej do fabryki rękawic.

– Na pewno kogoś widziałam – upierała się ciotka. – Widziałam jego czapkę i ramiona. Jakiś mężczyzna.

Quoyłe wrócił do swojej puszki z farbą, lecz ciotka patrzyła przed siebie jeszcze chwilę, a potem wbiła szpadel w ziemię i poszła w kierunku świerku. Nie było nikogo. Dostrzegła jednak ślady butów rybackich, które skręcały w zarośla. Pomyślała, że to ścieżka łosia prowadząca na bagna porośnięte skórzastymi krzewami i zalane wodą koloru herbaty.

Wciągnęła głęboko powietrze, powiodła wzrokiem wzdłuż skraju drogi, szukając śladów psich łap. Nie była pewna.

– To ten starzec – powiedział Quoyłe. – To musi być on.

– Jaki starzec?

– Billy Pretty mówi, że on jest jakimś kuzynem Quoyłe'ów. Mówi, że twardy z niego staruszek. Nie chciał opuścić Capsize Cove, kiedy ich przesiedlali. Został tam sam. Billy uważa, że on może się trochę boczyć, ponieważ mieszkamy w jego domu. Mówiłem ci o tym.

– Nie, nie mówiłeś, bratanku. Kim on, u licha, mógłby być?

– Pamiętam, że ci o nim opowiadałem.

Ciotka zaczęła ostrożnie przeglądać zakamarki swojej pamięci, by przypomnieć sobie jego imię.

– Nie wiem. Jeden z dawnych Quoyłe'ów. Nie pamiętam jego imienia. Jakby irlandzkie.

– Nie wierzę. Nikt z nich już nie został. Wiesz, nazwisko Quoyłe'ów nie było zbyt popularne – powiedziała ciotka. Odwróciła głowę.

– Słyszałem o tym – odparł Quoyłe. – Podobno to od nich pochodzi nazwa Omaloor Bay. Tak jak Half-Wit Pond czy Six Fingers Harbor albo Apricot Ear Brook nazwane na cześć podobnych nieszczęśników. Billy opowiedział mi o tym, jak przybyli tutaj z Gaze Island. Mówi, że przeciągnęli dom po lodzie.

– Podobno. Ale połowa z tych opowieści to bzdury. Myślę, że Quoyłe'owie byli tak samo dobrzy jak inni. I nie mam najmniejszego pojęcia, kim może być człowiek, o którym mówisz.

Quoyłe starł farbę z rąk i zawołał:

– Kto chce się przejść ze mną brzegiem i nazbierać morskich selerów?!

Sunshine znalazła dwie poziomki. Bunny rzucała do wody coraz większe kamienie; fontanny wody wzbijały się bliżej, aż wreszcie i ją ochlapały.

– Wystarczy, wracamy do domu. Bunny idzie przebrać spodnie, a Sunshine może mi pomóc umyć selery. Ja posiekam czosnek i cebulę.

Kiedy jednak sos był już prawie gotowy, Quoyłe zorientował się, że nie ma długiego makaronu, a tylko paczka jajecznych kokardek. Były miękkie i wybrzuszały się pod sosem, powodując, że krążki kałamarnicy zsuwały się na brzeg talerza.

– Trzeba planować, bratanku.



I znowu tuż przed świtem coś go obudziło. Pusty pokój otaczał go ze wszystkich stron, szary i zimny. Nadsluchiwał, czy nie rozlegnie się płacz Bunny, lecz nic nie mąciło ciszy.

Przez sufit przemknął krążek światła, zniknął. Latarka.

Quoyłe wstał, podszedł do okna wychodzącego na morze; pod jego bosymi stopami trzeszczały wyschnięte muchy. Przyklęknął przy oknie i ostrożnie spojrzął w odchodzącą noc. Długo nic nie widział. Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i dopiero wtedy ujrzał niebo oblane perłowym blaskiem napływającej jasności. Morze przypominało srebrny negatyw. Daleko, w gęstych zaroślach dostrzegł niespokojnie podskakującą iskierkę, która wkrótce zniknęła.



– Powinniśmy tam pojechać. Zobaczyć tego starca – powiedział Quoyłe.

– Nie mam zamiaru węszyć za jakimś rzekomym kuzynem i wymyślać mu. Do tej pory dobrze sobie dawaliśmy radę, dlatego lepiej zostawić wszystko tak, jak jest.

Quoyłe chciał jechać.

– Zabralibyśmy dziewczynki, zmiękczyłyby serce wilkołaka.

Wręcz przeciwnie, pomyślała ciotka.

– No, ciociu. – Nalegał.

Pozostawała obojętna.

– Zastanawiałam się, kto to może być. Moja matka miała kuzynów w Capsize Cove, ale oni byli w jej wieku, jeśli nie starsi. Kiedy miałam kilkanaście lat, byli już dorośli, mieli własne dzieci, wnuki. Jeżeli on jest jednym z nich, to musi mieć ponad osiemdziesiąt, a może dziewięćdziesiąt lat. Pewnie mocno zgrzybiały. Przypuszczam, że tam, na drodze, widziałam kogoś z miasta, może ktoś spacerował albo polował, nie wiedział, że tutaj mieszkamy.

Quoyłe nie wspomniał nic o świetle latarki. Ale nie ustępował.

– No, ciociu, dojedziemy do miejsca, gdzie droga się rozwidła, a potem pójdziemy pieszo. Chciałbym zobaczyć Capsize Cove. Opuszczoną wioskę. Tamtego dnia, kiedy byłem z Billym na Gaze Island, wyglądała ponuro. Patrzyłem wtedy na puste domy, słuchając historii Quoyłe'ów.

– Nigdy nie byłem na Gaze Island i muszę powiedzieć, iż nie mam uczucia, że wiele straciłam. Te stare miejsca są przygnębiające. Nie rozumiem, dlaczego rząd je tak zostawił. Powinni wszystko spalić.

Quoyłe wyobraził sobie tysiące osad w płomieniach, płonące gonty lecące nad skałami, wpadające z sykiem do wody.

Nie pojechali.

## Na jagody

Wielu nie widzi różnicy między węzłem wyblinkowym a podwójnym półszychem. Bierze się to stąd, że oba wyglądają tak samo, tyle tylko, że jeden zawiązany jest wokół jakiegoś przedmiotu, drugi zaś wokół stałego końca liny.

*Księga węzłów Ashleya*



Wrzesień, miesiąc coraz krótszych dni i coraz chłodniejszej wody. W pierwszym dniu roku szkolnego Quoyle zaprowadził Bunny do szkoły. Nowe buty, plisowana spódniczka i biała bluzka. Miała wilgotne dłonie. Bała się, ale nie pozwoliła mu pójść dalej i sama zaczęła się przeciskać przez tłum uczniów. Quoyle patrzył, jak stoi samotna; prawie nie poruszała głową, szukając wzrokiem swojej koleżanki, Marty Buggit.

O trzeciej czekał przed szkołą.

– I jak poszło? – Spodziewał się, że opowie mu o tym, co sam czuł trzydzieści lat temu, że będzie zahukana, nieszczęśliwa.

– Było zabawnie. Popatrz. – Pokazała mu kartkę z napisanymi na niej dużymi, nieporadnymi literami:

BUN

Y

– Napisałaś swoje imię – powiedział Quoyle z ulgą, zdumiony, że jest tak inna od niego.

– Tak. – Jakby robiła to od dawna. – Nauczycielka mówi, żeby przynieść jutro paczkę chusteczek, bo szkoły nie stać na nie.



Blade łuki tęczy w czasie porannej podróży wokół zatoki. Szkwały, a potem plamy światła. Opowieści Billy'ego o otoczce wokół księżyca. Przewalające się burze. Nagły deszcz ze śniegiem zmieniający się w rozżarzone purpurowe igiełki. Deszcz. Dwa, trzy gorące dni,



jakby przyniesione z pustyni przez wiatr. Włókna światła pełzające po zatoce jak świetliste węgorze. Na przylądkach i moczarach miliony dojrzewających jagód i innych owoców: agrest, porzeczki, żurawina, czerwone jagody, późne poziomki, bażyna, ciemne leśne jabłuszka sterczące sztywno nad kasztanowatymi liśćmi.

– Może pójdziemy na jagody w najbliższy weekend – zaproponowała ciotka. – Niedaleko jest takie miejsce, gdzie zbierało się je, kiedy byłam młoda. Zrobimy dżem. Wszyscy lubią zbierać. Może chcesz zaprosić Wavey Prowse?

– Dobry pomysł – powiedział Quoye.

Przyjęła zaproszenie tak chętnie, jakby zaprosił ją na przyjęcie.

– Ken mnie podwiezie. Chce zobaczyć twój nowy dach.

Ken uważniej przyglądał się Quoye'owi i dziewczynkom niż dachowi; żartował z ciotką. Żegnając się, położył dłoń na ramieniu Quoye'a.

– No cóż, muszę jechać. Mam coś do załatwienia w Misky Bay, więc pomyślałem, że pojedę przez cypel. Mam później przyjechać? – Spojrzenie ostre niczym ciernie głogu, przebijające wszystko jednym pchnięciem. Starał się wszystko nim ogarnąć.

– Dobrze – powiedziała Wavey. – Dziękuję. – Jej wiadra na jagody miały ręczki z linki zawiązanej w zmyślne węzły.



Ciotka, dziewczynki, Quoye, Wavey i Herry poszli łądem na teren położony za fabryką rękawiczek; słychać było pobrzękiwanie wiader, grzechotanie kamyków na ścieżce. Sunshine poprosiła, żeby ją wziął na plecy. Słońce zalewało nieużytki powodzią światła o barwie topazu. Niebo koloru ultramaryny. Migocące morze.

Wavey miała pończochy w kolorze tostu i pozszywaną spódnicę. Quoye ubrał się w koszulę w kratę, nieco za ciasną.

– Ludzie przychodzili tutaj zbierać jagody z bardzo daleka rzuciła ciotka przez ramię. – W tamtych czasach sprzedawali je.

– Wciąż sprzedają – odparła Wavey. – Mówię ci, Agnis, zeszłej jesieni płacili dziewięćdziesiąt dolarów za galon leśnych jabłuszek. W zeszłym roku ojciec zarobił na jagodach tysiąc dolarów. Kupują je ludzie z miasta. A jeśli komuś uda się nazbierać czerwonych jagód, to robi jeszcze jagodówkę.

– Jagodówkę! To był dopiero paskudny trunek! – przypomniała sobie ciotka. – Zobaczymy, co nam się uda zebrać – dodała i spojrzała z ukosa na Wavey, na jej szorstkie dłonie i zniszczone buty. Twarz Herry'ego przypominała spodek pełen śmietanki. Ale ładny chłopak, mówili, uroda ojca, tylko trochę zniekształcona. Jakby czyjaś silna dłoń ścisnęła miękkie rysy.

Morze przezroczyste w powodzi światła. Wavey i Quoye zbierali jagody blisko siebie. Jego silne palce uwijały się wśród czubatych kępek, palec wskazujący i kciuk zbierały dwie, siedem jagód, puszczały je w złożoną dłoń, a potem do wiadra ciche dudnienie owoców uderzających o dno. Poruszali się na kolanach. Gorzkawy zapach zgniecionych liści. Quoye zdmuchnął listki. Herry, Sunshine i Bunny, oddaleni o sto stóp, tarzali się jak psy na miękkim podłożu. Ciotka poszła w bok, tak że jej biała chustka skurczyła się do rozmiarów kropki. W miarę jak oddalali się od siebie, znikali na krótkie chwile w zagłębieniach albo za pagórkami. Morze syczało.

Ciotka zawołała do Quoye'a:

– Ju-hu! Zapomniałam koszyka z jedzeniem. Został koło fabryki. Przynies go, a ja popilnuję dzieci.

– Chodź ze mną – poprosił Quoye Wavey. Nalegał.

Poszukała wzrokiem Herry'ego.

– Bawią się. Chodź. Pójdziemy brzegiem. Szybciej będzie po kamieniach niż przez krzaki. Za dwadzieścia minut będziemy z powrotem.

– Dobrze.

I już szła szybko na swoich mocnych nogach; Quoyłe potykał się, próbując ją dogonić.



Quoyłe szedł wzdłuż brzegu, machając koszykiem. Mijał wyrzucone na brzeg wodorosty: pęcherzaki, płatacze, rozki, palce nieboszczyka, zielone kiełbaski, koralowce, tysiące zgniecionych szczeciniastych kepek mszywiaków, długie, brązowe strzępy morszczyków – czerniejący sznur ułożony w pętlę przez zesłotygodniową burzę.

Wavey posuwała się sprężystym krokiem, kopiąc kępy wodorostów. Quoyłe stawiał stopy ostrożnie, pobrzękując butelkami piwa w koszyku.

– Spójrz – pokazał. U wejścia do zatoki widać było górę lodową z podwójną wieżą. – Przechyła się.

Wavey wspięła się na głaz, złożyła dłonie i przyłożyła je do oczu, udając, że patrzy przez lornetkę. Lodowa góra pochyliła się, jakby chciała się przyjrzeć swojemu odbiciu w wodzie; pochyliła się coraz bardziej, aż jej południowa wieża znalazła się pod takim kątem, pod jakim piszący trzyma ołówek. Północna wieża wznosiła się nad nią niczym kochanek. Obie złączyły się bezgłośnie i runęły w fale, wznosząc fontannę wody.

Quoyłe stał pod kamieniem. Nagle zacisnął dłonie wokół jej kostek. Czują ich żar przez brązowe pończochy, lecz się nie poruszyła. Więzień na skale. Spojrzała w dół. Quoyłe przycisnął twarz do jej nóg. Poprzez potargane, rudawe włosy widziała białą skórę jego głowy. Palce zaciśnięte mocno wokół jej kostek zakrywały prawie całe buty poza zadartymi czubkami; skóra ozdobiona wytłaczanymi zawijasami przypominającymi wiktoriańskie wąsy, jego mocne nadgarstki, a za nimi rękawy swetra, wplątany w wełnę kawałek potłuczonej muszli, na rękawie psi włos. Nie poruszyła się. Ogarnęło ją uczucie, że istnieje kurtyna, dłoń przyłożona do sznura, który może ją odsłonić. Quoyłe wdychał zapach bawełnianych pończoch, słonawy, podobny do zapachu morskich wodorostów zapach kobiety, który wyzwał w nim zuchwałość. Uścisk jego palców zelżał, cofnął dłonie. Poczwała jego nieobecność. Jego nieugięte spojrzenie.

– Zejdź. Zejdź na dół. – Wyciągnął ramiona.

Nie miała wątpliwości, o co mu chodzi. Oddychała z trudem jak sparaliżowana. Ruch nie dłuższy niż trzepot skrzydeł i już napierał na nią całym ciałem, podciągając jej ubranie, zrywając brązowe pończochy, przyciskając ją do kamienia. Muchy pełzały po nagiej skórze. Wszedł w nią, wciskając swoją ogromną brodę w bok jej szyi. Potem milcząca zgoda, obrzmiałe bólem wspólne poczucie winy, zdrady.

Wybuchnęła:

– Czy wiesz, jak zginął? Mój mąż. Herold Prowse. Opowiem ci. On jest w morzu. Na dnie. Zawsze gdy idę brzegiem morza, myślę sobie: „Tam jest Herold”. Pewnie stary Billy opowiedział ci o tym, co?

Osunęła się wzdłuż skały, bezpieczna teraz, chroniona murem smutku. Quoyłe pozostał na swoim miejscu, patrzył na nią z rękoma zwieszonymi luźno. Trysnęły słowa.

– Herold był robotnikiem na platformie „Sevenseas Hector”. To była jego pierwsza przyzwoita posada. Wspaniałe zarobki, stała praca. Wszystko układało się dobrze. Największa, najbezpieczniejsza w świecie platforma. Trzy tygodnie pracy, trzy wolnego. Był na niej, kiedy się przewróciła. Telefon. Wcześniej rano. Dwudziestego dziewiątego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Wstałam już i zdążyłam się ubrać, ale

położyłam się jeszcze, ponieważ nie czułam się dobrze. Byłam w ciąży z Herrym. Kobięcy głos powiedział: „Och, pani Prowse. Musimy panią poinformować, że otrzymaliśmy raport, iż «Sevenseas Hector» przewróciła się w czasie sztormu, a pracowników uznano za zaginionych”. Przewróciła się, tak powiedziała. Początkowo twierdzili, że przyczyną był sztorm. Ale kilkanaście mil dalej były też inne platformy i one nie utonęły. „Sevenseas Ajax” i „Deep Blue 12”. Tamte nie miały żadnych kłopotów. Takie sztormy jak tamten zdarzają się każdej zimy. To nie był sztorm stulecia, który przychodzi raz na wiek. Dziewięćdziesięciu siedmiu ludzi zaginionych, nie odnaleźli ani jednego ciała. Widziano kilku w tonącej łodzi ratunkowej, ale przykryła ich fala i już nie wypłynęli. Prawda wyłaniała się powoli. Jak koszmar, który dręczy cię coraz bardziej i nie możesz się obudzić. Jeśli chodzi o tego typu sprzęt, nie istniały żadne oficjalne przepisy bezpieczeństwa. Platforma była źle zaprojektowana. Nikt też nie wiedział, kto tam dowodzi. Robotnik czy brygadzysta? Większość z zatrudnionych na platformie nie miała pojęcia o morzu. Geologowie, cementownicy, dźwigowi, błotniarze, wiertacze, spawacze i ślusarze, wszyscy interesowali się tylko ropą, nie zwracali najmniejszej uwagi na morze ani na pogodę. Nie rozumieli nawet prognoz pogody. Nie wiedzieli nawet tego, że kiedy zaczął się sztorm, trzeba zamknąć osłony przeciwburzowe. Szkło iluminatora burtowego w pomieszczeniu balastowym było słabe. Jeśli woda przedostała się do tablicy rozdzielczej, następowało zwarcie. Fala zbiła okno iluminatora burtowego i woda zalała tablicę. Nie byli odpowiednio wyszkoleni. Nie mieli żadnych instrukcji. Tak więc, kiedy wysiadła tablica, próbowali przesunąć balast ręcznie, takie mosiężne sztabki, ale zrobili to źle i platforma się przechyliła. Tak jak góra lodowa. Przewróciła się. Łodzie ratunkowe na nic się nie przydały, mało kto zdążył do nich dotrzeć, ponieważ system nagłaśniający przestał działać, kiedy wysiadła tablica. Prawnik powiedział, że przypominało to przewracające się kostki domina.

Nie chciałam urazić twoich uczuć, ale tak to jest. Myślałam o tym, patrząc na tamtą górę lodową, która się przewróciła. Myślę o tym zawsze, kiedy stanę nad wodą, patrzę wzdłuż brzegu pełna strachu, ale i nadziei, że zobaczę ciało Herolda oplecione wodorostami. Chociaż to już tyle lat.

Quoyłe słuchał. Może powinien zabrać ją na prerie? A co z Petal, która znajdowała się tuż pod powierzchnią jego skóry niczym szczepionka przeciwko miłości? Jaki sens miało dotykanie suchej dłoni Wavey?

Poszli ścieżką w górę, potem przez nieużytki. Spojrzeli w kierunku nie większej od kropki chustki ciotki, skaczących dzieci podobnych do pcheł.

Quoyłe tuż za nią. Nawet nie patrząc na niego, wiedziała, gdzie jest.

Ciepło, ciemne niebo, cisza przerywana tylko krzykami dzieci. I wtedy, nagle, tak jak niespodziewanie ustępuje ból głowy, coś puściło, zzerający ją od dawna smutek zelżał. Odwróciła się. Quoyłe był tuż obok. Zaczęła coś mówić. Jej piegowata, szorstka skóra zaczerwieniła się. Upadła, a może to on pociągnął ją w dół. Toczyli się po poduszkach jagodowych krzewów, przywierając do siebie, rozgrzane ramiona i nogi, jagody i liście, usta, łzy i głupie słowa.

Kiedy jednak morze poniżej westchnęło, usłyszała je, pomyślała o smukłych kościach Herolda uwikłanych w zgubioną sieć. Odepchnęła Quoyłe'a. Wstała i zaczęła biec w kierunku ciotki, dziewczynek i biednego, pozbawionego ojca Herry'ego; kosz zjedzeniem obijał jej się o nogi. Jeśli Quoyłe czegokolwiek od niej oczekuje, musi iść za nią.



Wavey pobiegła, by uciec, później biegła po to, by biec, w końcu biegła dlatego, że nie mogła już nic innego zrobić. Gdyby zmieniła krok, wyglądałaby na niezdecydowaną, jakby

nie wiedziała, czego chce. Wydawało jej się, że wciąż musi odgrywać pozbawione znaczenia przedstawienia.

Quoyłe leżał we wrzosach i patrzył za nią, obserwując, jak rozmywają się plisy oddalającej się niebieskiej spódnicy. Ciotka, dzieci, Wavey. Przycisnął krocze do ziemi, jakby tworzył z nią jedno. Jego rozbudzone zmysły nadawały widocznej w oddali scenie ogromną wagę. Malutkie postacie na tle skał, a za nimi morze. Opadła płatanina drutów życia, tak że mógł ujrzeć jego szkielet. Jedynie skały i morze, a na ich tle pojawiające się na chwilę malutkie postacie ludzkich istot i zwierząt.

Ostrze jego spojrzenia przebiło przeszłość. Ujrzał pokolenia niczym stada wędrujących ptaków, zatokę lśniąca od zgubionych sieci, wyludnione osady znowu tętniące życiem, w głębi sieci migocące łuskami ryb. Ujrzał Quoyłe'ów, których nieubłagany upływ czasu oczyścił ze zła. Wyobraził sobie, że ciotka zmarła, została pochowana, on jest już stary, Wavey zgarbiona pod ciężarem wieku, jego córki prowadzące swoje odległe życie, Herry wciąż zachwycony drewnianymi psami i kolorowymi nitkami, posiwiały Herry, który będzie spał w północnym pokoju na górze albo w małym pokoiku pod schodami.

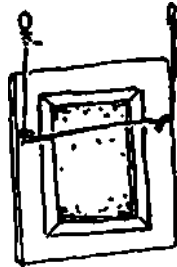
Przepełniło go uczucie odnowionej czystości, uczucie przypadkowości zdarzeń na kołyszających się szalach losu.

Wydawało mu się, że wszystko, dosłownie wszystko zawiera w sobie zapowiedź tego, co ma nadejść.

## Ropa

Jeśli zdarzają się drgania dochodzące z zewnątrz, które powodują przechylenie się obrazów na ścianie, to zawieś je na pojedynczym drucie przewleczonym przez oba oczka wkrętów i przymocuj drut mocno do haczyków obrazu.

*Księga węzłów Ashleya*



Po zatoce pełzały baranki jak robaki toczące rozległą ranę. Pochmurny poranek. Quoyłe zeskoczył ze schodów. Zdecydował, że pojedzie samochodem. Ale najpierw na przystań, spojrzeć na morze. Łódź napierała na ochraniacze z opon. Fale zalewające brzeg wyglądały groźnie, niosły ze sobą aurę rozkapryszonej wściekłości. Spojrzał na zegarek. Jeśli się pospieszy, to zdąży wypić filiżankę herbaty i zjeść kilka tostów w Bawk's Nest. A potem zajrzy do archiwum morskiego w Misky Bay, żeby skończyć tekst o ropie. Sprawdzi statki w porcie. Miał przypląć jakiś szkuner z Zachodniego Wybrzeża.

Siedząc przy ladzie, maczał tosta w herbacie. Za każdym razem w czeluści jego żołądka znikał wielki kawałek.

– Quoyłe! Quoyłe, chodź tutaj.

Billy Pretty i Tert Card siedzieli we wnęce z tyłu sali. Talerze i filiżanki porozstawiane na blacie stołu z przezroczystego plastyku. Spodek Terta Carda pełen sterczących petów.

– No, no. Patrzcie, kogo tu przywiało – powiedział zirytowany Card. Cierpiał z powodu pleśniawek, chociaż nosił talizmany z węzłów przeciwko podobnym przypadłościom. Pleśniawki pojawiły się z nadejściem zimy. Tuż po tym, jak niechcący ugryzł się w wewnętrzną stronę wargi, żując kawałek gotowanej wieprzowiny. Tego ranka odchylił wargę i spojrzął w lustro z obrzydzeniem na trzy rany obrzeżone białymi krawędziami, przypominające trzy zainfekowane nakłucia. Nałożył na nie grudę oczyszczonej sody. Przez kilka dni żadnych marynatów ani czarnej kawy. Teraz siedział nad filiżanką herbaty rozcieńczonej mlekiem.

Quoyłe zamówił jeszcze jednego tosta z podwójną marmoladą. Zastanawiał się, czy nie zamówić też smażonych ziemniaków.

– Wystarczy, że mamy Nutbeema i nie będziemy musieli chodzić do pracy. – Billy mieszał jajko z siekaną rybą.

– Jak już mówiłem, całą nadzieją tych okolic są złoża ropy – odezwał się Tert Card, dłubiąc w uchu paznokciem małego palca. – Kiedy odkryli złoża McGonigle w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, kupiłem akcje. Naprawdę. Kiedy zaczną wydobywać, popłynie złota fontanna. Petrodolary. O rany, kiedy zgarnę forszę, wynoszę się na Florydę.

– McGonigle? – spytał Quoye.

– Nie chce mi się wierzyć, że nie słyszałeś o czymś takim: odkryli rezerwy kanadyjskiej ropy niedaleko naszego wybrzeża, na wysokości Grand Banks. Miliardy, miliardy beczulek ropy. To jest właśnie złoża McGonigle. Wszyscy będziemy bogaci. Mnóstwo pracy, dywidendy dla udziałowców, produkcja, kredyty, budownictwo. Największy w kraju projekt inwestycyjny. Nadchodzi złota era!

W sąsiedniej wnęce siedział chudy mężczyzna z wąsami przypominającymi kod paskowy. Mężczyzna zerknął przez ramię na Carda. Quoye pomyślał, że może jest to jeden z kierowników z przetwórci ryb. Jadł owsiankę, a obok na talerzu czekała kiełbasa.

Billy Pretty prychnął.

– Jeśli gdzieś będzie praca i jakieś korzyści, to w St. John's. Ja dziękuję. Tylko patrz uważnie, a zobaczysz, że zanim zaczną tu pompować ropę, rozpracują do końca syntezę jądrową i będziemy mieli całą elektryczność ze zwykłej wody. Znowu się przejedziemy.

Quoye podał Billy'emu trójkątnego tosta posmarowanego grubą warstwą marmolady winogronowej. Pomyślał, jak kruchy wydaje się ten starszy człowiek w bezpośrednim sąsiedztwie zwałistego Terta Carda.

– Nie, chłopcze, oni nigdy nie rozpracują tej syntezy. Ropa. Nowa Fundlandia będzie najbogatszym miejscem na ziemi. Nowa era. Będziemy spać na pieniądzach.

Billy Pretty odwrócił się do Quoye'a.

– To, co tu słyszysz, to przykład naftowej histerii. – Znowu zwrócił się do Terta Carda: – Skończy się na tym, że całą śmietankę zbiorą międzynarodowe kompanie naftowe. Ile może skapnąć mniejszym portom? Złoto zgarną ludzie z zewnątrz. Teraz mamy narkotyki, przestępstwa i prostytutki kręcące piegowatymi tyłkami, a to dopiero początek. Rozboje, kradzieże i dewastacja.

– Szczerza prawda – odezwał się kierownik z przetwórci ryb; pochłonawszy owsiankę i kiełbasę, wypuszczał teraz dym z papierosa, okazując gotowość do rozmowy. – Popatrzcie tylko, jak spalili starą latarnię morską w Killick-Claw. Popatrzcie, jak porozbijali biura przedsiębiorstwa połowów.

– Do tego jeszcze – wtrącił Billy, odwracając się tak, by objąć wzrokiem także swojego sprzymierzeńca – alkoholizm i całkowity upadek moralności. Rozwody, okrucieństwo, porzucone dzieci wałęsające się po ulicach. I to zanieczyszczenie! Dno morza pełne jest drutów, beczek i innego żelastwa, które rozpruje każdą sieć. A co jeszcze? Okropne plamy ropy zabiją ostatnie dorsze, jakie jeszcze zostały, całkowicie zrujniają rybołówstwo, zaleją brzegi czarnym, śmierdzącym szlamem, zniszczą łodzie i porty. Zbiornikowce z ropą i statki dostawcze zatkają szlaki żeglugowe. – Ręka mu się zatrzęsała i trochę herbaty rozlało się na spodek.

– Niech sobie mówi – zadrwił Tert Card, przyglądając się kulce czarnego wosku na paznokciu. – On już jest na odchodnym.

Billy Pretty spojrział na Quoye'a i mężczyznę z przetwórci, otworzył usta, by mówić dalej. Siedzący obok Tert Card zakołysał się, jakby naśladował grę na skrzypcach.

– Poproszę smażone ziemniaki z kiełbasą – powiedział Quoye do kelnerki.

Billy z sykiem wciągnął powietrze.

– Jestem świadkiem, jak z milionów ton gromadnika i dorsza pozostało zaledwie kilka wiader. Od dawna obserwuję, jak sezonowe, przybrzeżne połowy małymi łodziami musiały

ustąpić miejsca trawlerom i statkom-przetwórnim łowiącym przez cały rok na pełnym morzu. Ryb nie ma, lasy wyrąbane. Kompletna ruina! Nic dziwnego, że pojawiły się tutaj duchy. To zmarli wypruci z ziemi przez buldożery!

Mężczyzna z przetwórnii dodał swoje:

– Kiedyś mówili: „Człowiek da sobie radę w życiu, jeśli ma świnię, płaskodenną łódź i zagon ziemniaków”. A co teraz? Każdy pilnuje swego.

– Zgadza się – powiedział Billy. – Wszyscy gonią tylko za pieniędzem i kupują plastikowe motorówki, śniegołazy i pieski do zabawy, które przywożą z ładu. Wysiadują po barach, mordują i kradną. Zdzierają z ciebie ubranie i udają wariatów. Kiedyś wiedliśmy szczęśliwe życie. Pełne radości. Radosne życie. Ty, Tercie Card, nie wiesz, o czym mówię, ty z tym swoim obsesyjnym pragnieniem wyjazdu na Florydę. Ach, niepotrzebnie tracę czas. – Przechylił czajniczek nad swoją filiżanką, lecz nie było w nim już herbaty.

Tert Card czekał tylko na dogodną okazję. Teraz mówił do wszystkich, łącznie ze spoconą kelnerką i kucharzem, który wystawił głowę przez okienko.

– Panie Pretty, gdybyśmy mieli twoje dawne czasy, tobyś już nie żył. Zapomniałeś o swojej grypie kilka zim temu, leczyłeś ją w szpitalu. Pamiętam, leżałeś w łóżku szary jak zdechły dorsz; pomyślałem sobie wtedy: „No tak, już po nim”. Ale dali ci antybiotyki, tlen i wszystko, co potrzebne, i żyjesz sobie dalej, gryząc rękę, która cię uratowała. Nikt, nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby powrotu tamtych ciężkich czasów. Wtedy ludzie byli dla siebie mili tylko dlatego, że życie było na tyle parszywe, że nie mogli sobie pozwolić na wrogów. Oznaczało to, że wszyscy płyniemy albo wszyscy idziemy na dno. W takiej sytuacji ludzie potrafią być dla siebie dobrzy. – Wciągnął z sykiem powietrze.

– A ja mówię: odpuśćmy sobie rybołówstwo – zawołał z kuchni kucharz. – Dajmy wolną rękę nafciarzom. Gorzej nie mogą zrobić, a może być lepiej. – Roześmiał się, by pokazać, że miał to być żart. Tak na wszelki wypadek.

– Lepiej nie mów tego przy niektórych swoich klientach, jeśli nie chcesz, żeby zrobili z ciebie klej do tapet. – Mężczyzna z przetwórnii wstał i poszedł po wykałaczkę.

– Ale ja mam gość to powiedzieć każdemu! – ryknął Tert Card. Ropa ma siłę, a ryba nic nie znaczy. Nie ma co porównywać. Cały świat potrzebuje ropy. W niej tkwi wielka forsa. Za dużo ludzi łowi ryby, a za mało jest ryb. W tym tkwi problem. A teraz chodźmy do redakcji i złożymy tę cholerną gazetę. Quoye, masz swój kawałek o statku? – Wciąż krzyczał. Poirytowany na całego.

– Wal – zachęcił go Billy, który czytał już artykuł. Przez cały tydzień słuchał, jak Quoye prowadził rozmowy telefoniczne na temat ropy, widział go wracającego z Cape Despond, gdzie kolejny wyciek zanieczyścił wybrzeże, oglądał jego notatki poplamione ropą, gdyż chodził razem z ratownikami ptaków. – Przeczytaj mu swój artykuł, a potem zobaczymy, jak Tert Card, Naftowy Król, dostaje apopleksji z wściekłości. Można by pomyśleć, że jest właścicielem wielomilionowych udziałów w przemyśle naftowym. A on ma dwie akcje Mobilu. Dwie! – Wysunął głowę do góry jak żmija.

– Mam go na biurku – powiedział Quoye.

– Nie zapomnę ci tego, Billy Pretty – rzucił Card. Na jego twarzy płonęły rumieńce wielkości tacek pod karafkę.



Krótką przejażdżką do Flour Sack Cove, kawa chlupiąca z kubków na deski rozdzielcze, kierownice obsypane lukrem z pączków. Dziesięć minut później Quoye wręczył Cardowi artykuł do swojej kolumny, nic nie powiedział, patrzył, jak oczy Carda przebiegają kolejne wiersze. „Personel oczekuje na apopleksję”.

## NIKT NIE WIESZA OBRAZKÓW Z TANKOWCAMI

„W Bibliotece Publicznej w Killick-Claw wisi na ścianie fotografia z 1904 roku. Przedstawia osiem szkunerów, które wyruszają z Omaloor Bay na łowiska. Ich postawione żagle przypominają białe skrzydła. Są nieprawdopodobnie piękne. Potrzeba było ogromnych umiejętności i wiedzy, żeby nimi pływać.

Dzisiaj natomiast najbardziej powszechnym widokiem, jaki można ujrzeć na morskim horyzoncie, jest niska, czarna sylwetka tankowca. Ropa, surowa czy przetworzona, jest bez wątpienia towarem numer jeden w handlu międzynarodowym.

Innym powszechnym widokiem jest czarny oleisty muł zalegający całe mile wybrzeży, taki jak ten, który pokrył w tym tygodniu brzegi Cape Despond. Setki ludzi obserwowały w poniedziałkowy ranek, jak czternaście tysięcy ton ropy wylało się na brzeg z uszkodzonego zbiornika «Golden Goose». Ropa uwięziła tysiące ptaków i miliony ryb, zanieczyściła sieci i łodzie rybackie. «To jest koniec tego miejsca» – powiedział Jack Eye, osiemdziesięciosiedmioletni mieszkaniec Little Despond, który w młodości był rybakiem we flocie szkunerów.

Nasz świat opiera się na ropie. Ponad trzy tysiące tankowców grasuje po morzach całego świata. Wśród nich znajdują się największe pływające jednostki, jakie kiedykolwiek zbudowano: ogromne transportowce naftowe, zwane OTN-ami, których długość dochodzi do czterystu metrów, a nośność sięga dwustu tysięcy ton. Wiele z nich ma pojedynczy kadłub. Niektóre są stare i przerdzewiałe, mają słabą konstrukcję. Jedno jest pewne. Można się spodziewać kolejnych plam na morzu, a niektóre z nich spowodują prawdziwe katastrofy.

Nikt nie wieza na ścianie obrazka z tankowcem”.

Tert Card przeczytał artykuł, położył arkusz na rogu swojego biurka i spojrział na Quoye'a.

– Ty też – powiedział. – Ty, kurwa, też.



Tego wieczoru, kiedy wszyscy wyszli z redakcji, Card stanął w oknie, przemawiając do nieobecnego Quoye'a.

– Zatrzymaj dla siebie swój cholerny amerykański komunistyczny zielony liberalizm. Kim ty, do cholery, jesteś, żeby tak gadać? Och, tak, cholernie ważna kolumna pana Quoye'a! To wbrew wszystkim wysiłkom na rzecz rozwoju i ekonomicznego postępu.

Przepisał cały artykuł, złożył, wyszedł i się upił. Żeby zabić ból pleśniawek. Skąd oni mogli wiedzieć, że pochłaniał kolejne kieliszki, żeby pojąć surowe, ukryte piękno?



Dzień lub dwa później Tert Card przyniósł oprawiony obrazek z kalendarza ściennego wydanego przez towarzystwo żeglugowe. Powiesił go za swoim biurkiem. Ogromny „Quiet Eye” wpływał do Placentia Bay o zachodzie słońca. „Największy tankowiec na świecie”. Obrazek przekrzywił się, kiedy tylko trzasnęły drzwi.

Quoye'owi wydawało się to zabawne aż do południa, kiedy Card wrócił z drukami z paczką pachnących jeszcze farbą egzemplarzy „Pleciuchy”. Wziął jeden, odwrócił stronę, żeby zobaczyć, jak wyszła jego „Kronika portowa”. Została skrócona, tak że stanowiła właściwie podpis do zdjęcia tej samej strony z kalendarza, która wisiała nad biurkiem Terta Carda.



## OBRAZEK TANKOWCA

„Ponad trzy tysiące tankowców pływa dumnie po morzach całego świata. Te olbrzymy, nawet największe z nich, korzystają z gościnności portów i rafinerii Nowej Fundlandii. Ropa naftowa i Nowa Fundlandia to coś tak nierozłącznego jak jajka i boczek i podobnie jak jajka i boczek będą nas żywiły w najbliższej przyszłości.

Wieszajmy więc na ścianach obrazki z tankowcami”.

Quoyle poczuł, że krew odpływa mu z głowy; pociemniało mu przed oczyma.

– Coś ty zrobił! – krzyknął do Terta Carda. Jego głos ciał powietrze jak siekiera.

– Sprostowałem tylko, to wszystko. Nie chcemy wysłuchiwać tego greenpeace’owego gówna. – Tert Card zarżał radośnie. Czuł się wspaniale. Jego podła twarz promieniowała.

– Wyciąłeś samą esencję! Zrobiłeś z tego kawałek obrzydliwej propagandy przemysłu naftowego. Zrobiłeś ze mnie agitatora na rzecz tankowców. – Przycisnął Carda do kąta pokoju.

– Mówiłem ci – odezwał się Nutbeem. – Mówiłem ci, Quoyle, żebyś uważał, on może ci wszystko spartaczyć.

Quoyle był wściekły, przypominał studnię gniewu, strumień ropy, który – ukryty pod nieszkodliwym piaskiem – miał w każdej chwili wybuchnąć.

– To jest moja kolumna! – ryknął Quoyle. – Na miłość boską, nie możesz zmieniać czyjejs kolumny tylko dlatego, że ci się nie podoba! Jack powierzył mi kolumnę o statkach i żegludze handlowej. A to znaczy, że mogę wyrażać w niej swoje opinie i opisywać rzeczy tak, jak ja je widzę. To – potrząsnął gazetą tuż przy płaskich policzkach Terta Carda – to nie jest mój artykuł, to nie jest moja opinia, to nie jest mój punkt widzenia.

– Dopóki jestem tutaj redaktorem naczelnym – powiedział Tert Card, grzechocząc jak kamyki w puszcze – mam prawo zmieniać wszystko, co moim zdaniem nie powinno się znaleźć w gazecie. Jeśli się z tym nie zgadzasz, to zasięgnij rady u Jacka Buggita. – Schylił się i przemknął pod uniesionymi ramionami Quoyle’a. Pobiegł do drzwi. – Niech wam się nie wydaje, że nie wiem, że wszyscy jesteście przeciwko mnie. Gruba świeca, którą uosabiał Tert Card, poszła gdzie indziej ze swoim pryskającym światłem.



– Zdumiewasz mnie, Quoyle – powiedział Billy Pretty. – Nie wierzyłem, że masz aż tyle pary w kotłach. Dosłownie zdmuchnąłeś go z wody.

– Teraz wiesz, jak to jest – dodał Nutbeem. – Próbowałem ci to powiedzieć pierwszego dnia.

– Ale uważaj. Jutro znowu popłynie na równej stępcie. Tert Card potrafi się odgryźć, z niego jest kawał cholery.

– Sam jestem zdumiony – stwierdził Quoyle. – Zadzwoń do Jacka i wyjaśnij to. Albo piszę kolumnę, albo nie.

– Mała rada, Quoyle. Nie dzwoń do Jacka. On łowi, jak pewnie wiesz. Nie lubi też, żeby przywlekać do jego domu sprawy z „Pleciuchy”. Zostaw to i pozwól, że sam się tym zajmę dziś wieczorem albo jutro. Na Jacka najlepsza jest taktyka kraba.



– „Pleciucha”. Mówi Tert Card. Och, taa, Jack. – Tert Card przycisnął słuchawkę do swetra na piersi i spojrzał na Quoyłe’a. Nieprzyjazne poranne światło. – Chce z tobą mówić. – Ton jego głosu sugerował, że Jack powiedział coś w złym guście albo oszalał.

– Halo – odezwał się Quoyłe, przygotowany na obelgi.

– Quoyłe. Tutaj Jack Buggit. Pisz swoją kolumnę. Jak wdepniesz w jakieś gównno, to zawsze będziemy mogli powiedzieć, że zostałeś wychowany w Stanach. Tert będzie się trzymał z daleka. Daj mi go jeszcze.

Quoyłe podniósł słuchawkę i skinął na Carda. Słyszeli skrzeczenie Jacka. Tert Card odwracał się powoli plecami do pokoju, twarzą w stronę morza falującego za oknem. W miarę upływu minut zaczął przestępować z nogi na nogę, przysiadł na brzegu biurka, dłubał w uszach i nosie. Kołysał się, przekładał słuchawkę od jednego ucha do drugiego. Wreszcie głos w słuchawce zamilkł i Card odwiesił ją.

– W porządku – powiedział spokojnie, chociaż jego policzki płonęły. – Jack chce puszczać Quoyłe’a jak leci. Na razie przynajmniej. A więc tak będzie. Ale wpadł jeszcze na pomysł w związku z wypadkami samochodowymi. Wiecie, że zdarzają się takie tygodnie, kiedy nie mamy żadnych kraks, i wtedy trzeba sięgać do archiwum. Jack chce, żeby opisywać też rozbite statki. Twierdzi, że na zebraniu rybaków podali, iż w zeszłym roku wydarzyło się ponad trzysta niebezpiecznych wypadków na morzu. Quoyłe, on chce, żebyś prowadził też kronikę rozbitych statków, wiesz, zdjęcia, tak samo jak przy kraksach samochodowych. Jest ich tak dużo, że zawsze będziemy mieli jakąś nową katastrofę.

– Co do tego nie ma wątpliwości – stwierdził Quoyłe, patrząc na Terta Carda.

## Deadman

Deadman – „irlandzki proporzec”, luźno wiszące końce lin lub żagla.

*Słownik morski*

Koniec września, odpływ, księżyc w ostatniej kwadrze. Po raz pierwszy Quoyle został sam w zielonym domu. Ciotka wykorzystwała weekend i pojechała do St. John's po kreton i guziki. Bunny i Sunshine płakały tak długo, aż pozwolił im zostać u Dennisa i Beety na urodzinach Marty.

– Ona jest moją najlepszą przyjaciółką, tato. Szkoda, że nie jest moją siostrą – powiedziała dobitnie Bunny. – Proszę, proszę, proszę, pozwól nam zostać.

Potem w sklepie Flying Squid Gift & Lunchstop wybrała pierścionek z perłowej muszli na prezent dla Marty, który owinęła w poplamioną chusteczkę higieniczną.

W piątkowe popołudnie Quoyle popłynął swoją wyszydzaną łodzią z ogromną torbą jedzenia i dwoma sześciobutelkowymi kartonami piwa. Zabrał też wszystkie swoje notatki oraz maszynę do pisania. Do tego jeszcze stos książek zawierających dziewiętnastowieczne przepisy żeglugi handlowej wraz z przykładami ich łamania. W kuchni pochylił się, by umieścić piwo w chłodziarce pod zlewem, i uświadomił sobie, że zapomniał o łodzi. Planował, że go kupi, lecz chłodziarka była pusta, a pojemnik na lód wciąż w łodzi. Trudno. Wieczorem wypił piwo takie, jakie było, i zabrał się do pisania przy lampie gazowej.

W sobotę Quoyle chodził po prawie pustych pokojach; powietrze przesycone kurzem zdawało się falować, kiedy nadchodził. Do lunchu rąbał drewno. Potem piwo, dwie puszki sardynek i puszka fasoli. Po południu pracował przy kuchennym stole: pisał pierwszy szkic, wałąc w klawisze i przeklinając, kiedy palec uwiązał mu między nimi. Pisał o Samuelu Plimsollu i jego wynalazku.

### NA MIŁOŚĆ BOSKĄ, POMÓŻCIE MI

„Wszyscy widzieli linie Plimsolla albo znak «wolnej burty» na statku. Oznaczają one granicę bezpiecznego ładunku, jaki dany statek może przewieźć.

Znaki te pojawiły się w 1868 roku dzięki staraniom jednego człowieka, Samuela Plimsolla, członka parlamentu z Derby. Plimsoll walczył o bezpieczeństwo marynarzy w czasach, kiedy pozbawieni skrupułów właściciele statków celowo wysyłali na morze przeciążone stare statki. Niewielka książeczka Plimsolla *Nasi marynarze* opisywała statki tak obciążone węglem i żelazem, że fale przelewały się przez ich pokład. Ich właściciele dobrze wiedzieli, że statki zatoną, a ich załogi zginą. Pozwalali jednak na to ze względu na ubezpieczenie.

Przeciążenie stanowiło główną przyczynę tysięcy katastrof morskich każdego roku. Plimsoll błagał, by wprowadzono nakaz malowania na burcie linii granicy ładunku, zaklinał,

by pod żadnym pozorem nie wypuszczano statku w morze, jeśli nie ma na nim widocznej linii.

Zwracał się on bezpośrednio do swoich czytelników: «Czy wątpicie w moje słowa? W takim razie, na miłość boską, pomóżcie mi nakłonić Komisję Królewską, by zbadała sprawę!» Potężni właściciele przedsiębiorstw żeglugowych zwalczali go wszelkimi sposobami”.

Kiedy przerwał, znowu zbliżał się wieczór. Przyrządził dwa funty krewetek w oliwie z oliwek z czosnkiem i zjadł je, wysysając mięso ze skorup. W zapadającym zmierzchu zszedł do przystani z ostatnim piwem. Starając się nie zwracać uwagi na komary, obserwował zapalające się światła Killick-Claw. Mrugające latarnie morskie na cyplach.

W nocy znowu przyszła Stara Czarownica, osiodłała go i ujeżdżała. Znowu śnił, że jest na koszarnej autostradzie. Małeńka postać pod estakadą wyciągała ramiona w błagalnym geście. Petal, zakrwawione, porwane na strzępy ciało. On jednak jechał tak szybko, że nie mógł się zatrzymać. Hamulec nie działał. Zbudził się na kilka minut. Prawą stopę miał ściągniętą skurczem od naciskania na nie istniejący hamulec, kark zlany potem niepokojem. Wiatr wył w linach przytrzymujących dom. Ten odgłos budził poczucie beznadziejnego opuszczenia. Quoye nasunął śpiwór na głowę i ponownie zasnął. Zaczynał się już przyzwyczajać do koszmarów.

W niedzielne popołudnie artykuł o Plimsollu miał już właściwie napisany i poczuł potrzebę pójścia na spacer. Jeszcze nigdy nie doszedł do końca cypla. Kiedy zamykał za sobą drzwi, z klamki zsunął się kawałek sznurka z węzłami. Podniósł go i wsunął do kieszeni. A potem poszedł w dół brzegiem aż do końca lądu.

Wspinał się po głazach wielkich jak domy, ich ściany tworzyły wilgotne pokoje wyściełane wodorostami. Kamienie uwięziły zagubione sieci, zmieszane ze szczątkami muszli małży i wodorostów. Mewy zrywały się z rozlewisk. Skały były zaślane pustymi skorupami krabów, wilgotnymi jeszcze od rdzawego płynu, który wydzielały. Linia brzegu zwęziła się do samego klifu. Tą drogą nie mógł już iść dalej.

Zawrócił więc. Wspiął się ku wrzosom porastającym zbocze, które przypominały pokurczone peruki. Kamień poprzecinany był głębokimi żłobami. Poszedł ścieżkami karibu aż do granitowego jęzora, który był wysunięty w morze. Po prawej stronie miał błękitny krąg Omaloor Bay, po lewej stronie surowy brzeg ciągnący się daleko aż do Misky Bay. Przed nim otwarty Atlantyk.

Podeszwy butów dźwięczały na nagim kamieniu. Potknął się o wystające ze szczelin korzenie jałowca, dostrzegł żyły kwarcu, podobne do zastygłych błyskawic. Zbocze stanowiło płataninę żłobów i wzniesień, występów skalnych i małych płaskowyżów. Daleko przed sobą dostrzegł kamienny kopiec; zastanawiał się, kto go usypał.

Potrzebował pół godziny, by do niego dotrzeć. Obszedł go dookoła. Miał wysokość trzech mężczyzn i cały był pokryty porostami. Niewątpliwie powstał dawno temu. Może usypali go Beotukowie, wymarłe już plemię, wybite dla zabawy przez znudzonych wielorybników i niszczycieli dorsza. Może służył jako sygnał baskijskim rybakom albo czyhającym na ofiary Quoye'om, którzy fałszywymi sygnałami świetlnymi zwabiali statki na skały. Wciąż kierował się ku huczącemu morzu.

Wreszcie dotarł do końca świata. Dzikie miejsce, zawieszona na krawędzi otchłani. Żadnych śladów człowieka, nic, żadnego statku, żadnego samolotu, zwierzęcia czy ptaka, żadnych podskakujących na wodzie wężycerzy czy boi. Jakby został sam na planecie. Przystwór nieba siał na niego grom, tak że instynktownie uniósł ramiona w obronnym geście. Półprzezroczyste, trzydziestostopowe grzywacze koloru butelki rozbijały się o skałę, bełtały i tak już spienioną kipiel jakby pełną mleka zmieszanego ze śmietanką. Nawet na wysokości setek stóp nad morzem słona mgiełka kłuła w oczy i oblepiała kropelkami jego twarz i kurtkę.

W odgłosach fal pobrzmiwały dudniące basowe dźwięki charakterystyczne dla grot i mysich dziur.

Zaczął schodzić skalistą pochyłością. Była mokra i śliska. Posuwał się ostrożnie. Podniecony żywiołem zastanawiał się, jak musi tu wyglądać w czasie sztormu. Nieustanne wznoszenie się i opadanie wody nacierającej na ląd, w czasie odpływu i przyływu, jakby w środku świata było ogromne serce, tyle że tylko dwa razy dziennie.

Te wody, myślał Quoye, pełne zatopionych statków, rybaków, badaczy wciągniętych w morskie głębie, czarne jak gardziel psa. Wrzeszczących w słoną kipieli. Wikingowie mknący z huczącym wiatrem, sterujący we mgle za pomocą polaryzowanego światła skaleni. Eskimosi w skórzanej łodzi, oddechy, oddechy, rytmiczne ssanie lodowatego powietrza, oblodzone wiosła zanurzające się w wodzie, zamarzająca mgiełka, lśniący tył łodzi unosi się, rozpycha, rozdarła łódź mknąca do wnętrza wiru. Tysiącletnie góry lodowe, okruchy lodowców, przerażające, pogrążone w ciszy, przerywanej tylko odgłosem fal rozbijających się o ich ściany, złudne wrażenie bliskości brzegu, gdy tymczasem nie ma żadnego brzegu. Rogi przeciwmgłowe, stłumione odgłosy strzałów. Lód spajający ląd z morzem. Zmarznięty dym. Chmury upstrzone odbiciami wodnych oczek w lodowych równinach. Gładka, oślepiająca tafla lodu, zadająca kłam wszelkim wymiarom, odległościom, mamiąca zmysły mirażami. Wyjątkowe miejsce.

Schodząc, Quoye pośliznął się na zdradliwym wodorocie i przywarł do skały. Dotarł do występu, na którym mógł stanąć bezpiecznie i wychylić się, by zerknąć w dół na morską kipieli. Dalej już nie mógł pójść.

Ujrzał oblane wodą groty, przypominające plaster miodu, skałę w kształcie ogromnego psa i ludzkie ciało w żółtym stroju z głową pod powierzchnią wody, jakby podziwiało morskie dno. Z nogami i ramionami rozpostartymi na podobieństwo rozgwiazdy zwłoki zanurzały się i wylaniały z małej groty, niczym zabawka na sznurku pociąganej przez morze. „Dziennikarz prasowy zdaje się działać na zmarłych jak magnes”.

Żeby dotrzeć do ciała, musiałby skoczyć w kipieli. Gdyby zabrał ze sobą linę i bosak... Zaczął się wspinać z powrotem w górę klifu. Przyszło mu do głowy, że mężczyzna mógł spaść z miejsca, w którym on teraz się znajduje. Nie, chyba jednak wypadł z łodzi. Trzeba kogoś zawiadomić.

Kiedy dotarł na szczyt, ruszył biegiem. Czuł kłucie w boku. Trzeba komuś powiedzieć o topielcu. Będzie potrzebował przynajmniej godziny, żeby objechać zatokę i dotrzeć do posterunku policji konnej. Łodzią będzie szybciej. Wiejący z tyłu wiatr zarzucił mu włosy na czoło, tak że ich końce chłostały go po oczach. Początkowo czuł chłód na plecach, lecz w miarę jak biegł, rozgrzewał się coraz bardziej, musiał nawet rozpiąć kurtkę. Jeszcze daleko do przystani.

Naglony koniecznością działania – wciąż miał przed oczami to ciało w żółtym stroju na przemian zanurzające się i wypływające – odcumował łódź i ruszył wprost na drugi brzeg zatoki do Killick-Claw. Jakby istniała jakaś szansa uratowania tamtego człowieka. Po dziesięciu minutach, kiedy zostawił za sobą brzeg zawietrzny i wypłynął na wiatr, już wiedział, że popełnił błąd. Nigdy nie płynął tą łodzią w taką pogodę. Martwe fale napływały z boku, od strony ujścia zatoki. Ich grzbiety jak okrutne uśmiechy. Łódź kołysała się, wznosiła i z przerażającą szybkością opadała w doliny fal. Instynktownie zmienił kurs, tak by fale uderzały w dziób pod kątem. Jednak teraz zmierzał w kierunku cypla znajdującego się na północny wschód od Killick-Claw. Żeby dopłynąć do portu, będzie musiał zawrócić na wschód i płynąć na południowy wschód. Pozbawiony jakiegokolwiek doświadczenia Quoye nie wiedział, jak płynąć zygakiem przez zatokę: długi hals z wiatrem i falą na dziób, a potem krótki z wiatrem w plecy. Gdzieś w połowie drogi wykonał nagły zwrot w kierunku Killick-Claw, wystawiając swoją niską i szeroką rufę na martwe fale.

Rozkołysana łódź unosiła się i wtedy spod siedzenia wysunął się kawałek linki. Na jednym końcu miała węzeł, drugi był postrzępiony, jakby stary węzeł został rozwiązany. Po raz pierwszy dotarło to do Quoyle'a – linki z węzłami mają swoje znaczenie.

Łódź zakołysała się i skoczyła do przodu, wbijając się dziobem w ryczącą wodę, podczas gdy silnik wściekle wył. Quoyle był przerażony. Zgubił ster i łódź zboczyła z kursu. Jego podróż trwała jeszcze tylko kilka minut. Motorówka uderzyła w falę niczym siekiera, wyrzucając rufę w górę. Natychmiast porwała ją fala i rzuciła ku następny. Łódź obróciła się bokiem do fal i przewróciła do góry nogami. Quoyle znalazł się pod wodą.

W ciągu piętnastu mrozących krew w żyłach sekund nauczył się pływać na tyle skutecznie, by dotrzeć do wywróconej łodzi i chwycić się wału nieruchomej śruby. Ciężarem ciała zdołał przyciągnąć nieco w dół rufę łodzi, unosząc tym samym jej dziób na tyle, że złapała napływającą falę, która skręciła łódź, odwróciła ją i wypełniła wodą. Quoyle, znowu pod powierzchnią półprzezroczystej wody, dostrzegł pod sobą jasną łódź, tonęła. W miarę jak opadała coraz głębiej, dobrze znane mu szczegóły stawały się coraz mniej widoczne. Wynurzył się na powierzchnię, chwytając łapczywie powietrze, częściowo oślepiony czymś ciepłym, zalewającym mu oczy. Zobaczył kropelki wody zabarwionej krwią.

Głupiec, pomyślał, co za głupiec, żeby utonąć, kiedy dzieci jeszcze takie małe. Żadnych kamizelek ratunkowych, żadnych wiosel, za grosz rozumu. Unosił się na grzbietach fal, podtrzymywany masą swego tłuszczu i powietrzem w płucach. Unosił się jak boja na zimnych falach w odległości półtora mili od każdego z brzegów. Dostrzegł przez sobą krótką linkę z węzłami, a jakieś dwadzieścia stóp dalej czerwone pudełko – plastikowy pojemnik do lodu, o którym zupełnie zapomniał. Młóćąc rękoma, popłynął do pojemnika poprzez flotyllę zapalek, które pewnie wypadły do łodzi z torby z zakupami. Przypomniał sobie, kiedy je kupował. Pomyślał, że któregoś dnia zostaną wyrzucone na brzeg – malutkie patyczki z wypłukanymi główkami. Gdzie on wtedy będzie?

Chwycił za rączki pojemnika i położył się na jego pokrywie. Krew sączyła mu się z czoła albo z włosów, lecz nie miał odwagi puścić pudełka, żeby pomacać ranę. Nie pamiętał, kiedy mógł ją odnieść. Pewnie w chwili, kiedy łódź się przewracała.

Fale wydawały mu się wielkie jak góry, lecz unosił się i opadał z nimi jak malutki wiórek, wypatrywał zielonych stoków, po których spadał, i wznoszących się podstępnych grzbietów wciskających mu do nosa słoną wodę.

Kiedy zobaczył martwego mężczyznę, odpływ się prawie kończył. Dwie godziny temu? Teraz pewnie zaczyna się przyływ. Stracił zegarek. Ale chyba była jakaś przerwa między niską wodą pływów a przesileniem, może chociaż godzina. Niewiele wiedział o prądach w zatoce. Księżyc w ostatniej kwadrze oznaczał mniejszy pływ kwadrowy. Billy mówił, że wody zachodniego wybrzeża są niebezpieczne – płycizny, rafy i podwodne skały. Bał się, że wiatr zniesie go pięć mil w górę do cieśniny, a potem na otwarte morze i popłynie do Irlandii na pojemniku do lodu. Gdyby był bliżej zachodniego zawietrznego brzegu, gdzie woda jest spokojniejsza, mógłby dotrzeć do skały, młóćąc nogami.

Minęło wiele czasu, wydawało mu się, że płynie tak już wiele godzin. Nie czuł nóg. W momentach, kiedy wznosił się na grzbietach fal, próbował rozpoznać, gdzie się znajduje. Wydawało mu się, że zachodni brzeg jest teraz bliżej, lecz – pomimo wiatru i wzbierającego pływów – przybliżał się do krańca cypla.

Później ze zdumieniem stwierdził, że przez moment dostrzegł kopiec, obok którego spacerował. Pewnie jakiś prąd pływowy znosił go wzdłuż brzegu, w kierunku krańca lądu, w stronę grot i martwego mężczyzny. Byłoby to ironiczne podsumowanie, gdyby skończył, wynurzając się i zanurzając w jednej z wodnych pieczar jako towarzysz mężczyzny w żółtym stroju.

– Nie, dopóki mam to gorące pudełko – rzekł głośno, gdyż coraz bardziej wydawało mu się, że czerwony pojemnik wypełniał się rozżarzoną węglą. Kiedy unióś brodę z pokrywy

pojemnika, zaczął szczerkać zębami i nie mógł tego opanować, lecz gdy ponownie oparł podbródek na pudełku, szczerkanie ustało. Tylko ciepło mogło to sprawić.

Ze zdziwieniem stwierdził też, że prawie zapadł zmierzch. W pewnym sensie był zadowolony, gdyż oznaczało to, że niedługo pójdzie spać. Czuł się zupełnie wyczerpany. Z rozkoszą zanurzył się w miękkim pościeliu wznoszących się i opadających grzywaczy. Do takiego doszedł wniosku. Nie wiedział, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał, przecież ubrany na żółto mężczyzna wcale nie umarł. On tylko śpi. Odpoczywa. I zaraz Quoyale pomyślał, że i on przewróci się na bok i zaśnie. Jak tylko wyłączą światła. Lecz nieustępliwe światło świeciło prosto w jego opuchnięte oczy, a Jack Buggit próbował oderwać go od gorącego pudełka i położyć na stosie zimnych ryb.

– Jezusie najstodzy! Wiedziałem, że tutaj ktoś jest. Czułem to. – Przykrył Quoyale'a nieprzemakalnym brezentem. – Mówiłem ci, że przez to cholerstwo utopisz się kiedyś. Jak długo jesteś w wodzie? Chyba niedługo, nie przeżyłbyś.

Quoyale jednak nie odpowiadał. Trząsł się tak bardzo, że obcasy jego butów bębniły o rybie grzbiety. Próbował powiedzieć Jackowi, żeby dał mu gorące pudełko, by znowu mógł się ogrzać, lecz nie potrafił poruszyć szczękami.



Na przemian popychany i wleczony przez Jacka, znalazł się w czystej kuchni pani Buggit.

– Mam tu Quoyale'a, którego wyłowilem z cholernego morza – powiedział.

– Gdybyś wiedział, ilu Jack już uratował – powiedziała. – Ilu uratował. – Tylko nie tego jednego. Rozebrała Quoyale'a, położyła termofory na jego udach i owinęła go kocem. Zaparzyła kubek gorącej herbaty i z wyraźną wprawą wlewała mu ją do ust przez zaciśnięte zęby. Jack mruknął, że może przydałaby się odrobina rumu.

W ciągu dwudziestu minut szczęki Quoyale'a rozluźniły się, a umysł zaczął pracować na tyle sprawnie, że wydusił z siebie urywaną opowieść o zatopionej łodzi i o złudzeniu gorącego pudełka. Odzyskał świadomość na tyle, że mógł się przyjrzeć szczegółom wnętrza domostwa Buggitów. Jeszcze filiżanka herbaty z cukrem i skondensowanym mlekiem.

– To dobra ulung – stwierdziła pani Buggit. – Rum nie umywa się do niej, gdy się komuś przywraca życie.

Cały dom tonął we wspaniałych frywolitkach i ozdobnych serwetach: były tam koronkowe fale, kry, muszle trąbika i morskie wodorosty, wygięte czułki homarów, okrągłe oczy dorszy, najeżone krewetki i popękane podwodne pieczary, biały śnieg na czarnej skale, szybujące mewy i zacinający srebrzysty deszcz. Mocne, wytarte węzły spowijały ramki fotografii przodków, okładki Biblii pozostawały niewidoczne pod spienionymi falami, a tarcza zegara – niczym panna młoda zerkająca spod wianka z polnych kwiatów. Gałki drzwi kredensu ozdobione wisiorami niczym striptizerka z burdelu, rączka czajnika opleciona węzłowymi żebrami, fotele pokryte archipelagami ze sznurka i nici rzuconymi na rafy poręczy i tylnych oparc. Na półce książka telefoniczna Ontario z 1961 roku.

Pani Buggit stała na tle zielonkawoniebieskiej ściany. Podeszła do pieca, żeby dolać wody do czajnika; jej dłonie przypominały pospawane czerpaki. Ogromne, guzowate kłykie i palce pokryte bliznami. Strumień gorącej wody popłynął do czajniczka. Pani Buggit miała na sobie bawełnianą sukienkę bez rękawów. Dom tchnął tropikalnym żarem i atmosferą apatycznej ospałości.

Dźwięk jej głosu był wynikiem przekrzykiwania wiatru i wygłaszania zdecydowanych opinii. W tym domu Jack kurczył się do rozmiarów lalki, jego żona zaś wśród woskowego połysku i kaskad kwiatów wydawała się wręcz ogromna. Zbadała wzrokiem twarz Quoyale'a,

jakby już go kiedyś widziała. Nie dzwonił już tak zębami o kubek. Dreszcze, które dotychczas wstrząsały jego ciałem, ustały.

– Rozgrzejesz się – powiedziała, przysuwając do jego stóp gorącą cegłę. Na wycieracze poruszył się młody łaciaty pies, postawił na chwilę uszy.

Jack, podobnie jak wielu mężczyzn, którzy spędzają dni na ciężkiej, fizycznej pracy, sflaczał, gdy tylko usiadł w fotelu. Rozparł się, jakby wygodą zmieniała jego mięśnie w galarete.

– Żyjesz tylko dlatego, że jesteś tak zbudowany, no wiesz, taki tłusty. Tłuszcz był doskonałą warstwą izolacyjną i dlatego tak długo unosiłeś się na wodzie. Chudzielec by nie przeżył.

Wtedy Quoyłe przypomniał sobie o mężczyźnie ubranym na żółto i po raz kolejny opowiedział całą historię, zaczynając od spaceru po cyplu, a kończąc na świetle w swoich oczach.

– Przy grotach? – Jack poszedł do telefonu, który stał wciśnięty na półce pod schodami, żeby zawiadomić straż przybrzeżną. Quoyłe usiadł i poczuł dzwonienie w uszach.

Pani Buggit mówiła do niego:

– Psy nie lubią ludzi w okularach. Pies musi popatrzeć ci w oczy, żeby zobaczyć twoje serce. Będzie czekał, aż się uśmiechniesz, potrafi czekać nawet i miesiąc.

– Spaniel nowofundlandzki – powiedział Quoyłe, drżąc. Wciąż czuł znużenie po ogromnym wysiłku.

– Spaniel nowofundlandzki! Nie, nie, on tu nie ma nic do rzeczy. To nie jest pies rodem z tego miejsca. Prawdziwym psem, najlepszym na świecie, jest pies wodny, przyuczony do aportowania w wodzie. Ta tutaj, Batch, częściowo jest psem wodnym, ale te rasowe już wyginęły. Zostały wybite już dawno temu. Zapytaj Jacka, to ci opowie. Chociaż Jack woli koty. Batch dostaliśmy od Elvis Pretty’ego. Jack ma swojego kota, nazywa się Stary Tommy, razem wypływają łodzią. Jak dwaj rybacy.

Billy Pretty i Tert Card zostali powiadomieni, straż przybrzeżna poinformowana. Tymczasem kubek Quoyłe’a był już pusty. Jack zszedł na przystań, żeby oczyścić i włożyć do lodu swoje ryby. On już swoje zrobił, resztą niech się zajmie żona.

Quoyłe poszedł za panią Buggit do pokoju gościnnego. Wręczyła mu termofory napełnione gorącą wodą.

– Po następnej łódź musisz iść do Alvina Yarka – powiedziała.

Zanim zasnął, dostrzegł jeszcze przy drzwiach dziwny harmonijkowy cylinder.

Rano – wściekle głodny i pełen chęci do życia – zobaczył, że cylinder pełni rolę odboju drzwi i jest zrobiony z katalogu wysyłkowego, tysiące stron zagiętych i posklejanych. Wyobraził sobie panią Buggit pracującą nad tym dzień po dniu przez całą zimę, kiedy za oknem sywał śnieg i wiał wiatr, kiedy słychać było jęki skutej lodem zatoki, a daleko na północy wirowała lodowa mgła. Ona zaś cierpliwie składała i kleiła, składała i kleiła, podczas gdy w czajniku na kuchni gotowała się woda, zasnuwając parą szyby okien. Jeśli chodzi o Quoyłe’a, najbardziej utkwilo mu w pamięci to, że po sześciu godzinach spędzonych w wodzie tanie skarpetki zafarbowały mu paznokcie u nóg na niebiesko.



Kiedy dom Buggitów znowu opustoszał, Quoyłe odjechał, czajnik został wyparzony i odstawiony na półkę, podłoga starta, żona Jacka wyszła przed dom, żeby rozwiesić wilgotny koc, którym przykrywał się Quoyłe, a także, żeby zebrać wczorajsze zapomniane i mokre pranie. Chociaż był spokojny wrzesień, wokół niej szalał sztorm, który zabrał Jessona. Zamrugła, oślepiona blaskiem słońca; sztywnymi dłońmi pociągnęła za nogawki spodni



Jacka, zdrapała warstewkę szronu z niebieskiej bluzki. Potem wróciła do domu, poskładać pranie i prasować. Jednak wciąż w zasięgu słuchu miała trzeszczący lód za cypłem – ogromne lodowe góry przechylają się, tafle lodu wznoszą się wysoko w białym świetle księżyca i trzeszczą, trzeszczą.

## Pokój redakcyjny

Kuchenne wiadomości – nie potwierdzone plotki, które krążą po pokładzie statku.

*Słownik morski*

Dwa dni później po południu Billy Pretty wszedł uśmiechnięty do pokoju redakcyjnego. Ubrany w starą skórzaną pilotkę z dyndającymi patkami, wełnianą kurtkę w szaro-czarne kwadraty. Twarz koloru mgły.

– Mają twojego topielca, Quoyle. Ekipa poszukiwawcza ściągnęła go z grot. Trochę wszystkich rozczarował. – Wyjął z kieszeni kawałek papieru i rozwinął go. – Materiał na całostronicowy artykuł, który wyłowkowałem po drodze. Właściwie to twoja działka, ale ja już to napisałem. Na wodzie trzymał go strój ratunkowy. Prąd zniósł go do grot. Kiedyś woda wyrzuciła tam faceta z No Name Cove.

– Co to znaczy, że rozczarował wszystkich?

– Nie potrafili powiedzieć, kto to jest. Początkowo. Mieli problemy.

– Billy, przestań nas męczyć. O co chodzi?! – ryknął ze swojego kąta Tert Card.

– Brak głowy.

– Walizka? – rzucił Quoyle głupio. – Głowa z walizki? Pan Melville?

– Tak, pan Melville z walizki. Tak sądzą. Konni i straż przybrzeżna wyją jak wilki do księżycy. Linia telefoniczna do Stanów aż iskrzy, komunikaty, ostrzeżenia. Ale pewnie nic z tego nie będzie. Ich zdaniem wygląda na to, że ciało ubrano w odzież ratunkową już po odcięciu głowy.

– Skąd wiedzą? – spytał Tert Card.

– Ponieważ ciało zostało włożone w pięciu kawałkach. Pocięte na porcje jak pasztet.

Billy Pretty przy swoim komputerze, wystukuje kolejne zdania.

### CIAŁO ZAGINIONEGO MĘŻCZYZNY ODNALEZIONE

#### MAKABRYCZNE ODKRYCIE W PIECZARACH

– Nie wiem, dlaczego mnie nigdy nie trafiają się dobre tematy – powiedział Nutbeem. – Wciąż tylko te wstrętne ochłapy. Wszystko, co najgorsze, dla Nutbeema, podła obrzydliwość, którą można opowiedzieć, jedynie posługując się stekiem insynuacji i aluzji. Naprawdę, nie będę za tym tęsknił. Najprzyjemniejsza jest chyba lista przestępstw burmistrza Galliambic. Dwa tygodnie temu wygrał na loterii dwa tysiące dolarów i postanowił to uczcić, molestując czternastu uczniów w ciągu jednego tygodnia. Oskarżono go o napastowanie, karygodne molestowanie i pedofilię. Mam jeszcze zdeprawowanego dwudziestodwuletniaka, który pojechał do domu starców Goldenvale i namówił siedemdziesięcioletnią staruszkę, żeby udała się z nim do sklepu w Misky Bay. Ale jak tylko wyjechali, skreślił w krzaki i zgwałcił ją tak paskudnie, że trzeba było ją zżyć. Przymknęli go, a my już wiemy, co zrobił na sali sądowej.

– Zdarł z siebie ubranie – zaintonowali zgodnie Quoyale, Billy Pretty i Tert Card.

– Kolejni księża związani z sierocińcem. Już dziewiętnastu czeka na rozprawę. Jest też lekarz z przychodni w No Name Cove oskarżony o molestowanie seksualne kilkunastu pacjentek; określili to jako „prowokacyjne pieszczoty piersi i genitaliów”. Dyrygent chóru w Misky Bay uznany został w poniedziałek winnym molestowania seksualnego ponad setki chłopców w ciągu ostatnich dwunastu lat. Także w Misky Bay aresztowano amerykańskiego turystę za obmacywanie małych chłopców na miejskim basenie. „Obmacywał moją pupę i z przodu” – powiedziała dziesięcioletnia ofiara. A u nas, w Killick-Claw, kochający tatuaż oskarżony o wielokrotne seksualne napastowanie dwóch synów oraz kilkunastoletniej córki: robił to od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku aż do chwili obecnej. Pedofilia, molestowanie i stosunki seksualne. A oto jeszcze jeden wielbiciel rodziny, ogromne chłopisko, trzydziestopięcioletni rybak, spędza czas na łądzie, ucząc swoją czteroletnią córeczkę oralnego seksu i masturbowania tatusia.

– Na miłość boską – obruszył się oburzony Quoyale. – Chyba nie wszystko z jednego tygodnia...

– Jednego tygodnia? – odparł Nutbeem. – Mam jeszcze jedną cholerną stronę tego mięcha. To dzięki temu gazeta dobrze się sprzedaje. Nie żadne kolumny i miejscowe opowieści. Seksualne opowieści Nutbeema z nazwiskami i datami, tam gdzie to możliwe. Jack dobrze wiedział, że właśnie tego chcą czytelnicy. Oczywiście, wszystkie inne gazety Nowej Fundlandii robią teraz to samo, ale „Pleciucha” pierwsza zaczęła podawać nazwiska i pikantne szczegóły.

– Nic dziwnego, Nutbeem, że czujesz się tym przygnębiony. Czy tutaj jest gorzej niż gdzie indziej? Wydaje się, że tak.

Billy przerwał pisanie, odwrócił krzesło.

– Nie wiem, czy u nas jest gorzej, czy może mówimy bardziej otwarcie. Chyba ten kawałek z księżmi jest gorszy. W małych portach jest wielu podobnych księży, którym zaufali naiwni rodzice. Ale słyszałem, jak mówiono dość cynicznie, że molestowanie dzieci jest częścią dawnej tradycji Nowej Fundlandii.

– To paskudne, co mówisz – stwierdził Tert Card. – Powiedziałbym raczej, że jest to brytyjska tradycja. – Zaczął drapać się w głowę tak energicznie, że kaskada łupieżu opadła na klawiaturę komputera.

– Co się dzieje z przestępcami seksualnymi? Jakiś program rehabilitacyjny? Czy po prostu gniją w więzieniu?

– Nie wiem – powiedział Nutbeem.

– Byłby z tego niezły artykuł – wtrącił Quoyale.

– Owszem – odpowiedział Nutbeem przeciągle, jakby jego główna sprężyna pozostawała nie nakręcona. – Byłby, gdybym zdążył go napisać przed wyjazdem. Ale nie zdążę. „Borogove” jest prawie gotowa, a ja muszę wyruszyć, zanim zamarznie zatoka. Szerokie ziewnięcie. – I tak już się wypaliłem w tym temacie.

– Lepiej daj znać Jackowi – powiedział Tert Card, unosząc się.

– Och, on wie.

– Quoyale, a ty co masz, rozbity samochód czy statek? Musisz coś mieć. Wygląda na to, że za każdym razem, kiedy rozbija się jakiś samochód, wyjeżdżasz w poszukiwaniu wiadomości do swojej „Kroniki portowej”. A może wozisz panią Prowse? Quoyale, wozisz ją? Bywasz w redakcji rzadziej niż Jack.

– Mam Harolda Nightingale’a – odparł Quoyale. – Zdjęcie Harolda na pustej przystani. Masz to w swoim komputerze. Strzeliłem tytuł „Koniec wszystkiego”.

KONIEC WSZYSTKIEGO

„Przychodzą takie dni, kiedy po prostu nie opłaca się wstawać. Harold Nightingale z Port Anguish przekonał się o tym najlepiej. Dla rybaków z Port Anguish tegoroczny sezon połowów okazał się katastrofalny. Harold Nightingale złapał w ciągu całego sezonu dokładnie dziewięć dorszy. «Dwa lata temu – powiedział – złowiliśmy sto siedemdziesiąt tysięcy funtów dorsza przy brzegach Bumpy Banks. W tym roku mniej niż zero. Nie wiem, co mam robić. Może zacznę brać pranie do domu».

Żeby złowić te dziewięć dorszy, pan Nightingale wydał czterysta dwadzieścia trzy dolary na paliwo, sto pięćdziesiąt dolarów na licencje, cztery tysiące sześćset siedemdziesiąt dolarów na naprawy i uzupełnienie wyposażenia łodzi oraz tysiąc dwieście dolarów na nowe sieci. Na domiar złego jego ręce nie ucierpiały tak od trzydziestu jeden lat. «Nadgarstki spuchły mi aż po łokcie» – powiedział.

W zeszły piątek Harold Nightingale stwierdził, że ma już dość. Oświadczył żonie, że wypływa po raz ostatni. Zamówił na łamach «Pleciuchy» ogłoszenie o sprzedaży swojej łodzi i całego sprzętu.

Przez cały ranek wraz z czteroosobową załogą ciągnął pułapki – były puste. Wracali do domu, kiedy wiatr wzmógł się nieznacznie. Sfalowane morze podniosło się trochę i kilka fal wdarło się na pokład rufowy. Znajdująca się tuż przy wejściu do Port Anguish łódź przechyliła się na prawą burtę i już się nie podniosła. Kapitan Nightingale i jego załoga zdołali opuścić tonącą łódź i dopłynąć do brzegu. Łódź zatонуła. Nie była ubezpieczona.

„Najgorsze jest to, że zatонуła pod ciężarem pustych pułapek. Łatwiej byłoby mi to przyjąć, gdyby były w nich ryby». Po powrocie do domu pan Nightingale wycofał z gazety swoje ogłoszenie”.

– Cha, cha! – odezwał się Tert Card. – Pamiętam, jak dzwonił w sprawie tego ogłoszenia.

Quoyłe usiadł ciężko przy swoim biurku. Myślał o starcach stojących w deszczu i opowiadających mu o dawnych czasach. O Haroldzie Nightingale’u i pracy całego jego życia, która skończyła się jak głupi dowcip.

Wyjął z kieszeni list od Partridge’a i jeszcze raz go przeczytał. Zwariowane dni na całym wybrzeżu, meble do ich nowego domu. Mercalia dała mu na urodziny kamerę wideo. Mieli basen i coś, co się nazywało ultima chefs gas grill – cena: dwa tysiące dolarów. Partridge myślał poważnie o zawodzie kiperka win, miał piwnicę na wino. Spotkał Spike’a Lee na przyjęciu. Mercalia uczyła się latać. Kupił jej skórzaną pilotkę i biały, jedwabny szalik. Tak dla żartu. Znalazł kogoś, kto zbuduje mu za domem gliniany piec. Wędzarnia do mięsa, łosoś z rzeki Kolumbia. W kuchni barek z trzystopniowym regulatorem temperatury. Zainstalowali wspaniały zestaw stereo z cyfrowym przetwarzaniem dźwięku, który może odtwarzać laserowe kasety wideo i płyty kompaktowe w tym samym czasie w różnych pokojach z różnym natężeniem dźwięku. Kiedy Quoyłe przyleci do nich? Możesz się zjawić w każdej chwili. W każdej chwili.

Quoyłe złożył list i schował go do kieszeni. Zatoka przypominała aluminiową tacę upstrzoną papierowymi łódkami. Dni stawały się tak krótkie. Spojrzał na zegarek, zdumiony, jak szybko mijają kolejne miesiące.

– Nutbeem, jedziesz do szypra Willa na squidburgera?

– Jasne. Skończę tylko ten akapit i już nas nie ma.

– Przywieźcie mi porcję ryby z frytkami! – zawołał Tert Card, wyciągając zwinięte banknoty z kieszeni spodni uszytych ze sztucznego jedwabiu.

Billy jednak otworzył swoje pudełko z lunchem, oklejone historyjkami z kotem Garfieldem. Spojrzał do środka na słoik pełen duszonego dorsza i kromkę chleba z margaryną. Sam to sobie przygotował i stwierdził, że to mu wystarczy.



Quoyłe i Nutbeem pochyleni nad stołem w końcu sali. Restauracja wypełniona zapachami rozgrzanego oleju i przeparzonej herbaty. Nutbeem nalał sobie do filiżanki czarnej herbaty koloru drewna tekowego.

– Zauważyłeś nieodgadnione reguły, według których Jack przydziela pracę? Daje ci kawałek, który drażni struny twoich wewnętrznych łęków. Weźmy na przykład ciebie. Twoja żona zginęła w wypadku samochodowym. Co Jack każe ci robić? Pisać o kraksach i robić zdjęcia, kiedy jeszcze pali się tapicerka, a krew nie zdążyła ostygnąć. Billy’emu, który, nie wiadomo dlaczego, nigdy się nie ożenił, daje wiadomości lokalne, stronę z kobiecymi poradami i szczegóły dotyczące ogniska domowego; to musi być dla staruszka ogromnie bolesne. No i ja. Muszę się zajmować tym obrzydliwym molestowaniem seksualnym. Z każdą wiadomością od nowa przeżywam moje dzieciństwo. W szkole byłem napastowany przez trzy lata, najpierw przez obleśnego nauczyciela geometrii, a potem przez starszych chłopców, którzy byli jego pupilkami. Do dzisiaj nie zasnę, dopóki nie zawinę się w kilka kocy jak mumia. Nie wiem tylko, czy Jack zdaje sobie sprawę z tego, co robi, czy ciągła konfrontacja ma spowodować, że ból zelżeje, czy też pozostanie tak samo dotkliwy jak pierwszego dnia. Chyba jednak to drugie.

Quoyłe zamówił więcej bułek, zaczął gnieść na spodku torebkę herbaty. Czy bułki wystarczą?

– A czy wobec siebie nie postępuje podobnie? Wypływa w morze, które pochłonęło jego ojca, dziadka, dwóch braci, najstarszego syna i prawie uśmierciło najmłodszego. Takie postępowanie przytępia ból, ponieważ dostrzegasz, że twoja sytuacja nie jest wyjątkowa, że inni cierpią tak samo jak ty. W tym starym powiedzeniu, że niedola lubi towarzystwo, jest trochę prawdy. Łatwiej jest umrzeć, widząc, że dookoła inni też umierają.

– Bardzo pokrzepiające uwagi, Quoyłe. Napij się jeszcze herbaty i zostaw już tę obrzydliwą torebkę. Widziałeś, co Tert Card miał rano przyklejone z tyłu spodni?

Ale Quoyłe myślał już o czymś innym: o dwóch kawałkach placka z jagodami i waniliowymi lodami.



O czwartej pojechał do Wavey.

Od północy nadszedł zimny front, deszcz przeszedł w śnieg z deszczem, śnieg z deszczem w śnieg, mgła zamieniła się w obłoki cieniutkich jak igiełki kryształków, a Quoyłe podążał wytartymi koleinami codziennej rutyny. Rano zostawiał Sunshine u Beety, zawoził Bunny do szkoły, podwoził Wavey. O czwartej z powrotem. „Mężczyzna w dodatkowej roli kierowcy”. Jeśli nie miał już nic do zrobienia, wypijał herbatę w zwariowanej kuchni Wavey. Jeśli musiał dłużej popracować, dzieci czasem zostawały u niej. Przycięła mu włosy. On w sobotę rano narąbał jej drewna. Co pewien czas jedli razem obiad. Coraz bliżej. Jak dwie kaczki, które najpierw pływają po przeciwnych stronach stawu, a potem spotykają się na środku. Potrzeba dużo czasu.

– To nie ma sensu – szepnęła Mavis Bangs do Dawn. – To jeżdżenie w jedną i drugą stronę i podwożenie. Dzieci mogłyby jeździć szkolnym autobusem. Kierowca mógłby wysadzać dziewczynki przy redakcji. Mogłyby porządkować papiery, dopóki bratanek Agnis nie skończy pracy. Tej całej pisaniny, którą się tam zajmuje. Niezbyt ciężka praca jak dla mężczyzny. Pani Heroldowa Prowse nie musi chodzić taki szmat drogi. Ostrzy sobie na niego pazurki.

– A mnie się wydaje, że on na nią też. Potrzebny mu ktoś, kto zajmie się maluchami i gotowaniem. No i jeszcze coś innego, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wielkie z niego chłopisko, ale wygląda, jakby był wygłodniały.



W kuchni Wavey pod oknem stał stolik do robótek, a na nim pomalowane żółtą farbą miniaturowe łodzie wykonane przez jej ojca. Na każdej malutka etykieta „Wyroby z drewna z Flour Sack Cove”. Wygładziła papierem ściernym i pomalowała podstawkę pod serwetki w kształcie psa myśliwskiego, drewniane motyle i mewy na jednej nodze przeznaczone dla turystów. Ken zabierał je do sklepów z pamiątkami na całym wybrzeżu. Oddawali je w komis i całkiem dobrze się sprzedawały.

– Wiem, że to tylko dla turystów – powiedziała – ale nie są takie złe. Pozwalają zarobić godziwe pieniądze.

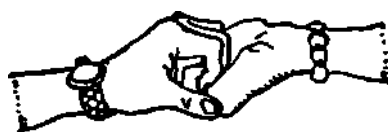
Quoye powiódł palcem po gładkich powierzchniach drobniutkich przedmiotów. Powiedział, że według niego są dobre.

Wnętrze małego domu było niezwykle kolorowe, jakby pod suchą skórą Wavey kipiało barwne szaleństwo. Purpurowe krzesła, szkarłatne i niebieskie plecione chodniki, scenki wymalowane na kredensach i kolorowe obwódki wokół drzwi. Sunshine szczególnie spodobała się szafka z oszklonymi drzwiami. Za szkłem stała biała waza, rząd talerzy z pływającymi na brzegach rybami i cztery zielone kieliszki do wina. Na dolnych częściach obu skrzydeł drzwi Wavey wymalowała jakieś scenki, swój dom z pomalowanym płotem, podwórko ojca pełne drewnianych figurek. Sunshine otworzyła połowę przedstawiającą podwórko ojca, która dychawicznie zaskrzypiała. Sunshine śmiała się.

## Chwył łańcuchowy łyżwiarza

Żeby uratować kogoś, kto wpadł pod lód, palce osoby ratującej i ofiary muszą zaczepić się o siebie zgięte w przeciwnym chwycie. Paznokcie powinny być wcześniej obcięte.

*Księga węzłów Ashleya*



Ciotka wyszła, by się rozejrzeć. Chciała trochę odetchnąć świeżym powietrzem, pobyć z dala od Quoyle'a i dzieci. Nie słyszeć trajkotania Sunshine, stukania butami i denerwujących pytań. I jeszcze ta taśma Nutbeema, którą Bunny puszczała bez końca, zużywając baterie. Ostatnie dni października, grzechotanie strzałów wzdłuż wybrzeża, gdyż nurzyki zleciały niżej, chroniąc się przed napierającym lodem. Skarpy popłynęły na wschód. Łososie po tarle leżały na dnie rzecznych rozlewisk głęboko pod skorupą lodu albo odpłynęły do morza.

Doszła do małego stawu. Pamiętała go. Wodny owal otoczony czernicą i wawrzynem, kobiety i dzieci chodzące po jesiennych bagnach, jabłuszka złocące się jak krople miodu w ukośnych smugach światła. Przemoczone buty, ptaki wlatujące spod krzaków, kiedy nadchodzili zbieracze jagód. Pomimo kleszczy jej matka zawsze lubiła bagna. Zawsze znajdowała jakieś wzniesienie, żeby się przespać pod płynącymi chmurami. „Och, mogłabym tak przespać resztę życia” – mawiała. Jak dużo go przespała nieświadoma! I umarła na zapalenie płuc w brooklińskim szpitalu, przekonana, że leży na wzniesieniu pod północnym słońcem.

Ciotka pozwoliła pamięci wrócić do tamtego października: zamrznięty staw, lód bezbarwny jak spód żelazka, chmury podobne do szarych kredek. Bażyna pokryta warstwą lodu. Wiatr ucichł. Głęboka cisza, obłoczki pary płynące z ust. Odległe wzdychanie morza. Nie poruszyła się ani jedna trawka, nie przeleciał ani jeden ptak. Perlistoszary krajobraz. Miała wtedy jedenaście albo dwanaście lat. Niebieskie, robione na drutach pończochy, przerobiona sukienka po matce. Angielski wełniany, sprany płaszcz, za ciasny pod pachami, jakiś odrzut z darów zielonoświątkowców. Miała parę ogromnych męskich łyżew hokejowych. Założyła je na buty, zawiązała mocno. Zerwało się sznurowadło. Zawiązała babski węzeł, przełożyła metalowy koniec przez oczko, zawiązała na kokardę.

Ukośne, białe rysy pierwszych ślizgów, potem linie faliste i pętle, jakby rozwijała nić. Mknęła w bezwietrznym, zimnym zmierzchu. Szmer oddechu, zgrzytanie łyżew. Była sama na idealnym lodzie w czerwone od słońca popołudnie. Chmury jak gałęzie, jak gąszcz drzących, krwawiących gałęzi. Sama. W kieszeni wieprzowy pasztecik. Podniosła wzrok i zobaczyła go.

Wszedł na lód, odpinając spodnie, ślizgając się ostrożnie na podszewkach rybackich butów. Chociaż mogła jedynie jeździć wkoło, chociaż wiedziała, że prędzej czy później i tak ją dopadnie, uciekała, długo wymykała się jego dłoniom. Może dziesięć minut. Długo.

Patrzyła teraz na ten sam staw. Mały, zupełnie zwykły. Nie widziała powodu, żeby schodzić na brzeg. Niebo nie było już czerwone, lecz prawie czarne na południowym zachodzie. Nadchodziła pora sztormów. Niebawem mróz pomaluje szyby, futerko szronu otuli parapety, oddech zacznie zamarać na krawędzi kołdry, drewniane ściany domu zaczną się kurczyć, trzeszcząc w mroźne noce. Tak jak kiedyś. Wtedy były ślizgające się stopy, gorący oddech na jej twarzy. A na zewnątrz przeciągłe wycie wiatru w linach, wiatru wdzierającego się kominem i wyrzucającego przez piec obłoki dymu. Surowe ubóstwo lutego. Potem marzec, kwiecień. Śnieg aż do maja. Zadrzała.

Takie życie zahartowało ją. Dzięki temu żyła własnym życiem na surowym wybrzeżu, latała i naprawiała swoje żagle.

Potrafiła omijać skały i płycizny. Dawala sobie radę. Wciąż daje sobie radę.

Poczuła łaskotanie na twarzy. Gdzieś daleko ruszył się lód. Śnieżne kryształki niczym plastikowe okruszki leciały nie wiadomo skąd, gdyż niebo było bezchmurne. Ruszyła wolno z powrotem do domu, czuła w nozdrzach zimne powietrze, jakby woń czegoś przypalonego. Musi posłuchać prognozy pogody. Pomyślała o długiej drodze dookoła. Nie mogli odkładać tego dłużej.

Znalazłszy się w domu, powiesiła swój płaszcz, umieściła kapelusz na jego ramieniu, czarne rękawiczki w prawej kieszeni. Starannie ułożone, palce w środku, reszta luźno na zewnątrz.

Bratanek czytał coś dziewczynkom. Zabrała się do jakiejś kolacji. Coś prostego. Naleśniki. Wsypując mąkę do miski, pomyślała o nadchodzącym śniegu. Muszą o tym porozmawiać. Pierwszy sztorm może zamknąć drogę. On o tym nie wie.

Wiatr pędził przez zarośla, gwizdząc wysoko, wył w linach domu.

– Kolacja! – zawołała ciotka. Jak donośnie zabrzmiał jej głos w na wpół umeblowanym domu. – Co ja bym dała – przemówiła nagle do Quoyle’a, nakładając naleśnik na jego zimny talerz – żeby móc zjeść smaczny obiad w restauracji, a potem pójść na dobry film do kina. Co ja bym dała, żeby tak jutro wyjść i wsiąść do ciepłego autobusu, zamiast jechać samochodem dookoła zatoki. Szczerze mówiąc, zima zaczyna mnie przerażać.

Śnieg zdawał się czekać, aż padnie to słowo. Zaczął padać, pierwsze płatki uderzyły w szybę.

– Widzisz? – powiedziała ciotka, jakby zyskała poparcie sprzymierzeńca w sporze.

Quoyle przeżuł kęs naleśnika, popił herbatą. Zastanowi się nad tym.

– Rozmawiałem z facetem od buldożera, przyjacielem Dennisa. Może odśnieżać drogę odpłatnie, jeśli spadną ponad trzy cale śniegu. Po takim śniegu przejedziesz swoją półciązarówką.

– Dwadzieścia osiem mil do odśnieżenia! Ile to by kosztowało?

– Setka za kurs. To ledwie pokryje koszty paliwa. Biorąc pod uwagę częstotliwość sztormów, ten facet obliczył, że musiałyby przyjeżdżać przynajmniej dwa razy w tygodniu. To daje czterdzieści kursów w ciągu pięciu miesięcy, co kosztowałoby cztery tysiące dolarów. Moglibyśmy też skorzystać z pomocy Dennisa. Mówi, że dopóki nie będzie za dużo lodu, mógłby nas zabierać swoją łodzią na drugi brzeg i z powrotem. Musielibyśmy zapłacić za paliwo plus jakieś dziesięć dolarów za godzinę.

– No, to już lepszy interes – stwierdziła ciotka.

– Nie sądzę. Zabierałoby mu to ze dwie godziny dziennie, dwadzieścia minut w jedną stronę przy spokojnej fali. Wychodzi tyle samo co za buldożer, setka tygodniowo. A poza tym do stycznia zatoka będzie zamrznięta. Nie chcę, żeby dziewczynki jeździły po lodzie śniegołazem. Dennis mówi, że zdarzają się słabe miejsca. To jest niebezpieczne. Każdej zimy



ktoś tonie. Trzeba znać drogę. Tak więc pozostaje samochód, ale też nie chcę, żeby codziennie spędzały tyle czasu w samochodzie.

– Dokładnie to wszystko przemyślałeś – powiedziała ciotka dość oschle. Przyzwyczała się do tego, że to ona zawsze wszystko obmyśla.

Nie powiedział, że w dniu poprzedzającym jego wypadek błądził po pustych pokojach i doszedł do wniosku, że jej meble nie dotrą już w tym roku.

– Tak więc – powiedział, dzieląc naleśnik Sunshine widelcem, żeby przestała wreszcie zgrzytać nożem – moglibyśmy przenieść się na zimę na drugą stronę. To miejsce byłoby naszym letnim obozem. Nutbeem odpływa za jakiś tydzień lub dwa. Ma przyczepę kempingową. Za mała dla nas wszystkich, aleja z dziewczynkami dałbym sobie radę. Gdybyś znalazła dla siebie jakiś pokój. Cokolwiek. Może pani Bangs coś doradzi?

Ciotkę ogarnęło zdumienie. Wcześniej poszła na spacer i patrzyła na staw. Teraz wszystko przemknęło jak nie oświetlony pociąg pędzący w ciemności.

– Prześpijmy się z tym – zaproponowała.

Rano pięć cali śniegu, oślepiające słońce i ciepły wiatr. Wszystko topniało. Biały koc na dachu pomarszczył się, popękał i zaczął spadać dużymi płatami, które z sykiem osuwały się i rozбивały o ziemię. W południe pozostały już tylko wysepki śniegu na mokrej drodze i w zagłębieniach ugorów.

– No dobrze – powiedziała ciotka. – Chcę się jeszcze trochę nad tym zastanowić. – A więc to już przyszło, tyle że za szybko.



– No, no, zastanawiałam się, co się stało – powiedziała pani Bangs. W słońcu przedziałek w jej włosach zdawał się jarzyć jak drut. – Myślałam, że może się rozchorowałaś. Albo coś z samochodem. Bardzo się martwiłam, moja droga. Dawn mówiła, że może nie przyjeżdżasz z powodu śniegu, ale przecież zaraz stopniał, więc doszłyśmy do wniosku, że musi istnieć inny powód. W każdym razie poszłam w południe na pocztę i odebrałam twoją korespondencję. – Skierowała wzrok na stół ciotki. Znacząco.

Drobne uprzejmości wobec Agnis Hamm stały się jej zwyczajem. Przynosiła jej pocztę albo nie proszona nalewała herbaty do filiżanki. Drobne usługi obwieszczane przez niewidzialne trąbki.

– To przez śnieg – powiedziała ciotka. – Wiesz, jak przykleja się do polnej drogi. – Zaczęła przeglądać listy. – Postanowiliśmy, że lepiej będzie tutaj poszukać czegoś na zimę. Dom będzie raczej obozowiskiem. On nie chce, żeby dziewczynki musiały jeździć taki kawał do szkoły. Tak to wygląda. – Westchnęła.

Pani Bangs domyśliła się natychmiast.

– Szukałaś domu dla was wszystkich? Wiem, że Burke'owie wspominali coś, że chcą sprzedać dom i wynieść się na dobre na Florydę. Jeżdżą tam do przyjaciół każdej zimy. Na Florydzie mieszkają w bungalowu z werandą. Pani Burke, Pansy, mówi, że przed samym domem mają dwa drzewka pomarańczowe i palmę. Zrywa sobie pomarańcze prosto z drzewa. Dasz wiarę? Tak, to jest miejsce, które chciałabym zobaczyć przed śmiercią. Floryda.

– Byłam tam – powiedziała Dawn. – Dobrze, Floryda jest twoja. Mnie daj Montreal. O, la, la! Śliczne stroje. Wszystkie te targi, nigdy nie widziałaś takiego jedzenia, i te kina, butiki. Zatrzymaj sobie Miami. I jeszcze kilka innych bogatych stanów.

– No to jaki jest ten dom Burke'ów? – wtrąciła ciotka bezceremonialnie.

– Stoi wysoko. Przy końcu drogi na Flour Sack Cove. Jakbyś wyszła na zewnątrz, stanęła twarzą w kierunku wzgórza i zaczęła się wspinać, no wiesz, gdybyś mogła iść na wprost, po domach, wyszłabyś prawie na niego. Szary dom z niebieskimi framugami. Bardzo dobrze

utrzymany. Pani Burke to prawdziwa gospodyni. Kuchnia w starym stylu z tapczanem i wszystkim, co trzeba. Olejowe ogrzewanie, zmywarka do naczyń. W piwnicy pralka i suszarka. Piwnica całkiem wykończona. We wszystkich pokojach nowe tapety.

– Hm. Myślisz, że by wynajęli? – spytała ciotka.

– Wątpię. Myślę, że nie są zainteresowani wynajęciem. Już mieli chętnych. Raczej chcą sprzedać.

– No cóż, właściwie to bratanek planuje wziąć przyczepę od tego Anglika. Tego, który pracuje w gazecie. Pana Nutbeema. Wynosi się niebawem.

– A zatem szukasz czegoś dla siebie.

– Taak – powiedziała ciotka.

– W takim razie dom Burke'ów byłby chyba za duży dla jednej osoby – odparła pani Bangs. – Nawet gdybyś była gotowa go kupić. Mają dziewięć pokoi. Albo dziesięć.

– Wsadziłam sporo pieniędzy w stary dom. To wstyd, żeby używać go tylko jako obozowiska. Trudno jednak jeździć tam i z powrotem. Ale, jak mówią, głową muru nie przebijesz. Wynajęłam pokój w Sea Guli do końca tygodnia, dopóki czegoś nie wymyślimy. Bratanek z dziewczynkami mieszka na razie u Dennisa i Beety. Trochę ciasno, ale dają sobie radę. Nie chcemy, żeby nas zaskoczył śnieg. Ale przestańmy się tym teraz martwić. Co tam mamy dzisiaj w programie? Czarne poduszki dla „Arrowhead”.

– Skończyłyśmy je z Dawn już w piątek po południu. Wysłałyśmy dzisiaj rano.

Ciotka spojrzała na listy.

– Widzę, że nie jestem na bieżąco – zauważyła. Odwróciła pocztówkę i przeczytała ją. – A to miłe – rzuciła sarkastycznie. – Myślałam, że Pakeyowie przyplyną na „Bubble” w tym tygodniu. Tymczasem piszą, że nie chcą ryzykować podróży do nas o tej porze roku. Niedzielni żeglarze. Co gorsza, tapicerkę zlecą „Rzemieślnikowi Jachtowemu”! To durnie. – Odłożyła pocztówkę i wzięła małą paczkę.

– Czy ja znam kogoś w Makau? – Rozerwała papier. – A to co? – powiedziała. Na stół wypadł plik amerykańskich dolarów związanych jasnoniebieską nitką. Tylko tyle.

– Ta niebieska... – Mavis Bangs zawahała się, wyciągnęła dłoń.

Ciotka spojrzała na niebieską nić. Rozwiązała ją i podała Mavis Bangs. Znaczące spojrzenie. To nie była nić, lecz cieniutki rzemyk z jasnoniebieskiej skóry.

## Alvin Yark

Buchta liny... ma dwa znaczenia. Po pierwsze, może to być któraś z głównych części liny, w odróżnieniu od jej końców i końca stałego. Po drugie, może to być wygięcie liny nie mniejsze od półkola. To drugie ma związek z innym znaczeniem tego słowa, topograficznym: buchta oznacza też małą zatokę, na tyle rozległą, że można z niej wypłynąć za jednym halsem przy każdym wietrze.

*Księga węzłów Ashleya*



Jedyna zaleta zielonego domu stała się od razu widoczna. Quoyale, ziewający i nie ogolony, siedział w kącie kuchni Beety, rozczesywał włosy Sunshine wciśnięty między tosty, kakao, porozrzucane ubrania i zeszyty, kiedy Tert Card wszedł do kuchni i nalał sobie kawy. Dennis wyjechał przed godziną. Card spojrzał na Beety, która przyglądała się, jak oblizuje usta i mruga niczym indor dotknięty zapaleniem spojówek.

Stał przed Quoyale i Sunshine, drapiąc się w pachwinę, jakby podrażniła ją rozgrzana do czerwoności bielizna.

– Quoyale, chciałem tylko cię zawiadomić, że powinienes zadzwonić do Diddy’ego Shovela w sprawie pożaru jakiegoś statku. Pewnie będziesz chciał tam zaraz pojechać. Włożyłem ci do samochodu aparat. Zorientuj się, czy da się zrobić jakieś zdjęcia. Powiem ci, że Jack Buggit nie jest głupi. Rozwalona głowa na statku bardziej interesuje ludzi niż wszystkie kraksy samochodowe w całej Nowej Fundlandii. – Napił się jeszcze kawy. Pogłaskał Sunshine pod brodą i zanim wyszedł, znowu się podrapał.

– Nie lubię tego obrzydliwego faceta – powiedziała Sunshine. Wyczuwała złość Quoyale’a w ruchach jego dłoni.

– Zadufany w sobie. Zawsze taki był. Jedyne w swoim rodzaju – stwierdziła Beety.

– Tak, popatrzcie – powiedziała Murchie Buggit, naśladując gwałtowne drapanie się.

– Przestań już – upomniała ją Beety. – Wyglądasz jak strasznie zapchlony pies.

– On też. – Sunshine i Murchie wybuchnęły przeraźliwym śmiechem, aż Murchie zachłysnęła się okruczem tosta i Quoyale musiał poklepać ją po plecach.

Zanim jednak połączył się z kapitanem portu, zadzwonił telefon.

– Do ciebie – powiedziała Beety.

– Halo? – Spodziewał się usłyszeć głos Diddy’ego Shovela.

– Quoyale – odezwał się Billy Pretty. – Byłeś już u Alvina Yarka w sprawie łodzi?

– Nie, Billy. Szczerze mówiąc, nie myślałem o tym ostatnio. Byłem zajęty. I chyba stałem się trochę nieufny wobec łodzi po tym, co się stało.

– Dlatego właśnie musisz szybko znowu się z nimi zaprzyjaźnić. Chrzest już przeszedłeś. Zima to dobry czas na budowanie łodzi. Alvin coś ci zbuduje, a jak ustąpią lody, to pokażę ci kilka sztuczek. Musisz je znać, bo wychowałeś się z daleka od wody i łodzie stanowią dla ciebie zagrożenie.

Quoyłe wiedział, że powinien być wdzięczny, lecz poczuł się głupio.

– To miłe z twojej strony, Billy. Wiem, że powinienem tak zrobić.

– Po prostu idź do Alvina. Wiesz, gdzie ma swój warsztat? Spytaj Wavey, ona ci pokaże. Alvin jest jej wujem. Najstarszym bratem jej biednej zmarłej matki.

– Alvin Yark jest wujem Wavey? – Miał wrażenie, że porusza się po spirali, która zacieśnia się coraz bardziej.

– Tak.

Nie odkładając słuchawki, zadzwonił do Diddy’ego Shovela. Co to za pożar, jakaś ciekawa historia? Bunny powlokła się do kuchni w swetrze włożonym tyłem na przód. Quoyłe próbował pokazać jej na migi, żeby włożyła go prawidłowo, lecz ona obrzuciła go tylko naburmuszonym spojrzeniem.

– Młodzieńcze – grzmiał głos w słuchawce. – Kiedy ty zbijasz bąki, płonie „Rzym”. Towarowiec „Rzym”, sześćset stóp, zarejestrowany w Panamie, z ładunkiem cynku i sproszkowanego ołowiu, jakieś dwadzieścia mil od brzegu. Zapalił się o pierwszej. Dwie ofiary. Kapitan i ktoś jeszcze. Resztę załogi zabrał helikopter. Dwudziestu jeden facetów z Myanmaru. Wiesz, gdzie jest Myanmar?

– Nie.

– Dokładnie tam, gdzie kiedyś była Birma. Helikopter zabrał członków załogi do szpitala w Misky Bay, podadzą im tlen. Statek holują do Killick-Claw. Nic więcej nie wiem.

– Jak mogę się do niego dostać?

– A po co? Poczekaj, aż go przyholują. Nie potrwa to zbyt długo.

O trzeciej trzydzieści statek jeszcze nie wpłynął do cieśniny. Quoyłe znowu zadzwonił do Diddy’ego Shovela.

– Do piątej powinni być. Muszą mieć jakieś kłopoty. Może zerwał się hol i musieli zakładać nowy.



Wavey zeszła po schodach, obciągając rękawy własnoręcznie uszytego płaszcza w kolorze deszczu ze śniegiem. Wsiadła do samochodu, rzuciła mu szybkie spojrzenie. Słaby uśmiech. Odwróciła wzrok.

Dobrze czuli się w ciszy. Coś się odśłaniało. Ale co? Nie miłość, która szarpała i raniła. Nie miłość, która przychodziła tylko raz.

– Muszę pojechać do portu. Dlatego możemy zabrać dzieciaki i od razu odwiozę ciebie i Herry’ego. Bunny mogę zostawić na godzinę u Beety albo zabiorę ją ze sobą. Holują statek, który się palił. Dwóch ludzi nie żyje, w tym kapitan. Pozostali w szpitalu, wiem to od Diddy’ego Shovela.

– Aż drzę, gdy słucham czegoś takiego. – I rzeczywiście zadrżała.

Zobaczyli szkołę. Bunny stała u podnóża schodów z kartką papieru w dłoni. Quoyłe nie lubił przedmiotów, które przynosiła ze szkoły i które pokazywała mu, wydymając usta: grudki ciasta przyklejone na papierze, które miały przedstawiać twarz, poskręcane przetyczki do fajek imitujące kwiaty, narysowane kredkami domy z kwadratowymi oknami i brązowe drzewa o koronach w kształcie brokułów, jakich nikt nie widział w Nowej Fundlandii. Nazywał to szkolną ikonografią.

– Tak nam każe robić panna Grandy.

– Ale, Bunny, widziałaś kiedyś brązowe drzewo?

– Marty rysuje je brązową kredką. To ja też.

Quoyle zwrócił się do Wavey:

– Billy mówi, że zimą powinienem postarać się o łódź. Radzi, żebym poszedł do Alvina Yarka.

Skinęła głową, słysząc nazwisko wuja.

– Jest dobrym skutnikiem – powiedziała swoim niskim głosem. – Zbuduje ci dobrą łódź.

– Zamierzam pojechać w sobotę. Zapytam go. Zabiorę dziewczynki. Może pojedziesz też z Herym? Sobota ci odpowiada?

– Dobrze – odpowiedziała. – I tak miałam zawieźć kilka rzeczy ciotce Ewie. Zjemy razem kolację. Ciotka Ewie wspaniale gotuje.

Później pojechał z Bunny do portu, ale na polecenie towarzystwa żeglugowego „Rzym” został odholowany do St. John’s.

– Zwykle mnie zawiadamiają – powiedział Diddy Shovel. – Jeszcze kilka lat temu poskręcałbym ich jak sprężynki, ale teraz już mi się nie chce.



W sobotę gęsta jak mleko mgła niosła ze sobą przenikliwe zimno. Dzieci na tylnym siedzeniu jak rząd kur. Wavey lekko wystrojona, czarne buty lśniące na dywaniku. Quoyle wyteżał oczy aż do bólu, żeby coś zobaczyć we mgle. Sztruksowe spodnie były nieprzyjemnie ciasne. Po raz tysięczny obiecał sobie, że schudnie. Stojące przy drodze domy za ścianą mgły, niewidoczne morze. Dziesięć mil, które mieli przejechać do skrzyżowania na Nunny Bag Cove, pokonali w godzinę. Samochody pełzające w przeciwnym kierunku, światła przeciwmgłowe podobne do brudnych spodków.

Nunny Bag Cove skupiało się wokół pętli drogi otoczonej ciasno nowymi farmami, prawie niewidocznymi we mgle.

– Jakies sześć lat temu wybuchł tutaj pożar – powiedziała Wavey. – Spaliło się całe miasteczko. Wybudowali sobie nowe domy dzięki temu, że byli ubezpieczeni. Pięć czy sześć rodzin nie miało ubezpieczenia, ale pozostali im pomogli, tak żeby wszyscy mieszkali w nowych domach. Wuj Al i ciotka Ewie nie potrzebowali takiego dużego domu, jaki mieli przedtem, więc nowy jest mniejszy.

– Zaraz, zaraz – wtrącił Quoyle. – Wybudowali mniejszy dom niż powinni zgodnie z rozszczeniem ubezpieczeniowym?

– Mhm – mruknęła Wavey. – Wuj miał oddzielne ubezpieczenie na swoją przystań. Ubezpieczył ją na taką sumę, że można by sądzić, iż trzyma tam nowy takłowiec.

– Bardzo rozsądne – zauważył Quoyle.

– No cóż, może i tak było. Należy raczej przyjąć, że tak. Podobne nieszczęścia przydarzyły się wielu ludziom, którzy mieli ubezpieczone tylko budynki.

Pani Yark, ramiona i nogi jak żelazne pręty, usadziła ich wokół kuchennego stołu. Nalała dzieciom herbaty z mlekiem do małych filiżanek z pozłacanymi krawędziami i wymalowanymi zwierzątkami. Sunshine miała świnkę Łaciatą z Gloucester, Herry kurę i koguta Srebrnego Migotka. Bunny przypadł baranek o kręconych rogach z Dorset. Niedawno wytarty blat stołu nie zdążył jeszcze wyschnąć.

– Cip, cip, cip – powiedział Herry, kładąc palec na kogucie.

– Były już stare, kiedy ja byłam mała – odezwała się Wavey.

– Zdziwiłabyś się, kochanie, jak są stare. Należały jeszcze do mojej babki. Kawał czasu. Pochodzą z Anglii. Kiedyś było ich dwanaście, ale zostały tylko cztery. Potłukły się konie i

krowy. Zostały tylko spodki. Miałam też szklane talerzyki, ale i one się potłukły. – Imbirowe ciasteczka pani Yark przedstawiały fruujące gołąbki z oczami z rodzynek.

Wszystko, co Bunny ciekawiło, znalazła w kuchni: składaną łyżkę do butów, metalową foremkę do galaretki w kształcie zamku z wieżami, filizankę w kwiatki z mostkiem na wąsy, żeby się nie zamoczyły.

– Dobrze, że te przedmioty się nie spaliły – powiedział Quoye. Jadł kolejne ciasteczko.

– Ach, tak – westchnęła pani Yark i Quoye wiedział już, że popełnił błąd.



Quoye opuścił terytorium kobiet i poszedł za Alvinem Yarkiem do jego warsztatu. Yark był niskim mężczyzną o papierowej twarzy, z uszami wielkości półdolarówki i oczami podobnymi do liści wierzby. Kiedy mówił, jego usta prawie się nie otwierały.

– Tak więc chce łódź. Motorówkę?

– Tak, małą łódkę, żebym mógł pływać po zatoce. Nie za dużą. Coś, z czym potrafiłbym sobie sam poradzić. Nie jestem w tym zbyt dobry.

Czapka zsunęła się Yarkowi na bok guzowatej głowy. Miał na sobie zapinany na zamek błyskawiczny kombinezon z podwójnymi patkami, z których jedna wisiała mu w kroczu, druga zaś na piersi. Pod kombinezonem miał koszulę w kratę, a na to wszystko włożył wełnianą kamizelkę także zapinaną na zamek.

– Zdałaby mu się rodney z doczepianym silnikiem. Piętnaście, szesnaście stóp. Do tego silniczek siedem koni. Coś w tym rodzaju – powiedział, wskazując na zgrabną łódź ustawioną na dwóch kozłach.

– Tak – potwierdził Quoye. Orientował się na tyle, by wiedzieć, że ma przed sobą coś dobrego.

– Naucz w niej swoje młode wiosłować, jak nabiorą trochę krzepy.

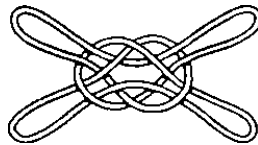
Weszli do mrocznego pomieszczenia warsztatu.

– Ach – odezwał się Yark. – Mam jeszcze trochę roboty. Pokazał w kierunku szkieletów częściowo pokrytych klepkami. – Obiecałem pomóc zimą Nige'owi Fearnowi przy jego takłowcu. Ale jeśli uda mi się wyrwać do lasu, wiesz, po drewno, to ruszymy. Żeby zdążyć do wiosny, zanim spłyną lody. Muszę znaleźć odpowiednie kijki, wiesz, świerk. Widzisz, trzeba znaleźć dobre, stewę trzeba trochę przygiąć, do tego stewa tylna i węzłówka, no i jeszcze dejwud i przydziobnica. Dlatego potrzeba dobrego drewna, tak, dobrego. Niektórzy tutaj parują je. Ja nie usiadłbym w łodzi z odparowanego drewna. Za słabe.

– Myślałem, że masz materiały pod ręką.

– Nie, chłopcze, ja nie buduję łodzi z suchego drewna. Jeśli łódź zbudujesz z suchego drewna, nasiąka wodą, ale jej nie oddaje. Za to jak budujesz łódź z zielonego drewna, to nigdy nie nabierze wody. Tak, nigdy nie buduję z suchego drewna.

## Słońce za chmurami



Quoyłe z dziewczynkami poszedł do Sea Gull Inn, gdzie koczowała ciotka, cała wymiętoszona i przemarznięta. Sunshine szła, trzymając Quoyłę za rękę, i co chwilę się przewracała, dopóki nie zorientował się, że robi to specjalnie, i kazał jej przestać.

Droga w świetle księżyca przypominała snop światła z motocyklowego reflektora. Mroźna grudniowa mgła przykrywała świat ciemnym szklivem, panowało przejmujące zimno północnego wybrzeża. Nie sposób było jechać samochodem, chociaż wcześniej Quoyłe pojechał do Little Despond i z powrotem, żeby przyjrzeć się plamie ropy. Było zamknięte. Stary pan Eye leżał w szpitalu z zapaleniem płuc. Oleista obwódka rozciągała się wokół zatoczki.

Szli przez hall, wypełniony mieszaniną chemicznych zapachów, do jadalni, gdzie czekała ciotka. Mijali puste stoliki. Bunny szła spokojnie; Sunshine rzuciła się w kierunku ciotki, potknęła się, runęła na podłogę i zapłakała głośno. Tak więc obiad rozpoczął się od łez. Skroplona para spływała po szybach.

– Biedactwo – powiedziała ciotka, oglądając zaczerwienione kolana Sunshine.

Kelnerka podeszła do nich, przemierzając wydeptany dywan; kiedy szła, jeden z jej butów wzdychał.

Quoyłe wypił szklankę soku pomidorowego, który miał metaliczny posmak. Ciotka napiła się whisky; szklanki imbirowego piwa. Potem zupa żółwiowa. W zupie Quoyłę pływała żyła z szyi.

– Muszę powiedzieć, że po pierwszym dniu ciszy i spokoju stęskniłam się za wami. I to bardzo. – Twarz ciotki bardziej rumiana niż zazwyczaj, niebieskie oczy wilgotne.

Quoyłe roześmiał się.

– My też za tobą tęsknimy. – Spał w piwnicy Beety i Dennisa. Brakowało mu towarzystwa ciotki, jej bezpośredniości, stanowczości w rozwiązywaniu problemów.

– Tato, pamiętasz te malutkie czerwone filiżanki z obrazkami u cioci Wavey?

– Tak, Bunny. Były śliczne.

– Piszę list do świętego Mikołaja, żeby nam takie przyniósł. W szkole piszemy do Mikołaja. Narysowałam mu je, żeby wiedział, jakie ma przynieść. I jeszcze niebieskie koraliki. Marty napisała tak samo. Tato, Marty pisze „s” w odwrotną stronę.

– Ja chcę łódkę z patykiem i sznurkiem – powiedziała Sunshine. – Kładziesz ją na wodzie i popychasz patykiem. I ona odpływa! A wtedy ciagniesz za sznurek i wraca! – Roześmiała się głośno.

– Zdaje się, że i mnie by się taka przydała. – Quoyłe pochłaniał zimne bułki.

– Jak dostanę te małe filiżanki – powiedziała Bunny – to ci w nich zaparzę herbaty, ciociu.

– Ach, kochanie, z przyjemnością ją wypiję.

– Dla kogo małże? – spytała kelnerka, trzymając biały talerz, na który nałożono stos bladych kepek, górę ryżu i kromkę jasnego chleba.

– To był mój pomysł – odpowiedziała ciotka. Spojrzała nachmurzona na blade jedzenie i szepnęła do Quoyle'a: – Powinnam była pójść do szypra Willa na squidburgera.

– Czasem Beety robi podgardla – powiedziała Bunny. – Uwielbiam je.

– A ja nienawidzę – wtrąciła Sunshine, wysysając ze szklanki resztki piwa imbirowego.

– Wcale nie. Zjadłaś wszystko.

Kelnerka przyniosła dorszowe pyszczki z frytkami.

– Hm – chrząknęła ciotka. – Miał to być jakby obiad z nowinami. Mam wam coś do zakomunikowania. Złe wiadomości i dobre wiadomości. Dobre to te, że dostałam duże zamówienie, którego wykonanie zajmie mi prawie całą zimę. Złe wiadomości to takie, że jest to praca w St. John's. Powiem wam, jak do tego doszło. Dużo ostatnio myślałam o mojej tapicerce jachtowej. No cóż, trzeba przyznać, że nie ma tutaj tylu właścicieli jachtów co na Long Island. A w Nowej Fundlandii nie ma licznych portów, do których zawijają jachty turystyczne. Zaczęłam się więc martwić, gdyż przez ostatnie sześć tygodni nie miałam zbyt wiele pracy. Byłoby ze mną krucho, gdyby nie tajemnicze pieniądze z Makau, które nie są dla mnie żadną tajemnicą; i pomyśleć tylko, co za dziwna kobieta, która ćwiartuje męża, ale płaci rachunki. Zaczęłam więc główkować. A może ja robię coś nie tak? Być może. W Nowej Fundlandii dużo jest statków handlowych. Zaczęłam wymyślać nowe szyldy, gdyż „Tapicerka jachtowa – Hamm” z pewnością nie brzmi zbyt zachęcająco. I tak pytam panią Mavis Bangs, jak by jej się podobał szyld „Tapicerka morska – Hamm”? Można by obsługiwać jachty, tankowce, wszystko, co unosi się na wodzie. Pochwaliła mnie. Podzwoniłam więc po zakładach remontowych i naprawczych w St. John's, przedstawiając się jako Agnis Hamm z pracowni „Tapicerka morska – Hamm”, no i proszę. Jest robota, od zaraz. Duże zamówienie, towarowiec „Rzym”, na którym był pożar. Zniszczony pomost, tapicerka w świetlicy oficerskiej i w świetlicy dla marynarzy. Woda i dym wszystko zniszczyły. A zatem zabieram ze sobą do St. John's Dawn i panią Mavis Bangs i będziemy tam pracować, dopóki nie skończymy wszystkiego. Praca na kilka miesięcy. Chcą mieć skórę naugahyde w kolorze soczystego burgunda. A także granatową, bardzo elegancko. Skóra nie jest dla każdego. Można ją kształtować. Dawn nie może się doczekać, kiedy pojedzie do St. John's. Bunny, załóż lepiej pod brodę serwetkę, jeśli masz zamiar nalać sobie keczupu. Taki z ciebie brudasek.

– Tato – powiedziała Bunny. – Coś ci mogę zrobić. Szyper Alfred mi pokazał. To jest słońce za chmurami.

– Mhm – mruknął Quoyłe, kręcąc kawałkiem ryby w sosie tatarskim podanym w filiżance z nierdzewnej stali. – Ale, ciociu, gdzie będziesz mieszkać? Pokój w hotelu w St. John's będzie cię kosztował fortunę.

– Patrz – powiedziała Bunny i złożyła kawałek sznurka.

– A to jest dobra strona całej sprawy – odpowiedziała ciotka, żując małżę. – Atlantic Refitters dysponuje dwoma apartamentami na takie ewentualności. Pan Malt, młodzieniec, z którym się kontaktowałam, mówi, że często muszą kwaterować ekspertów z różnych dziedzin, od naprężeń metali, konstruktorów śrub, różnych inspektorów. Tak więc będziemy mogły zająć jeden z apartamentów przedsiębiorstwa, i to za darmo. Mamy to w umowie. Jest tam też dość miejsca na maszyny. Brat Dawn pomoże nam załadować wszystko na moją



półcięzarówkę. Skórę mają sprowadzić chyba z New Jersey. Tak więc wyjeżdżamy przed końcem przyszłego tygodnia. A wszystko to dzięki zmianie szyldu.

– Wygląda to dość ryzykownie, ciociu.

– Wróć wiosną. Będziemy mogli przeprowadzić się z powrotem do zielonego domu, kiedy tylko droga będzie przejezdna. Będzie na co czekać. To znaczy, jeśli jeszcze ci się tutaj podoba. A może myślisz o powrocie do Stanów?

– Ja nie wracam – powiedziała Bunny. – Marty Buggit jest moją przyjaciółką na całe życie. Ale pojedę tam, jak będę duża.

Quoyłe też nie miał zamiaru wracać. Jeśli życie było świetlnym łukiem, który zaczynał się i kończył w ciemności, to pierwsza część jego życia upłynęła w zwykłym oślepiającym świetle. Tutaj jakby znalazł spolaryzowane soczewki, które pozwalały mu spojrzeć na wszystko głębiej i wyraźniej. Pomyślał o tym, jaki był głupi tam, w Mockingburgu, chwytając wszystko, co podeszło mu pod rękę. Nic dziwnego, że miłość przeszła mu serce i płuca, powodując wewnętrzny krwotok.

– Tato – powiedziała Bunny bliska płaczu. – Zrobiłam to już dwa razy, ale ty nie patrzyłeś. Ciocia też nie.

– Ja patrzyłam. Ale niczego nie widziałam – rzekła Sunshine.

– W takim razie może powinnaś nosić okulary – powiedziała ciotka.

– Przepraszam, Bunny. Pokaż mi jeszcze raz. Teraz już będę pilnie uważał.

– Ja też – dodała ciotka.

Dziewczynka ułożyła sznurek w pętlę, zwinęła ją i ułożyła go wokół palców w formie zachodzących na siebie kół, kciuki i palce wskazujące trzymała w narożnych pętlach.

– A teraz patrz na słońce – powiedziała. – Dziura w środku jest słońcem, a te z boku są chmurami. Patrz, co się dzieje. – Powoli naciągnęła pętle, tak że środkowe koło zaczęło się zmniejszać, aż wreszcie zniknęło.

– To jest przekładaniec – powiedziała Bunny. – Potrafię też zrobić inny. Szyper Alfred zna ich setki.

– To niezwykle – powiedział Quoyłe. – Czy szyper Alfred dał ci ten sznurek? – Wziął do ręki gładki sznurek i policzył siedem drobniutkich, twardych węzłów, a na końcu jeszcze jeden, niezbyt udany, zwykły. – Czy to ty zawiązałaś te węzły? – spytał pogodnym głosem.

– Ja zawiązałam ten. – Mówiła o zwykłym. – Znalazłam sznurek rano w samochodzie na tylnym siedzeniu.

## Tak bywa

Marynarz nie ma właściwie możliwości zastąpienia przedmiotu, który wypadł mu za burłę, dlatego do wszystkiego, co nosi się na pokładzie, przywiązane są talrepy: gwoździe, klucze masztowe, puszki z farbą czy kubły na lepę śnieżną, ołówki, okulały, czapki, tabakierki, scyzoryki, kapduchy, amulety, gwizdki bosmańskie, zegarki, lornetki, fajki i klucze przywiązane są wokół szyi, ramienia lub nadgarstka albo przymocowane do dziurki od guzika, paska lub szelki.

*Księga węzłów Ashleya*



„21 listopada «Galactic Blizzard», dwusterowy wagonowy pojazdowiec z podwójną śrubą z regulowanym skokiem, opuścił port St. John’s, udając się do Montrealu” – napisał Quoyle, wciąż zmarznięty po wyprawie, jaką odbył o świcie na miejsce wypadku.

„Dzień był bardzo pogodny, chociaż przy brzegu formował się lód. Błękitne niebo, spokojne morze, wspaniała widoczność. W godzinę po wypłynięciu z portu St. John’s statek uderzył czołowo w klif od południowej strony Strain Bag Island. Zderzenie obudziło pogrążonego we śnie oficera wachtowego. «Czasem tak bywa» – powiedział inspektorom straży przybrzeżnej”.

Tert Card zatrzasnął drzwi za sobą.

– Przemarzę do szpiku kości! – krzyknął, chuchając na popękane dłonie i odwracając swój ogromny tyłek w stronę grzejnika gazowego. – Kiedy już o tej porze robi się tak zimno, to człowiekowi odechciewa się tego miejsca. Usiłowałem jechać samochodem krawędzią klifu po gołym lodzie z zamrzniętymi wycieraczkami. Samochód tańczył po całej drodze, a ja myślałem sobie: „Przecież to dopiero listopad. Jak to możliwe?” Zacząłem się zastanawiać nad statystykami drogowymi. W styczniu wydarzyło się mnóstwo wypadków samochodowych w całej Nowej Fundlandii. Ofiary śmiertelne, urazy, zniszczone wozy. Tylko w jednym miesiącu. Oto, jak rodzi się pragnienie: w taki właśnie zimny dzień, kiedy jedziesz krawędzią klifu. Najpierw, sam sobie zadajesz to pytanie. Potem wspominasz coś głośno. Następnie wycinasz kupony z magazynów podróżniczych. Przysyłają ci broszury. Kładziesz je na desce rozdzielczej w samochodzie, żebyś jadąc krawędzią klifu, mógł zerknąć na palmę. W lutym już tylko jedna rzecz trzyma cię przy życiu: bilet lotniczy na Florydę, który leży na szafce przy twoim łóżku. Jeśli uda ci się przetrwać do marca, to jakbyś już był w niebie. Wsiadasz do samolotu w Misky Bay. Skrzydła ma niemiłosiernie oblodzone, a wiatr wieje jak

z piekła, tak że zaczynasz mieć wątpliwości, czy w ogóle da radę wystartować. Startuje jednak i kiedy ląduje gładko, kiedy otwierają drzwi... ach, synu, chciałbym ci opowiedzieć o zapachach gorącego lata, olejku do opalania i spalin, od których chce ci się płakać ze szczęścia. Tak, jakie to słodkie miejsce, pełne pomarańczy. – Wciągnął z sykiem powietrze i wyrzucił z siebie zasmarkany podmuch, myśląc o żółtawej wodzie podobnej do likieru. – A ty, bracie, masz jakiś wypadek samochodowy albo rozbitą łódź? – zwrócił się do Quoyle'a.

– Ja bym tam nie pojechał. Nie wszedłbym do żadnego samolotu. – Billy Pretty przerwał pisanie swoich notatek i spojrzał znad tonącego w bałaganie biurka. Przekrwione oczy, twarz podobna do pokłutego pasztetu. – Quoyle, liczę na to, że masz całe mnóstwo katastrof, ponieważ ja mam niewiele: kilka kolejnych, nie zidentyfikowanych ciał i dwaj nadzy mężczyźni w sądzie. Chłoptaş nakryty w momencie, kiedy wychodził przez okno obładowany maszyną do szycia, kuchenką mikrofalową, radiem, kolorowym telewizorem, podczas gdy właściciele spali sobie w najlepsze w swojej sypialni. Policja zobaczyła go, jak zawisł z parapetu na gwoździu. Zabrali go więc do ciupy w Killick-Claw. A w środku nocy on zaczął ryczeć, wyć i zdzierać z siebie ubranie. Powiedzieli, że jest umyślowo chory, i wysłali go na obserwację do Waterford. To jakaś cholerna zaraza! Mam jeszcze jednego. Młodzieniaszek. Jego ojciec jest rybakiem w Port aux Priseurs, dorobił się na krewetkach. I co zrobić? Kupił chłopaczkowi konia. „Chcę, żeby miał wszystko to, czego ja nie miałem”. Takie tam. Nie mają pojęcia o koniach. Wpakowali zwierzaka do stajni. Po jakimś tygodniu młodzieniaszkowi znudził się koń i zapomniał o nim, tak że zwierzę zdechło z głodu. A oni dali burę synalkowi, tatusiowi zaś wlepili grzywnę w wysokości tysiąca dolarów. No i jak myślicie, co on zrobił? Stanął przed sędzią i zdał z siebie całe ubranie. Tak więc jego też wysłali do Waterford.

Mamy też spis zaginionych osób i informacje o nie zidentyfikowanych ciałach, ale nic tutaj nie pasuje. Facet z Chaw Cove wyszedł na polowanie. Znaleźli tylko jego rękawice. W Puddickton żona znalazła zimne ciało unoszące się pod pomostem w ich przystani. Ktoś zupełnie obcy, nawet nie z Chaw Cove. Golusieńki, jak go Pan Bóg stworzył. Można by sądzić, że niedawno odwiedził sąd. Albo ten facet z Port aux Priseurs, który kupował wymyślne pieski ze stałego ładu, bulteriery, rottweilery, doberman, i wszystkie trzymał na dużym wybiegu. No i nie mogą go znaleźć. Wygląda na to, że wyszedł na psi wybieg i nie wrócił. Cała rodzina siedziała sobie przed telewizorem. Po kilku godzinach ktoś spytał: „Gdzie jest staruszek?” Zapalili światło na zewnątrz i zaczęli go wołać. Na śniegu pełno było krwi i części ubrania tatuśka w niezbyt dobrym stanie. Tak więc, chociaż uznano go za zaginionego, to oni twierdzą, że wiedzą, gdzie on jest.

Tert Card przy oknie, zapatrzony na południe.

– Ci z Port aux Priseurs powinni dać sobie spokój ze zwierzętami. Nie mają do tego drygu. Lepiej niech zostaną przy samochodach i narkotykach. Quoyle, masz jakiś statek, żeby rozjaśnić nieco tytułową stronę?

Nutbeem uniósł głowę i wyprostował ramiona.

– To mój ostatni tydzień, ale wiadomości zagranicznych nie brakuje. Po pierwsze, minister zdrowia Kanady wściekł się w związku z masowym usuwaniem włosów.

– Nutbeem, wśród nas są tacy, dla których Kanada nie jest zagranicą – powiedział Card.

– Zostaw go – wtrącił Billy Pretty. – Mów dalej, chłopcze.

– Dobra. Setki lekarzy wystawiają rachunki funduszowi opieki zdrowotnej za usunięcie z twarzy kobiet nie chcianego zarostu. Cytowano słowa jednego z wyższych urzędników ministerstwa zdrowia: „To pałacy problem”. Pewnie mówił o urządzeniu do elektrolizy. Miliony dolarów za miliony elektrolitycznych zabiegów.

Card zachichotał. Wyglądał jak ostatnie nieszczęście. Jego paznokcie przypominały łyżeczki do cukru.

– Myślałem, że was to rozbawi – powiedział Nutbeem.

Quoyle ze zdumieniem usłyszał ryk Billy'ego Pretty'ego:

– Dla ciebie, Card, to jest może śmieszne, ale z pewnością nie dla kobiety, która dostrzeże wąsik na swojej twarzy. Może bardziej byś współczuł, gdyby tak zaczęli usuwać tłuszcz z męskich piersi?

Utkwił wzrok w wydatnych piersiach Carda. Na kilka sekund zapadła cisza, a potem rozległ się obleśny śmiech Terta Carda i chichot Billy'ego. To był tylko dowcip. Quoyle wciąż nie potrafił rozpoznawać dowcipów.

– Ach – odezwał się Card, wycierając nos w chusteczkę higieniczną, którą rozłożył na tle okna. – Moja siostra miała podobny problem, tyle tylko, że chodziło o włosy na rękach. Ale starszka inaczej się do tego zabrała. Zналиśmy szypra Smalla, takiego zaklinacza. Pisał coś na kawałku papieru, wrzucał go do ognia i patrzył, jak się spala, aż została tylko biała i pomarszczona skorupka. Wtedy on brał patyk i rozbijał ją, tak że skrawki wylatywały kominem. „Tam uchodzi wasza dolegliwość” – mówił.

– I co, pomogło?

– Jeszcze jak, chłopcze. Ramiona miała gładkie jak jedwab, aż miło, kiedy cię uściskała. Tak wszyscy mówili. Nutbeem, mam nadzieję, że ta część o usuwaniu włosów w Ontario nie znajdzie się w twoich wiadomościach.

– No cóż, w Peru mają epidemię cholery. Argentyna i Paragwaj nie chcą tam rozgrywać meczów piłkarskich. Zanotowano czternaście tysięcy przypadków w ciągu ostatnich sześciu tygodni.

– Dobrze. Damy to obok historii o nieznanym owadach gryzących pracowników biura opieki społecznej w Misky Bay od czasu przybycia peruwiańskich imigrantów. – Spojrzał na Quoyle'a. – Masz rozbity statek, bracie?

– Mhm – mruknął Quoyle. Nic więcej nie dodał.

– No to co to jest, gdzie się wydarzyło, masz jakieś zdjęcia?

– Kolizja statku przy Strain Bag. Mam też kilka fotek pożaru samochodu. Przyczyna nieznana. Wóz stał zaparkowany przed domem pogrzebowym i po prostu stanął w płomieniach, podczas gdy cała rodzina znajdowała się w środku. Wyglądał jak rozpalony ruszt.

– Trafna uwaga, Quoyle. Jeśli kiedyś zabraknie nam zdjęć, możemy wziąć ruszt, podlać olejem i podpalić go. Poruszy się aparatem i kto pozna?

– Jeszcze coś z Misky Bay. Najwyraźniej kłótnia bliźniaków, Boyle'a i Doyle'a Catów.

– Znam ich – stwierdził Billy Pretty. – Jeden z nich jeździ taksówką.

– Zgadza się. Boyle ma taksówkę. Miał kłopoty poprzedniej nocy. Podejrzewają, że chodzi o narkotyki. W środę po południu Boyle zabrał pasażera z przetwórnicy ryb, zawrócił i został zaskoczony przez zamaskowanego mężczyznę, który jechał śniegołazem. Był to starszy model niebieskiej yamaha ze słowem PSYCHOPATA wymalowanym na osłonie silnika. Podobno jego brat ma taki śniegołaz. Kierowca oddał kilka strzałów w stronę taksówki i uciekł. Rozbił przednią szybę auta i dlatego wjechało ono na rampę załadowniczą przetwórnicy ryb. Boyle ma tylko drobne obrażenia. Tamten facet uciekł śniegołazem.

– Czy mają tam śnieg?

– Nie.

– Jest kilka rzeczy, dla których zapamiętam to miejsce – odezwał się Nutbeem. – Ale przede wszystkim z powodu tych wymyślnych form przemocy oraz zdzierania szat przed obliczem sądu. To chyba specjalność Nowofundlandczyków. A ja mam taki zwykły pożar: facet podpalił swoją łódź. Może i ty to masz, Quoyle. Pewnie zrobił to, żeby dostać ubezpieczenie. Wsadzili go do pierdła na kilka dni i postawili dzisiaj przed sądem, a on zrobił to, czego można się było spodziewać.

– Zdarł z siebie ubranie – rozległ się zgodny chór.

– Popracuję nad tym – powiedział Billy, uderzając w klawisze klawiatury.

– Tert. Mówiłeś o siostrze. Czy to ta sama, o której opowiadałeś, że połknęła wilka morskiego? – spytał Nutbeem.

– Wilka morskiego? Ty przygłupie, ona połknęła wodnego wilka. Wilk morski to łódź podwodna. Zeszła po ciemku na brzeg, zaczerpnęła wody i napiła się. Była jeszcze dzieckiem. Mówiła, że poczuła, jakby coś schodziło w niej w dół. Niedługo potem zaczęła jeść za dwóch. Wciąż jadła. Och, staruszka od razu wiedziała. „Połknęłaś wodnego wilka”, powiedziała. Nutbeem, mam na monitorze komputera twoje seksualne historie. Płacą ci od metra? Siedem, osiem, dziewięć... jedenaście przypadków napastowania seksualnego. Jeśli damy to wszystko, nie starczy już miejsca na nic innego.

– Powinieneś zajrzeć do mojego notesu. Istna epidemia. – Nutbeem odwrócił się do szafek z dokumentacją. Metalowa szuflada koloru khaki zadzwierczała, kiedy wysunął ją energicznie. – Tutaj jest wszystko, co się wydarzyło od czasu mojego przybycia. Co zrobicie, kiedy mnie nie będzie?

– To jest problem Jacka. Jeden z licznych – odezwał się Tert Card z wyrazem satysfakcji. – A więc odpływasz we wtorek?

– Tak. Popłynę na Karaiby, uciekając przed zacinającym śniegiem, w poszukiwaniu przygód i miłości.

– Trochę późno na wyjazd. Wystarczy jedna noc, żeby cię zatrzymał sztorm i lód. Niektóre miejsca już zamarzyły. Niebezpieczna pora na żeglowanie. Chyba ci się nie uda. Pewnie to ciebie następnego znajdą w grotach.

Tert Card dłubiący rogiem koperty między zębami. Papier utknął i rozerwał się, zakleszczony między dwoma siekaczami.

– Tak to już jest tutaj. Późną jesienią następuje masowy exodus. Wszyscy wynoszą się na południe – powiedział Billy Pretty. – Niewielu z nas zostaje tutaj na cały rok i nie wyjeżdża na zimę. Chyba że wypływają w morze. A Quoye jest jedynym, jakiego znam, który przyjechał się u nas osiedlić. I kiedy tak się nad nim zastanawiam, to myślę, że będzie następnym do wyjazdu.

– Absolutnie zostaję – stwierdził Quoye. – Alvin Yark buduje dla mnie łódź. Bunny chodzi do szkoły i dobrze sobie tam radzi. Sunshine bardzo lubi dom Beety. Dziewczynki mają koleżanki. Ciotka wróci wiosną z St. John's. Musimy tylko gdzieś zamieszkać.

– Nie wyobrażam sobie ciebie w przyczepie Nutbeema. Widziałeś ją już? – Tajemniczy uśmiech na twarzy Terta Carda.

– Obejrzy w piątek. Quoye pomoże mi w przygotowaniach do przyjęcia. Będzie wszystko, co da się wypić, od księżycówki do piwa imbirowego i szampana.

– Szampan! To lubię – powiedział Tert Card. – Z dojrzałą brzoskwinia w środku.

– Tak, tak, mów dalej. O czymś takim można tylko poczytać. Nigdy w Nowej Fundlandii nie widziałem dojrzałej brzoskwini.

– Zjem sobie taką, kiedy dotrę na Florydę. Będzie *mai-tai*, żar tropików, fale zalewające plażę, bananowy koktajl, *pina colada*; mój Boże, siedzisz sobie na tarasie w kostiumie kąpielowym i popijasz coś takiego. A dookoła piekielny upał.

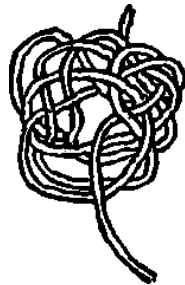
– Wątpię, żeby mężczyzna potrafił sam wychować dwie małe dziewczynki – odezwał się Billy Pretty. – Wątpię, żeby obyło się bez okrutnych plotek i nerwowych załamań.

Quoye udał, że nie słyszy.

## Włochaty diabeł

Żeby rozsupłać splątaną linę, musisz poluzować wszystkie supły i rozsunąć otwór w plątaniu w miejscu, z którego wychodzi z niej najdłuższy koniec. Następnie wyprowadź koniec na zewnątrz, tak jak odwracasz pończochę. Zachowaj otwór, nie zaciskaj węzłów i nie ciągnij za koniec, pozwól, by sam się rozwijał.

*Księga węzłów Ashleya*



W ciągu nocy ciepły powiew, jezor kojącego powietrza wysunął się ze stałego ładu i powstrzymał pełznący lód. Listopadowy śnieg stopniał. W piątkowe popołudnie Tert Card, podekscytowany fałszywą wiosną, miotał się po pokoju redakcji, odbierając telefony, mówił falsetem, płatał różne figle i wciąż wychodził do łazienki. Zalaatywało od niego rumem. Także w podniesionym głosie Nutbeema wyczuwało się podniecenie. Jego odejście zbiegało się z przybywającym księżycem.

– Pojadę teraz po Bunny i zawiozę ją do Beety – powiedział Quoyale. – Wrócę niedługo.

W kuchni Beety wypił szybko filiżankę herbaty.

– Beety, Nutbeem urządza dzisiaj przyjęcie. Pojadę wcześniej, żeby pomóc mu w przygotowaniach, i przy okazji rzucę okiem na przyczepę. O Boże, pieczesz najlepszy chleb na świecie. – Pochłonał ogromny kawał.

– Może już niedługo będę go piekła, jeśli na wiosnę Allie Marvel otworzy piekarnię. Przez pieczenie chleba człowiek jest uwiązany w domu, a ja chciałabym też zrobić jeszcze kilka innych rzeczy. – Szeptem dodała: – Jeśli tylko Dennis je ścierpi.

– Tato, ja też chcę pójść na przyjęcie – poprosiła Bunny.

– Nie, na to nie możesz. To jest męskie przyjęcie. Nie bawiłabyś się dobrze.

– Hej, Quoyale – zawołał Dennis sprzed telewizora w saloniku. – Przypuszczam, że nie wrócisz tutaj na noc!

– Wrócę – odparł Quoyale. Miał spać na dzieciennym łóżku w warsztacie w piwnicy aż do czasu przeprowadzki do przyczepy Nutbeema. – Jutro czeka mnie ciężki dzień. Drogi znowu są przejezdne. Rano muszę zabrać kilka drobiazgów z domu na cyplu, a potem pomogę Alwinowi przy łodzi.

– Jeśli dziewczynki mają tam jeszcze jakieś zapasowe rękawiczki, to przywieź je – powiedziała Beety. – Sunshine, pokaż tacie, co się stało z twoimi rękawiczkami. – Dziewczynka pokazała coś sztywnego i zwęglonego.

– Przyniosła kilka szczap drewna i rękawiczka zaczepiła się o drzazgę. Nie zauważyła, a Dennis, ten tutaj, dołożył do pieca, no i poczulśmy. Nic tak nie przyciąga uwagi, jak zapach tłącej się wełny. Wyjęłam ją, ale było już za późno. Wieczorem zrobię jej na drutach inną, ale rękawiczek nigdy za dużo.

Sunshine podbiegła do Quoyle'a, przyłożyła usta do jego ucha i przekazała mu długą, łaskoczącą wiadomość.

– Tato, Beety uczy mnie robić na drutach. Robię ci świąteczny prezent, ale to bardzo trudne.

– Wielki Boże – odezwał się Quoyle zdumiony. – Masz dopiero cztery lata.

– To taka trochę sztuczka, bo właściwie jest to długi, gruby sznur, który może się zamienić w szalik. Ale nie mogę ci go pokazać.

– Czy przekazujesz jakąś tajemnicę? – spytała Beety.

– Tak – odpowiedziała Sunshine rozpromieniona.

– Tymczasem – powiedział Quoyle.

– Bywaj! – zawołał Dennis ożywiony.



Nutbeem i Quoyle potrzebowali półtorej godziny, by dotrzeć do przyczepy. Podczas długich postojów przy sklepach z alkoholem ładowali do samochodu – aż jego tył siadł mocno – kartony z piwem i rumem, układając na tylnym siedzeniu opakowania pokrojonej szynki, indyka, przekąsek i czerwonych oliwek z jedynej w mieście supermarkety. Potem pojechali jeszcze do przetwórni ryb po kubeł z lodem, który Nutbeem zdołał jakoś umocować na dachu. Wcześniej zapadał zmrok. Jeszcze tylko kilka tygodni pozostało do zimowego przesilenia.

– Czy to nie za dużo? – spytał Quoyle. – Za dużo tego wszystkiego.

– Zapominasz o współpracownikach i ludziach z reklamy, a także o dwóch przenikliwych krytykach kulinarnych, Bennym Fudge'u i Adonisie Collardzie, którzy prowadzą kolumnę kulinarną. Czytałeś w ostatnim numerze? Coś jakby „nowofundlandzki przewodnik po smażonej kiełbasie”. Jest jeszcze twój kumpel, staruszek z portu, i chłopaczek z sądu, który przekazuje mi różne historie. Nigdy nie wiadomo, kto jeszcze się zwali. Nazbiera się z pięćdziesięciu wałkon. Zobaczysz. Killick-Claw to rozrywkowe miasto. Dlatego kupiłem sześć galonów księżycówki.

– Szczerze mówiąc, smażona kiełbasa nie jest zła – stwierdził Quoyle.

– Przesiąkasz miejscowymi zwyczajami.

Pojechali na południe przez jednopasmowy most i dotarli do przyczepy ustawionej za grupą domów. Na ścianach koloru wyblakłego różu powtarzał się wizerunek dziewcząt z parasolami. Niskie ogrodzenie z palików. Odrapany rower Nutbeema ustawiony przy schodach.

– W pobliskich domach mieszkają Goodladowie – wyjaśnił Nutbeem. – Rybacy. Lambie i John z matką mieszkają w zielonym, dwaj młodszy synowie, w pozostałych: Ray w białoczerwonym, a Sammy w niebieskim. Najstarszy syn jest biologiem morskim w St. John's. Do niego należy przyczepa. Zeszłego lata zjawił się tutaj raz, ale wyjechał po dwóch dniach. Był przejazdem w drodze do Nowej Zelandii, gdzie miał badać jakieś egzotyczne kraby z półkuli południowej.

Nutbeem w sensie kulinarnym był dość mocno związany z krabami, czego rezultatem była wysypka na przedramionach.

– Wejdz – powiedział, otwierając drzwi.

Przyczepa jak przyczepa, pomyślał Quoyale, syntetyczny dywan, malutkie sypialnie, salonik jak na zdjęciu z lat sześćdziesiątych, tyle tylko, że w każdym kącie, niczym strażnicy, stały ustawione ogromne brązowe głośniki, kuchnia wielkości kredensu z miniaturową lodówką i kuchenką, zlew na tyle duży, by pomieścić obie dłonie Quoyale'a. W łazience jeden szczególnie zwrócił jego uwagę. Na macie leżał zwinięty żółty wąż do podlewania, a w miniaturowym pomieszczeniu z prysznicem znajdowała się przecięta na pół plastikowa beczka.

– Co to takiego? – spytał Nutbeema.

– Brakowało mi kąpielni. Wciąż czuję niedosyt. To jest rezultat mojego kompromisu. W takich beczkach przewożą melasę. Przeciąłem ją na pół, jak widzisz, i ustawiłem tutaj. Mogę w niej przykucnąć. Może to nie jest genialne rozwiązanie, ale lepsze od zimnej plastikowej zasłony, która przykleja ci się do ciała.

Gdy wrócili do salonu, Nutbeem powiedział:

– Poczekaj, aż to usłyszysz. – I włączył wieżę.

Czerwone i zielone światełka, mrugające cyferki, pulsujące zakresy skal, pomarańczowe odczyty, wszystko ożyło w jednej chwili. Z głośników popłynął dźwięk jakby z płuc olbrzyma. Nutbeem wsunął w otwór srebrny krążek i przyczepa zadrżała od grzmotu. Muzyka była tak głośna, że Quoyale nie potrafił rozpoznać żadnego instrumentu, niczego poza pulsującym dźwiękiem, który zmieniał ruch atomów w jego ciele i zabijał wszelką myśl.

Quoyale wrzucił butelki z piwem do kubła wypełnionego lodem i pomógł Nutbeemowi przesunąć stół pod ścianę. Napięty plastik opakowań z przekąskami wibrował wyraźnie.

– Rozpakujemy je, kiedy przybędą pierwsi goście! – zawołał Nutbeem.

Na próżno szukali w szafkach półmiska na tyle dużego, by mógł pomieścić trzydzieści opakowań ziemniaczanych chipsów.

– A może by je wsypać do twojej beczki w łazience?! – wrzasnął Quoyale. – Tylko na dzisiejszą noc. Będzie w sam raz.

– Dobra! Napij się piwa! Pożegnalne przyjęcie Nutbeema zostało oficjalnie rozpoczęte! – Kiedy Quoyale wsypywał chipsy do pokrytej mydlinami beczki, Nutbeem zawył przeciągle w otchłań nocy.

Przez malutkie okienko umieszczone między łososioworóżowymi zasłonkami ujrzeli światła reflektorów przecinające wąski most. Butelka w dłoni Quoyale'a drżała w rytm dudnienia muzyki. Nutbeem mówił coś, lecz nie sposób było zrozumieć co.

Tert Card pierwszy pojawił się w drzwiach; potknął się i wylądował przy stole z przekąskami. Ścisnął w dłoni butelkę rumu, na głowie miał płócienną czapkę turystyczną, która sprawiała, że jego głowa przypominała teraz głowę ogromnej mrówki albinosa. Rozerwał celofan jednego z opakowań i wpakował do ust kilka plasterków szynki. Zaraz za nim nadszedł tłum pokrzykujących i chwiejących się mężczyzn, którzy – jakby zostali zaproszeni na konkurs jedzenia sera i szynki – rzucili się na przekąski. Pochłaniali chipsy niczym ptactwo, które trzeba nafaszerować przed włożeniem do piecyka.

Przyczepa drżała na fundamentach z żuźlowych bloków. Nagle w jej wnętrzu zrobiło się tak ciasno, że trzeba było podawać butelki z rąk do rąk ponad głowami innych.

Tert Card znalazł się obok Quoyale'a.

– Chcę ci coś powiedzieć! – zawołał i uniósł w jego stronę wyszczerbiony kubek. Zniknął jednak, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Quoyale zaczął odczuwać dziką przyjemność, jakiej dawno już nie czuł. Wolny od ojcowskich powinności, wolny od myśli o Petal i Wavey. W całym swoim dorosłym życiu był na dwóch, może trzech przyjęciach, lecz nigdy na takim, gdzie gośćmi byli sami mężczyźni.



Tradycyjne przyjęcia, pomyślał, przypominały subtelne rozgrywki seksualnego i towarzyskiego badmintonu, natomiast to było coś zupełnie innego. Panował tu nastrój prymitywnego podniecenia, które bardziej kojarzyło się z bójką na parkingu na tyłach portowego baru niż z wesołym przyjęciem pożegnalnym Nutbeema. Powietrze było gęste od smrodu tytoniu, rumu i brudnych włosów. Turystyczna czapka Terta Carda pojawiała się i znikła, jakby wykonywał przysiady. Otarł czoło przedramieniem.

– Wszyscy pytają mnie o włochatego diabła – wrzasnął. – Ale tobie opowiem.

Quoyłe ledwie rozróżniał słowa nieustannego monologu.

– Kiedy mój ojciec był jeszcze młody, na Labradorze... Nazywali go szajbus, ponieważ był leworęczny. Mówił, że czuł, jakby był blisko DZIURY pod śniegiem. Trzeba iść ostrożnie albo... wpadniesz do środka... Szedł ostrożnie... jakby straszło. Jednego dnia razem ze swoim kumplem Alphonse'em... Pojechali do obozowiska... Alphonse mówi: „NIC Z TEGO, wracam”. Ojciec próbował go przekonać... „ZOSTAŃ do rana”... położył się. Rano Alphonse ZNIKNAŁ. Jego ślady... prowadziły prosto. A potem nic... urwały się, czystutki śnieg.

Mężczyzna o nalanej twarzy, której rozmiary i kształt przypominały szesnastofuntową szynkę, przecisnął się przez tłum i stanął przed Quoyłem. Jego słowa wydawały się bardzo odległe, mimo że krzyczał.

– Cześć, Quoyłe, Adonis Collard. Piszę do kolumny kulinarnej. Chciałem się przywitać. Nie zaglądam zbyt często do Killick-Claw. Wiesz, przeważnie siedzę w Misky Bay. Ze względu na restauracje!

Tłum zafalował i Quoyłe został poniesiony w poblize kubła z piwem. Ze sprzętu nagłaśniającego płynęły niezwykle niskie odgłosy jakby chrapania i piłowania. Potem znowu pojawił się Tert Card. Z jego ust wystawał plasterek szynki.

– Ojciec miał TYCZKĘ. Pogrzebał w miejscu, gdzie skończyły się ślady. I nagle odgłos, jakbyś wyciągnął z butelki KOREK... głęboka, niebieska studnia... gładki, stalowy CYLINDER. Wrzucił do niego kij. Świsnął jak płozy sań.

Ktoś wepchnął się między nich i Quoyłe, próbując przedostać się do drzwi, pracował łokciami jak wiosłami. Lecz Card znowu pojawił się przed nim.

– Nagle coś pojawiło się ZA NIM. WŁOCHATY DIABEŁ wskoczył do dziury jak HOKEJOWY krążek... CZERWONE OCZY. I mówi do mojego ojca: „WRÓCĘ po ciebie... jak tylko zmyję GARNKI”. Ojciec... biegł całe czterdzieści mil.

– Moja żona nie żyje! – ryknął Quoyłe.

– Wiem – powiedział Tert Card. – To nic nowego.

Do dziesiątej Quoyłe był już pijany. Tłum stał się tak gęsty, że Nutbeem nie potrafił wydostać się do przedpokoju ani na zewnątrz i wysikał się na pozostałe w niebieskiej beczce chipsy, dając przykład wielu innym. Ogluszająca muzyka popychała ludzi ku granicy szaleństwa. Na zewnątrz rozpętały się dwie bójki. Czerwony jak burak Diddy Shovel wrzucił do zatoki rower Nutbeema. Osilek rozglądał się, wołając, by pokazali mu krokiew, na której mógłby zawisnąć na małym palcu. Pojawił się Dennis, pijany i zataczający się z butelką rumu w dłoni. Mężczyzna o ponurej twarzy, którego Quoyłe nigdy dotąd nie spotkał, ściągnął spodnie i zaczął tańczyć w błocie. Nastąpił silny wstrząs, gdyż dwudziestu śpiewających zgodnie ludzi podniosło koniec przyczepy, odrzucając nogami żuźlowe bloki. Był też Jack. Popijał z butelki Dennisa, obejmując go ramieniem. Jakaś półciężarówka wjechała w grupę mężczyzn, okruchy szkła rozprysły się po ziemi. Billy Pretty leżał na schodach przyczepy, wyśpiewując bezgłośnie piosenki, zmuszając pozostałych, by przechodzili nad nim. Narastało pulsujące dzikie szaleństwo, krzyki i ryki mieszały się z dudniącą muzyką. Rozbrykana, coraz bardziej gwałtowna dzicz. Słowa, coraz mniej zrozumiałe, stapiały się w dawną gwara prowincjonalnych portów. Quoyłe nie rozumiał ani słowa.

Wychudzony mężczyzna o czarnych włosach, o stopę wyższy od miejscowych, których charakteryzowały ogromne szczęki, brak szyj, włosy koloru piasku i potężne klatki piersiowe, wspiał się na schody. Wzniósł nad głowę siekiere, którą zabrał ze stosu drewna Nutbeema.

– Hej! – zawołał. – Chce jechać, taa? Chcemy go mieć tutaj! Chodźcie, chłopaki! Porąbimy jego łódź! Masz piłę, Neddie?

– Nie! – wrzasnął Nutbeem. – Nie! Nie dotykaj jej, kurwa! Pieprz się, zostaw ją!

Tuzin chłopów, rycząc, rzucił się za czarnowłosym mężczyzną. Quoyale nie rozumiał, co się dzieje, zorientował się tylko, że został sam. Wszyscy poszli gdzieś bez niego. Jak zawsze. Quoyale samotny. Nic, ale to nic się nie zmieniło. Czując się rozdrażniony i odrzucony, ruszył drogą, zataczając się w kierunku... czego? Czegoś.

– Quoyale, ty pieprzony sukinsynu, wracaj i pomóż mi ją uratować! – Jednak ryki Nutbeema utonęły w ogólnej wrzawie.



Wszyscy pognali na przystań, gdzie stała przycumowana „Borogove”. Niektórzy przynieśli ze swoich samochodów piły łańcuchowe, inni kije i kamienie. Przewodził im czarnowłosy mężczyzna, który ryczał: „Kochamy starego pieprzonego Nutbeema!”

Zgrabna, mała łódka znajdowała się w doku, odnowiona, gotowa do drogi, zaprowiantowana, pojemniki na słodką wodę napełnione, liny nowe, mosiężne części wypolerowane. Nutbeem szedł drogą, płacząc i śmiejąc się na przemian, gdy tymczasem coraz to nowi przybysze gromadzili się wokół łodzi. Czarnowłosy mężczyzna uniósł siekiere i uderzył z całych sił w pokład. Piła wgryzła się w maszt. Rozległo się przeraźliwe walenie, odgłosy wyrywania, plusk wody – kawałki „Borogove” leciały do wody. Czarnowłosy mężczyzna zniknął z siekiere pod pokładem i szybko przebił na wylot dno łodzi.

– Każdy jest panem siebie! – zawołał i wyskoczył na molo.

W ciągu dziesięciu minut łódź Nutbeema znalazła się pod wodą, nad powierzchnią pozostał widoczny tylko dach kabiny, niczym zalana wodą tratwa.

Quoyale nie pamiętał, jak i kiedy wydostał się z całej tej zawieruchy. W jednej chwili był tam, w następnej na czworakach w rowie po drugiej stronie mostu. W jego rozpalonych ustach powietrze było jak woda. A może wpadł do wody i teraz unosił się bezwładnie wśród nocy? Wstał, zatoczył się i obejrzał w kierunku przyczepy. Okna tworzyły ukośną rozjarzoną linię jak tonący statek pasażerski. Pomyślał, że wszystkie statki w odległości pięciu mil słyszą muzykę płynącą z głośników Nutbeema i ryk tej hałasty.

Ruszył drogą w coraz większą ciszę. Do cholery z Nutbeemem. On ma własne sprawy. Minął domy i poszedł w górę stromymi ulicami Killick-Claw. W głowie trochę mu się rozjaśniło. Nie wiedział, dokąd zmierza, po prostu szedł przed siebie. Wzgórze ponad miastem. Codziennie pokonywał tę samą drogę do pracy. W dole dostrzegł światła portu, przez zatokę płynął powoli ogromny statek. Latarnia na cyplu omiotła morze smugą swego światła. Quoyale szedł dalej. Czuł, że mógłby tak zejść do Australii. Teraz w dół, z boczem wzgórze, obok ciemnych okien redakcji „Pleciuchy”. Zimne światło telewizyjnego ekranu w domu Buggitów; pani Buggit sama ze swoimi serwetkami. Spojrzał na drugi brzeg zatoki, na Quoyale's Point, który ginął w ciemności nocy. Księżyc rozjaśnił ład, rzucił na wodę iskrzącą się smugę.

Znalazł się pod jej oknem. Niewyraźna, piskliwa muzyka dochodziła z wnętrza. Klęknął przy oknie. Przenikliwe światło neonówki umieszczonej pod sufitem. Stukanie. Zajrzał do środka i ujrzał Wavey siedzącą na kuchennym krześle, szeroko rozstawione nogi, spódnica jak hamak podtrzymywana akordeon spoczywający na jej kolanach. Jej stopa unosząca się i opadająca, wybijająca rytm smutny przez swoją monotonię. A na pustej scenie kuchennego

linoleum Herry tańczący skoczego giga, płaska twarz rozciągnięta grymasem ogromnego skupienia.

Quoye wypełził na drogę. Odbicie księżyca na wodzie przypominało dziurę w morzu, taką samą jak lodowa dziura, w której włochaty diabeł ojca Terta Carda mył swoje garnki. Pomalowane, drewniane psy ojca Wavey patrzyły z podwórka, ich obroże z kapsli migotały w świetle, jakby psy połykały coś łąpczywie. Ruszył z powrotem do Killick-Claw, do gospody, w której wynajmie pokój. Zapomniał o domu Beety i Dennisa, o swoim łóżku w piwnicy.

## Kuzyn

Magiczne sieci, pułapki oraz węzły były – i w pewnych przypadkach jeszcze są – używane jako mordercza broń.

*Węzły czarownic i dawnych ludów peruwiańskich*



O dziesiątej rano pokojówka zapukała do drzwi pokoju Quoyle'a, po czym wsunęła głowę i zawołała:

– Wchodzę, kochasiu.

– Zaczekaj – powiedział Quoyle. – Jeszcze pół godzinki. – Grobowy głos.

– Pewnie byłeś na tym przyjęciu, na którym zatopili łódź! Harriet mówi, że kuchnia chce skończyć podawać śniadanie, bo zaczynają przygotowywać lunch. Czy mam powiedzieć, żeby odłożyła ci kilka jajek i trochę herbaty?

Ale Quoyle klęczał już przed muszlą klozetową. Wymiotował, cierpiąc straszne męki, przepełniony nienawiścią do samego siebie. Jej głos dochodził do niego niczym brzęczenie osy we wnętrzu słoja. Wreszcie zdobył się na to, żeby otworzyć prysznic; stanął pod gorącymi igiełkami z twarzą tuż przy sitku, czując, że ból głowy nieco słabnie. Bolały go nogi.

Po gorącym prysznicu sypialnia wydała mu się lodownią.

Wciągnął na siebie ubranie, sztywne jak pofałdowany metal. Kiedy się schylił, by zawiązać buty, ból znowu wlał się do oczu, a żołądek zacisnął się mocno.

Niebo za oknem było brudne, na ulicy wirował piasek. Przejechało kilka ciężarówek, ciągnąc za sobą poskręcane ogony spalin. Zimno. Rękaw marynarki był rozpruty na całej długości.

Na dole Harriet uśmiechnęła się głupkowato.

– A to dopiero było przyjęcie – powiedziała.

Quoyle skinął głową.

– Powinieneś napić się herbaty. Porządną filiżankę gorącej herbaty.

– Napiję się w domu – powiedział. – Muszę pojechać i zabrać jeszcze trochę rzeczy. – Buty Sunshine, zapasowe rękawiczki dla dziewczynek, pozostałe koszule, książki z biblioteki, które już dawno powinien był oddać. Trochę narzędzi. Po południu ma jechać do Alvina Yarka. Przypomniała mu się zdewastowana przyczepa Nutbeema. A jeśli nie będą mogli w niej mieszkać? Próbował zatelefonować do Nutbeema. Z trudem wsuwał monety do aparatu. Nikt nie odpowiadał.

– Na noc zapowiadają opady śniegu – powiedziała Harriet i złożyła gazetę, szeleszcząc nią. – Masz jakieś wieści od Agnis? Podoba jej się w St. John's? Wiem, że Dawn się podoba. Ona jest najmłodszym dzieckiem mojego kuzyna Arky'ego. Zdaje się, że jest jej tam bardzo dobrze. Mówi, że nie wróci już tutaj.

– Chyba jej się podoba – odparł Quoyale. Jego ciałem wstrząsały dreszcze.

Wyszedł na ulicę, lecz nie mógł znaleźć swojego samochodu. Spróbował wrócić pamięcią do przyjęcia Nutbeema. Pamiętał, że szedł bardzo długo, aż do domu Wavey. Zaglądał do okna. Samochód został pewnie u Nutbeema. A może go rozbił? Zjechał z drogi albo wjechał do morza? Nie miał pojęcia. Poszedł na postój taksówek i pojechał do przyczepy. Było to ostatnie miejsce, które pragnął zobaczyć.

– A więc to tutaj odbyło się to wielkie przyjęcie – odezwał się kierowca. – Różnie to teraz bywa. Widziałem przyjęcia, które trwały po trzy, cztery dni. Tak, synu, skończyły się stare dobre czasy. – Odjechał.

Samochód Quoyale'a rzeczywiście tam stał, tyle tylko, że miał wgniecione drzwi. Na tylnym siedzeniu kilka puszek po piwie. Na zderzaku pokurczone plasterki szynki. Przyczepa z jednej strony opuszczona. Całe podwórko zasypane szkłem z rozbitych butelek. Ani śladu Nutbeema, jego roweru i łodzi na przystani. Czyżby odpłynął w nocy, pijany, bez pożegnania? Pewnie unosi się teraz na Atlantyku z głową jak w imadle.

Quoyale pomyślał o beczce pełnej moczu, o malutkich aluminiowych pokojach. Nie chciał mieszkać w przyczepie.



Beety obdarzyła go chłodnym spojrzeniem i kubkiem gorącej herbaty.

– Nocowałem w gospodzie – powiedział. – Jak widać.

– Wyglądasz, jakbyś spał w psiej budzie. Nie sądziłam, Quoyale, że jesteś jednym z tych.

– Ja też nie. – Bardzo gorąca herbata oraz dwa suchary i dużo mleka znacznie mu pomogły. – Czy Dennis wstał?

– Tak. W pewnym sensie można by powiedzieć, że w ogóle się nie kładł. Przyszli o świcie z tym biednym Nutbeemem, wzięli jakieś narzędzia i teraz odpędzają tych, którzy zatopili łódź. Biedny pan Nutbeem.

– Zatopili łódź? Nie widziałem tego. Właśnie stamtąd wracam. Niczego nie widziałem. Nikogo tam nie było. Pusto.

– Pojechali po dźwig. Dennis mówi, że wczoraj wieczór poniosło ich. Niezły dowcip, żeby zatrzymać biednego Nutbeema, zatapiając mu łódź. Teraz więc muszą to naprawić.

– Mój Boże – powiedział Quoyale. – A ja myślałem, że Nutbeem wypłynął nocą.

– Sprawiał wrażenie, że nie jest w stanie sam przejść na drugą stronę ulicy.

– Tato! Zgadnij, co się stało? Jestem chora, tato. I Bunny też. I Marty.

Sunshine stała w drzwiach w opadającej piżamie, z zakatarzonym nosem. W dłoni ścisnęła kartkę papieru.

– Biedactwo – uzalił się Quoyale, po czym uniósł ją do góry i zanurzył dla niej w swojej herbacie kawałek tosta.

– Wszystkie się przeziębiły – powiedziała Beety.

– Miałem zamiar zabrać je dzisiaj rano do domu. Zajmowałeś się nimi przez cały tydzień. Musisz odpocząć.

– Są jak moje – odpowiedziała. – A może będziesz mógł zająć się wszystkimi dziećmi jutro po południu? Będzie tutaj Winnie, ale wiesz, wolałabym, żeby ktoś starszy był pod ręką. Mieliśmy zamiar z Dennisem odwiedzić jego rodziców. Wspominali coś, żebyśmy przyjechali na wieczorną mszę, a potem na kolację do nich. Zabralibyśmy dzieciaki, ale są całe zasmarkane.

– Chętnie z nimi zostanę, Beety. Bardzo mi pomagasz. Wczoraj wieczorem widziałem razem Dennisa i Jacka. Wydawało się, że obaj są w dobrym humorze. Można sądzić, że okres chłodu między nimi minął.

– To były tylko plotki. Nigdy nie było okresu chłodu. Po prostu wściekli się na siebie trochę, ale to przeszło. Reszta to tylko plotki.

Quoyle czuł pod dłonią rozgrzane ciało Sunshine. Spojrzał na jej rysunek. U góry arkusza postać o kaktusich uszach i spiralnym ogonie. Nogi ciągnęły się w dół, aż do końca papieru.

– To jest mała z wyciągniętymi nogami – wyjaśniła Sunshine. Quoyle ucałował jej czoło, świadomy czających się mocy, które każą jej rysować brokułowe drzewa z brązową korą.

– Rano przyczepa Nutbeema była w dość opłakanym stanie. Wczoraj w nocy jeden jej koniec zdjął z fundamentu. Sądzę, że dziewczynki powinny raczej mieszkać w domu, a nie w tej przyczepie. Jeśli uda mi się coś znaleźć. Może znasz kogoś, kto będzie chciał wynająć dom na jakiś czas.

– Rozmawiałeś z Burke'ami? Są na Florydzie. Mają ładny dom. Mieli zamiar go sprzedać, ale teraz może wynajmą. Najpierw nie chcieli, lecz nie mają żadnych kupców. Dom stoi przy drodze do Flour Sack Cove. Mijasz go dwa razy dziennie. Szary dom z tabliczką NA SPRZEDAŻ. Na rogu.

– Z ogrodzeniem z biało-czarnych palików?

– Tak.

Znał ten dom. Ładny budynek z niebieskimi framugami, wysoko przy drodze, dobry widok na port dla żony marynarza.

– Rozejrzę się w poniedziałek. Może się okaże, że jest odpowiedni dla nas. Ale nie mogę go kupić. Włożyłem dużo pieniędzy w stary dom na cyplu. Niewiele mi zostało. Pieniądze dziewczynkę odłożyłem. Dobra. A więc sprawy tak się mają – powiedział, zwracając się do Sunshine i Beety jednocześnie. – Teraz jadę do zielonego domu po resztę rzeczy. Potem pojedę do Alvina Yarka i pomogę mu przy łodzi. Później wpadnę do Nutbeema i sprawdzę, co się dzieje z jego łodzią. Zobaczę, czy ją wyłowili. Jeśli Dennis skończy już robotę, to może kupimy kilka porcji pizzy i weźmiemy jakiś film do obejrzenia. Co ty na to, Beety? *Bestia namiętności*, zdaje się, że lubisz takie filmy?

– Nie! Nie chcę tego. Dlaczego nie wypożyczysz jakiejś komedii? Niezły był ten australijski film, który przyniosłeś ostatnio.

Zastanawiał się, czy nakręcili już film na podstawie morderstw australijskiej lesbijki-wampirzycy.



Żwirowa droga prowadząca na Quoyle's Point, z muszelkami lodu w zagłębieniach, nigdy jeszcze nie wydawała mu się tak podła. Wiatr ustał zupełnie, a zachmurzone niebo wisiało nisko nad morzem. Cisza. Zupełna cisza. Ani bzyknie, jak by powiedział Billy. Warkot silnika wydawał mu się nienaturalnie głośny. Puszki po piwie toczyły się po podłodze. Minął zjazd na Capsize Cove i smugę dymu, później fabrykę rękawiczek, aż dotarł do ponurego domu, przypominającego kapelusza na skale.

Cisza przepelniona opuszczeniem. Zapach stęchlizny. Tak jak za pierwszym razem. Jakby w ogóle tutaj nie mieszkali. Głos ciotki i jej energia zostały wymazane.

Dom przygniatał go. Przytłaczająca przeszłość niczym bezwonne gaz wypełniała pokoje. Z daleka dobiegały westchnienia morza. Dom miał jakieś znaczenie dla ciotki. Ale dla niego? Uważał, że wybrzeże wokół domu jest piękne. Sam dom jednak wydawał mu się zły. Zawsze był taki, pomyślał. Przyciągnięty po lodzie ludzką ręką, przez wyrzutek mocujących się z linami i rzucających przekleństwa na pobożny tłum. Podniesiony na skałę. Jęczący. Przywiązany więzień, który próbuje się uwolnić. Zawrodość napiętych lin. Dom przejmował ich drgania, jakby żył własnym życiem. Tak, właśnie tak, przebywając w tym domu, miał wrażenie, że znajduje się we wnętrzu spętanego zwierzęcia, otepiałego, lecz nie pozbawionego czucia. Jakby połączony przez krzyczącą przeszłość.

Na piętro. Na progach pokoi ktoś położył kawałki sznurków z węzłami. Brudne węzły na progu pokoju, w którym spały jego dzieci! Trząsk drzwiami rozwścieczony.

Pomyślał o smudze dymu płynącej z Capsize Cove, o tym, co Billy Pretty powiedział mu o starym kuzynie, który gdzieś tam mieszkał. I wiązał swoje cholerne węzły! Quoyłe chwycił koszulę powieszoną na drzwiach, znalazł buty Bunny. Żadnych dodatkowych rękawiczek. Wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Kawałki sznurków z węzłami wcisnął do kieszeni.



Zatrzymał samochód przy końcu drogi do Capsize Cove. Musi z tym skończyć. Droga nie mogła być już gorsza. W zamrażonym błocie dostrzegł ślady psich łap. Podniósł kij, gotowy odpędzić zwierzę. Albo pogrozić temu, kto zawiązuje węzły. Ujrzał opuszczoną wioskę, budynki ciasno jeden przy drugim przy stromych ulicach. Szkielety domów pozbawione ścian. Niebieska fasada, sześcian z krokwi i słupów. Pale bez pomostów: przegniłe deski dawno już wpadły do morza.

Dym unosił się nad chatą stojącą przy samej wodzie. Bardziej przypominała szopę na łódź niż dom. Quoyłe rozejrzał się za psem, dostrzegł skif wyciągnięty na brzeg i przykryty płótnem obciążonym kamieniami. Sieci i pływak. Kubeł. Ścieżka prowadząca od wejścia do wychodka za domem. Stare sterlingi do suszenia dorsza, skrzyżowane linki na kałamarnice. Trzy owce na malutkim poletku, stos drewna, a na brzegu czerwona gwiazda plastikowej torby.

Kiedy zbliżył się, owce uciekły, pobrękując dzwoneczkami. Żadnego psa. Zapukał. Cisza. Wiedział jednak, że stary kuzyn jest w domu.

– Panie Quoyłe, panie Quoyłe! – zawołał. Czuł, że woła samego siebie. Żadnej odpowiedzi.

Nacisnął klamkę i wszedł. Pełno śmieci i drewna, smród. Zawarczał pies. Dostrzegł go w kącie, przy piecu, biały pies o matowych oczach. Stos łachmanów w drugim kącie poruszył się i starzec usiadł.

Nawet w mrocznym świetle, nawet pod maską wieku i zniszczenia Quoyłe dostrzegł podobieństwo. Zwichrzona włosy ciotki, pozbawione warg usta jego ojca, postawa jego brata, wspólna cecha całej rodziny – oczy głęboko osadzone pod brwiami sztywnymi jak końskie włosie. A co do samego Quoyłe'a: jego monstrualna broda u tamtego mężczyzny przybrała kształt nieco mniej kościstej półki pokrytej szczecina siwego zarostu.

W człowieku, który siedział przed nim w tej chacie, naznaczonej ubóstwem poprzedniego wieku, Quoyłe zobaczył to, od czego kiedyś uciekł. Starzec zwariował. Z trybów jego umysłu dawno już zostały tylko zgrzytające tarcze z wyszczerbionymi pieńkami zębów. Stracił rozum z samotności albo braku miłości, a może z powodu jakieś genetycznej, chemicznej pomyłki albo z poczucia przytłaczającej zdrady, która daje się we znaki wszystkim pustelnikom. Przy

jego nogach wdeptane w ziemię i zmieszane ze śmieciami pętle linki do wędki, balia pełna drzazg, piasku, deszczu, morskiej wilgoci, chwastów, kawałków wełny, ogryzionych owczych żeber, świerkowych igieł, rybich ości i łusek, zgniecionych pęcherzy, foczych odpadków, skorup kałamarnicy, okruchów szkła, podartych ubrań, psiej sierści, obciętych paznokci, kory i krwi.

Quoyłe wyjął z kieszeni sznurki z węzłami, rzucił je na ziemię. Mężczyzna skoczył do przodu. Chwycił je guzowatymi palcami i wrzucił do pieca.

– Te węzły nigdy już się nie rozwiążą! Ogień je zaciągnął!

Quoyłe nie mógł na niego krzyczeć nawet za czarodziejskie węzły pozostawione na progach pokoi jego córek, nawet za psa, którego tak się bała Bunny. Powiedział tylko parę słów, które nic nie znaczyły:

– Nie musisz tego robić. – I wyszedł.



Wracał wyboistą drogą, rozmyślając o starym Quoyłe'u, o jego plugawej magii zwierzęcych organów i sznurka. Pewnie żył według faz księżyca, robił znaki na liściach, widział krwawy deszcz i czarny śnieg niesiony wiatrem od zatoki, wierzył, że gęsi spędzają zimę zamrożone na bagnach Manitoby. Jego ostatnią wzruszającą obroną przed wyimaginowanym wrogiem był węzeł zawiązany na kawałku sznurka.



Quoyłe schylił się i wszedł do warsztatu. W mroku wnętrza Alvin Yark wyglądał ośnikiem wykrzywiony kawałek drewna.

– Zdaje się, że będzie z tego dobra dziobnica – odezwał się monotonnym głosem Yark. – Szedłem lasem i widzę ten świerczek. Mówię sobie: będzie ładna dziobnica dla Quoyłe'a. Widzę, że ma dobre rozchylenie, będzie ładnie wygięta łódź, nie za bardzo, wiesz. Jakies dziesięć lat temu robiłem łódź dla Noego. Na drzewie dziobnica wydawała się całkiem dobra, ale za bardzo sterczała, wiesz, miała za małe rozchylenie. Dlatego potrzeba było wypełnienia w dziobie. A Noe mówi do mnie: „Gdybym miał inną łódź, to bym tę sprzedał”.

Quoyłe przytaknął mu i przyłożył dłoń do brody. „Mężczyzna dręczony kacem słucha technicznych objaśnień szkutnika”.

– Dlatego właśnie łodzie są różne. Każde drzewo rośnie trochę inaczej, tak że każda łódź, którą budujesz, ma, wiesz, wychyl dziobnicy i wychyl rufy trochę inny. Dlatego otrzymujesz różne kadłuby. Każdy jest inny, tak jak kobieta i mężczyzna, jedni dobrzy, inni nie. – Usłyszał to kiedyś na kazaniu i przywłaszczył sobie. Zaczął śpiewać ochrypłym, niskim głosem „Och, «Gandy Goose», na nic się to zdało”.

Quoyłe wśród obrobionego drewna, po kostki w wiórach. Zmarznięty. Alvin Yark pracował w rękawiczkach, suwak jego kurtki błyskał odbitym światłem.

Najgrubsze kawałki drewna stały oparte o ścianę.

– Tamte ściałem w zeszłym tygodniu. Wiesz, nie wycinam ich wszystkich jednocześnie – wyjaśnił Quoyłe'owi. – Najpierw robię główne kawałki, węzłówkę przydziobową, wręgę i węzłówkę rufową. Wiesz, mam swoje formy, dał mi je ojciec. Ojciec mierzył i przycinał wszystko według nich, ale wiele znaków się starło, a niektóre nigdy nie były wyjaśnione, nie wiadomo, do czego służyły. Dlatego robię trzy główne kawałki i nawis. Wtedy wiem, na czym stoję.



Do Quoyle'a należało dźwiganie i przenoszenie. Ból głowy wzmógł się. Czuł jego kształt i kolor: ogromne Y, które rozwidlało się od rdzenia mózgowego i pełzło po czaszce aż do oczu, było koloru czerwonawocznego jak mięso z grilla.

Alvin Yark wyciął połączenia na ucios, przycinał i wygładzał, aż spasowały się jak uścisk dłoni. Gotowe części leżały na podłodze. Teraz dopasowali dziobnicę do stępki. Kiedy Quoyle pochylił się do przodu, wydało mu się, że szpikulce bólu wydłubią mu oczy.

– Teraz tylnica. – Potem dejwud na spoiny od wewnątrz. – Teraz połączymy to – powiedział Yark, wbijając czterocalowe gwoździe i mocując sworznie. Śpiewał dalej: „Och, «Gandy Goose», na nic się to zdało”. – To jest twój szkielet. Szkielet twojej łodzi. Trzyma się razem. Spójrzy na nią ktoś, kto zna się na łodziach i widzi całość. Ale nikt nie potrafi powiedzieć, jak będzie leżała na wodzie, jak się zachowa na martwej i krótkiej fali, nie może tego przewidzieć, dopóki jej nie wypróbuje. Oprócz biednego starego wuja Lesa Budgela. Już nie żyje. Miałby teraz jakieś sto trzydzieści lat. Budował łodzie, zanim zobaczyłem po raz pierwszy młotek i gwoździe. Potrafił budować piękne skify i prawdziwe cacka. Jego ostatnia łódź była najlepsza. Tak, wuj Les lubił łyknąć kapkę, wlewał sobie do gardzieli kwartę księżycówki. Zestarzał się. Dziwne, jak wszyscy się starzejemy.

Na wspomnienie o alkoholu Quoyle poczuł pulsowanie w głowie.

– Żona odeszła, dzieci wyjechały do Australii. Tak więc zaczęły mu chodzić po głowie pogrzeby, bramy niebieskie i trumny. Wreszcie zaczął robić trumnę dla siebie. Poszedł do swojego warsztatu z czajnikiem do połowy wypełnionym księżycówką i zaczął pracować. Walił młotkiem i piłował przez pół nocy. Potem zawlókł się do domu, żeby przespać się na podłodze w kuchni. Mój staruszek poszedł do jego warsztatu, chciał zobaczyć tę piękną trumnę. No i proszę, trumna z stępką i dziobnicą, obita i uszczelniona, zgrabniutka trumienka na sześć stóp, ślicznie pomalowana. Najlepszy w niej był nawis rufowy, dobrze osadzony, niski, w sam raz do przyczepianego silniczka.

Quoyle zaśmiał się słabo.

Yark przymocował sworzniem do wnętrza dziobnicy wygięty kawałek świerka, który nazywał nakładką.

– Widzisz, wzmacnia dziobnicę. Daje klepkom oparcie... jeśli w ogóle do nich dojdziemy, jeśli dożyję tego. – Przykucnął, odmierzył, wbił gwóźdź w jeden koniec stępki, założył na niego pętlę sznurka traserskiego i pociągnął go do znaku na drugim końcu, strzelił sznurkiem. Pojawiła się linia otoczona delikatną niebieskawą mgiełką. – Możemy chyba napić się herbaty – mruknął Yark, wycierając nos wierzchem dłoni, a potem nachylił się nad stosem wiórów, by wydmuchać pył i smarki. Znowu zaśpiewał swoją piosenkę: „Och, na nic się to zdało, wszystko się poluzowało”.

Ale Quoyle musiał jechać do przyczepy Nutbeema.



Na stopniach przyczepy Nutbeema stali Dennis, Billy Pretty i czarnowłosy mężczyzna. Pomimo zimna pili piwo. Quoyle'owi zrobiło się niedobrze na samą myśl o tym. Nie widział żadnego dźwigu ani łodzi.

– Kiepsko wyglądasz, Quoyle.

– I tak samo się czuję. Jak stoją sprawy? – Zauważył, że przyczepa stoi z powrotem na blokach i rozbite szkło zostało zagrabione.

– Już po niej – powiedział Dennis. – Nie mogliśmy sprowadzić dźwigu, ale Carl przyjechał swoim buldożerem. I to już był koniec. Od razu zerwał kabinę. Sprowadziliśmy nurka, który mieszka w No Name Cove, przyjechał i założył linę. Zaczęliśmy ciągnąć ukośnie, żeby wyprowadzić linę na brzeg, ale łódź złamała się na pół. Zaczął się odpływ i

zdaje się, że teraz dryfuje po zatoce. Jest w dwóch częściach. Tak więc na domiar złego stanowi jeszcze zagrożenie dla żeglugi.

– Mam dość – stwierdził Billy Pretty. Błoto na kolanach, podrapany i krwawiący policzek, pod daszkiem czapki przekrwione niebieskie, lśniące oczy. Popijał piwo, jakby pił aperitif.

Nutbeem przełknął duży łyk gazowanego piwa i spojrzał na zatokę. Nisko nad wodą wisiało bure niebo, z którego sączyła się ciemność, chociaż była dopiero trzecia.

– I tak bym nie zdążył – powiedział. – Nadchodzą sztormy. Zapowiadają wichury, śnieg z deszczem, śnieg, a potem zimno, jeden wielki węzeł. Do wtorku wszystko zamarznie. I tak bym nie zdążył.

– Może i nie – powiedział Billy Pretty – ale mógłbyś odstawić łódź do wiosny.

– Nie ma sensu mieszać łyż z piwem – skonstatował Nutbeem.

Kilka małych płatków śniegu spadło na kolana Billy'ego. Spojrzał na nie groźnie, po czym roztopił swoim oddechem. Opadały następne.

– Pióra diabła.

Nutbeem mówił dalej, jakby go nie słyszał:

– Przemyślałem to i zmieniłem plany.

– To znaczy, że zostaniesz jeszcze trochę? Zostaniesz na bożonarodzeniową paradę?

– Chyba długo już nie będę miał ochoty na żadne przyjęcie – odpowiedział Nutbeem. – To tak jak z tym młodzieńcem, który lubił podkraść łyżeczki cukru, aż wreszcie babka posadziła go przed cukiernicą, dała mu ogromną łyżkę i zapowiedziała, że nie odejdzie od stołu, dopóki nie zje wszystkiego. Od tej pory nie lubił już cukru. – Roześmiał się, wydymając żałośnie policzki.

– Przynajmniej potrafisz się z tego śmiać. – Dennis sam uśmiechnął się pod nosem.

– Inaczej można by się wściec, co? Nie, postanowiłem, że potraktuję to jako żart, zapomnę o wszystkim i polecę do Brazylii. Ciepło. Żadnej mgły. Woda jak śliczny, zielony basen, kolor Davida Hockneya. Kojąca bryza. Może przez kilka miesięcy da się pożyć przyjemnie. No i ryby! Ach, Boże. Steki z zimnicy. Mają taki prosty, miejscowy sos, możesz nim polać rybę albo dodać do innych sosów lub sałatek. Potrzeba na niego filiżanki soku z limony, dodajesz sporą szczyptę soli i zostawiasz na kilka tygodni, potem odcedzasz, wlewasz do zakorkowanej butelki i używasz. Pachnie dość dziwnie, ale smakuje wybornie. Zdejmujesz porcję rybki z grilla i skrapiasz ją nim. I jeszcze kubański sos zielony – limona z czosnkiem, rukiew wodna i tabasco, śmietana i ikra homara. Robią też curry, curry z muszli, duszone w kokosowym mleku i podawane z płatkami wędzonej żaglicy. Jak ja to mówię: niebo na talerzu.

– Przestań – powiedział Quoye. Welony śniegu opadały na zatokę, przykrywały ich ramiona i głowy.

– Drogi chłopcze, nie doszedłem nawet do cholernych krabów. Amerykańskich i meksykańskich krabów, szlachetnej, żółtej, purpurowej i złocistej elity krabów ze wszystkich siedmiu mórz, które dla smakosza oznaczają godzinę świetności, są chwilą prawdy na stole. Lubię je z masłem, do którego dodaję trochę kwaśnego sosu z cytryny z dodatkiem kilku kropel likieru orzechowego; może jeszcze ząbek czosnku.

– Nutbeem, jesteś poetą kuchni – stwierdził Billy Pretty. – Pamiętam, jak uraczyłeś mnie talerzem curry z foczej płetwy. To był prawdziwy poemat.

– Myślę, Billy, że nie przesadzę, jeśli powiem, że jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy jedli to rzadkie danie. No i jeszcze krewetki. Przyrządzone po brazylijsku. Ogromny, czarny żelazny rondel. Podgrzewasz trochę oliwy z oliwek, wrzucasz kilka ząbków czosnku, a potem dodajesz krewetki prosto z morza, trzeba je tylko trochę osuszyć. Kiedy już osiągną cudowną pomarańczowoczerwoną barwę, suszysz je na natłuszczonych papierach, dorzucasz trochę morskiej soli i odrobinę słodkiej papryki albo skrapiasz tabasco. Podajesz na tych papierach. Odgryzasz głowy, wyciągasz zębami mięso i wypluwasz ogony.

Wiatr cisnął w nich śniegiem. Włosy i brwi Nutbeema były już zupełnie białe, gdyż siedział twarzą pod wiatr. Pozostali odwrócili się plecami.

– Tak samo przyrządzał krewetki mój stary kumpel Partridge – powiedział Quoye.

Milczący dotąd czarnowłosy mężczyzna zmarszczył brwi. Śnieg usypał na jego ramionach białe epolety.

– Ja tam nie wiem, ale u Nella w No Name Cove też je dobrze przyrządzają, te krewetki. Takie malutkie jak twój paznokieć. Łuska je, macza w rzadkim cieście i jeszcze w pokruszonych sucharach, potem dusi porządnie i podaje z sosem tatarskim. To jest to! Mogą być też z zasmażką i duszoną fasolką.

– Tak, najlepsze krewetki, jakie kiedykolwiek jadłem – powiedział Nutbeem. – Te malutkie. Są bardzo dobre. W każdym razie później mógłbym udać się w górę wybrzeża, na meksykańskie wybrzeże Pacyfiku, zaczepiłbym się w jednej z tych wiosek, gdzie łowią rekiny. Dość prymitywne miejsca i dość prymitywny sport. Właściwie to nie planuję niczego szczególnego. Podryfuję trochę.

– Taa – odezwał się Billy, zeskrobując krawędzią dłoni śnieg z karku pod tweedową czapkę. – Szkoda, że nie mogę znowu być młody. Pojechałbym z tobą. Byłem w Sao Paulo i w okolicach. Próbowałem nawet sosu z limony, o którym mówiłeś. Jeszcze w latach trzydziestych. Kraby też jadłem. Byłem na Kubie. I w Chinach. Przed wojną. Nowofundlandczycy dużo podróżują. Niedawno odwiedził mnie tutaj siostrzeniec na transportowcu wojskowym; wieźli Amerykanów na wojnę w Zatoce Perskiej. Gdziekolwiek byś pojechał, to nas znajdziesz. Teraz jednak osiągnąłem już wiek obojętności. Jest mi bez różnicy, czy to limona, czy ziemniaki, ryba czy frytki.

– Kiedy jedziesz, Nutbeem?

– We wtorek. Zdążę jeszcze strzelić kilka dziwnych historyjek dla Jacka i Terta. „Podstarzały wdowiec ucieka z homarem!” „Premier zażywa kąpieli w importowanym piwie”. „Stary, obleśny ojciec gwałci konika swoich dzieci”. Chyba jednak będzie mi brakowało „Pleciuchy”. Ach, Quoye, złe wieści dla ciebie. Goodladowie nie chcą już wynająć swojej przyczepy nikomu z gazety. To po wczorajszej nocy. Próbowałem ich przekonać. Opowiedziałem im, jakie masz dwie słodkie córeczki, jaki z ciebie spokojny facet, pierwszorzędny gospodarz, że nigdy nie urządzasz przyjęć i tak dalej, ale nie chcieli. Bardzo mi przykro.

– Znajdę coś innego – powiedział Quoye. Z każdym oddechem nowe płatki wciskały mu się do nosa. Ból głowy przeszedł teraz w tępe pulsowanie.

– To źle – powiedział Billy całymi w srebrzystych płatkach, jakby zmieniał kolor wraz z nadejściem zimy. – To źle. – Jakby to wszystko załatwiało.

Quoye spojrział w niebo, lecz widział tylko miliony wirujących na wietrze płatków śniegu.

– To jest oddech macochy – stwierdził Billy.

## Odświętny strój

Dawniej marynarze nosili włosy zaplecione na dwa sposoby: związane albo jako jeden warkocz spleciony z czterech pasm. Żeby było bardziej elegancko, wybierali z beczułki z solanką marynowaną skórę węgorza. Marynarz związał ostrożnie skórę (tak jak związa się prezerwatywę), po czym nasuwał ją na warkocz i ściągał u góry. Na specjalne okazje używał do tego czerwonej wstążki związanej w kokardę.



– Quoye, skończ to, a postawię ci kolejkę gorącego grogu w Heavy Weather tuż za rogiem. – Tert Card, posępny i blady, spoglądający z nienawiścią na skutą lodem zatokę. Zrobiło się bardzo spokojnie i zimno. Zalane wodą placki lodu łączyły się z innymi w ogromne tafle. Nierówny, zielonkawy lód stawał się coraz grubszy, stopa lodu przywarła do brzegu, wiążąc morze z lądem. Ciecz przeszła w ciało stałe, ciało stałe zginęło pod kryształami. Lodowa równina ciągnęła się nieomal do ujścia zatoki. Patrzył, jak lodołamacz wgryza się w lód i wycina postrzępioną ścieżkę ciemnej wody.

– Chyba mogę pójść z tobą. – Niechętnie. Nie chciał pić z Tertem Cardem, ale pomyślał, że nikt inny z nim nie pójdzie. Tylko na jednego. – Zadzwońię do Beety, że przyjadę trochę później. – Chciał zabrać córki i pojechać do domu Burke'ów, do skrzypiącego, wygodnego domu z wieloma szafkami umieszczonymi w najprzeróżniejszych kątach. Najdziwniejszą jednak rzeczą w tym domu był abażur lampy, który trzeszczał cicho, w miarę jak rozgrzewała się żarówka. W łazience znajdowała się miedziana wanna na tyle duża, by pomieścić Quoye'a. Pierwsza, w jakiej mógł się zmieścić. Wolne pokoje dla gości. Jeśli w ogóle jacyś się zjawia.

– Strzelimy sobie jednego albo dwa, może dwa. – Tert Card wyszczerzył zęby w uśmiechu, diabeł trącał struny jego gardła, jakby to była gitara. – Jedź za mną. – Samochody ruszyły z jękiem, owiewane przenikliwym zimnem.

Heavy Weather składał się z jednej długiej sali, której podłoga wyłożona była ohydny linoleum i którą wypełniały zapachy toalety, rzygowin, dymu i trunków. A więc to tutaj pił Tert Card, stąd wypelzał do domu, ledwo trzymając się na nogach, tak że z trudem mógł

wejść po schodach. Quoyłe pomyślał, że Tert pewnie krzyczy w domu. Albo i coś gorszego. Kiedy kilkakrotnie zdarzyło mu się spotkać jego żonę, wydała mu się skurczona, a dzieci skuliły się, kiedy się z nimi witał. Quoyłe zwracał uwagę na małe dzieci.

Aureole jarzeniowych świateł. Zwarty mur pleców przy barze. Sylwetki mężczyzn w czapkach z nasznikami, które można było opuścić w razie potrzeby. Pokazywali sobie zdjęcia łodzi. Rozmowy dotyczyły ubezpieczenia, bezrobocia i wyjazdów w poszukiwaniu pracy. Quoyłe i Tert Card usiedli przy bocznym stoliku, zaśmieconym pogniecionymi serwetkami. Popielniczka była pełna nie dogaszonych petów. Za nimi dwóch starych robotników z nabrzeża, ubranych w płaszcze, tweedowe czapki z opuszczonymi nasznikami i szaliki, z laskami, krzywe nogi. Siedzieli blisko siebie na długiej ławce. Każdy z szklanką w dłoni. To może być ten wiejski pub widoczny po drugiej stronie zatoki, pomyślał Quoyłe.

– Co pijesz? – Tert Card oparł się o stół tak mocno, że aż się zakołysał. – Ach, nie mów mi, nic nie mów. Księżycówka i pepsi. – I już odszedł z dłonią wsuniętą do kieszeni z pieniędzmi.

Znowu w mroku.

Napili się. Gardło Terta Carda pracowało spragnione, więc pociągnął jeszcze jeden łyk, unosząc jednocześnie trzeszczące ramię i dając znak dwoma palcami.

– Bywało już gorzej. – Mówił o pogodzie. – Trzeba było widzieć dwa lata temu, jaki gruby był lód wokół brzegu. Lodołamacze pracowały dzień i noc. A sztormy były takie, że aż się słabo robiło. Zaledwie kilka lat temu w pierwszym tygodniu grudnia wiał mroźny wiatr, fale były wysokie na pięćdziesiąt stóp, jakby ocean wywracał się na drugą stronę. Szkoda, że nie widziałeś Billy’ego, siedział w kącie i trząsł się niemiłosiernie, przemarznięty do kości. A później, jakiś tydzień albo dwa, spadły najgorsze ulewy, jakie tutaj widziano. Potop i katastrofa. Tama Lost Man puściła. Nie wiem nawet, na ile milionów dolarów oszacowano straty. Grudniowe sztormy są najbardziej zdradliwe, najbardziej zmienne i groźne. W dziesięć minut ciepła bryza może się zmienić w podbiegunową zamieć.

Na ścianie ostatnia kartka z rybackiego kalendarza. Światło odbite od nagich blatów stołów. Gniewne ziewanie Terta Carda. Za oknem ciemność, najdłuższa noc. Z radia za barem sączy się prognoza pogody. Ocieplenie. Temperatury powyżej średniej.

– Taka to pogoda tutaj. Sztorm, zimno, a potem ocieplenie. Zupelne wariactwo, mróz, ciepło, wichury, ogromne fale. Jak w agencji reklamowej zarządzanej przez jakiegoś jankesa.

Kolejne drinki przyniósł im starzec. Około osiemdziesiątki, pomyślał Quoyłe, a jeszcze pracuje, dlaczego nie. Na głowie miał krótko obciętą srebrzystą szczecinę, oczy także srebrzyste, wypukłe jak szkła lunety, a pod nosem szary połysk kropli, w której odbijało się światło. Wąsy jak świerkowe igły. Rozdziawione usta – otwór w czaszce ukazujący biały język i dziąsła. Głupkowate spojrzenie utkwiał w pieniądzach, które wetknął mu Tert Card.

– Powiem ci coś – odezwał się Tert Card. – Jack i Billy już wiedzą. Widzisz, odchodzę. Mam już dość Killick-Claw. W Nowy Rok. Przyjmą mnie w St. John’s, potrzebują kogoś do redakcji informatora dostawców platform wiertniczych. Dzwonili wczoraj. Już od wieków się o to staram. Mają długą listę kandydatów. Biorą tylko najlepszych. Nie muszę ci mówić, że się cieszę. Jeśli dobrze wszystko rozegram, to może trafię do Stanów albo Meksyku, na samą górę. Chociaż uwielbiam Florydę. Pomyślę o tobie, Quoyłe, jeśli jeszcze tutaj będziesz. Widzisz, wyjeżdżam w Nowy Rok. Założę się, że ty będziesz następny. Wrócisz do Stanów. Jack i Billy będą musieli sami zająć się redakcją „Pleciuchy”. Jeśli dadzą radę.

– Myślisz, że twojej żonie spodoba się miasto?

– Żonie?! Ona nie jedzie. Zostaje tutaj, w domu. Tutaj jest jej miejsce. Ma tutaj całą rodzinę. Zostanie tutaj. Kobieta zostaje w domu. Tak, zostanie tutaj. – Rozwścieczyła go myśl, że mogłoby być inaczej. Kiedy skinieniem dłoni zamówił jeszcze jedną kolejkę, Quoyłe wstał i powiedział, że musi wracać do dzieci. Pożegnalna szklaneczka od Terta Carda.

– Wiesz, że Jack chce dać Billy’emu moją działkę. Dostaniesz pewnie babskie sprawy, Quoyale, a do wypadków i „Kroniki portowej” zatrudnią kogoś nowego. Twoje dni są chyba policzone. – Jego dłoń powędrowała do koszuli i zacisnęła się.



Quoyale ze zdumieniem przyglądał się gorączce, która nadeszła wraz z grudniowymi sztormami, jakby demoniczna energia, którą uwolniły wichry i fale, udzieliła się ludziom na całym wybrzeżu. Wszędzie, gdzie poszedł, rozbrzmiewało piłowanie i heblowanie, szczykanie drutów dziewiarskich. Ogromne, okrągłe puddingi nasączone brandy, wymalowane twarze lalek zrobionych z klamerek do bielizny, wypchane koty ze starych pończoch.

Bunny opowiadała o świątecznym widowisku w szkole. Przygotowywała coś z Marty. Quoyale zebrał siły na godzinę wyuczonych na pamięć bożonarodzeniowych wierszyków. Nie lubił Bożego Narodzenia. Myślał o czasach, kiedy jego brat rozrywał papier, w który zawinięty był cały zestaw samochodów, niezwykle kolorowych, małych pojazdów. On pewnie też dostawał wtedy jakąś zabawkę, lecz pamiętał tylko płaskie naleśniki podarunków, które zawierały piżamę albo brązowo-niebieskie trykotowe koszule, kupowane przez jego matkę. „Rośniesz tak szybko” – mawiała matka oskarżycielskim tonem. Jej wzrok wędrował w stronę brata, który uderzał alfą romeo w czerwony piętrowy autobus.

Nie pozbył się jeszcze wspomnień tamtych dni, dlatego z niechęcią słuchał tyranizujących głosów płynących z radia, które odliczały dni do Bożego Narodzenia i namawiały słuchaczy do zaciągania długów. Lubiał jednak zapach jodły. I musiał pójść na szkolne widowisko, które wcale nie było widowiskiem.



Sala była pełna. Odświętne stroje, starcy w czarnych marynarkach, które uwierały ich pod pachami, kobiety w jedwabiach i najlepszych wełnach w najróżniejszych kolorach: wielbłądzim, cynobru, pieprzu tureckiego, brązu, śliwy daktylowej, barwinka, azteckiej czerwieni. Importowane włoskie lakierki. Ufryzowane włosy, obłoki loków podtrzymane lakierem. Makijaż. Czerwone kółka róży. Ogolone twarze mężczyźni. Krawaty niczym papier pakowy. Dzieci w pastelowych, słodkich ubrankach. Zapachy płynące od wyperfumowanych ciał, buczenie, jakby rój pszczół zawisł nad czerwonym polem.

Quoyale, z Sunshine na rękach, nie dostrzegł nigdzie Wavey. Usadowili się obok Dennisa, który siedział sam w trzecim rzędzie. Pomyślał, że Beety pewnie pomaga w kuchni. Rozpoznał przed sobą starego barmana z Heavy Weather, kilku robotników pracujących na nabrzeżu – brązowe włosy zmoczone teraz i przyczesane, twarze nabrzmiałe od alkoholu i podniecenia wywołanego wspólnotą z tłumem. Rząd młodych rybaków oczekujących na propozycję pracy w odległych miejscach. Drażliwe chłopaki. Całe watahy krewnych i ziomeków wciskających się na składane krzesła. Sunshine stanęła na swoim krześle i bawiła się, machając do ludzi, których nie знаła. Nie mógł znaleźć Wavey ani Herry’ego. Zapach pudru. Powiedziała, że przyjdą. Rozglądał się.

Na scenę wyszła dyrektorka szkoły, ubrana w brązowy zakiet. Drżące światło reflektora przesunęło się po jej stopach i chór składający się z uczniów młodszych klas zaczął śpiewać. Salę zalał dźwięk przenikliwych, czystych głosów.

Nie tego oczekiwał. Tak, dzieci sepleniały zabawne albo religijne wierszyki nagradzane gromkimi brawami. Ale występowały nie tylko dzieci ze szkoły. Na scenie pojawiali się ludzie z miasta i okolicznych zatoczek. Benny Fudge, czarnowłosa zawiadaczka, który

poprowadził szturm na łódź biednego Nutbeema – gdyż teraz mówiono o nim „biedny Nutbeem” – zaśpiewał piosenkę *Księżyc świeci jasno* soczystym tenorem, którą zakończył przy akompaniamencie strzelania palcami i przytupów.

– Kiedy byłem dzieciakiem, przychodzili wieczorem i śpiewali pod drzwiami – szepnął Dennis. – Wszyscy znali głos starego Sparky’ego Fudge’a, dziadka Benny’ego. Zginął niedaleko Mummy Banks.

Potem na scenie pojawiły się Bunny i Marty.

– Cześć Bunny! – wrzasnęła Sunshine. – Cześć Marty! – Salwa śmiechu.

– Cicho – skarcił ją szeptem Quoyale. Skuliła się jak zwinięty drut.

Bunny i Marty miały na sobie identyczne czerwone swetry. Beety pozwoliła im zasiąść przy maszynie do szycia i pozszywać boczne szwy. Quoyale zauważył, że kolana Bunny się trzęsą. Zacisnęła dłonie. Zaczęły śpiewać piosenkę, której fragmenty Quoyale słyszał wcześniej w domu. Wpadająca w ucho piosenka w obcym języku, który – jak się domyślał – musiał być jednym z języków afrykańskich. Jak one się tego nauczyły? Obaj z Dennisem przesunęli dłonią po twarzach i parsknęli zawstydzeni.

– Niezłe – bąknął Quoyale.

– Taa – odparł Dennis głosem herszta bandy złodziei.

Quoyale przypomniał sobie taśmę Nutbeema. Czyżby dziewczynki nauczyły się z niej na pamięć jakiejś pogańskiej piosenki, nie rozumiejąc jej znaczenia? Miał nadzieję, że tak było.

Na scenę wyszła uśmiechnięta kobieta około siedemdziesiątki. Włosy w błyszczącej siatce sprawiały wrażenie, jakby miała na głowie srebrzystą bułkę. Policzki nad jej uśmiechniętymi ustami niczym dwa wzgórze nad doliną. Błędne spojrzenie zza szkieł. Na scenę wybiegło dziecko i położyło za nią futbolową piłkę.

– O, to jest dobre – powiedział Dennis, trącając Quoyale’a. – Numer z kurczakiem ciotuni Sofier.

Przez kilka sekund stała nieruchomo, długie ramiona w rękawach golfa, tweedowa spódnica do kolan, żółte pończochy i czerwone pantofelki. Nagle jedna z jej stóp poskrobała deski sceny, ramiona zamieniły się w skrzydła. Gdacząc i zawodząc, ciotunia Sofier przeistoczyła się w rozgniewaną kurę, która chroni swoje jajo.

Quoyale śmiał się tak długo, aż rozboleło go gardło. Chociaż kury nigdy go nie śmieszyły.

Potem wystąpili Wavey i Herry. Chłopiec miał na sobie strój marynarski, a idąc, postukiwał butami do stepowania. Wavey, w szarej sukience, którą sama sobie uszyła, usiadła na krześle. Na jej piersi akordeon przypominający kraty grilla. Kilka fałszywych dźwięków. Wavey powiedziała coś, co tylko chłopiec mógł usłyszeć. Zapadła pełna napięcia cisza. A potem Wavey powiedziała: „Raz, dwa trzy” i zaczęła grać. Skoczna melodia popłynęła przez salę i natychmiast setki obcasów zaczęły wystukiwać rytm o podłogę. Chłopiec stepował, stukając na gołych deskach. Quoyale klaskał, wszyscy klaskali i krzyczeli, aż Herry – śmiejąc się – podbiegł do przodu i skłonił się nisko, tak jak nauczyła go matka.

Występ Beety zebrał ogromne brawa.

Najpierw zza kurtyny wyłoniła się czarna laska i na sali wybuchła salwa śmiechu. Beety wyszła żwawo. Poruszała się bardzo dostojnie. Ubrana była w rajstopy do tańca i bluzkę ozdobioną cekinami, szklanymi dżetami, paciorkami, koralikami z nasion, wielobarwnymi krążkami, kryształowymi diamentami, kocimi oczkami, piórkami, perełkami, dudkami, trąbkami i łożkami z masy perłowej. Przy najmniejszym nawet ruchu jej strój wysyłał na widownię wielobarwne smugi odbitego światła. Na głowie równie połyskliwy cylinder. Zakręciła nim na palcu i podrzuciła, obracając dwukrotnie w powietrzu, tak że spadł wprost na jej głowę.

– Wszyscy znamy Billy’ego Pretty’ego – powiedziała pełnym rozbawienia, figlarnym tonem, jakiego Quoyale nigdy u niej nie słyszał.

Zerknął na Dennisa, lecz on, podobnie jak pozostali, pochylił się do przodu z otwartymi ustami w oczekiwaniu na jej dalsze słowa.

– Nie ma to, jak zaoszczędzić dolarka, co, Billy?

Zebrani, śmiejąc się, obrócili się na krzesłach i wlepili wzrok w Billy’ego, który siedział z tyłu, wijąc się pod ich spojrzeniami. Laska zawirowała.

– Taa, znamy go dobrze. Ale kto z nas słyszał o tym, co się wydarzyło ostatniej zimy, kiedy mieliśmy srebrzystą odwilż i kiedy Billy postanowił naprawić swój stary zegar, który ma w kuchni? To było tak, moi kochani. – Laska przespacerowała się po scenie. – Billy zadzwonił do Leandera Meshera.

Krzesła znowu zaskrzypiały, gdyż widzowie odwrócili się w stronę sklepikarza ze sklepu spożywczego, którego hobby polegało na naprawianiu starych zegarów.

– Leanderowi zdarzyło się już naprawić u siebie w kuchni kilka zegarków. Starych. Może niektórzy z was pamiętają je. Trzeba było je nakręcać. Codziennie! Niech skonam, to prawda! Dzień w dzień. W tamtych dniach życie było ciężkie. Tak więc Billy dzwoni do Leandera. Rozmowa miejscowa, żadnej opłaty. – Teraz zmieniła się w przebiegłego Billy’ego Pretty’ego, zgarbionego nad słuchawką telefoniczną. – „Leander, mówi. Leander, ile byś wziął za zreperowanie starego zegara, który stoi w mojej kuchni od stu lat. Nakręcam go kluczem, nie jest na baterie”. „Ha, mówi Leander. Trzeba by wziąć ze sto dziesięć dolarów. Trzeba go przywieźć do mnie. Transport i przeniesienie. Musiałbym wziąć pięćdziesiątkę w każdą stronę. Musiałbym wynająć dwóch silnych chłopaków, paliwo i olej do ciężarówki. Ubezpieczenie. Powietrze w oponach”. „Nie płaci się za powietrze w oponach”, mówi Billy. „Billy. gdzieś ty się urodził? Nie słyszałeś? Gospodarka to koło naszego pojazdu i trzeba je pompować, a ktoś musi za to płacić!”

No cóż, kochani, Billy pomyślał odrobinę. Wszyscy wiemy, że Billy mieszka na wzgórzu, a Leander na dole, dzieli ich kilkanaście ulic. Billy tak to sobie wykombinował: sam zanieś zegar do Leandera. Zaoszczędzi pięćdziesiąt dolarów. Leander może mu przynieść zegar. Pod górę. Nie, żeby był tak ciężki, ale niewygodny do niesienia, ma dużą skrzynię ze względu na wahadło. Bardzo niewygodny. – Przedstawiła rozmiary zegara: sięgnęła laską do góry, by dotknąć znanego wszystkim drewnianego gołąbka na szczycie zegara, którego wszyscy dobrze znali, rozwarła ramiona, a potem pochyliła się, by przetrzeć ściereczką rzeźbioną podstawę z drewna owocowego.

Quoye obejrzał się i zobaczył, że Billy aż pieje z zachwytu, widząc swój zegar wskrzeszony na scenie. Ktoś na widowni zaczął naśladować tykanie.

– Wziął więc kawał sznura i zawiązał go zgrabnie w miejscach, gdzie miał trzymać zegar. Potem zarzucił na plecy i idzie! Prosto do Leandera! – Teraz była Billym, który idzie, chwiejąc się w dół stromej, oblodzonej ulicy. – „Piekielna ligawica”, jak mówi nasz Billy. Idzie drobnymi kroczkami. A prawie na samym dole mieszka nasza ciotunia Fizzard, dziewięćdziesiąt latek stuknęło, czy tak, ciotuniu?

Wszyscy wyciągnęli szyje, by zobaczyć staruszkę w pierwszym rzędzie, która zasalutowała, unosząc laskę drżącą dłonią, co wywołało radosne okrzyki i oklaski.

– Dziewięćdziesiąt lat, ale proszę, idzie żwawo, na nogach śniegowce z futerkiem u góry, obcasiki podbite, żeby się nie ślizgały, czarny, zimowy płaszcz, wełniana czapeczka, w każdej ręce laseczka, a na końcu każdej czerwona guma. Nie przewróciłaby się, nawet gdybyś ją popchnął. Tak sobie myślała. – Teraz Beety udawała ciotunię Fizzard: sunęła drobnymi kroczkami, rzucając spojrzenia na boki, wypatrując tych, co to popychają dziewięćdziesięcioletnie staruszki. – Na szczycie wzgórza... – Widownia ryknęła śmiechem. – Na szczycie wzgórza nastąpiło małe nieporozumienie, można by powiedzieć. Najpierw Billy leci kilka kroczków na prawo, ślizga się, odzyskuje równowagę i skręca na lewo, znowu się ślizga, potem idzie prosto i wpada w poślizg, a wzgórze jest coraz bardziej strome, lód jak szkło. Wreszcie wali się na zegar i zaczyna nabierać szybkości, jakby jechał ogromnym



komatikiem, którym nie potrafi kierować. Biedna ciotunia Fizzard słyszy ten świst i patrzy w górę, ale za późno, zegar rymnął w nią i wpakował w zaspę. Zapadła przerażająca cisza. Wreszcie gramoli się Billy, wyciąga ze śniegu swój cenny zegar i ładuje z powrotem na plecy. Widzicie, do domu Leandera ma jeszcze kilka kroków. Ogląda się przez ramię i widzi, że ze śniegu wystają buty ciotuni Fizzard. Patrzy, a one fiknęły kilka razy i ze śniegu gramoli się cała ciotunia: czapeczka na bakier, jedna laseczka stracona aż do wiosny, czarny płaszcz zupełnie biały od śniegu. „Ach, ty! Billy Pretty!” – Zamierzyła się. Świsnęła laska. I mówi – długa pauza – i mówi: „Dlaczego nie nosisz zegarka na rękę, jak wszyscy tutaj?”

Ogromna fala śmiechu przeszła przez widownię. Mężczyźni podrzucali swoje zegarki.

– Ach, nieźle jej to idzie, nieźle, co? – Dennis huknął Quoyłe’a w plecy i pochylił się, by dotknąć ramienia pani Fizzard.

– Łże jak z nut, ani słowa prawdy – krzyczała czerwona ze śmiechu. – Ale mówi tak, jakby naprawdę tak było! Och, jest wspaniała!



Kilka dni później Quoyłe dał Wavey czajniczek z przezroczystego szkła i jedwabny szalik z deseniem czarnej borówki. Zamówił je wcześniej w sklepie ze starociami w Stanach. Ona podarowała mu sweter w kolorze pasty do butów o barwie byczej krwi. Robiła go na drutach wieczorami. I nie był za mały. Ich twarze były tak blisko siebie, że oddechy się mieszały. Mimo to Quoyłe myślał o jedynym prezencie, jaki dostał od Petal. Wcześniej rozpakowała liczne podarunki od niego. Turkusowa bransoletka, akwarium z tropikalną rybką, kamizelka ozdobiona paciorkami ułożonymi w kształcie twarzy Elvisa Presleya, z kanarkowymi oczami i ustami z cekinów. Otworzywszy ostatnie pudełko, zerknęła na niego. Siedział ze zwieszonymi rękoma i przyglądał się jej.

– Zaczekaj – powiedziała i pobiegła do kuchni. Usłyszał, że otwiera lodówkę. Przyszła z rękoma założonymi do tyłu. – Nie miałam sposobności kupienia ci czegośkolwiek – powiedziała i wyciągnęła ku niemu zamknięte dłonie. Rozchyliła palce. W każdej dłoni schowała brązowe jajko. Wziął je. Były zimne. Uznał, że zrobiła coś bardzo miłego, wspaniałego. Dała mu coś, jajka, jedynie symbol, ale otrzymał je z jej rąk jako podarunek. Dla niego. To nic, że sam je kupił dzień wcześniej w supermarkecie. Wyobraził sobie, że ona go rozumie, że musi go pokochać, żeby wiedzieć, iż liczą się wyciągnięte ręce, dawanie.

W dzień Bożego Narodzenia pojawiły się chmury. Ale przyjechała ciotka z St. John’s i wspólnie zjedli świąteczny obiad z Dennisem i Beety w kuchni pani Buggit. Ludzie wchodzili i wychodzili, ogień trzaskał wesoło, snuto opowieści o dawnych czasach, były kukły i przebierańcy. Jack biegał dookoła stołu, nalewając gorącego ponczu z rumu. Gdzieś z oddali dochodziły świąteczne strzały.



Wąsy Dennisa białe od szronu. W sobotę rano po Bożym Narodzeniu razem z Quoyłe’em pojechali w dół zatoki po drewno na następną zimę. Quoyłe pracował piłą łańcuchową, do której miał słabość, Dennis obcinał gałęzie. Niebieski szalik zrobiony na drutach przez Sunshine ledwie dał się zawinąć wokół szyi Quoyłe’a. W południe stali nad niewielkim ogniskiem, popijając gorącą herbatę.

– Beety mówi, że powinniśmy wpaść do starego Nolana w Capsize Cove. Jesteśmy dość blisko. Skończymy trochę wcześniej i pojedziemy tam. Tato albo ktoś inny zwykle zagląda do niego na początku zimy, żeby sprawdzić, czy ma dość jedzenia i drewna. W tym roku trochę

się spóźniłiśmy. Beety upiekła mu ciasto i chleb. Rano widziałem dym z tamtej strony, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Zapomniałem o nim – powiedział Quoye z poczuciem winy.

Pojechali szerokim łukiem w górę zatoki. Dennis, krzyząc, opowiadał historie o pijanych kierowcach śniegołazów, którzy utopili się tam pod lodem, ponieważ nie znali drogi.

– Cholernie zimno! – zawołał, spoglądając zmrużonymi oczami w wycięcie w linii brzegowej.

Puste domy Capsize Cove przypominały szkic węglem na zwykłym papierze. Długi łuk urwistego brzegu.

Dym snujący się z metalowej rury na dachu szopy starego kuzyna. Silnik śniegołaza stękał cicho na wolnych obrotach.

– Nie wyłączaj go – powiedział Dennis.

Wyglądało tu gorzej, niż kiedy Quoye był tu ostatni raz. Duszący smród. Starzec był zbyt słaby albo zamroczony, żeby wyjść do ubikacji. Przed nimi siedział drżący szkielet. Pies, który leżał przy piecu, nie poruszył się, choć widać było, że żyje. Quoye nie potrafił się powstrzymać. Zrobiło mu się niedobrze i chwiejnym krokiem cofnął się do drzwi. Na ogrodzonym pastwisku trzy górki pod śniegiem. Zamarznięte owce.

– Wuju Nolanie – usłyszał Dennisa. – To ja, Dennis Buggit, chłopak Jacka Buggita, z drugiej strony zatoki. Żona przysłała ci chleb. – Wyciągnął bochenek z torby. Słodki, domowy zapach chleba. Szkielet rzucił się na bochenek, miażdżąc go szczękami. Z wypełnionych chlebem ust wydobywało się stłumione wycie.

Dennis wyszedł na zewnątrz i splunął. Chrząknął i splunął ponownie.

– Śmierzące bagno. Biedny skurwysyn zdycha z głodu. Jezusie najśłodszy, co za brud. Chyba lepiej, żeby poszedł do domu opieki, jak myślisz? Odbija mu. Pali ściany własnego domu, tom. Widzisz? Poodrywał deski. To twój krewny, więc ty decydujesz, co z nim zrobić. Zabiorą go. Przyjadę później utopić starego kundla. I tak już prawie zdycha.

– Nie mam pojęcia, co z nim zrobić.

– Beety będzie wiedziała, do kogo się zwrócić. Udziela się w tej tam Zbawczej Łasce, która pomaga kobietom. A także u Matek Nastolatków. Zna wszystkie grupy. Wavey też.

– Beety i Wavey? – Płomień poczucia winy na twarzy Quoye'a. Powinien się zająć starym kuzynem, jak tylko go zobaczył. Nie pomyślał o tym.

– Tę Zbawczą Łaskę założyły Beety i Wavey. Kilka lat temu. Jeden z radnych, mieszkający niedaleko nas, któregoś zimy stłukł swoją żonę, wypędził ją na śnieg z gołym tyłkiem. Przyszła do Beety. Sina z zimna, otepiała, krew w uszach. Następnego dnia Beety zadzwoniła do Wavey. Ona wie, jak się zakłada takie grupy. Sama przecież założyła grupę specjalnego kształcenia. Trzeba zwrócić uwagę władz prowincji.

– Dzielne kobiety – stwierdził Quoye. Ale pomyślał: Ach, musiałbyś zobaczyć Petal, musiałbyś zobaczyć moją kochaną dziewczynkę. Absurdalny pomysł, Petal w Killick-Claw, nic śmiesznego. Ale by wrzeszczała, uciekłyby pierwszym możliwym samolotem. Nigdy by jej już nie zobaczył.

– Synu – powiedział Dennis – nie wiesz nawet połowy. – Ruszył śniegołazem przez smaganą wiatrem zatokę.

## Dzienna zmiana

Dzienna zmiana obejmuje co najmniej obliczenia nawigacyjne od południa do południa, poranne i popołudniowe branie długości oraz wysokości południkowej do szerokości.

*Słownik morski*

– Chcę z tobą pogadać, Quoyłe – wykrzykiwał Jack do słuchawki. – Przyjadę po ciebie jutro. Żeby ci z Misky Bay wiedzieli, kto jesteś! – Głośny kaszel. Odłożył słuchawkę, zanim Quoyłe zdążył cokolwiek powiedzieć. Jeśli w ogóle miał coś do powiedzenia.

Do stycznia zwykle zima panowała już na dobre. Niebo niepostrzeżenie upodabniało się do pozbawionego barwy lodu, który pokrywał ocean – jednostajny przy brzegu, pięćdziesiąt mil od brzegu połupany w kry, unoszące się na falach jak układanki. Śnieg padał codziennie, czasami powoli, jakby odpoczywał między sztormami. Zasy stawały się coraz głębsze: pięć, osiem, jedenaście stóp. Drogi zamieniły się w tunele biegnące między tłumiącymi dźwięki ścianami; metal, drewno milkły. I mniej więcej co dziesięć dni, według obliczeń Quoyłe’a, nadchodził kolejny sztorm.

Ogrzewanie w samochodzie Jacka pracowało na całego, a mimo to para z ich oddechów zamarzała na bocznych szybach. Quoyłe poskrobał paznokciem, rozglądając się za fokami grenlandzkimi, które jak przecinki i średniki zaczęły się pojawiać daleko na lodzie. Niezbyt uważnie słuchał Jacka. Myślał o fokach. Starszy brat Wavey, Oscar, miał oswojoną fokę. Uwielbiała miejscowe przegrzebki. Jack gadał jak katarynka o rzeczach, które zaprzętały jego umysł. Zaczął się sezon połowów ryby dennej, pojawiły się nowe przepisy, normy, od których robiło mu się niedobrze.

– Sam Einstein by się w tym nie połapał. Ci głupcy z Ottawy, którzy nie odróżniliby taszy od własnego tyłka, narobili pieprzonego bajzlu. – Jack w stanie umiarkowanego rozdrażnienia. – Bo to jest tak. – Przeczesał włosy dłonią, by się trochę podniosły. – Cholera, jak tylko coś zaczyna się rozkręcać, to zaraz się urywa. Jakbym zawsze robił coś nie tak.

Quoyłe wtulony w swój ogromny, kasztanowaty skafander. Przypomniał sobie imię foki Oscara. Pussels. Tak jak nazywali miejscowe przegrzebki.

– Okay, Quoyłe, Billy chce dalej pisać lokalne wiadomości, więc ty zostaniesz redaktorem naczelnym. Przejmiesz działkę Terta Carda, zbierzesz wszystko do kupy, telefony, przydział pracy, rachunki, ogłoszenia, drukarnię. Musisz uważać na tego sukinsyna drukarza. Jeśli tylko można popełnić jakiś błąd, to on na pewno to zrobi. Zobaczmy. Chcę, żebyś dalej redagował „Kronikę portową”.

Quoyłe zaskoczony, dłoń w połowie drogi do brody.

– Chcę wypróbować Benny’ego Fudge’a w kronice sądowej, wypadkach i seksualnym molestowaniu. Opuuszczam rubrykę kulinarną i wiadomości zagraniczne. Wszyscy dobrze znają restauracje, a nikt nie interesuje się tym, co się dzieje gdzie indziej. Mogą się dowiedzieć z telewizji.

Ciężarówka wspinała się krętą drogą, aż znaleźli się w strefie wiecznego lekkiego śniegu.

– Jak myślisz, może by tak nadać trochę inny charakter wiadomościom lokalnym? Inny tytuł strony, na przykład: „Style życia”. Widzisz, razem z Billym główkujemy nad tym już od kilku lat. Ludzie żyją tutaj na dwa sposoby. Można żyć tradycyjnie: zajmujesz się rodziną, umierasz tam, gdzie się urodził, łowisz, rąbiesz drewno, uprawiasz ogródek, cieszysz się z tego, co masz. Ale można też inaczej: kombinujesz, znajdujesz gdzieś robotę, ktoś mówi ci, co zrobić, dojeżdżasz, masz brata w RPA, a matkę w Regina, kupujesz najgorszy japoński szmelc, jaki tylko się da, opuszczasz dom, wyjeżdżasz szukać pracy. Niektórzy dostają za swoje. Wszyscy wiemy, że „Pleciucha” znana jest ze swoich dobrych przepisów i planów na budki dla ptaków, ale to za mało. Teraz musimy zająć się też problemami konsumenta, asfaltowymi drogami, loteriami, koncesjami na sprzedaż kurczaka z rożna czy kawy mint royale w delikatesach i podobnymi sprawami. Musimy pisać o tym, jak dać sobie radę w dalekich miastach. Zdaniem Billy’ego starczy materiału, żeby rozszerzyć lokalne wiadomości na dwie strony. Powie ci, co wymyślił. Popracujcie nad tym.

– Moglibyśmy zaprosić ludzi, którzy gdzieś wyjeżdżali, żeby w formie listu albo w kolumnie gościnnej opisali swoje wrażenia. List z Australii, list z Sudbury i tak dalej – podsunął Quoye.

– Sam bym pewnie czytał takie artykuły, gdybym miał dwadzieścia jeden lat i szykowałam się do podróży. To będzie inna gazeta. Zupełnie inna.

– Nutbeem bardzo dobrze sobie radził z tymi „wzruszającymi” historiami. Nie wiem, jak Benny’emu pójdzie to seksualne molestowanie.

– No cóż, poczekajmy i zobaczymy, co facet potrafi, zanim zatopimy w nim nasze bosaki, co? Podoba ci się to, Quoye? – Dojeżdżali już do Misky Bay; krąg ulic bez nazw i stromych wzniesień, poprzecinanych labiryntem śniegowych tuneli.

Skinął głową. Przysięgł sobie w duchu na świętego Pussela, że nie przepuści ani jednego błędu drukarskiego.

– Wpadnij wieczorem, to obgadamy resztę. Patrz, tutaj trzeba skrócić, a potem koło straży pożarnej. Tędy jest krócej.



– No cóż – zaczął Quoye, zasiadając na miejscu, gdzie dotychczas siadał Tert Card; uprzątnął jednak z niego wszystko i zerwał ze ściany obrazek z tankowcem. – Co tam mamy w tym tygodniu. Benny, jak tam M.S. i kronika policyjna z sądu? – Nadał głosowi niskie brzmienie.

Benny Fudge siedział z rękoma złożonymi na idealnie uporządkowanym biurku, jakby przyszedł na lekcję arytmetyki. Patrząc na jego napuszone włosy, Quoye pomyślał, że patrzy na gąbkę do wycierania tablicy.

– Muszę wam powiedzieć, że przeczytałem z pięćdziesiąt artykułów Nutbeema, żeby zobaczyć, jak pisał o tych nadużyciach seksualnych, ale nie mogę wyciąć, jak on to robił. Próbowałem to zgłębić, ponieważ uważałem, że jestem to winien Nutbeemowi, po tej historii z łodzią. Ale wciąż nie wiem. Chociaż się starałem.

„Oskarżenie o kazirodztwo przeciwko sześćdziesięciosiedmioletniemu mężczyźnie z Misky Bay zostało odrzucone we wtorek, gdyż jego czternastoletnia córka odmówiła składania zeznań”.

„Dr Singlo Booty, siedemdziesięcioletni mieszkaniec Distant Waters został aresztowany i oskarżony o dziewięciokrotne molestowanie seksualne. W siedmiu

przypadkach – od maja 1978 roku do lipca 1991 roku – sprawa dotyczy pacjentów. Oskarżony stanie przed sądem okręgowym 31 stycznia”.

Czekał, obgryzając paznokcie kciuka.

Quoyłe spojrział na Billy’ego, który uniósł nieznacznie brwi. Nutbeem wycisnąłby z tego dwie rozdzierające serce historie.

– Dalej mam lepsze kawałki. Jeszcze coś z sądu? Jest świetne.

– No to co tam masz takiego świetnego? – spytał Quoyłe.

– Dwaj faceci podpadający chyba pod cały kodeks. Nadziali się na straż ochrony przyrody. Oskarżeni o noszenie broni poza sezonem, utrudnianie funkcjonariuszom wykonywania obowiązków, napaść na strażników przy użyciu zaostrzonych kijów i więcierzy, sfłuczenie polaroidowych okularów przeciwsłonecznych należących do strażników i grożenie funkcjonariuszom na służbie. Inna historia dotyczy faceta oskarżonego o posiadanie miedzianego drutu wartości około czterech tysięcy dolarów. Oskarża się go też o przemykanie haszyszu. Mam też „młodzieńca na przestępczej ścieżce”. Ukradł rower w Lost All Hope, pojechał na nim jedenaście mil do Bad Fortune, tam ukradł motocykl i pojechał do Never Once. Ale chłopak był ambitny. Porzucił motocykl i ukradł samochód. Wjechał nim do morza i przyplłynął do brzegu w Joy in the Morning. A tam nadział się na dwóch konnych, którzy zajadali pączki w samochodzie patrolowym. Do tego jeszcze pięć przypadków oszustw dotyczących ubezpieczenia przeciw bezrobociu. A także historia czterech kapitanów małych trawlerów, z których każdy dostał po dwa tysiące grzywny za łowienie karmazyna na zamkniętych wodach. Facet z No Name dostał trzydzieści dni za łowienie na błysk na wodach wewnętrznych. I wypadki samochodowe, jakie chcesz. Mnóstwo zdjęć. Lubię robić zdjęcia. Mogę zrobić podwójną karierę. Dziennikarza i fotografa.

– Przepisz to wszystko, tylko dodaj trochę więcej szczegółów, niż miałeś w M.S. – Quoyłe starał się, by jego słowa zabrzmiały bezwzględnie.

– Taa, o przestępstwach mógłbym pisać cały dzień. Ale nie o seksie. – Zacisnął usta. – W kronice kryminalnej i pracy fotografa upatruję moją ogromną szansę.

Szansę na co, zastanawiał się Quoyłe. Ale oto on siedział przy oknie Terta Carda ze słuchawką przy uchu, przepuszczał artykuły przez komputer, przygotowywał matryce, zawoził je do drukarni w Misky Bay. Kiedy wreszcie otrzymał egzemplarz gazety, oderwał stronę z artykułami wstępnymi i stopką redakcyjną i wysłał ją do Partridge’a. *Redaktor naczelny: R. G. Quoyłe.*

I tak się to toczyło – artykuły o towarowcach uwięzionych przez lód, o akcji ratunkowej ekipy poszukiwawczej, która uwolniła marynarza przyciśniętego wodoszczelnymi drzwiami, o trawlerze rufowym dryfującym na wodzie po pożarze w maszynowni, o statku chłodni-przetwórnym odzyskanym przez bank, o marynarzu zmiecionym przez fale z pokładu okrętu hydrograficznego, o katastrofach lotniczych, wyciekach ropy, wielorybach zaplątanych w sieci, nielegalnym wyrzucaniu rybich odpadków do portowych wód, o odznaczeniach przyznanych strażakom i zwyciężczyniach konkursów piękności, o brutalnych mężach, utopionych chłopcach, odkrywcach zaginionych i odnalezionych, statkach zatopionych przez sztormy, rybackiej łodzi uderzonej przez górę lodową, zwycięzcy loterii, przechwyceniu nielegalnego transportu łosiego mięsa.

Ciotce posłał biuletyn policyjny. Pani Melville została aresztowana na Hawajach razem ze stewardem z „Łobuzicy”. Przystojny mężczyzna, młodszy od niej o trzydzieści lat, ubrania od Armaniego, toyota lexus LS400 z telefonem komórkowym. „Zrobiłam to z miłości” – wyznała. Steward nic nie powiedział.

A wszystko to w ciągu jednego dnia pracy.

## Kaftan bezpieczeństwa

Kaftan bezpieczeństwa: płaszcz z mocnego materiału ciasno opinający ciało, służący do unieruchamiania agresywnych szaleńców, groźnych przestępców itp. Niektóre kaftany przyciskają ramiona do ciała, inne mają długie, pozbawione otworów rękawy, które można związać razem.

Zbliżał się świt. W miarę jak pojawiało się coraz więcej światła, wody przybrzeżne wzdłuż linii zderzenia słonego Gólfstromu ze słonawym prądem labradorskim pokryły się mleczną patyną roślinnego planktonu. Mieszały się tutaj warstwy wód arktycznych i tropikalnych; fale tętniły życiem bakterii, drożdży, okrzemków, grzybów i glonów, pulsowały materią życia spragnioną wzrostu, zmiany, rozmnażania.

Piątkowe popołudnie. Quoyłe w domu przebiera się w stare ubranie. Przez kuchenne okno wypatruje skifu Jacka. Powietrze w oddali zabarwione deszczem, chociaż tam, gdzie on patrzył, nie padało. Z przetwórci ryb wypłynął trawler rufowy, pewnie zmierzając w kierunku Funk Island Banks. Taki statek z czternastoosobową załogą przez dziesięć dni ciągnie sieć, potem wolno wraca, po czym następuje krótka chwila podniecenia, kiedy worek włoka idzie do góry i dorsze wpadają do ładowni. Albo i nie wpadają. A potem na dół – patroszenie i wykrwawianie. Znowu z siecią i koniec zaciągu. I naprawianie sieci. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

Teraz Quoyłe dostrzegł skif Jacka, zbliżający się do Flour Sack Cove. Kurtyna deszczu wybrzuszyła się na wschód, zostawiając za sobą niebieskawe plamy. Quoyłe podniósł słuchawkę telefonu.

– Hej, Billy? Jadę teraz do Jacka. Widzę, że nadpływa.

– Przed chwilą miałeś telefon ze Stanów. Dałem twój numer, więc może zaczekaj jeszcze chwilę. Słyszałem też pogłoski, że Sea Song ma w przyszłym miesiącu zamknąć trzy przetwórcze. Anonimowe źródło. Prawdopodobnie No Name Cove jest na liście. Powiedz to Jackowi. Jeśli to prawda, to nie wiem, z czego ci ludzie będą żyli.

– Rozmawiałeś już z kimś z Sea Song?

– Dyrektor ma gębę jak koń bandyty i pewnie będzie mi wciskał kit, ale spróbuję.

Quoyłe odczekał pięć minut i położył już dłoń na klamce, kiedy zadzwonił telefon. Głos Partridge’a biegnący przez prawie pięć tysięcy mil, ospały, smutny.

– Quoyłe?! Quoyłe?! Co za parszywe połączenie. Posłuchaj, śledzisz rozruchy?

– Mniej więcej – odpowiedział Quoyłe. – W lokalnych wiadomościach poświęcają im nie więcej niż dziesięć sekund. Wygląda to paskudnie.

– Tak, paskudnie. I to nie tylko w Los Angeles. Jakby cały kraj zaraził się jakimś wściekłym wirusem, wszyscy sięgają po broń jak za dawnych czasów. Pamiętasz Ednę, tę, która przepisywała artykuły w „Record”?

– Taa. Nigdy się do mnie nie uśmiechnęła. Ani razu.

– Na uśmiech Edny trzeba było sobie zapracować. Posłuchaj. Właśnie do mnie dzwoniła. W ich redakcji wydarzyła się okropna tragedia. Wczoraj po południu przyszedł do nich jakiś przygłup z pieprzonym karabinem maszynowym i zabił Puncha, Ala Cataloga i jeszcze trzech czy czterech innych. Zranił osiem innych osób.

– Jezu? Dlaczego to zrobił?

– To właśnie przykład tutejszych nastrojów, ale miało to też coś wspólnego z „Listami do redakcji”. Dasz wiarę? Facet przysłał anonimowy list, w którym wyjaśniał, że rozruchy są konieczne dla oczyszczenia systemu i odpowiedniego rozdzielenia dóbr. Nie wydrukowali mu go, więc przyszedł z karabinem maszynowym. Edna mówi, że nie oberwała tylko dlatego, że w chwili, kiedy zaczęła się strzelanina, szukała akurat pod biurkiem spinaczy biurowych. Pamiętasz, ciągle ich brakowało. Mówię ci, Quoylo, w zeszłym tygodniu strzelali do Mercalii na autostradzie. To daje obraz, jakie panuje tu wariactwo. A ja żartowałem sobie z życia w Kalifornii, ze stylu życia w Los Angeles. W szybie ciężarówki Mercalii zostały pieprzone dziury po pociskach. Przeleciały tuż obok niej. Ona była śmiertelnie przerażona, a ja sobie żartowałem. Dopiero jak zadzwoniła Edna, zdałem sobie sprawę, w jakim pieprzonym, podłym miejscu żyjemy. Już nie ma dokąd pójść, żeby cię nie zastrzelili, spalili albo pobili. A ja się śmiałem.

Quoylo’owi wydało się, że jego przyjaciel po drugiej stronie kontynentu płacze. A może znowu się śmiał.



Powietrze ciężkie od zapachu, jakaś nieuchwytna woń, która sprawiała, że starał się oddychać głęboko. Niebo jak posoka koloru słomy sącząca się z rany. Wzdłuż drzwi jego kombi coraz więcej rdzy. Mógł być zginać w Mockingburgu...

Jack stał w skifie i widłami wyrzucał dorsze na przystań. Quoylo włożył płaszcz przeciwdeszczowy i naciągnął rękawiczki. Wziął do ręki nóż i podniósł dorsza. Takie spotkanie redakcyjne wydawało mu się dziwne.

– Ręce mogą się czymś zająć, kiedy będziemy rozmawiać – stwierdził Jack, gramoląc się na przystań. – Nigdy nie lubiłem widoku pięciu czy sześciu dorosłych mężczyzn, którzy siedzą przy stole i nic nie robią poza kłapaniem jadaczką. Siedzą beczynn timer i gryzmoła coś, drą papierki, przebierają nogami albo bawią się spinaczami.

Quoylo nie miał ochoty myśleć o spinaczach. Opowiedział Jackowi o mężczyźnie z karabinem, o strzałach na autostradzie, o rozruchach.

– Wszyscy dobrze wiedzą, jak niebezpieczne jest w Stanach. Tutaj najgorsze, co ci się może przydarzyć, to porządne mordobicie. Albo ktoś zepchnie ci samochód do morza – powiedział Jack.

Pracowali w milczeniu.

Jack zauważył, że dorsze są małe, średnio pięcio- lub sześciofuntowe. Teraz już prawie nie zdarza się złapać takiego, który by ważył pięćdziesiąt funtów, chociaż bywało, że trafiały się dwustufuntowe olbrzymy. Albo i większe. Nadmierna eksploatacja od ponad dwudziestu lat spowodowała, że zasoby nieomal się wyczerpały. Naprawdę się wyczerpały, powtórzył Jack, kiedy usiedli przy stole. Jego nóż był stale w ruchu.

– Widzisz, nie przestanę łowić – powiedział z papierosem w kąciu ust, rozpruwając zręcznie rybę i usuwając jej wnętrzności – nawet gdybym chciał, bo nigdy już nie dostałbym licencji na homary i łososie. Nie wiem, dlaczego najbardziej lubię łowić homary. Wystarczy, że odpuścisz licencję na jeden sezon, i już nigdy jej nie odzyskasz.

– Billy kazał ci powiedzieć, że podobno mają w przyszłym miesiącu zamknąć trzy przetwórn timer. Słyszał, że No Name może być jedną z nich.

– Jezu! Wydaje ci się, że już nie może być gorzej, a tu masz! To całe wyznaczanie limitów na ryby, jakby to były ziemniaki, które możesz wykopać. Jeśli nie ma ryb, nie można wyznaczać ich limitów i nie można ich łowić; skoro nie łowi się ryb, nie można ich przetwarzać ani transportować i nie ma z czego żyć. Nikt nie rozumie ich zwariowanych regulaminów. Ledwie człowiek wiąże koniec z końcem. Mówią, że jest za dużo miejscowych rybaków, a za mało ryb. A gdzie się podziały ryby? Mają je Rosjanie, Francuzi, Japońce, wschodni Niemcy, zachodni Niemcy, Polacy, Portugalczycy, Brytyjczycy, Hiszpanie, Rumuni, Bułgarzy, jakkolwiek się oni dzisiaj nazywają. Nawet wprowadzenie limitów nie polepszyło sytuacji rybołówstwa przybrzeżnego. Skąd mamy mieć tutaj ryby, skoro mniejsze i większe trawlerzy wyławiają je pięćdziesiąt czy sto mil od brzegu? A taklowce zabierają resztę na dwudziestą milę. I co zostaje dla rybaków przybrzeżnych? – Splunął do wody. Przyglądał się, jak Quoye nieporadnie operuje nożem. – Widzę, że załapałeś. I o to chodzi. Trzymaj tak dalej.

– Jack, chodzi o ogłoszenia. Chciałbym wyciąć te spreparowane. Potrzebujemy więcej miejsca na wiadomości. W zeszłym tygodniu mieliśmy materiał o tartaku, o nowym Historycznym Parku Narodowym w Misky Bay, o demonstracjach przeciwko obcym statkom łowiącym przy Virgin Rocks, o innych akcjach protestacyjnych przeciwko podwyżkom cen elektryczności, opisaliśmy też strajk w przetwórni krewetek, dobre, solidne lokalne wiadomości, a wszystko to trzeba było bardzo ścisnąć. Za mało miejsca. Co innego, gdyby tamte ogłoszenia były prawdziwe.

– Taa. To był pomysł Terta Carda, żeby dać podróbki dla grubych ryb w St. John's. Wiesz, żeby im pokazać, jak to u nas jest dobrze. Trzeba było utrzymać trochę nosa miejscowym rekinom ogłoszeniowym. Ale dobra, wywal je, jeśli potrzebujesz więcej miejsca. Widzisz, kiedy zaczynaliśmy, nie mieliśmy aż tylu wiadomości. A ogłoszenia robiły dobre wrażenie.

Kolejne oczyszczone ryby ładowały w szarym plastikowym pudle. Jack wyrzucał wnętrzności do wody.

– A wracając do problemów rybołówstwa. Tak, to są cholerne problemy. Rybacy przybrzeżni niczym się już nie różnią od sezonowych pracowników na farmach. Nasza praca sprowadza się do zbierania plonów. Od jednych zbiorów do następnych, zbieramy, co nam każą. Bierzemy tyle, ile nam zapłacą. Nie kontrolujemy już żadnych łowisk. O niczym nie decydujemy, robimy, co nam każą i kiedy nam każą. Żyjemy według zasad określanych gdzie indziej przez sukinsynów, którzy nie mają pojęcia o miejscu, w którym żyjemy. – Raczej ciężko wypuścić powietrze niż westchnąć.

Ale tak jest wszędzie, pomyślał Quoye. Jack miał szczęście, że tak długo się uchował.



Pod koniec lutego nadeszły papiery z St. John's. Miał je podpisać jako najbliższy krewny starego kuzyna i tym samym wyrazić zgodę, żeby zabrali go na zawsze. Urojenia, starcze otępienie, osobowość schizofreniczna – kiepskie prognozy. Siedział wpatrzony w formularz. Nie mógł jednym podpisem skreślić reszty życia nie znanego mu człowieka, do którego powiedział dotychczas tylko jedno zdanie, który tylko zawiązywał przeciwko niemu węzły. Pomyślał, że zanim podpisze dokumenty, pojedzie do miasta i zobaczy się ze starym kuzynem. A jeśli spotka śliniącego się, zwariowanego starca z obłędem w oczach? Spodziewał się tego. A jeśli tamten będzie przytomny, będzie go oskarżał? Tak też mogło być.

W ostatniej chwili poprosił Wavey, by z nim pojechała. Powiedział, że dobrze im zrobi odmiana. Mogliby pójść na kolację. Do kina. Nawet na dwa filmy. Wiedział, że w jego słowach kryje się coś jeszcze.



– Będzie wesoło. – Słowo to zabrzmiało głupio w jego ustach.

Kiedy w ogóle przydarzyło mu się coś „wesołego”? Albo Wavey. Zniszczona skóra twarzy osadzonej już w ramach średniego wieku, widoczna na niej suchość od żaru pieca i wiatru. Jak to było? Oboje należeli do tych, którzy stoją z boku i z wymuszonym uśmiechem przyglądają się, jak inni tańczą, kręcą się na barowych stołkach albo rzucają kulą do kręgli. Bawią się. Lecz Quoyłe rzeczywiście lubił kino, ciemność, zarys głów innych widzów na tle ekranu, zapach orzeszków i szamponu, kukurydzy trzaskającej w ustach. Odlatywał od swojej brody i zwalistego cielska ku białym strojom i zgrabnym postaciom z ekranu.

Wavey przyjęła zaproszenie. Herry może zostać u jej ojca. Tak, oczywiście, że tak.



Wczesny poranek. Kilka strzępów chmur miało kształt i kolor filetów z łosiosia. Delikatnie zielonkawe niebo nabierało barwy, w miarę jak posuwali się między wysokimi zaspami. Trochę światła wylało się ponad ich grzbietami i spłynęło na samochód. Żółte dłonie Quoyle’a pokryte brązowymi włoskami, oparte na kierownicy, kasztanowaty kostium Wavey, jakby uszyty ze złotogłowia. A potem nadszedł zwykły poranek, białoczerwony krajobraz złożony z lodu, śniegu, skał i nieba.

Zagubiony w płątaniu myśli Quoyłe nic nie mówił, nie znalazł nic, czym mógłby rozłupać nabrzmiałą między nimi ciszę. Wymamrotał jakieś głupie pytanie o nie kończącą się śpiewkę Alvina Yarka. Ale nie interesowała go odpowiedź. Zapytał tylko po to, żeby od czegoś zacząć.

– Śpiewał ją zawsze, odkąd pamiętam. „Gander Goose” zatonął na morzu, a „Bruce” był statkiem, na którym przywieźli łosie z Nowego Brunszwiku. Nie wiem kiedy, mniej więcej w czasach pierwszej wojny światowej. – Jej też to nie obchodziło, ale sam dźwięk głosów w wypełnionym szumem silnika samochodzie brzmiał zachęcająco. Pomyślała o chłopcu, który rozplakał się nad spleśniałymi krakersami w czasie lunchu. Dała mu kanapkę z mięsem, odcięła kawałek z pieczeni z łosia.

– Teraz mamy ich dość – powiedział Quoyłe; roześmiał się, próbując chwycić spleśniętą dłoń. Proroczy wydał im się widok łosia, którego ujrzeli na zamarzniętym kąpielisku dzikich zwierząt przy szosie.

W południe zobaczyli otwarty port, a widok niebieskiej wody po tyłu lodowych miesiącach napełnił ich zadowoleniem.



Wavey odwiedzała sklepy przy Water Street, ożywiona i podniecona zapachami skóry, perfum, spalin. Kupiła krówkę dla Herry’ego i parę kalesonów dla swojego ojca. Na wyprzedazy pudełko z kartami na różne okazje, nóż do obierania z czerwonym trzonkiem, który miał zastąpić stary z kuchennej szuflady, biustonosz w kwiaty w kolorach kamieni szlachetnych. Była też wspaniała włóczka szetlandzka na sweter, lecz okazała się za droga. W oknie sklepu rybnego obejrzała wystawę skomponowaną z ryb ułożonych na lodzie. Skif z filetów z flądry płynął na falach z krewetek i niebieskoczarnych małży. Latarnia morska zrobiona z całego łosiosia wysyłała lśniąca promienie z makreli. A wszystko to w ramach z krabich szczypców.

Miała ze sobą spis Quoyle’a, a także kopertę z jego pieniędzmi na ubrania dla Bunny i Sunshine. Rajstopy, spodnie sztruksowe, pulower dla Sunshine, skarpety i majtki. Kupowanie ubrań dla dziewczynek sprawiło jej ogromną przyjemność. Dodała czapeczki, skarpetki wykończone koronką, dwa wspaniałe wełniane szkockie berety z pomponem, zielono-

niebieski i fiołkowo-różowy. Bardzo uważała na kieszonkowców, których w miastach nie brakowało. Na lunch zjadła kanapkę z wołowiną, a popołudnie spędziła na zwiedzaniu drogich sklepów. Oglądała wszystko, lecz nie wydała już ani centa więcej.



Quoyale także udał się na zakupy. Krążył wzdłuż półek sklepu z podarunkami w zakładzie dla umysłowo chorych, starając się wybrać coś dla starego kuzyna. Kto wie, jakie miał wspomnienia? Kto wie, co przeżył? Łowił. Wyciągał wycierze. Miał psa. Chodził nocą. Zawiazywał węzły.

Rozglądał się między sportowymi czasopismami i maszynowo zdobionymi saszetkami, aż znalazł zdjęcie pudła w metalowej oprawie. Musi wystarczyć. Nie ma potrzeby pakować, powiedział sprzedawczyni przy kasie i wsunął fotografię do kieszeni kurtki.

Zastał starego kuzyna w plastikowym fotelu z drewnianymi poręczami. Siedział sam przy oknie. Był bardzo czysty, ubrany w białą nocną koszulę i biały szlafrok. Na żyłastych stopach tekturowe klapki. Siedział ze wzrokiem utkwionym w ekran telewizora zawieszzonego na ścianie pod sufitem. Zamazany obraz ukazywał wszystkie postacie z podwójnymi ustami, poczwórnymi oczami i podwójną krawędzią policzków. Jakiś łysy mężczyzna mówił coś o cukrzycy. Potem niebieska eksplozja reklamy środka przeciw zamarzaniu, ukazującej fragmenty meczu hokejowego i okruchy lodu.

Quoyale usiadł na krześle i wyregulował telewizor, ściszył fonię. Wstał i znowu usiadł. Stary kuzyn spojrzał na niego.

– Ty też tutaj?

– Tak – powiedział Quoyale. – Przyszedłem cię odwiedzić.

– Cholerny kawał drogi, co?

– Tak – powiedział Quoyale. – Rzeczywiście. Ale przyjechała ze mną Wavey Prowse. – Po co mówił to staremu kuzynowi?

– Ach, taa. Straciła męża.

– Tak – odparł Quoyale. Nie wydawało mu się, żeby umysł starca szwankował. Rozejrzał się, czy nie zobaczy gdzieś węzłów, ale nie dostrzegł żadnych. – No cóż, i co myślisz? – spytał ostrożnie. Trudno było odgadnąć, co miał na myśli.

– Och! Wspaniale! Wspaniałe żarcie! Mają gorące kąpiele z sufitu, mówię ci synu, jak biały jedwab, mydło, które pieni ci się w dłoni. W takiej kąpieli czujesz się jak młodzieniec. Codziennie dają ci czyste ubranie. Bielutkie jak świeży śnieg. Jest telewizor. Mają gry i karty.

– Brzmi to przyjemnie – powiedział Quoyale i pomyślał, że starzec nie może wrócić do śmierdzącego chlewa.

– Nie. Niezupełnie. Jest tu pełno cholernych czubków. Dobrze wiem, gdzie jestem. Ale życie tutaj jest na tyle wygodne, że postanowiłem dopasować się do reszty. Pytają mnie: „Kim jesteś?”, a ja im na to: „Joey Smallwood”, albo: „Największy krab w koszu”. „Och, to wariat”, mówią. „Musi tu zostać”.

– Hm – mruknął Quoyale. – W Killick-Claw mają taki dom pod nazwą „Złoty Wiek”. Może da się... – Ale nie miał pewności, czy go przyjmą. Sięgnął do kieszeni po fotografię pudła i wręczył ją kuzynowi. – Przyniosłem ci prezent.

Starzec wziął ją do drżącej dłoni i spojrzał na nią. Potem odwrócił się w stronę morza za oknem; uniósł lewą dłoń i przykrył palcami oczy.

– Zawiazywałem przeciwko tobie węzły. Przywoływałem wiatry. Owce zdechły. Biała twarz nie może przyjść.

Bolesne uczucie. Quoyale żałował, że nie przyniósł pudełka czekoladek. Ale wytrzymał.

– Kuzynie Nolanie. – Jak dziwnie zabrzmiały te słowa. Lecz wypowiadając je, w jakiś sposób związał się z tą pokurczoną łupiną. – Kuzynie Nolanie Quoyale'u. To wszystko należy do przeszłości. Nie obwiniaj siebie. Wytrzymasz jeszcze trochę, zanim zajrzę do domu „Złoty Wiek”? Mieszkają tam też ludzie z Killick-Claw i z No Name Cove. Wiesz, że nie możesz wrócić do Capsize Cove.

– Nigdy nie chciałem tam mieszkać! Chciałem zostać pilotem. Latać. Miałem dwadzieścia siedem lat, kiedy Lindbergh przeleciał nad Atlantykiem. Szkoda, że mnie wtedy nie znałeś! Niezły był ze mnie osiłek! On był tutaj, w Nowej Fundlandii. Stąd wystartował. Wszyscy tutaj byli, święty Brendan, Leif Ericsson, John Cabot, Marconi, Lucky Lindy. Wydarzyły się tutaj wielkie rzeczy. Zawsze to wiedziałem. Wiedziałem też, że jestem stworzony do wielkich rzeczy. Ale jak zacząć? Jak wyrwać się, żeby zacząć? Zabrałem się do rybołówstwa, ale nazwali mnie Sztormowy Quoyale. Widzisz, byłem pechowcem, przynosiłem ze sobą złe wiatry. Nie miałem szczęścia. Żaden z Quoyalów go nie miał. Mogłem liczyć tylko na siebie. W końcu porzuciłem nadzieję.

Quoyale zapewnił go, że zorientuje się w sprawie domu „Złoty Wiek” w Killick-Claw. Jednocześnie zdecydował, że niczego nie będzie podpisywał.

Stary kuzyn spojrział ponad ramieniem Quoyale'a w stronę drzwi.

– Gdzie jest Agnis? Ani razu mnie nie odwiedziła.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego – powiedział Quoyale.

– Ach, wiem, dlaczego nie chce do mnie przyjść. Wstydzi się, ona wie, że ja wiem. Kiedyś szybko szła do mojego domu, chociaż wtedy była jeszcze bardzo młoda. Przyszła do staruszki ze swoim kłopotem, błagała o pomoc. Ryczała i beczała. Te brudne babskie sprawy! Widziałem, jak wykopywała korzeń. Korzeń jagody buzia-i-oczko, a z krzaków diabeł łypał ślipiami. Ugotowała z korzeni czarną diabelską herbatę i dała jej do wypicia w kuchni. Siedziała tam przez całą noc. Tak wrzeszczała, że nie mogłem zasnąć. Zobaczyłem ją rano, ale nie spojrzała na mnie, odwróciła do ściany swoją ładną buzię. W misce leżało coś zakrwawionego. „I co? – spytałem wtedy. – Już po wszystkim?” „Tak”, mówi staruszka. Poszedłem do mojej łodzi. Widzisz, to sprawka jej brata, tego ogromnego, niezdarnego Guya Quoyale'a. Chodził za nią, jeszcze kiedy była małą dziewczynką.

Quoyale skrzywił się, poczuł ból popękanej dolnej wargi. A więc ciotka też przez to przeszła. Jego rodzony ojciec! Chryste.

– Przyjdę rano – wybąkał. – Może będziesz czegoś potrzebował. – Starzec patrzył na fotografię pudła. Kiedy odwracał się od niego, Quoyale'owi wydało się, że w jego wzroku ponownie dostrzegł błysk obłędu, przypomniał sobie paskudną opowieść Billy'ego o zmarłej żonie starca. Staruszka. Bezczcił ciało... Ach, ci Quoyalowie.



W hotelu Quoyale zamówił wino. Jakieś podejrzane bordeaux, kwaśne i mające smak korka. Wavey z wdziękiem podnosiła kieliszek. Wino od razu uderzyło im do głowy, więc oboje dyskutowali zawzięcie o... o niczym. Słyszał jej niski głos nawet w chwilach, kiedy milczała. Quoyale zapomniał o starym kuzynie i o tym, co od niego usłyszał. Czuł się wspaniale, wspaniale. Wavey opisywała kupione rzeczy, nowy sweter Sunshine w kolorze kobaltowego błękitu, który miał dobrze kontrastować z jej ognistymi lokami. Myślami wracała do nowego biustonosza, który miała na sobie pod sukienką i halką. Za każdym razem, kiedy podnosiła widelec, jej nadgarstki rozsiewały wspaniałą woń perfum oglądanych wcześniej w sklepie. Patrzyli na siebie ponad stołem. Najpierw krótko, potem ich spojrzenia stawały się coraz dłuższe, przesywające; były to spojrzenia, które poprzedzają intymne zbliżenie. Pobrząkiwały kieliszki. Masło topniało na ich nożach. Quoyale upuścił krewetkę,

Wavey roześmiała się. Powiedział, że zawsze upuszcza krewetki. Oboje zjedli eskalopki cielece. Zamówili drugą butelkę wina.

Po takiej kolacji kino wydawało im się już nieomal przesadą. Poszli jednak. Jakiś film o francuskim odludku, który podglądał innych przez żaluzje i bawił się nożem do chleba.

I wreszcie do łóżka.

– Och – powiedziała Wavey, leżąc oszołomiona i jakby poobijana w ogromnych ramionach Quoye'a. – Do tego hotelu przyjechaliśmy z Heroldem na miesiąc miodowy.

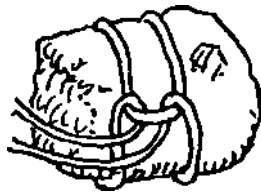


Rano pielęgniarz powiedział, że nie można się spotkać ze starcem. Zbił szkło z fotografii pudła i atakował każdego, kto się do niego zbliżył. Dostał coś na uspokojenie. Nie ma mowy o „Złotym Wieku”.

## Kotwiczne kamienie

Węzeł kotwicznego kamienia... jest używany do zakotwiczania wężerzy na homary. Może być zawiązany na końcu liny albo w zwoju. Pociągnij mocno końce, a skręty w stałym końcu liny znajdą się w pętłach.

*Księga węzłów Ashleya*



Tygodnie okrutnego zimna. Quoyłe'owi wystarczył sweter i skafander. Stare kombi strzelało i szarpało, wreszcie stanęło ostatecznie niedaleko biura „Pleciuchy”. Wysiadł i zaparł się ramieniem, kierując jedną ręką. Samochód nabrał szybkości. Quoyłe wskoczył do środka i przekręcił kluczyk, wrzucił bieg. Silnik pracował przez kilka sekund i znowu zamilkł, kiedy wtaczał się na miejsce za zniszczonym dodge'em Billy'ego. Zamarzył przewód paliwowy, pomyślał Quoyłe. Może wezmę samochód Billy'ego.

Billy miał dla niego wiadomości. Dwa telefony od dyrektorki szkoły, do której chodziła Bunny. Miał natychmiast oddzwonić. Telefonował z duszą na ramieniu. Żeby tylko Bunny nic się nie stało.

– Panie Quoyłe. Dzisiaj rano w czasie przerwy mieliśmy kłopoty z Bunny. Z przykrością muszę panu zakomunikować, że popchnęła jedną z nauczycielek, panią Lumbull. Bardzo mocno popchnęła. W rzeczywistości przewróciła ją. Jak na swój wiek, Bunny jest bardzo dużym i silnym dzieckiem. Nie, to nie był wypadek. Bez wątplenia był to czyn zamierzony. Nie muszę panu mówić, że pani Lumbull jest bardzo zaniepokojona i zdumiona. Nie wie, dlaczego dziewczynka ją popchnęła. Bunny nie chce tego powiedzieć. Siedzi w moim gabinecie i nie chce nic mówić. Myślę, panie Quoyłe, że lepiej będzie, jeśli pan przyjedzie i zabierze ją. Pani Lumbull nawet nie знаła Bunny. Ona nie jest uczennicą z jej klasy.

– Billy, mogę pożyczyć twój samochód? W moim zamarzył przewód.



Bunny wyprowadzono do przedpokoju, gdzie siedziała w czapce i płaszczu. Ręce założone, twarz purpurowa i zacięta. Nie chciała spojrzeć na Quoyłe'a. Duszyła wszystko w sobie.

Dyrektorka miała twarz pokrytą puszkami, brązowy wełniany żakiet i paznokcie jak końcówki pamiątkowych łyżeczek. Trzymała ołówek, jakby właśnie przerwano jej pisanie. Apodyktyczny głos zdradzał wieloletnią praktykę.

– Wobec zaistniałej sytuacji jestem zmuszona zawiesić Bunny w prawach ucznia, dopóki nie wyjaśni swojego postępowania i nie przeprosi pani Lumbull. Bunny, masz ostatnią szansę. Przyszedł twój ojciec i chcę, żebyś nam wszystko powiedziała. Dlaczego popchnęłaś biedną panią Lumbull?

Cisza. Quoyłe widział, że dziewczynka nie może mówić, przepełniona złością i cierpieniem.

– Chodź – powiedział łagodnie. – Pójdziemy do samochodu Billy’ego. – Skinął głową dyrektorce, która energicznie położyła ołówek na biurku.

W samochodzie Bunny zaczęła wyć.

– Popchnęłaś tę nauczycielkę?

– Tak!

– Dlaczego?

– Ona jest najgorsza ze wszystkich! – I nic już więcej nie powiedziała.

Tak więc Quoyłe zawiózł ją do Beety. Znowu się zaczyna, pomyślał.

– Pani Lumbull? – Beety uniosła brwi. – Założę się o trzy ciasteczka, że miałaś powód.

– Miałam – odparła Bunny, powstrzymując łzy.

Beety popchnęła Quoyłe’a w stronę drzwi. Dała mu znak ręką.

Usłyszał całą historię po południu. Od Beety poprzez Marty.

– Pani Lumbull uczy głównie na zastępstwach, kiedy inni nauczyciele są chorzy albo biorą udział w konferencjach. Dzisiaj dostała klasę specjalną. Opatuliła uczniów i wyprowadziła na boisko. W tej klasie jest Herry Prowse. Biedny Herry wyszedł na zimno i stwierdził, że chce mu się siku. Próbował powiedzieć to pani Lumbull. Podskakiwał. Wiesz, jak mówi Herry. A ona nie dość, że go nie zrozumiała, a może i zrozumiała, to jeszcze kazała mu stać na baczność pod betonowym murem, żeby się nie wiercił, i za każdym razem, kiedy on próbował jej coś powiedzieć, ona przedrzeźniała go i popychała do tyłu. Herry bełkotał bez końca, aż w końcu zsiąkł się w majtki, poniżony przed klasą. I oto pojawił się anioł zemsty, panna Bunny Quoyłe, przybyła z pełną szybkością i walnęła podłgą panią Lumbull dokładnie w tył kolan. Reszta to już historia. Quoyłe, gdyby ona była moją córką, dałabym jej medal. Ale trudno będzie załagodzić całą sytuację w szkole. Dyrektorka nie będzie chciała słuchać o tym, że jedna z jej nauczycielek postępuje niewłaściwie. Nauczycielom trudno dobrać się do skóry. Nawet takim jak pani Lumbull. Będzie więc próbowała zepchnąć winę na was.

Tego wieczoru Quoyłe rozmawiał z ciotką przez telefon. Nie wiedział, że ich rozmowa tak ją poruszy. Ze słuchawki dochodziło skrzeczenie, jakby słuchał mewy. Nie można było jej nic wyperswadować, złapała wczesny samolot i rano dyrektorka ujrzała trzy pokolenia Quoyłe’ów maszerujące zamrożonym podjazdem. Ciotka z fryzurą z St. John’s niczym w hełmie, Quoyłe z wysuniętą mocno brodą, a pomiędzy nimi Bunny.

Usłyszała co trzeba od ciotki, ale przede wszystkim to Quoyłe perswadował, wyjaśniał opanowanym głosem, namawiał dyrektorkę i Bunny do wzajemnych przeprosin i obietnic. Nie było to takie trudne dla dyrektorki, gdyż wiedziała, że pani Lumbull przenosi się do Grand Falls, gdzie ma otworzyć księgarnię religijną. Trudniejsze dla Bunny, która wciąż jeszcze ważyła wszystko na szali tego, co sprawiedliwe i niesprawiedliwe.



Pewne koła przekreśliły się, pewne zęby zakleszczyły. Jak zwykle w sobotnie popołudnie Quoyłe pojechał do Alvina Yarka, razem z Wavey i z dziećmi. Wavey odwróciła się w stronę

tylnego siedzenia. Spojrzała na Bunny, nie tak jak dorośli patrzą na dzieci, żeby sprawdzić, czy rozumieją, czy czują się winne, czy mają zapiętą kurtkę, czapkę na głowie i czyste paznokcie, lecz jak dorośli patrzą na dorosłych, gdy mówią pewne rzeczy bez słów. Wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Bunny.

– Miło mi, miło mi – powiedział Herry, który zawsze wychwytywał znaczenie gestów.

W samochodzie zdążającym do Nunny Bag Cove zapanowała pewnego rodzaju wewnętrzna równowaga, rzadka harmonia, która działała kojąco na wszystkich pasażerów.

Wavey i jej ciotka Ewie robiły na drutach matę na podłogę, przedstawiającą ptaki morskie skopiiowane z kalendarza. Wavey pracowała nad maskonurem. Bunny usiadła ze swoją książeczką w fotelu bujanym przy oknie. Z tego miejsca, kiedy szyby nie były zamrożone, kot Yarków obserwował łodzie, jakby to były szczury wodne. Sunshine i Herry wysypali zabawki z czerwonego plecaka Herry'ego. Później jednak Sunshine przeszła do kobiet, których druty szybko podrywały kolejne pętelki wełny, wyczarowując nurzyki i gromadniki. Wyczuwała drażniący nozdrza zapach podkładu z konopi. Wavey puściła oko. Sunshine podeszła bliżej i dotknęła palcem maskonura. Bardzo chciała spróbować.

– Rób to w ten sposób – powiedziała Wavey, zaciskając dłoń na dłoni dziewczynki i prowadząc drut, by złapał jasną wełnę.

Bunny oglądała książkę i głaskała kota stopą w rajstopach. Burza pomruków. Podniosła wzrok.

– Petal miała wypadek samochodowy w Nowym Jorku i nie przyjedzie tutaj. Nigdy się nie obudzi. Ja potrafiłabym ją obudzić, ale jest za daleko. Kiedy urosnę, mogłabym tam pojechać.

Skąd jej to przyszło do głowy, zdziwiła się Wavey.



Yark chodził niespokojnie po warsztacie. Śnieg był jeszcze głęboki, wciąż szalały sztormy i nawałnice, lód jednak już pękał. Foki przyptywały do zatok, dorsz i skarp były w okresie tarła, śledzie jakby się pochowały. Czuł zmianę, stare pragnienie, by wyjść z domu, upolować kilka fok. Albo postrzelać w góry lodowe. W każdym razie zacząć się ruszać. Lecz oczy miał już za słabe, przy świetle dziennym zachodziły mgłą, a wszystko przez śnieżną ślepotę, której nabawił się dwadzieścia lat wcześniej, chociaż żona przykładała mu kompresy z herbaty. Dlatego teraz musiał pracować w ciemnym warsztacie.

W ciągu ostatnich tygodni przypasował kil do bloków podłogowych, wypoziomował, zamocował i zabezpieczył kręgosłup łodzi.

– Teraz będzie do czegoś podobna. Dzisiaj pomierzemy główne części.

Mrucząc coś do Quoyle'a, mierzył odrapaną i zniszczoną taśmą od góry stewy dziobowej wzdłuż niewidocznej linii. Wyliczył środek długości kadłuba i jeszcze raz wyznaczył punkt na kilu, lecz tym razem kilka cali do przodu. Odmierzył od stewy tylnej, żeby wyznaczyć punkt węzłówki rufowej. Quoyle porządkował piły i dłuta, spoglądając przez szybę okna pokrytą pyłem trocin na lód skuwający zatokę. Pomiary wciąż trwały. Yark wyliczył ułożenie dna rufy nawisającej według wzorów i schematów obecnych tylko w jego głowie.

– Podaj mi tę piłę, chłopcze – powiedział. Wydawało się, że mówi z ustami pełnymi śniegu.

Quoyle podawał kolejno piłę, potem dłuto i znowu piłę i dłuto; pochylony przyglądał się, jak Yark nacina drewno. Wreszcie pomógł osadzić wręgi, przytrzymując je, gdy starzec przymocowywał je do podłogi solidnymi zworami, które nazywał podporami skośnymi.

– Teraz natniemy stewę tylną, synu. – Przymocował rufę; metal wgryzał się w drewno, zaciskając uchwyt. Yark, postępując, odchylił się do tyłu z dłońmi opartymi na biodrach. Nie mamy opóźnień, więc możemy sobie dać spokój. Przyszła Wavey?

– Tak. Dzieciaki też.

– Dobrze, kiedy dzieciaki są przy tobie. Czujesz się wtedy młody. – Chrząknął i splunął w trociny. – Kiedy macie zamiar to zrobić?

Wyłączył światło, odwrócił się w mroku warsztatu i spojrzał na Quoyle'a. Quoyle nie był pewien, o co mu chodzi. Szczelina, jaką tworzyły usta Yarka, wydłużyła się. Nie był to właściwie uśmiech, lecz raczej rozerwanie spoiny, które towarzyszyło pytaniu i które miało rozerwać spoinę Quoyle'a. Także inne.

Quoyle westchnął, jakby skończył ciężką pracę.

– Nie wiem.

– Czy chodzi o chłopca?

Quoyle potrząsnął głową. Jak to wyrazić? Jak powiedzieć, że kocha Petal, a nie Wavey, że wszystkie jego zasoby miłości już się wyczerpały? Nadeszła chwila i iskra zapaliła się; w niektórych nigdy nie gaśnie. Tak było w wypadku Quoyle'a, dla którego cierpienie i miłość oznaczały to samo. Związek z Wavey dawał mu zaledwie dobre samopoczucie i umiarkowaną radość.

Powiedział jednak:

– Chodzi o Herolda. Jej męża. Wciąż o nim myśli. On pozostaje głęboko w jej pamięci.

– Erol Prowse! – Starzec zamknął drzwi. – Powiem ci coś o Erolzie Prowsie. Kiedy zginął, w wielu miejscach odetchnięto z ulgą. Słyszałeś pewnie o typie kobieciarza, he? Takim właśnie facetem był Erol. Płodził bękarty po całym wybrzeżu od St. John's do Go Aground. W Misky Bay traktowali to prawie jak grę: należało przyjrzeć się dzieciakom i sprawdzić, czy nie są podobne do Erola. Często były podobne.

– Czy Wavey wiedziała o tym?

– Oczywiście, że tak. Zupełnie zatrzał jej życie. Zniknął i szlajał się całymi tygodniami i miesiącami. Nie, chłopcze, już ty się nie martw o Erola. Oczywiście w pamięci pozostał jako wielce tragiczna postać. A co innego mogła zrobić? Potem był chłopak. Nie można takiemu dzieciakowi powiedzieć, że jego ojciec był parszywym szczurem. Wiem, że ona rozwodzi się nad Eroldem, ale jak daleko ją to zaprowadzi? – Znowu otworzył drzwi.

– Pewnie niedaleko od Herolda – odparł Quoyle, który zawsze odpowiadał na retoryczne pytania.

– To zależy od tego, jak na to spojrzysz. Ewie upiekła chleba. Możemy chyba go spróbować z filiżanką herbaty. – Poklepał Quoyle'a po ramieniu.



Połowania na foki zaczęły się w marcu; kilku zagranicznych myśliwych na cholernym wybrzeżu Labradoru, gdzie foki grenlandzkie rodziły młode i traciły sierść wśród lodowych pagórków. Od wieków ludzie palili się tam, zamarzali i tonęli, zamierali w bezruchu z pałką w dłoni uchwyceni na czerwonym tle kamerą telewizyjną.

Do zatok przybywały tysiące fok, dlatego podniecone szczury lądowe wyruszały za nimi, używając wszystkiego, co zdołało się poruszać wśród płynącej kry.

W fosforyzującej jasności brzasku Jack Buggit wypił ostatnią filiżankę herbaty, podszedł do wieszaka za piecykiem po swoją kurtkę i kaptur. Na dłonie wciągnął zrobione przez żonę rękawiczki, zabrał strzelbę, włożył do kieszeni pudełko naboju. Zgasił światło i po ciemku wymacał klamkę. Drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie.

Zimne powietrze wypełniło mu gardło jak lodowata woda. Niebo podobne do sieci, w której oczkach utkwily żarzące się gwiazdy.

Znalazłszy się na przystani, załadował sprzęt do oszronionego skifu. Strzelba, pałka – żałował, że nie ma jednej z tych norweskich hakapik, które bardzo pomagały wydostać się na



lód w razie wypadku. No cóż, trzeba spróbować. Nóż do oprawiania fok, roztwór, siekiera, pokruszony lód, wiadra, nylonowa miotła, linka, plastikowe torby. Jack bowiem oprawiał foki na lodzie. I trzeba było to robić dobrze albo w ogóle nie robić.

Sprawdził paliwo w skifie i wyruszył przez zatokę ku zewnętrznym lodom.

Kiedy rozjaśniło się już na dobre, pełził na brzuchu przez lodowe pagórki w kierunku stada fok.

Pierwszą ustrzelił przed ósmą. Rzucił okiem na mętne oko, dotknął źrenicy, po czym odwrócił tłuste zwierzę na grzbiet i wykonał proste cięcie od ogona do szczęki. Ponad sześćdziesiąt lat łowów na foczych łąkach. Kiedyś polowali grupą, żadnych takich samotnych myśliwych. Przypomniał mu się Harry Clews, który trzema szybkimi cięciami noża potrafił ściągnąć skórę nawet z najtłustszej foki. Ach, jaki ten facet miał paskudny oddech, nie dało się z nim wytrzymać w jednym pokoju. Kobiety zatykały sobie nosy. Można by powiedzieć, że żył na swojej łodzi. Polowanie na foki to ciężki kawałek chleba. Aż w końcu Harry Clews, mistrz w swojej specjalności, został sfotografowany przy pracy, pokazany na okładce książki i chrząknął cały świat.

Jack wsunął nóż pod podskórną warstwę tłuszczu, przeciął tętnice płetw i przewrócił fokę rozprutym brzuchem w dół na czysty, pochyły kawałek lodu. Palił papierosa, przyglądając się, jak szkarłatna krew spływa w śnieg. Jeśli jest zabita zwierzyna, musi być i krew, pomyślał.

Teraz już bez rękawiczek odciął skórę od ciała, dbając, by ciąć na równej grubości warstwy tłuszczu, po czym odciął płetwy i odłożył je na bok. Małe, idealnie oddalone otwory. Zanurzył skórę w morzu, gdyż bogata w żelazo krew mogłaby ją popłamić i zniszczyć, a następnie położył na czystym śniegu – pozostała nienaruszona, bez najmniejszej skazy. Odwrócił się do ciała foki.

Przeciął tchawicę, wykroił płuca, żołądek, jelito, nie uszkadzając jego ściany, przeciął kość miednicową i wreszcie ostrożnie ostrym nożem okroił mięso wokół odbytnicy, jelito pozostało nienaruszone. Potem delikatnie wyjął całe wnętrze. Polewał mięso morską wodą, by je oczyścić i schłodzić. Kałuża w jamie ciała.

Zaniósł skórę w oddalone o dwadzieścia stóp czyste miejsce i położył ją sierścią do góry. Zmiótł miotłą krople wody i wtarł specjalny roztwór w futro i wzdłuż brzegu. Idealnie. To samica, powiedział do siebie.



Któregoś wieczoru do domu Burke'ów przyszła Wavey. Niosła koszyk, a za nią, kołysząc się, szedł Herry, wlokąc po ziemi patyk. Nad wciąż jeszcze jasnym morzem płynęły opalizujące chmury w kształcie kalafiorów. Otworzyła drzwi i weszła do kuchni, w której Quoyle gotował wodę na spaghetti. Oczywiście, że przyszła pieszo, powiedziała. W koszyku przyniosła pasztet z foczej płetwy.

– Mówiłeś, że jeszcze nigdy go nie jadłeś. Jest dobry. Właściwie to nie z płetwy. Z mięsa od łopatki. Z foki, którą upolował Ken. Mówi, że to jego ostatnia. Niedługo wyjeżdża do Toronto.

Nie chciała zostać. Tak więc Quoyle wpakował dziewczynki w kurtki, zostawił pasztet na stole na te kilka minut, które zajmie mu droga. Zatrzymał samochód przed ogrodzeniem z pali. Jej dłoń na pałaku koszyka, jego palce na jej dłoni. Ciepło jej dłoni przetrwało całą powrotną drogę do domu Burke'ów.

Pasztet był soczysty, ze świeżego, ciemnego mięsa polanego smakowitym sosem. Sunshine jednak zjadła tylko chrupiącą skórę, nie mogąc się doczekać, kiedy wróci do swoich kredek. Precyzyjny krzyżyk nad falowanymi liniami pokrywającymi całą stronę.

– To jest Bunny – powiedziała. – Lata nad wodą. – I roześmiała się, otwierając szeroko usta i ukazując małe zęby.

Późnym wieczorem Quoyale zjadł resztę pasztetu i wylizał garnek językiem ogromnym jak ścierka do naczyń. Trzymał jeszcze garnek w dłoni, kiedy drzwi się otworzyły i do kuchni ponownie weszła Wavey.

– Herry śpi u taty – powiedziała. – A ja tutaj. – Była zdyszana od biegu.

Prawdziwe nowofundlandzkie pocałunki, okraszone pasztetem z foczej płetwy.



Jeszcze trzy czy cztery dni później myślał o pasztecie z foczej płetwy. Przypomniawszy sobie dwa surowe jajka, które dostał od Petal i o których myślał z tak wielkim rozrzewnieniem.

– Petal nienawidziła gotowania – powiedział do Wavey. – Prawie nigdy nie gotowała.

Pomyślał o czasach, kiedy przygotowywał dla niej kolacje, ustawiał głupie świece, układał serwetki, jakby to miało jakiekolwiek znaczenie, a potem czekał, czekał i wreszcie jadł sam przy włączonym radiu. Później jadał z dziećmi, wsuwając spaghetti z puszek, zdrapując dziecięce odżywki z małych bród.

– Kiedyś podarowała mi dwa jajka. Taki prezent, dwa surowe jajka.

Zrobił z nich omlet i karmił ją ręką, jakby była pisklęciem. Skorupki trzymał zawinięte w papier na szafce w kuchni. Może jeszcze tam leżą.

– Ale chyba od czasu do czasu przygotowywała jakiegoś tosta?

– Rzadko bywała w domu. W ciągu dnia pracowała. A wieczorami i w weekendy... no cóż, pewnie spędzała je ze swoimi chłopakami.

– Chłopakami!

Powie jej to.

– Petal znała bardzo dużo mężczyzn. Bardzo lubiła innych mężczyzn – powiedział Quoyale. – Bardzo. – Nie wiedział, czy chodziło mu o rozmiar uczucia, czy o liczbę.

Ale Wavey wiedziała, syknęła przez zęby. Czyż nie odgadła, że coś jest nie tak? Sposób, w jaki Quoyale opowiadał o swojej miłości, lecz nigdy o tamtej kobiecie? Mogła wyciągnąć z worka jedną ze swoich tajemnic.

– Wiesz – powiedziała. – Herold. – Pomyślała o Heroldzie, który wracał o świcie, zataczając się, przesiąknięty zapachem papierosów, rumu i kobiecych dań, walił się nagi w czystą pościel, włosy łonowe pozlepiane i potargane po pracowitej nocy. „To tylko sok z piczki, kobieto, mawiał. Zamknij się już”. Wypuściła powietrze i jeszcze raz powtórzyła: – Herold.

– Hm – mruknął Quoyale.

– Herold był kobieciarzem. Traktował moje ciało jak koryto. Przychodził od nich do mnie zaśliniony. Miałam wrażenie, że rzyga, kiedy szczytował we mnie. Poza tobą nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

Długa cisza. Quoyale chrząknął. Czy potrafi na nią spojrzeć... Prawie.

– Teraz wiem coś, o czym nie wiedziałem rok temu – stwierdził Quoyale. – Petal nie była nic warta. I może dlatego ją kochałem.

– Tak – potwierdziła Wavey. – Podobnie rzecz się miała z Heroldem. Tak jakbyś czuł, że to wszystko, na co zasługujesz. I im jest gorzej, tym prawdziwsze ci się to wydaje, że musiało ci się to przydarzyć albo wszystko byłoby zupełnie inaczej. Rozumiesz, co mam na myśli?

Quoyale przytaknął. Kiwał głową i oddychał przez wydęte usta, świszcząc, jakby coś rozważał. A tymczasem przystojny Herold i czarująca Petal pojawiali się i znikali w labiryncie jego pamięci.



Quoyale nie mógł się przyzwyczaić do widoku Benny'ego Fudge'a robiącego na drutach. Zwykle pochłaniał swoją kanapkę, wyciągał pończochę i przez pół godziny przebierał drutami równie szybko jak ciotka. Ledwie skończył z niebieską włóczką, a już wyciągał białą. Wyglądało, jakby robił jakiś płaszcz.

Quoyale próbował z niego żartować:

– Gdybyś potrafił pisać tak dobrze, jak robisz na drutach.

Benny spojrzał na niego urażony.

– Robienie na drutach to nie wszystko. Benny był mistrzem w cerowaniu sieci. Zna igłę lepiej od własnej żony, prawda Benny? – Billy puścił oko do Quoyale'a.

– W innym sensie – odparł Benny. Jego czarne włosy opadały mu na twarz, kiedy pochylał się nad robótką.

Próbując go pocieszyć, Quoyale powiedział, że jego pisanie nie jest najgorsze. Billy przytaknął mu, lecz myślami wciąż pozostawał przy pracowitych dłoniach i robótkach.

– Jack wciąż jeszcze trochę dzierga, choć już nie tak jak dawniej. Kiedyś był dobry. Ale nigdy nie dorównywał Benny'emu. Benny jest jak ten kierowca ciężarówki, wiecie, który woził kontenery między St. John's a Montrealem.

Quoyale pomyślał o Partridge'u. Zatelefonuje do niego wieczorem. Powie mu. Ale co? Że potrafi patroszyć dorsze, omawiając problemy miejsc na ogłoszenia i kosztów druku? Że się zastanawia, czy miłość przychodzi w barwach innych niż czerń nicości i czerwień żaru opętania?

– Tamten kierowca pruł przez Nową Szkocję i Nowy Brunswik, ręce miał przełożone przez kierownicę i przez cały czas zasuwał na drutach jak karabin maszynowy. Zanim dotarł do Montrealu, zdążył wydziergać porządny sweterek, który sprzedał za niezłą sumkę jako przykład autentycznego rękodzieła wykonanego przez nowofundlandzkiego rybaka.

– Bardzo możliwe – powiedział Benny Fudge. – Nie wiecie przypadkiem, ile za niego dostał?

– Nie. Ale mogę wam opowiedzieć o tym, jak kiedyś ten sam koleś walił autostradą Trans-Kanada, dziergając z szybkością, z jaką poruszała się jego ciężarówka, kiedy namierzył go patrol. Rusza za nim, pruje sto czterdzieści. Wreszcie dogania go, jedzie równolegle, daje znak kolesowi, żeby się zatrzymał, a ten tak jest zajęty dzierganiem, że wcale go nie zauważył.

Jeden z żartów Billy'ego. Quoyale uśmiechnął się słabo.

– Policjant daje znaki światłem, aż wreszcie krzyczy przez okno: „A ty, co wyrabiasz, kamikadze?” Na to kierowca, mistrz drutów, spogląda na niego i kręci głową: „Nie, kamizelę”.

Benny Fudge nawet się nie uśmiechnął. Za to Billy skrzypiał jak zardzewiałe zawiasy.



Pod koniec sezonu polowań na foki Jack przerzucił się na śledzie. Miał własny wędzarnik do połowu śledzi.

Wydawało się, że Quoyale lubi to najbardziej: siedzieć na kamiennym brzegu osłonięty skałą od wiatru i piec srebrzyste śledzie na grillu. Takie zimne pikniki na brzegu morza. Wavey zrobiła stół z kawałka wyrzuconego na brzeg drewna i kilku kamieni. Herry ciągnął za sobą gąbczaste wodorosty. Słońce ogrzewało porośniętą trawą kawałek pastwiska dla owiec, po którym hasały Bunny i Sunshine.

– Wavey! – Przenikliwy głos Sunshine. – Wavey, czy przyniosłaś żelatynki?

– Tak, panienko. Te małe.

Panny na łące, pomyślał Quoyale, przyglądając się swoim córkom. I – jakby znalazł części układanki – przyrównał wiersz ojca Billy’ego do własnego życia. Demoniczna kochanka. Kobieta o sercu lwa. Panny na łące. Wysoka i łagodna kobieta.

W następnej chwili nadbiegła Bunny, niosąc coś w złożonych dłoniach. Zawsze jak strzała mknąca do celu. W dziecięcej dłoni spoczywał sztywny, lecz cały ptak, podobny do małego kamyka. Złożone nogi.

– Martwy ptak. Biedak ma złamany kark – stwierdziła Wavey.

Głowa ptaka opadła bezwładnie. Wavey nie powiedziała nic o śnie ani o niebie. Bunny położyła ptaka na kamieniu i wielokrotnie wracała, by spojrzeć na niego.

Śledzie się piekły, dzieci biegały, wołając: tato, tato, kiedy będą dobre? Tato, powiedział Herry. Uniósł głowę, odsłaniając płaską twarz, i zaniósł się śmiechem, zadowolony z własnej mądrości.



– Słodki Jezu, jesteś większym żarłokiem niż mewy – powiedział Jack, obserwując, jak Quoyale wrzuca szuflą śledzie do kubła.

– Mógłbym zjeść pełną sieć.

– Gdybyś nie pracował w gazecie, mógłbyś się zajmować łowieniem. Widzę, że masz do tego żyłkę. Zabierasz do łodzi mały piecyk, patelnię oraz trochę solonej wieprzowiny i masz żarcie, jakiego jeszcze nie jadłeś. Dlatego nigdy nie zobaczysz rybaka, który by zabierał ze sobą torbę z lunchem. Nawet jeśli czasem zgłodnieje. Nic przyrządzonego na brzegu nie dorówna temu, co wyciągniesz z morza. Kiedyś popłyniesz ze mną.

Dwa tygodnie później śledzie zniknęły z nie wyjaśnionych przyczyn, a „Pleciucha” skurczyła się chwilowo, gdyż Billy, Quoyale i Dennis pomagali Jackowi naprawić więcierze na homary, a także zrobić kilka nowych. Natomiast Benny Fudge udał się do Misky Bay, żeby usunąć wszystkie zęby.

– Nie wiem, czy będę łowił homary dla siebie, czy dla was wszystkich.

– Szkoda, że sam nie mogę łowić – stwierdził Billy. – Na homarach można zarobić. Ale cholernie trudno tu o licencję. Żeby dostać licencję na homary, trzeba by przepisać ją na Dennisa.

– Proszę bardzo – powiedział Dennis.

– Powolutku – odparł Jack. Krótko i stanowczo. Zazdrosny o swoje rybackie prawa. Tak. Chciał też zatrzymać na łądzie ostatniego syna.

– Może tak któregoś dnia urządzilibyśmy wielką homarową wyzerkę, co? – zaproponował Billy. – Nawet gdybyśmy mieli je kupić od kogoś z No Name Cove. Szkoda, że nie ma żadnej okazji. – Puścił oko do Dennisa i przeniósł wzrok na Quoyale’a.

– Jest – odparł Quoyale. – W sobotę wraca ciotka i organizujemy w domu przyjęcie powitalne. Ale wątpię, żebyśmy mieli homara.

W rogu swojej szopy Jack miał stos kamieni.

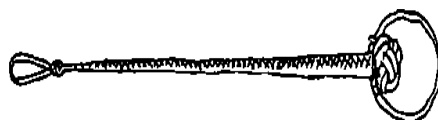
– Służą jako kotwice do więcierzy na homary – wyjaśnił.

Kotwiczne kamienie.

## Sen właściciela psiego zaprzęgu

Smycz do skórzanej uprzęży dla dużego psa. Wymizdruj i zwęż ku końcowi cztery rzemienie, zrób pętlę w cienkim końcu najdłuższego z nich i zbierz wszystkie rzemienie razem. Zapleć je w płaską plecionkę. Zwieńcz dużym węzłem guzikowym. Przewiąż uchwyt skórzaną plecioną opaską.

*Księga węzłów Ashleya*



Suwak swetra zabręczał, kiedy Alvin Yark wyjmował z kieszeni swoją zniszczoną miarkę. Czas zabrać się do pracy. Poprzedniego dnia oczyścił organizm kwartą wywaru z igliwia, opróżnił jelita i czuł się teraz jak młodzieniec. Ogryzkiem ołówka wyrysował na kilu oznaczenia wręgów, jeszcze nie wyciętych z wygiętych desek. Przez okno widział pustą drogę. Mruczac i podśpiewując, odwrócił się do półki, która biegła pod sufitem wzdłuż całej ściany warsztatu, i zdjął z niej listwy montażowe wręg. Przyczepił je na całej długości konstrukcji, od węzłówki przydziobowej do rufy. Teraz dopiero zaczął się rysować kształt łodzi.

„Quoyle nie zobaczył najlepszego. Nie widział, jak wynurza się z niczego”. Jeszcze raz spojrzął w okno. Nic tylko kwietniowa woda poprzecinana białymi pasmami podobnymi do błysków uśmiechów albo do koronkowych obrusów rozkładanych powolnym strzepnięciem. Kępki piany podskakiwały wokół pali. Za cyplem kawałki gór lodowych, płyty kry, rozpadająca się góra jak niebieska chłodnica wrzucona do niespokojnej wody.

Wreszcie na drodze pojawił się rozpryskujący błoto garb samochodu Quoyle’a. Zatrzymał się na progu, sweter koloru byczej krwi zaczepił o gwóźdź. Zaczął mozolnie odplątywać nitkę, podczas gdy ktoś inny po prostu szarpnąłby; powiedział, że musi wrócić wcześniej. Kolacja na cześć ciotki. Całe rano przygotowywał z Wavey potrawę z ryby. Dodał, że jest jej tyle, że można by w niej zatopić tankowiec, więc niech lepiej Alvin i Ewie przyjdą pomóc im ją zjeść.

– Dlaczego nie – powiedział Yark. – Agnis już przyjechała?

Quoyle odebrał ją z Deer Lake w południe. Wygląda dobrze.

Pełna pomysłów i energii.

Jednak myślami Quoyle był gdzie indziej. Podał Yarkowi złe narzędzie.

– Za dużo spraw na głowie – wybąkał.

Rozmyślał nad stroną zatytułowaną „Style życia”. Mnóstwo listów. Nigdy już nie dawaliby planów karmników, ale w takim razie, czym można uleczyć stęsknionych za domem

smutasów? Wszyscy, którzy wyjeżdżali, cierpieli na tę samą chorobę: złamane serce. „Wróćę któregoś dnia”, pisali. Nigdy nie wracali. Stare kąty stawały się dla nich już za ciasne.

Yark nucił swoją nieodłączną śpiewkę: „Och, «Gandy Goose», na nic się to zdało, wszystko się poluzowało, pójdzie na dno «Gandy Goose», tak jak biedny «Bruce» i zabije Nowofundlandczyka”, zaznaczając odpowiednie miejsca na surowych deskach.

– W przyszłą sobotę będziesz miał swoją łódź.

Dzięki Bogu, pomyślał Quoye. „Mężczyzna ucieka przed nie kończącą się piosenką”. Po górnej listwie przemknął jasnobrazowy pająk.

– Nadchodzi zmiana pogody. Widzę, że pająki się ożywiły, i kolana mi trzeszczą. No, chodź, przetniemy to. „Och, tak, to «Bruce», łosie przywiózł, dobrze im się dzieje, gdy wędrują przez świerkowe knieje”.

Quoye spojrział na swoją łódź. Jej istotę stanowią wręgi, pomyślał, myląc fakt z pomysłem. Gdyż łódź istniała w umyśle Yarka od wielu miesięcy.

Yark piłował i wyrównywał, Quoye zaś ustawiał wręgi pod ścianą. Widząc ich wygięcia, pomyślał o Wavey, o wypukłości jej bioder podobnych do liry, o udach napiętych jak chińskie mosty. Gdyby pobrali się z Wavey, czy Petal byłaby z nimi w łóżku? Albo Herold Prowse? Wyobraził sobie kochających się demonicznych kochanków, warczących i gryzących się, podczas gdy on i Wavey klęczą u nóg łóżka z zamkniętymi oczami i dłońmi przyciśniętymi do uszu.

Zaczęło zmierzchać; kiedy mocowali wręgi, ich oddechy przybrały postać białych obłoczków.

– „Och, na nic się to zdało, na nic się zdało, za mało herbaty do mego kambuza się wlało” – zaśpiewał Yark, kiedy wyszli z mroku warsztatu w zielone światło zorzy polarnej. Morze i niebo przypominały przydymione szkło. Latarnia morska wypuściła smugę światła, okna domów wypełniły się jasnopomarańczowym światłem.

– Słyszysz? – spytał Yark, zatrzymując się na ścieżce. Wzniósł rękę i rozłożył palce w ostrzegawczym geście.

– Co? – Quoye słyszał jedynie ssące bulgotanie morza poniżej. Chciał już być w domu.

– Morze. Słyszałem „dużą”. Nabiera rozmachu.

Stali pod bursztynowym niebem, nasłuchując. Zarośla tworzyły czarną plataninę, klif przypominał stelę.

– Tam! Widzisz? – Yark chwycił nadgarstek Quoye’a i podniósł jego ramię, by podążyło za jego ręką, wskazującą w kierunku zatoki na północny wschód. W oddali, na ciemniejącej wodzie migotała kula niebieskiego ognia. Promień światła latarni przeciął powierzchnię zatoki, lecz niczego nie odślonił; w nieprzeniknionej ciemności za latarnią dziwna kula toczyła się, toczyła, aż znikła.

– To przejaśnienie. Wiele ich widziałem. Idzie zła pogoda. – Zwodnicze niebo było jednak czyste.



Wzdłuż drogi przed domem Burke’ów stały zaparkowane samochody osobowe i ciężarówki. Przez okno Quoye widział ludzi stojących w kuchni. Wewnątrz od razu zanurzył się w muzykę. Wavey grała na swoim akordeonie melodię Joe Lard, Dennis zaś szarpał struny gitary. Kto śpiewał? Beety wyjęła garnki z piekarnika, rzuciła jakiś dowcip. Salwa śmiechu. Mavis Bangs opowiadała pani Buggit o kobiecie z St. John’s, która cierpiała na zapalenie sutka. Ken i jego kumpel, oparci o ścianę z założonymi rękoma, obserwowali pozostałych. Wyobrażali sobie, że są w Toronto na eleganckim przyjęciu, a nie na kuchennej nasiadówce.

– Tato. – Bunny ciągnie Quoyłe'a za kurtkę, nieomal ściągnając ją z niego, i szepce podniecona: – Nie mogłam się doczekać, kiedy wrócisz. Tato, musisz przyjść na górę do mojego pokoju i zobaczyć, co nam przyniosła Wavey. Chodź, tato. Teraz. – Bardzo podniecona. Miał nadzieję, że to nie kredki. Nie chciał już więcej brokułowych drzew. Ich rysunki pokrywały całą lodówkę.

Quoyłe pozwolił prowadzić się przez tłum, wzrokiem odnalazł Wavey, uchwycił jej uśmiech, och, uśmiech przeznaczony tylko dla niego, a potem poszedł na górę, do pokoju Bunny. Kiedy szedł po schodach, coś przyszło mu na myśl. Czy miłość przypomina torbę różnych cukierków, którą podaje się z rąk do rąk, z której można się poczęstować więcej niż tylko raz? Niektóre mogą szczypać w język, inne wydzielają mocne zapachy. Niektóre mają nadzienie gorzkie jak żółć, inne zawierają miód zmieszany z trucizną, jeszcze inne dają się szybko połknąć. A wśród powszechnie znanych miętusów i dropsów można znaleźć prawdziwe okazy: jeden może zawierać w swoim wnętrzu śmiertelne igły, inny spokojne i łagodne przyjemności. Czy jego dłoń zaciska się właśnie na takim cukierku?

Herry i Sunshine leżeli na podłodze. Marty podsuwała miskę z wodą w kierunku szczeniaka husky. Biała sierść, ogon zawinięty jak liść paproci. Szczeniak popędził do Bunny, chwycił pętlę jej skórzanego sznurowadła i pociągnął.

– To jest biały pies... – Z trudem wydobył z siebie te słowa. Obserwował córkę kątem oka.

– Ta suka jest psem zaprzęgowym, tato. Wavey dostała ją od swojego brata, który hoduje psy zaprzęgowe.

– Ken? Ken hoduje psy zaprzęgowe? – Wiedział, że nie chodzi o Kena, ale próbował zrozumieć. „Mężczyzna zdumiony widokiem białego psa w pokoju córki”.

– Nie, drugi brat. Oscar. Ten, który ma oswojoną fokę. Pamiętasz, tato, widzieliśmy ją? Ken nas tam zawiózł. Oscar pokaże mi, jak psa wyuczyć, kiedy urośnie. Chcę, żeby wziął udział w wyścigach, tato. Jeśli będzie chciał. I poproszę szypra Ala, żeby mi pomógł zrobić komatik. To takie sanie, tato, widzieliśmy je u Oscara. Jak urosnę, będę się ściagała w wyścigach psich zaprzęgów.

– Ja też – odezwała się Sunshine.

– A to najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem. Moje zaprzęgowe dzieciaki. Daliście jej już imię?

– Warren – oznajmiła Bunny. – Warren Druga.

– Warren Druga – powtórzył Herry.

Quoyłe pomyślał, że być może resztę życia przyjdzie mu spędzić w towarzystwie dynastii psów o imieniu Warren.

– Tato – szepnęła Bunny. – Herry też dostanie psa, to brat Warren Drugiej. Ale dopiero jutro. Nie mów mu. To tajemnica.

Quoyłe zszedł na dół, żeby uściskać ciotkę, a potem i Wavey. Ponieważ znaleźli się tak blisko siebie, pocałował ją nawet w porywie zuchwałości. Mocny, szczery uścisk. Jej zęby musnęły jego usta. Dzielący ich akordeon fuknął wściekłą nutą. Ta publicznie okazana czułość wywołała burzę oklasków i okrzyków. Jakby dali na zapowiedzi. Ojciec Wavey siedział przy stole z jedną ręką opartą na udzie, drugą strząsał na spodek popiół z papierosa. Posłał Quoyłe'owi krzywy uśmiech. Mrugnięcie będące raczej wyrazem przyzwolenia niż braterstwa. Od niego pewnie Wavey nauczyła się puszczać oko. Jack pozostał w spiżarni wpatrzony w ciemność za oknem.

– Jack – zawołała Beety. – Czego tam szukasz?!

Wystawiła wysoki, biały tort polany różowym lukrem. Słodkimi literami wypisano: „Witaj, Agnis”. Quoyłe zjadł dwa kawałki i przymierzał się do trzeciego, lecz poczęstowano nim Billy'ego Pretty'ego, który przyszedł późno z włosami przyprószonymi śniegiem. Stał przy piecu, z ważną miną. Wszyscy patrzyli na niego, chociaż jeszcze nic nie powiedział.

– Prognozy morskie mówią niewiele, ale ja wam mogę powiedzieć, że szykuje się coś wielkiego. Sypie śnieg. Dmucha jakieś trzydzieści węzłów. Wiatr ze wschodu, zachodzi. Moim zdaniem będzie dmuchawa jak zwykle. Posłuchajcie.

Kiedy ucichły ostatnie tony akordeonu, usłyszeli wycie wiatru piłującego róg domu.

– To pewnie jeden z tych niżów, których nie zobaczysz do momentu, kiedy już odchodzą. Lepiej pójdę do domu. Nie podoba mi się to – powiedział Billy, jedząc tort.

Pozostali też nie byli zachwyceni.

– Będę się zbierał – zawołał Jack do Quoye'a. – Czułem, że nadchodzi. Roztrzaska mi łódź w drobiazgi, jeśli jej nie wyciągnę. Matka wróci z Dennisem. – Wskazał na swoją żonę i na Dennisa. Zrozumieli.

Przed godziną dziewiątą niespokojni goście poszli do domów, rozmyślając o zaspach na drogach i zniszczonych łodziach.

– Wygląda na to, ciociu, że przywiozłaś ze sobą złą pogodę. – Siedzieli w kuchni wśród stert talerzy, ciotka z kubkiem swojej whisky. Zlew wypełniony szkieletami widelców.

– Och, nie mów tak nigdy. Nigdy nikomu nie mów, że przynosi sztorm. To najgorsze, co możesz powiedzieć. – Mimo to wyglądała na zadowoloną.



Zegar z wahadłem przywieszony z równika do kraju na Północy będzie się spieszył. Arktyczne rzeki wrzynają się najgłębiej w swoje prawe brzegi, myśliwi zaś, którzy zabłądzili w lasach Północy, nieświadomie skręcają na prawo, w miarę jak Ziemia obraca się pod ich stopami. Na Północy niebezpieczne sztormy nadchodzące z zachodu często zaczynają się wschodnim wiatrem. Wszystkie te zjawiska mają związek z siłą Coriolisa, działaniem girostatycznym obracającej się Ziemi, które daje początek wiatrom i zmianom pogody, cofającym się falom i powietrznym wirom.

– Wiatr zachodzi, paskudna pogoda – mruknął do siebie Billy Pretty, schodząc bokiem ze wzgórza. Wiatr skręcał teraz na północ.

Kilka dni temu widział „wietrzne ogary”, świetlne romby na brudnym niebie. Potrafił zobaczyć wiatr oczyma wyobraźni, widział jego kierunek w asymetrycznych kształtach wykresów prędkości wiatru zaznaczanych na starych mapach, różach wiatru, których wydłużone końce przedstawiały przeważające prądy. Wykres prędkości sztormu dla jego wybrzeża zawierał też punkt, który wskazywał zmianę z północnego wschodu na południowy zachód.

Do północy kierunek wiatru ustalił się już na zachodni, a jego jęki przeszły w przeciągłe ryki – jeden z najgorszych z katalogu wichrów. Wiatr spokrewniony z innymi, jak: Blue Norther, lodowaty Blaast czy Landlash. Kuzynka szkwału Bull's-eye, który wykluwał się z małej chmurki o rdzawym rdzeniu, teściowa Vinds-gnyr z norweskich sag i trzydniowych Nor'easterów z wybrzeży Nowej Anglii. Wuj wiatru Williwaw z Alaski i dzikiego Doinionnu z Irlandii. Siostra przyrodnia Koshavy, który zasypuje równiny Jugosławii rosyjskim śniegiem, a także Steppenwindu, gwałtownego Burana z rozległych stepów środkowej Azji oraz Criwetzu, lodowatych Wiugów i Purgów z Syberii i wreszcie okrutnego Myatela z północnej Rosji. Brat krwi panującego na preriach Blizzarda, kanadyjskiego arktycznego krzykacza zwanego po prostu Northwind i Pittaraka, przybywającego z lodowych pól Grenlandii. Ten bezimienny wiatr piłował skałę niczym stalowe ostrze.

Billy wymamrotał w poduszkę modlitwę za biedne dusze schwyte tej nocy przez fale, które pędziły po morzu przystrojonym długimi na milę wstęgami piany. Sztynne tankowce, stare trawlerzy ze słabymi kadłubami rozpadną się na kawałki.



Wreszcie musiał wstać. Nie było prądu. Wymacał w ciemności latarkę i poświecił przez okno. Nie widział dalej niż na kilka cali. Nic tylko śnieg pędzący z taką szybkością, iż wydawało się, że powietrze świeci.

Otworzył ostrożnie drzwi; poczuł, jak skoczyły, kiedy uderzył w nie wiatr. Mocno się zaparł, żeby je zamknąć. Śnieżny wachlarz na kuchennej podłodze, a na nim ślady jego bosych stóp. Wszystkie okna w domu klekotały, z zewnątrz dochodziła kakofonia toczących się wiader, uderzających o siebie lin i łopoczącego brezentu. Druty biegnące z jego domu do słupa zawodziły tak przeraźliwie, że aż przechodziły go ciarki. Na falach wściekłego oceanu płynęło zimno wprost z lodowca. Rzucił na żar drewniane drzazgi, lecz w kominie prawie nie było ciągu. Pomyślał, że wiatr wieje tak mocno, iż utworzył jakby czapę nad kominem. Jeśli to było możliwe.

– Skórę z psa by zdarło – powiedział. Jego suka, Elvis, postawiła uszy, a sierść na jej grzbiecie zdrząła.



W domu Burke'ów ciotka wsłuchiwała się w odgłosy morza: miarowe dudnienie, które jakby pełzło w górę łóżka. Dalej przy drodze pani Buggit słyszała przeraźliwe krzyki tonącego syna. Herry, zeszywniały pod kocem, doświadczał ogromu bezmiaru, przemienił się w samotną mrówkę w ogromnej sali. A w St. John's w swoim białutkim łóżku stary kuzyn drżał z radości na myśl o tym, co wyczarował dzięki swoim wietrznym węzłom.

Bunny natomiast popłynęła wyjąłym kominem, pozęglowała pod wiatr przez zatokę na skałę, na której zielony dom zmagął się z linami. Położyła się na kamieniu, spojrzała w górę. Gont uniósł się, uleciał z wiatrem. Kilka cegieł sfrunęło z komina niczym karty. Każda z napiętych lin wyla w innej tonacji, wściekłe basy wierciły skałę, belki i krokwie wibrowały. Ściany mamrotały, strzelały gwoździemi na stękające podłogi. Dom wyrwał się ku morzu.

Trzask. Świst pękającej liny. Brzęk szkła. Dom obrócił się na zgrzytających podkładach. Liny piszczały przeraźliwie.

Bunny obserwowała. Leżała na plecach z rozpostartymi rękoma niczym wbity na pal bezsilny więzień. Uwolniony narożnik domu uniósł się, opadł, znowu się uniósł. Brzęk szkła. Trzasnęła druga lina. Teraz uniósł się cały tył domu, jakby budynek dygnął w ukłonie i opadł. Trzeszczące krokwie, okruchy szkła, w środku garnki, łóżka, komody sunące po podłodze, dalej szuflada pełna noży i widelców, prostujące się schody.

Podmuch wiatru wykręcił dom na wschód. Puściły ostatnie liny i budynek przewrócił się ostatecznie.

Obudziła się z krzykiem. Pełznąć po podłodze, próbowała uciec jak najdalej. Wicher za oknem jakby potwierdzał realność koszmaru. Quoyłe wszedł, chwiejąc się, i chwycił wierzgającą dziewczynkę. Okropnie bał się o swoją córkę, która była śmiertelnie przerażona. Jednak po dziesięciu minutach uspokoiła się, przełknęła kilka łyków ciepłego mleka, wysłuchała Quoyłe'a, który wyjaśnił jej, że to odgłosy wiatru były przyczyną koszmarnych snów, i obiecała, że pójdzie spać, jeśli Warren Druga będzie spała na łóżku. Kiedy ostrożnie zapytał, co jej się śniło, nie mogła sobie przypomnieć.



W redakcji „Pleciuchy” Quoyłe pracował nad specjalnym wydaniem gazety, zatytułowanym „Nasze zdruzgotane wybrzeże”, przedstawiającym zdjęcia łodzi na ulicach i zdmuchniętych pługów śnieżnych. „Tysiące historii”, powiedział Billy Pretty zmęczonym głosem. Zaginione statki, ponad czterdziestu mężczyzn, trzy kobiety i jedno dziecko: wszyscy

utonęli między Grand Banks a St. Lawrence Seaway. Zniszczone łodzie i stracone ładunki. Benny Fudge przyniósł zdjęcia pokazujące ludzi odkopujących swoje półciążarówkę.

Prognozy pogody zapowiadały gorącą falę.

Nadeszła w poniedziałek. Dzień wypełniony migocącym ciepłem, strugi wody z topniejącego śniegu, rozmowy o globalnym ociepleniu. Podziurawiona góra lodowa przepłynęła, ocierając się o cypel. Quoyłe w koszulce z krótkimi rękawami wpatrywał się w rozgrzaną dal. Kiedy tylko udawało mu się przestać myśleć o Bunny, zaczynał odczuwać porywy ogromnej radości. Nie potrafił podać przyczyny innej niż długi dzień, ciepło albo powietrze tak czyste i słodkie, że wydawało mu się, iż na nowo uczy się oddychać.

Późnym rankiem drzwi do pokoju redakcyjnego otworzyły się. Wavey. Nigdy dotąd tam nie przychodziła. Skinęła na niego. Mówiła szeptem, wprost do jego ucha. Jej cudowny oddech na jego policzku. Kasztanowy warkocz, lina upleciona z lśniących włosów, których dotykał, kiedy były rozpuszczone. Żółta farba na kostce jej palca, słaby zapach terpentyny.

– Tato powiedział, żebyś przyszedł dzisiaj w południe. Chce ci coś pokazać. – Dodała, że nie wie, o co chodzi. Jakies tam męskie sprawy.

Archie był bowiem ekspertem w dzieleniu życiowych powinności na sprawy męskie i damskie. Męską sprawą był pusty kredens i pełen talerz, kobieta zaś miała zatroszczyć się o pełen kredens i pusty talerz.

Kiedy przyjechał Quoyłe, Archie stał oparty o swój płot. Pewnie już z daleka słyszał, jak nadjeżdża, gdyż auto miało zepsuty układ wydechowy. Quoyłe wiedział, że powinien być przyjść pieszo, potrzebował ruchu, ale szybciej było samochodem. Zacznie chodzić jutro, jeśli pogoda będzie dobra.

Archie stał pochylony na tle swojego drewnianego zoo z papierosem w ustach i staromodną lornetką w dłoni. Dawno temu, kiedy spojrzał przez nią po raz pierwszy, zobaczył, jak chłopaki Buggitów bawią się na kruszącym się lodzie. Skakali z kry na krę. Widział nawet ich zasmarkane nosy. Z godzinę ich obserwował i ani razu żadnemu nie obsunęła się noga. Aż wreszcie Jesson skoczył za blisko, chwycił się krawędzi lodu, drugi próbował go wyciągnąć. Archie przypłynął do nich swoją łodzią w ciągu kilku minut, uratował chłopca, wyciągnął go spomiędzy lodowych tafli. Pomyślał wtedy, iż dobrze się stało, że miał przy sobie lornetkę. Później zrozumiał, że był to znak. Nie da się powstrzymać dłoni przeznaczenia. Jessonowi pisana była śmierć wskutek utonięcia.

Kiedy Quoyłe się zbliżył, Archie uniósł lornetkę do oczu, przesunął po przeciwległym brzegu i zatrzymał na Quoyłe's Point, jakby chciał pokazać to, o czym miał mówić.

– Wiesz, zdaje się, że twojego domu nie ma. Rzuć okiem. – Wyciągnął rękę z lornetką.

Quoyłe wszedł na popękany od mrozu kamień. Przesunął lornetką w jedną i drugą stronę. I jeszcze raz.

Archie cuchnął papierosami. Jego twarz pokrywała sieć tysięcy drobnutkich bruzd, a z jego uszu i nozdrzy wyrastały czarne, kręcone włosy. Palce miał pomarańczowe. Nie potrafił mówić, żeby nie zakasłać.

– Nie, nie znajdziesz domu, bo go tam nie ma. Szukałem go rano, ale nie ma go tam. Pomyślałem, że może będziesz chciał pójść i sprawdzić, czy tylko się przewrócił, czy porwała go woda. Paskudnie wiało. Ile to lat trzymały go te liny?

Quoyłe nie wiedział. Od czasów ciotki to jakieś sześćdziesiąt cztery lata, a ile przedtem? Od dnia, kiedy Quoyłe'owie przyciągnęli go po lodzie.

– Jeśli popłynął, to długo wytrzyma – powiedział. – Po takim remoncie. – Chociaż wiedział, że jego tajemnicza ścieżka wciąż tam jest, poczuł, jakby utracił swoje miejsce, gdzie sójki przemykały świerkowymi tunelami, gdzie skakał na plażę. Jakby utracił ciszę. Teraz pozostało tylko miasto. Quoyłe'owie znowu się przenoszą.

Podziękował Archiemu i uścisnął mu dłoń.

– Dobrze, że miałem lornetkę. – Archie wyciągnął papierosa, zastanawiając się nad ukrytym znaczeniem tego wydarzenia.



Beety potwierdziła, że Dennis ścina drzewa dla swojego kumpla Carla, który wciąż nie może niczego dźwigać i musi nosić specjalny kołnierz. Tak, ma śniegołaz, chociaż śnieg topnieje. W dół drogi przy niebieskim słupku Quoyle zauważy ciężarówkę zaparkowaną na poboczu. Niedaleko od miejsca, w którym wycinali po Bożym Narodzeniu. Jest tam dobra ścieżka. Znajdzie ją. Na pewno.

Dostrzegł Dennisa otoczonego wachlarzem świeżych pniaków. Quoyle musiał przekrzykiwać wycie piły pracującej na wolnych obrotach. Zawołał, że nie ma jego domu. Po chwili już sunęli w górę drogi przez topniejące zaspę. Minęli skręt na Capsize Cove. Spod śniegu coraz częściej wyłaniał się żwir. Minęli fabrykę rękawiczek. Śmigające sójki. Zapach żywicy i spalin. Strumyk z topniejącego śniegu.

Ogromna, naga skała. Sworznie wciąż mocno wbite w kamień, pętla zwiniętej liny niczym rzucona cuma. I to wszystko. Gdyż dom Quoyle'ów – zrzucony ze skały – zniknął uniesiony wiatrem, pozostawiając kryształki szklą i śniegu.



– Cała nasza praca i pieniądze... I tak po prostu znika? Czterdzieści lat stał pusty, a potem w jednej chwili nie ma go? I to wtedy, gdy go już naprawiliśmy. – Ciotka w swojej pracowni pochlipuje w chusteczkę. Cisza. – A co z wychodkiem?

Nie wierzył własnym uszom. Znika dom, a ona pyta o sracz.

– Nie zauważyłem, ciociu. Nie rozglądałem się za nim specjalnie. Została przystań. Moglibyśmy założyć tam mały obóz i wykorzystywać go w pogodne weekendy i latem. Myślałem o tym, żeby kupić dom Burke'ów. Dobry dom, wygodny. Duży. Dziewięć pokoi, ciociu.

– Pogodzę się z tym. W tym jestem dobra. W przyjmowaniu ciosów – stwierdziła.

– Wiem – powiedział. – Wiem o pewnych rzeczach, z którymi potrafiłaś się pogodzić.

– Ach, chłopcze, co ty wiesz. – Pokręciła głową, uśmiechając się sztywno.

Czasem to go irytowało.

– Wiem, co zrobił mój ojciec – wyrzucił z siebie Quoyle. – Tobie. Kiedy byliście dziećmi. Powiedział mi o tym stary kuzyn, stary Nolan Quoyle.

A zatem wiedział. Ciotka wstrzymała oddech. Znał tajemnicę całego jej życia.

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc się roześmiała. Mniej więcej. A potem szlochała, zakrywając twarz dłońmi, podczas gdy jej bratanek siedział tuż obok, powtarzając: już dobrze, już dobrze, i poklepując ją po ramieniu, jakby pocieszał Bunny albo Sunshine. Tym razem to Quoyle pomyślał o filiżance herbaty. Powinien był trzymać język za zębami.

Wyprostowała się, ruchliwe dłonie znowu powróciły do życia. Jakby nigdy nic się nie stało. Znowu rzucała pomysłami jak Jack rybami.

– Zbudujemy coś nowego. Tak jak mówisz, letni dom. Do końca roku będę mieszkała w mieście. Właściwie tak zamierzałam zrobić.

– Najpierw będziemy musieli zarobić trochę pieniędzy. Zanim zbudujemy coś na cyplu. Nie wiem, ile będę mógł na to przeznaczyć. Chyba chciałbym kupić dom Burke'ów.

– No cóż – powiedziała ciotka. – Nie martwiłabym się o pieniądze na odbudowę. Mamy ubezpieczenie.

– Ubezpieczyłaś zielony dom? – spytał niedowierzająco. Nie myślał zbyt często o ubezpieczeniach.

– Oczywiście. Od tego zaczęłam, kiedy wprowadziliśmy się tam w zeszłym roku. Ubezpieczenie na wypadek pożaru, powodzi, kry i wypadków losowych. To był wypadek losowy. Na twoim miejscu spytałabym Burke'ów o cenę domu. Nadaje się dla ciebie. Dobry dla dzieci i wszystkich. Bo chyba dojrzeliscie już do tego z Wavey. Chociaż nic jeszcze nie mówiliście.

Quoye nieomal przytaknął. Spuścił brodę. Pogрузzył się w myślach, słuchając wywodów ciotki.

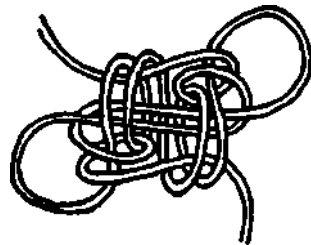
– Ja mam inne plany. – Improwizowała. Teraz już nie mogła mieszkać z bratankiem. Nie wiadomo, co jeszcze wie. Zastanawiałam się nad tym domem, w którym mam pracownię. Przymierzam się do kupna. Sprzedadzą go za grosze. Muszę rozbudować pracownię. Góra jest całkiem przytulna, ładny widok na port. Byłoby tam przyjemne mieszkanie. Nie wchodzę w ten interes sama. Mavis, Mavis Bangs, znasz ją, chce wejść ze mną w spółkę. Odłożyła trochę pieniędzy. Och, gadałyśmy o tym przez całą zimę. Wydaje się, że obie możemy mieszkać nad pracownią. Oto moje plany. W pewnym sensie dobrze się stało, że stary dom uległ zniszczeniu.

Jak zwykle ciotka wyprzedzała go o kilka kroków.

## Lśniące kołpaki

Wciąż istnieją stare węzły nigdzie nie opisane. Dlatego dopóki będziemy znajdowali nowe sposoby wykorzystywania liny, dopóty będziemy znajdować nowe węzły.

*Księga węzłów Ashleya*



Na powierzchni zatoki lód jeszcze dryfował niczym potłuczone talerze z restauracji, lecz łódź była skończona. Ostatni wiór wyskoczył ze struga Yarka. Zrobił krok do tyłu, poklepał zgrabną burłę, wznecając obłoczek kurzu. Sam wydawał się zrobiony z wiórów. Nie przestawał pomrukiwać.

– No cóż, oto ona – powiedział. – Pomaluj ją i możesz pływać.

Quoyle i Dennis ładowali łódź na przyczepę, lecz on stał z boku. On już swoje zrobił. Jego usta lekko się rozchyliły. Quoyle, zgadując, co ma nastąpić, zaryczał pierwszy:

– „Och, «Gandy Goose», na nic się to zdało” – zaśpiewał do końca, coraz głośniejsze, aż ponura melodia zagrzała się ciepłem jego gorącego gardła.

Stary Yark przyjął ten gest jako oddanie honorów. Jeszcze przez pół godziny snuł barwne opowieści, zanim poszedł na swoją herbatę, a melodia wciąż pozostawała ciepła w jego uszach, jak kapelusz zdjęty z haka za piecem.

Na stole ogromny talerz pełen smażonych śledzi z plasterkami bekonu i tłuczonymi ziemniakami. Słój z kwartą musztardy. Beety krzątała się, przechodziła nad Warren Drugą, która nie mogła się zdecydować, czy lepiej jej będzie pod stołem, czy między butami. Quoyle i Wavey na gościnnej kolacji. Ogólna wesołość i pochwały dla podanych potraw. Gotowana kapusta. Na koniec placek z czarnymi jagodami i z kremem. Dla Quoyle’a podwójne dokładki z każdego dania. Chociaż po kapuście zbierają się gazy.

Sunshine wygięła kręgosłup śledzia i zaśpiewała: „Wiórek brzozy, sznurek dziegiowy, wiśnióweczka, podkóweczka”. Bunny i Marty na jednym krześle, splecione ramionami, każda z torebką cukierków w kształcie serduszek, zachowaną z Dnia Świętego Walentego, po jednym do buzi. **SZCZĘŚCIE W MIŁOŚCI. OCH, DZIECIAKI.**

Dennis kręcił się niespokojnie przy stole. Otworzył szufladę, zamknął ją.

– Co z tobą? – spytała Beety. – Wiercisz się jak kot z przypalonym tyłkiem.

Dennis spojrział na nią urażony, podczas gdy Quoyle przygryzł wargę.

- Nie wiem, kobieto! Chyba czegoś szukam. Ale nie wiem czego.
- Chcesz jeszcze herbaty?
- Nie, nie, mam dość.

Miał się jednak czym martwić. Żadnej pracy od tygodni, żadnej na widoku, wyjaśnił Quoyłe'owi. Niedobrze, zawsze dbał o dochody. Ma już tego dość. Byłoby inaczej, gdyby mógł trochę połowić. Znowu wstał, podniósł czajniczek, zajrzał do środka. Szczęściarz z Quoyłe'a, że ma pracę. Czy nie ma już więcej herbaty?

– To przecież gazeta twojego ojca – powiedział Quoyłe. – Nie możesz w niej pracować? Bóg jeden wie, że przydałbyś się. Brak nam rąk do pracy w każdym dziale. – Podniósł niezadarnie łyżeczkę z cukrem, rozsypując połowę na czysty obrus.

– Chryste, nie! Wolałbym dać sobie obciąć obie ręce. Nie cierpię babrania się w malutkich literkach i zakrętasach ani całego tego czytania i pisania. Jakbyś grzebał w zdechłych muchach. – Pokazał swoje krępe dłonie. – Myślmy – powiedział, wskazując głową na Beety, która akurat spuściła wzrok – myślmy o tym, żeby pojechać na rok lub dwa do Toronto. Nie chcemy, ale moglibyśmy zaoszczędzić trochę pieniędzy i wrócić. Jest tam dużo pracy dla cieśli. Tutaj nie ma co robić. – Zabębnił palcami na stole, co natychmiast podchwyciły dzieci, próbując naśladować malutkimi paluszkami tętent końskich kopyt. Dennis rzucił im groźne spojrzenie. Bez przekonania.

Beety i Wavey rozmawiały o Toronto zajęte zmywaniem naczyń. Głos Beety miękki jak gorący gałgan. Jak by to mogło być. Czy dzieciaki by się cieszyły. Może lepiej, żeby nie. Może. Może.

Quoyłe musiał się powstrzymywać, żeby nie powiedzieć: nie jedźcie. Wiedział, że jeśli pojedą, to zginą na zawsze, gdyż nawet ci nieliczni, którzy wracali, wracali zmienieni, inne charaktery, jak noże wygrzebane z popiołów po pożarze domu. Biedna Bunny, może będzie musiała się rozstać z Marty. Biedny Quoyłe, jeśli będzie musiał stracić Dennisa i Beety.

Kiedy wszyscy już zaczęli ziewać, Quoyłe wziął na ręce Herry'ego, który prawie zasnął na dywanie. Sunshine trzymała Wavey za rękę, ponieważ było ślisko. Pies pierwszy wskoczył do samochodu i przebiegł po wszystkich siedzeniach.

– Wavey. Gdybyś wyprasowała rybę, to czy byłaby tak duża jak chodnik? – spytała Sunshine.

– Myślę, że większa – powiedziała Wavey. – Ale rozkrojona.

Dennis wyszedł z nimi przed dom. Rdza posypała się na ziemię, kiedy Quoyłe zatrzasnął drzwi samochodu od strony Wavey.

– Kiedy pozbędziesz się wreszcie tego gruchota? – Był w ponurym nastroju. Trzymał dłonie na samochodzie, dopóki ten nie ruszył. Patrzył, jak tylne światła oddalają się, po czym przeszedł na drugą stronę drogi i spojrzał przed siebie. Nic, tylko światło latarni. Morze gładkie jak stół.



W domu Quoyłe wziął gorącą kąpiel. Zanurzył się, zacisnął palcami nos i z przyjemnością zanurkował w gorącą wodę. Los mógł zrządzić, że miałby tylko beczkę Nutbeema.

Wyszedłszy z wanny, wytarł się ręcznikiem, a potem przetaił duże lustro przymocowane do drzwi łazienki. Popatrzył na swoją nagość, rozgrzane ciało parowało w chłodnym powietrzu. Przesunął wzrokiem po swojej ogromnej postaci. Byczy kark, mocna szczeka i ciężkie płyty policzków pokryte miedzianą szczecina zarostu. Żółtawe piegi. Potężne bary i silne ramiona, ręce owłosione jak u wilkołaka. Wilgotne futro na piersi, schodzące aż do wystającego brzucha. Duże genitalia, jasnoczerwone od gorącej kąpieli, spoczywające w gnieździe rudawych włosów. Uda, całe nogi jak pnie drzew. Bardziej jednak przedstawiały

obraz siły niż otyłości. Domyślał się, że osiągnął szczyt swoich fizycznych możliwości. Zbliżał się do granicy wieku średniego, lecz nie martwiło go to zbyt. Teraz trudniej było zliczyć jego wady, może dlatego, że zmieszały się w niepoliczalną masę albo przybrały postać cechy jego charakteru.

Szara nocna koszula – rozpruta pod pachami – przykleiła mu się do mokrych pleców. Ponownie poczuł dreszcz radości. Bez powodu.



Obudził go dzwonek telefonu. Idąc na dół do kuchni, potknął się o brudną koszulę, którą tam zostawił. Głos Dennisa.

– Niechętnie cię budzę, ale pomyślałem, że powinieneś wiedzieć. Mama dzwoniła kilka minut temu. Nie wrócił jeszcze. Nie ma go od czwartej rano. Powinien był wrócić na kolację. A już jest dziesiąta. Coś jest nie tak. Dzwoniłem do bazy ratowniczej. Teraz jadę do mamy. Czuję to przez cały dzień. Jesteśmy przygotowani na najgorsze.

– Daj mi znać, jak tylko będziesz coś wiedział. – Quoyłe zadrżał w wychłodzonej kuchni. Zegar wskazywał sześć minut po dziesiątej. Nie słyszał morza.

Dennis zadzwonił ponownie o północy, mówił schrypniętym i zmęczonym głosem.

– Znaleźli łódź. Jego też. Utonął. Powiedzieli, że próby odratowania nie powiodły się. – Ustał oddech, przestało bić serce, sam na stole sali reanimacyjnej statku ratowniczego. – Wygląda na to, że zaplątał się w linkę kamienia kotwicznego, kiedy rzucał więcierz na homary. Ściągają łódź, jego też. Zadzwonisz do Billy'ego? Ja zawiozę mamę do portu. Chce tam być, kiedy go przywiozą.



Rano, bez śniadania, roztrzęsiony siedmioma filiżankami kawy, czując ból w żołądku i kołatanie serca, Quoyłe – po drodze do Wavey – pojechał na nabrzeże. Skif Jacka był przycumowany tuż za pomarańczową łodzią ekipy ratowniczej; ciężarówka, samochody osobowe, ludzie stojący ciasnym kręgiem, przyglądający się łodzi tego, który utonął.

Wavey opadła mu na ramię jak ścięte drzewko; jej łzy moczyły mu koszulę. Quoyłe oparł się o zlew w jej małej kuchni. Powiedział, że zawiezie Herry'ego i Bunny do szkoły, żeby było tak jak zawsze. Sunshine zostanie z Wavey, która – podbudowana trochę obecnością Quoyłe'a – przygotowywała już kanapki do szkoły. Żeby pomóc Beety.

Cisza. Na wodzie rzadka mgła grubości dłoni zamazywała płataninę brzegu. Skalne występy, podobne do czarnych metalowych uchwytów, łączyły morze z lądem. Quoyłe wziął głęboki oddech, zimne powietrze popłynęło w górę jego nozdrzy; poczuł się winny, gdyż Jack nie żył, a on stał tam i wciąż oddychał.



Billy, z twarzą białą jak papier, znał wszystkie szczegóły. Poprzedniej nocy udał się do portu, położył dłoń na ręce pani Buggit, dotknął ramienia Dennisa, wyrażając swoje współczucie. Widział, jak przywieźli Jacka i wnieśli do domu. Pomógł go rozebrać i przykryć prześcieradłem. Wypatrzył pieprzyk pod lewym sutkiem, który – kiedy porównać go z pozycją prawego sutka – stanowił kropkę w napisie, jaki mógł zostać wypisany na jego piersi.

władcy  
Jack. Oto on: on był

Widział, jak pani Buggit i jej siostry przynoszą miski z wodą i nożyczki, by go ostrzyć i obciąć paznokcie, zanim ubiorą go w garnitur. Haftowana poduszka była już gotowa, by podeprzeć mu głowę. Przyniesiona z kufra, wygładzona. *Jego podróż dobiegła końca*. Uszyta dziesiątki lat temu przy oknie, w świetle Północy.

Quoyle i Benny Fudge, pochyleni nad swoimi biurkami, przyglądają się Billy'emu, który wydawał się zbudowany z półprzezroczystych rybich ości; zasypywał ich informacjami, jakby rzucał garściami kamyków.

– Znaleźli skif przy Pook Rock. Jack nigdy nie zastawiał tam więcierzy na homary. Nie mam pojęcia, co on tam robił. Znaście jego ulubionego kota. Nazywał go Szyper. Szyper Tom. Siedział na łodzi. Łódź ratunkowa przypląnęła, zaświecili reflektor, a tu Szyper Tom chodzi niespokojnie po łodzi i zamiata ogonem, jakby wyczuwał, że Jack potrzebuje pomocy, a on nie wie, jak mu pomóc. Od razu zobaczyli Jacka pod wodą. Linka spuszczonego była do wody. Unosił się na brzuchu, tuż pod łodzią. Linka kamienia kotwicznego owinęła mu się wokół kostki i pociągnęła go za burtę. Nie mógł się uwolnić. Całkiem się zaplątał. Jedną rękę miał w kieszeni. Pewnie szukał noża, wiecie, żeby się odciąć. Tylko że nie miał tam noża. Może upuścił go albo zgubił, kiedy się przewrócił, i nie wiedział o tym. Nie wiem, czy on nosił nóż luzem w kieszeni, ale kiedy ja łowiłem, zawsze miałem mój nóż w prawej kieszeni; przyczepiony talresem do pętli paska. Tak, jeśli zgubisz nóż i znajdziesz się pod wodą, jak Jack, to już po tobie. – Skrzeczał jak wrona.

Quoyle wyobraził sobie ubranie Jacka falujące pod wodą jak jedwab, jego białą twarz, szyję i dłonie migocące w morskiej toni.

– Amen – powiedział Benny Fudge. – Wielu rybaków tak kończy.

– A jak to przyjęła pani Buggit? – Pomyślał o kobiecie żyjącej nieustannie w krainie mroźnego smutku, unoszonej na falach koronkowych frywolitek.

– Zdziwiająco spokojnie. Powiedziała, że spodziewała się tego od pierwszego tygodnia ich małżeństwa, kiedy to po raz pierwszy uznano Jacka za zaginionego na łodzi. Polował na fokę. Już trzykrotnie cierpiała podobne męki. Teraz przynajmniej ma jedną pociechę. Widzicie, odnaleźli zwłoki. Może pochować Jacka. Zabrali go do domu, gdzie wystawią zwłoki. Dawno już żadnego z Buggitów nie pochowano w ziemi, Jack będzie pierwszy. Jego ciało jest dla niej pewną pociechą.

Na cmentarzu w Killick-Claw nagrobki stały ciasno obok siebie, gdyż ci, którzy zginęli na morzu, nie potrzebowali aż sześciu stóp ziemi.

– Wystawili ciało. Quoyle, dzisiejszej nocy będzie czuwanie, a jutro rano pogrzeb. Przyjdź z Wavey do domu Jacka o siódmej wieczorem. Dennis kazał ci to przekazać. Pytał też, czy poniesiesz biednego Jacka.

– Tak. Poniosę. I poświęcimy mu w tym tygodniu specjalne wydanie. Billy, potrzebujemy nekrologu na stronę tytułową. Taki od serca. Nikt nie robi tego lepiej od ciebie. Pogadaj, z kim trzeba. Zastanawiam się, czy znajdziemy jakieś jego zdjęcie. Porozmawiam z Beety. Benny, zostaw teraz wszystko. Pojedziesz do ratowników i dowiesz się szczegółów całej akcji. Zrób zdjęcia skifu. I żebyś nie zapomniał o kocie. Jak on się nazywa? Szyper Tom.

– Co będzie z „Pleciuchą”? – spytał Benny Fudge, odrzucając do tyłu proste, czarne włosy. – Czy to już jej koniec? – Czuł, że ogromna szansa jest zagrożona. Nawet w tej chwili bawił się kawałkiem sznurka, jakby to była przedza.



– Nie. Gazeta żyje własnym życiem, które toczy poza jej ziemskimi właścicielami. Jutro pracujemy tak jak zawsze. Będziemy musieli się nieźle uwijać, żeby zdążyć ze wszystkim. Billy, o której zaczyna się czuwanie? – Quoyłe walił już w klawisze komputera, pracując nad stroną tytułową.

Billy sięgnął po swój notes.

– O siódmej. Nie wiem, czy Dennis zbije trumnę, czy będą musieli kupić.

Benny Fudge wymknął się z pokoju. W ręku nowy laptop, na głowie filcowy kapelusz zamówiony z katalogu, twarz pełna nowych zębów i ambicji.

Nad wodą gęstniejąca mgła. Mgliste girlandy, w coraz gęściejszym powietrzu. Świat zniknął, jakby odpłynął tunelem, pozostawiając tylko mokrą skałę, przytłumione morze i wilgotne powietrze. W oddali rozległo się chrapliwe i zduszone wezwanie syreny mgłowej, jakby tęskne wołanie byka na wiosennej łące.



Quoyłe, wyczerpany i podniecony, przygotowywał się na czuwanie. Wcisnął się w czarne, odświętne spodnie. Gdy tylko uzna, że już wypada wyjść, będzie musiał wrócić do redakcji, aby skończyć matrycę długiego artykułu Billy’ego. Dostali dobre zdjęcie Jacka, wprawdzie sprzed dziesięciu lat, ale wygląda na nim tak samo, stoi przy świeżo pomalowanym skifie. Quoyłe kazał oprawić dla pani Buggit odbitkę dziewięć na dwanaście.

Bał się widoku Jacka leżącego w salonie, spowitego pianą koronkowych węzłów. Wyobrażał sobie, że wciąż jest mokry, jakby nie mogli osuszyć jego ciała – morska woda ściekająca strumieniami, kapiąca z pluskiem na wyczyszczonej podłodze, podczas gdy pani Buggit pochyla się, by zetrzeć ją białą ścierką.

Jego stara tweedowa marynarka też okazała się za ciasna. Wreszcie dał za wygraną i włożył obszerny sweter koloru byczej krwi, który nosił na co dzień. Trudno. Ale na pogrzeb będzie musiał kupić nową marynarkę. Zrobi to jutro z samego rana w Misky Bay, kiedy pojedzie do drukarni. Zawiązywał odświętne buty, gdy zadzwoniła Wavey z wiadomością, że Bunny chce go o coś zapytać.

Zawzięty, dziecięcy głos. Dopiero drugi raz rozmawiał z nią przez telefon. Nie zarobiłaby na życie, sprzedając ubezpieczenia.

– Tato, Wavey mówi, że muszę cię zapytać. Chcę pójść na wstawanie do wujka Jacka. Wavey mówi, że ty musisz zdecydować. Tato, ty idziesz i Marty, i one, i Herry z Wavey też idą, a my z Sunshine mamy zostać z ciotką w jej pracowni pełnej igieł. Ja nie chcę, chcę iść na wstawanie.

– Bunny, to jest „czuwanie”, nie „wstawanie”. A Marty, Murchie i Winnie idą tam dlatego, że Jack był ich dziadkiem. Pozwól, że najpierw porozmawiam z Wavey.

Wavey uważała, że mogą pójść.

Zdaniem Quoyłe’a w ostatnim roku za często stykały się ze śmiercią.

– Przecież wszystko umiera – powiedziała Wavey. – Życie niesie z sobą stratę i smutek. Muszą to zrozumieć. A one chyba traktują śmierć jak sen.

– No cóż. Są jeszcze dziećmi. Dzieci należy chronić przed wiedzą o śmierci. A te koszmary Bunny? Może być jeszcze gorzej.

– Ale, kochanie, jeśli one nie będą wiedziały, czym jest śmierć, to jak zrozumieją głębszy sens życia? Pory roku, naturę, stworzenie...

Nie chciał, żeby nawiązywała do religii i Boga, co czasem robiła.

– A może dręczą ją koszmary dlatego, że boi się, iż nie obudzi się ze snu tak jak Petal, Warren, dziadkowie. Poza tym, jeśli popatrzyś na zmarłego, to nigdy nie będą cię męczyły wspomnienia o nim. Wszyscy o tym wiedzą – tłumaczyła Wavey.

W końcu Quoyłe się zgodził. I obiecał nic nie mówić o tym, że Jack śpi. Przyjedzie po nich samochodem. Za jakieś piętnaście minut.

Samochody osobowe i ciężarówki stłoczyły się na skraju drogi. Musieli zaparkować daleko od domu i dalej pójść pieszo, kierując się ku wrzawie licznych głosów, które słyhać było z odległości stu stóp. Sznur ludzi płynął przez salon, gdzie w wirze koronek na udrapowanych na czarno kozłach spoczywała trumna Jacka. Przepisnęli się przez tłum do pokoju. Quoyłe niósł Sunshine, prowadząc Bunny za rękę. Jack był taki sam jak na zdjęciu, miał woskową twarz i nie pasujący do niego garnitur. Fioletowe powieki. Rzeczywiście, pomyślał Quoyłe, wygląda, jakby spał. Musiał pociągnąć za sobą Bunny.

Dołączył do ludzi napływających do kuchni, gdzie stały przygotowane ciasta, plecione chleby, czajnik z wrzątkiem, rząd butelek whisky i małe szklaneczki. Rozprawiano głośno o tym, czego Jack mógł być dokonać, czego dokonał.

Billy Pretty rozprawiał ze szklanką w dłoni. Twarz nabiegła krwią od whisky, strumień bełkotliwych, pełnych ekstazy deklamacji, mieszających się z bulgotaniem jego własnych słów.

– Wiecie przecież, że wszyscy odchodzimy. Krótki czas chodzimy po tych kamieniach, nasze łodzie tylko przez chwilę unoszą się na wodzie, a potem muszą utonąć. Woda jest jak czarny kwiat, rybak zaś to pszczoła w jego sercu.

Dennis w garniturze z serży z poszerzonymi nogawkami spodni i Beety z dłonią na drżącym ramieniu pani Buggit. Koronkowy, biały kołnierz podkreślał czarny jedwab sukni. Dennis przeszukiwał szuflady i pudełka w poszukiwaniu spinki klubowej Jacka, której nie można było znaleźć od lat. Teraz była potrzebna.

Dzieci bawiły się na zewnątrz. Quoyłe widział, jak Marty rzuca okruchy kurom na podwórku. Bunny jednak nie chciała pójść do niej, weszła z powrotem do salonu i stała przy trumnie.

– Wezmę ją – powiedziała Wavey. Wydawało jej się nienaturalne, że dziecko tak się przygląda.

Tymczasem Dennis pokazał matce spinkę, którą znalazł w filiżance na najwyższej półce w spiżarni. Emaliowany wieniec z inicjałem R. Ze spinką w dłoni wstała i poszła wolno przez salon, żeby wpiąć ją w klapę garnituru Jacka. Ostatnie dotknięcie. Pochyliła się nad zmarłym mężem. Spinka drżała, kiedy próbowała przebić materiał. Żałobnicy stali pogrążeni w pełnym szacunku milczeniu. Beety niespodziewanie zaszlochała. Wavey pociągnęła delikatnie Bunny za rękę. Dziewczynka utkwiała spojrzenie w zmarłym. Nie chciała iść, wyrwała dłoń.

Rozległ się kaszel, jakby ktoś zapalał stary silnik. Pani Buggit upuściła spinkę na atlas, odwróciła się i chwyciła kurczowo ramię Dennisa. Ściśnięte gardło, oczy jak drewniane gałki szuflady. Wavey siłą odciągnęła Bunny. Dennis głośno zawołał:

– Tato wraca do życia!

Skoczył, by pomóc ojcu wydostać ramiona z ciasnej trumny. Wśród przeraźliwych wrzasków jedni odskoczyli, potykając się, inni rzucili się do przodu. Quoyłe zaczął się przeciskać z kuchni. Zobaczył kłębowisko ramion wyciągających się, by pomóc Jackowi powrócić do teraźniejszości. Z każdym kasznięciem z jego ust chlustała woda. Usłyszał krzyk Bunny z drugiego końca pokoju:

– Obudził się!



Quoyłe jechał za karetką we mgle, wiózł roztrzęsionego Dennisa do szpitala. Widzieli sylwetkę pani Buggit w wyjąym samochodzie. W domu strumień whisky popłynął szybciej.

Bez końca wznoszono okrzyki niedowierzania, szepty o cudzie. Dennis powtórzył Quoyłe'owi wszystko, co się wydarzyło, co myślał, czuł, widział, powtórzył słowa lekarza z karetki, jakby Quoyłe o niczym nie wiedział.

– Martwią się o zapalenie płuc! Uszkodzenie mózgu! A ja wcale! – Dennis śmiał się, walił pięścią w siedzenie samochodu, mówił, żeby Quoyłe jechał za karetką. W dłoniach plik skądś wyciągniętych papierów. Podnieconym głosem wyrzucał z siebie zdania, które mogłyby być skrzydłami wściekłego obracającego się wiatraka. Szeleścił papierami, przekładając je. Grzmocił Quoyłe'a po ramieniu. – A tu masz go, gramoli się, żeby usiąść. Nieźle się zaklinował. Podnosi się do połowy i patrzy na nas. Znowu kaszle. Woda leje się z niego. Nie może mówić. Ale wydaje się, że wie, gdzie się znajduje. Przyjeżdża lekarz i mówi, że wygląda na twardziela i pewnie się z tego wyliże. Mówi, że często dzieci przeżywają zanurzenie. Dorośli rzadko. Ale oni nie znają ojca. Widzisz, zimno wody zamyka układ krwionośny i serce bije bardzo wolno. Przez jakiś czas. Lekarz twierdzi, że ojciec nie mógł przebywać długo w wodzie. Jego zdaniem wyjdzie z tego. A matka! Jak tylko odzyskała głos, mówi do ojca: „Jack, Dennis znalazł twoją spinkę. Tę, której tak długo szukaliśmy”.

Quoyłe widział już tytułową stronę. Przebije wszystko inne. Dennis upuścił papiery na podłogę.

– Zwolnij, muszę to uporządkować.

– Co to jest?

– Dla ojca do podpisu. Jego licencja na homary. Żeby przepisał na mnie. Teraz można złapać prawdziwe okazy.



Wavey usiadła przy Bunny na brzegu łóżka w gościnnym pokoju Buggitów, na którym spał kiedyś Quoyłe obłożony termoforami.

– Posłuchaj – powiedziała Wavey. – Czy pamiętasz tego martwego ptaka, którego znalazłaś na brzegu kilka tygodni temu? Wtedy, gdy tato piekł śledzie? – Gdyż teraz wszyscy nazywali go „tata”.

– Tak. – Palce Bunny skubały narzutę.

– Tamten ptak był martwy, nie spał. Pamiętasz, wracałaś do niego i za każdym razem wyglądał tak samo. Nie żył. Kiedy coś jest martwe, nie może się obudzić. To nie jest sen. Dotyczy to też ludzi.

– Wuj Jack nie żył, a obudził się.

– On w rzeczywistości nie umarł. Pomylili się. Tylko im się wydawało, że on nie żyje. Nie pierwszy raz coś takiego się zdarza. Tak samo było z jednym chłopcem, kiedy chodziłam do szkoły. Eddie Bunt. Myśleli, że się utopił. A on był jakby w śpiączce.

– Co to jest śpiączka?

– No cóż, to taki stan, kiedy tracisz świadomość, nie umierasz, ale i nie śpisz. Coś w twoim ciele albo w twojej głowie jest uszkodzone i czeka trochę, aż to coś się poprawi na tyle, żeby mogło się obudzić. Pamiętasz, jak tata włącza rano silnik w samochodzie i rozgrzewa go? Silnik pracuje, ale samochód nie jedzie.

– W takim razie Petal jest w śpiączce. Śpi, tato tak mówi, i nie może się obudzić.

– Bunny, powiem ci wprost. Petal nie żyje, ona nie jest w śpiączce. Nie śpi. Tato tak powiedział, żeby tobie i Sunshine nie było bardzo smutno. Nie chciał was przestraszyć.

– Ale może być w śpiączce. Może się pomylili, tak jak z wujkiem Jackiem.

– Och, Bunny. Przykro mi, że muszę ci to mówić, ale ona naprawdę nie żyje. Tak samo jak nie żył ptaszek, ponieważ miał przetrącony kark. W niektórych wypadkach nie da się naprawić szkody.

– Czy Petal miała przetrącony kark?

– Tak.

– Carl, przyjaciel Dennisa, miał przetrącony kark, a nie umarł. Musi tylko nosić taki duży kołnierz.

Cisza. Bunny skubała szydełkowe gwiazdy z narzuty. Wavey wiedziała, że długo jeszcze może spodziewać się pytań, że dziewczynka próbuje zrozumieć subtelności i znaczenie bytu. Z dołu dobiegały coraz głośniejsze śmiechy i rozmowy. Na górze padały trudne pytania. Dlaczego jednemu zostaje darowane, a drugiemu nie? Dlaczego jeden wstaje, a inny nie? Ach, można wyjaśniać całymi latami i nigdy nie zgłębi się tych tajemnic. Ale spróbuje.

– Wavey. Możemy zobaczyć, czy ten ptak jeszcze tam jest? – Napięte paluszki ciągną narzutę.

– Tak – odpowiedziała. – Pójdziemy zobaczyć. Pamiętaj jednak, że mieliśmy sztorm i mogło zwiać coś tak małego jak martwy ptaszek. Albo zabrały go fale. Nie zdziw się więc, jeśli go nie znajdziemy. Chodźmy. Może Ken nas podwiezie. Potem pojedziemy do mojego domu i dam ci kakao.



Kamień tkwił na miejscu, lecz ptaka nie było. Piórko w kępie trawy. Mogło należeć do jakiegokolwiek ptaka. Bunny podniosła je.

– Odleciał.



W ciągu tygodni, które nastąpiły po jego zmartwychwstaniu, Jack powoli wychodził z zapalenia płuc i odzyskiwał głos na tyle, by szeptem opowiedzieć szczegóły swojej podróży na drugi brzeg i z powrotem.

Był dobry dzień. Nie za dużo homarów, ale nie tak źle. Kiedy wracał, silnik zaczął słabo pracować. Potem zgasł całkowicie. Latarka kieszonkowa wysiadła. Przez dwie godziny grzebał w silniku po ciemku, lecz nie mógł go uruchomić. Przepływało kilka skifów, krzyczał, żeby go wzięli na hol. Nie słyszeli. Robiło się coraz później. Pomyślał, że zostanie tam na całą noc. Przy płomyku zapalniczki sprawdził godzinę na swoim zegarku. Za pięć dziesiątą. Szyper Tom miauczał i kręcił się niemiłosiernie. A potem zrobił ogromną kupę na więcierz. Jack wyrzucił więcierz za burtę, żeby go opłukać, no i po wszystkim – pociągnęło go do wody. Szarpał za szpagat przy pasku, do którego miał przywiązany nóż. Poczł, że węzeł się rozwiązał, a nóż wypadł i uderzył go w bok głowy. Napił się wody. Szarpał się z całych sił. W miarę jak tracił przytomność, zaczął sobie wyobrażać, że znajduje się w ogromnym słoju do marynatów. Czekał, aż go ktoś z niego wyciągnie.



Quoye doświadczał chwil wypełnionych wszystkimi kolorami tęczy, zupełnego osłepienia. Zwracał uwagę na bogactwo dźwięków fal liżących kamienie, śmiał się i płakał, dostrzegał zachody słońca, słyszał muzykę deszczu. Powiedział: przyrzekam. Przed domem Burke'ów pojawił się rząd lśniących kołpaków zatkniętych na patyki. Ślubny prezent od ojca panny młodej.

Skoro Jack Buggit potrafił wydostać się ze słoja, skoro ptak z przetrąconym karkiem potrafił odlecieć, to co jeszcze było możliwe? Woda może być starsza od światła, diamenty

mogą pękać w gorącej koziej krwi, lodowe góry mogą strzelać zimnym ogniem, na środku oceanu mogą wyrosnąć lasy, kraba może pochwycić cień dłoni, a wiatr można schwytać w węzły na kawałku sznurka. Może się też okazać, że miłość przychodzi czasem bez bólu i cierpienia.





## Spis treści

Podziękowania.....	4
1 Quoyle .....	5
2 Podwójna kokarda .....	13
3 Węzeł zaciskowy .....	17
4 Rozbitek.....	24
5 Chwyt stoperowy.....	28
6 Między statkami .....	36
7 „Pleciucha” .....	42
8 Węzeł poślizgowy.....	51
9 Węzeł cumowniczy.....	56
10 Podróż morska Nutbeema.....	63
11 Broszka z ludzkiego włosa .....	69
12 Fala rufowa .....	75
13 Holenderskie ucho .....	78
14 Wavey .....	85
15 Pracownia tapicerska .....	90
16 Kuchnia Beety .....	94
17 Kronika portowa .....	97
18 Pasztet z homara .....	99
19 Żegnaj, „Buddy” .....	105
20 Gaze Island .....	109
21 Cudowna nawigacja.....	117
22 Jak pies z kotem.....	121
23 Zło.....	125
24 Na jagody.....	128
25 Ropa.....	133
26 Deadman .....	139
27 Pokój redakcyjny .....	146
28 Chwyt łańcuchowy łyżwiarza.....	151
29 Alvin Yark .....	155
30 Słońce za chmurami.....	159
31 Tak bywa .....	162
32 Włochaty diabeł .....	166
33 Kuzyn.....	172
34 Odświętny strój.....	180
35 Dzienna zmiana .....	187
36 Kaftan bezpieczeństwa .....	190
37 Kotwiczne kamienie .....	197
38 Sen właściciela psiego zaprzęgu.....	205
39 Lśniące kołpaki .....	213
Spis treści.....	223